

Gdzie
diabeł
mówi
dobranoc

Joshilyn Jackson

Przełożył Radosław Madejski

Dla Boba, tego przede mną,
i Sama, tego po mnie.

Podziękowania

Pozwoliłam sobie na pewną swobodę, jeśli chodzi o geografię stanu Georgia. Miasteczko Between istnieje, ale moja noga nigdy tam nie powstała. Jeśli jego krajobraz i ludzie odpowiadają mojej wizji, będę modlić się gorliwie, aby tamtejsza Bernese wyprowadziła się jak najdalej, i oficjalnie ogłoszę, że jest to zbieg okoliczności. Oprócz tego w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Between, nie było dziennej szkoły dla niesłyszących, więc musiałam pochwycić najbliższą z dostępnych i przesunąć ją trochę na wschód. Chciałam, aby Stacia wychowywała się w swym rodzinnym domu, ale języka migowego uczyła się w środowisku, które mogłoby docenić jej nieugięty charakter. Zapewniam, że po wszystkim odłożyłam tę szkołę na swoje miejsce.

Doświadczyłam niebywale hojnego wsparcia ze strony Helen Keller National Center w Atlancie (a zwłaszcza Susan Laseck i Lindy Collins) oraz wszystkich głuchych i głuchoniewidomych osób, tłumaczy języka migowego, a także dzieci niesłyszących rodziców, którzy pozwolili mi obcować ze swoim środowiskiem. Jestem szczególnie wdzięczna Bethany Jackson (tej od lśniących brązowych włosów), Jill Sheffield, Nancy Hold, Sylvii Primeaux, Darlene Prickett i fantastycznej Mariann Jacobson.

Jeśli myślicie, że głuchoniewidoma kobieta, która osiągnęła wiek dojrzały w czasach, gdy feminizm był jeszcze w powijakach, nie może być tak silna i niezależna jak Stacia Frett, powinniście poznać moją przyjaciółkę Alice Turner. Chociaż są one mniej więcej rówieśniczkami,

Stacia nie ma w sobie nic z wyglądu, osobowości czy ducha Alice. Alice pokazała mi jednak, jak stworzyć bohaterkę, która wiezie bogate i spełnione życie pomimo syndromu Ushera. Alice jest prezesem Stowarzyszenia Głuchoniewidomych w Georgii (Georgia Deaf-Blind Association). Opiekuje się trójką swoich wnucząt, piecze odjazdowe ciasteczka z orzechami, a gdy jedziemy na obiad, to ona kierując się wycuciem, mówi mi, gdzie mam skręcić. Okazała bezgraniczną cierpliwość, kiedy rozmawiałam z nią, literując niezgrabnymi palcami, i nie żałowała mi swego czasu. Dzięki, Alice. Dziękuję ci za wszystko.

Żywię głęboką karmiczną wdzięczność wobec mego agenta, Jacques'a de Spoelbercha, oraz wydawcy, Caryn Karmatz Rudy. Gdybym mogła, pocałowałabym prosto w usta żywe uosobienie Warner Books. Doświadczyłam tyle wsparcia i otuchy ze strony wszystkich osób w tym wydawnictwie, a należą do nich: Jamie Raab, Karen Torres, Martha Otis, Jennifer Romanello, Penina Sacks, Emily Griffin oraz utalentowana Anne Twomey, choć oczywiście na nich się nie kończy. Dziękuję ci, Beth Thomas, za zrobienie porządku na stronach, na których panował chaos. Czuję niewysłowioną wdzięczność wobec koleżanek i kolegów po fachu - Lily James, Jill James, Julie Oestreich, Amy Go Wilson, Anny Schachner oraz wykazujących się świętą cierpliwością członków In Town Atlanta Writers Group.

Moja cudowna rodzina nigdy nie przestaje mnie wspierać i sprawia, że życie ma dla mnie słodki smak. Scott, jesteś moją miłością, moim partnerem, najlepszym przyjacielem, a na dodatek wspaniale całujesz. Wyrazy gorącej miłości dla Sama, Maisy Jane, Boba, Betty, Bobby'ego, Julie, Daniela, Erin, Jane, Allison, Lydii i całej rodziny Pierwszego Zjednoczonego Kościoła Metodystów w Powder Springs.

Rozdział I

Wojna wybuchła trzydzieści lat, dziewięć miesięcy i siedem dni temu, kiedy ślepa i głucha pływałam cicho i spokojnie we wnętrzu Hazel Crabtree. Byłam schowana w jej macicy, którą otaczało blade i piegowate ciało, to zaś okrywał obszerny, workowaty dres. Wybrała sobie taki, w którym wyglądała bardziej na otyłą niż ciężarną, co było śmieszne, bo któż kiedy widział grubasa w rodzinie Crabtreech? Wszyscy byli wysocy i chudzi, przygarbieni jak zaszuszone łydygi, zwieńczone kępkami rudych włosów.

Hazel Crabtree miała piętnaście lat i nikt w domu nie zastanawiał się nad jej coraz to szerszą talią, kiedy snuła się po kątach, patrząc, jak matka ją ignoruje. Hazel z kolei ignorowała mnie, kiedy ją kopałam, wierciłam się i rosły mi płuca.

Nigdy nie dowiedziałam się, jak to wyglądało od strony Hazel. Urodziła mnie, ale nigdy pod żadnym względem nie była moją matką. Poznałam tę historię w okrojonej wersji, którą opowiedziała mi ciotka Genny. Według niej wkroczyłam radośnie i bezkrwawo na ten świat, w asyście rozśpiewanych królików. Od ciotki Bernese otrzymałam suche medyczne dane i bezbarwną relację złożoną z samych faktów uporządkowanych chronologicznie.

Za to moja matka, Stacia Frett, opowiedziała mi to jak historię o miłości, swojej i mojej. Nie było to dla niej wypowiedzenie wojny, ale po prostu opowieść o tym, jak odnalazłyśmy się nawzajem. Wersja mojej matki, ze wszystkimi niuansami, które przekazywała jej wyrazista twarz i żwawo migające dłonie, zawładnęła moją wyobraźnią. Przez

dziesięć lat przeplatałam jej historię z tym, co wyciągnęłam od Genny i Bernese, aż w końcu otrzymałam wersję, która w moim odczuciu była najbliższa prawdy. To było tak, jak gdyby moja dusza unosiła się nad sceną, rozglądając się i czekając, aż zostanie wessana przez moje ciało wraz z powietrzem pierwszego wdechu.

Nie wiem, dlaczego tej nocy, kiedy się urodziłam, Hazel Crabtree przyszła po pomoc do Bernese. Ciotka Bernese nieczęsto kłopotowała się szukaniem odpowiedzi na pytanie „dlaczego”, za to po mistrzowsku potrafiła wyjaśnić „jak”. Zanim pośrednictwo w sprzedaży prac mojej matki stało się jej głównym zajęciem, Bernese pracowała na porodówce szpitala w Loganville. Zapewne Hazel przyszła do Frettów, ponieważ wiedziała, że Bernese jest była pielęgniarką i rzeczową, wykształconą osobą, która mimo porywczego charakteru ma dobre serce. Było to wielce prawdopodobne. W owym czasie społeczność miasteczka Between w stanie Georgia liczyła jakieś dziewięćdziesiąt osób. Każdy wiedział o innych wszystko.

Ale równie dobrze mogła kierować się względami praktycznymi. Bernese wraz z mężem i synami mieszkała w ślepych zaułku Grace Street. Stacia i Genny mieszkały w sąsiednim domu. W pobliżu nie było żadnych innych posesji, a za podwórkiem Bernese ciągnęły się kilometrami dzikie sosnowe lasy Georgii. W miasteczku była jeszcze tylko jedna pielęgniarka, ale mieszkała na bardziej zaludnionej ulicy i miała bliskich sąsiadów. Ostatni (choć przypuszczalnie najważniejszy) czynnik był taki, że Hazel musiała wiedzieć, iż zwracając się o pomoc do Frettów, doprowadzi swą rodzinę do wściekłości.

Parę minut po czwartej nad ranem Bernese obudziła się, słysząc, że ktoś wali we frontowe drzwi. Zbiegła po schodach, naciągając szlafrok, a dłoń, w której trzymała pistolet, zaplątała się jej w rękawie. Za nią szedł jej mąż Lou.

- Czy on nie jest odbezpieczony? Nie jest odbezpieczony? Daj mi go, a potem włóż szlafrok. Bernese, odbezpieczałaś pistolet?

Bernese wyplątała się i przytrzymując broń pod pachą, lufą w dół, zawiązała pasek szlafroka.

- To jest trzydziestkaósemka? - zapytał Lou. - Boże miłosierny, dlaczego nie wzięłaś tego, który nosisz w torebce?

Bernese otworzyła drzwi i zobaczyła Hazel Crabtree, która w obu rękach ścisnęła śluzowy czop.

- To ze mnie wyszło - powiedziała. - Czy to kawałek dziecka? Bo-
li mnie.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Bernese. - Ty jesteś w ciąży? Lou,
dzwonił po karetkę.

W 1976 roku takie małe miasteczka jak Between nie podlegały pod ogólny numer 911, więc Lou poszedł po kartkę z telefonami alarmowymi, którą Bernese trzymała w szufladzie. Widząc to, Hazel wepchnęła się do środka, złapała go, upadła przed nim na kolana i zaszkomlała.

- Nie, proszę do nikogo nie dzwonić. Moja matka nie może się dowiedzieć. - Potem puściła Lou i odezwała się podniesionym, spanikowanym głosem: - Coś wychodzi. Coś jeszcze. Dzieje się coś złego.

Zaczęła gorączkowo obmacywać się po brzuchu i kroczu. Jej dressowe spodnie były przemoczone i opuściła je do połowy ud. Pod spodem nie miała majtek. Potem zachwiała się i upadła, wijąc się na dywanie w holu.

Bernese uniosła wzrok i zobaczyła, że jej trzech synowie tłoczą się na schodach. Stali na podeście piętra przytuleni do siebie, gapiąc się między szczeblami balustrady wielkimi od przerażenia oczami.

- Dobra, zostaw ten telefon - powiedziała Bernese. Lou, który nerwowo skubał ucho, patrząc, jak Hazel wyje i miota się po podłodze, odłożył słuchawkę na widełki. - Idź do chłopców. Powiedz im coś. Ja się tym zajmę.

Lou pospiesznie wspiął się po schodach, wziął na ręce najmniejszego z chłopców, a dwóch starszych zagonił do sypialni. Kiedy skurcze porodowe osłabły, Hazel, ciężko dysząc, uniosła się na rękach i kolanach.

W domu Bernese frontowymi drzwiami wchodziło się do wyłożonego dywanem przedpokoju. Po prawej znajdowało się wejście do bawialni, a na wprost długi korytarz prowadzący do kuchni. Z lewej strony zaczynały się schody na piętro, które w formie podestu otwierało się na wysoki hol. Obok drzwi wejściowych, na brzegu stolika znajdował się telefon. Resztę blatu zajmowało ogromne szklane terrarium, w którym mieszkwały ukochane ómy księżycowe Bernese. Dorosłe osobniki były rozbudzone, niektóre trzepotały skrzydłami, przysiadając na żerdkach i gałązkach. Inne, połączone w pary, stykały się odwłokami, uprawiając desperacką miłość, która wypełniała ich niesłychanie krótkie życie.

Bernese próbowała ominąć Hazel, idąc w stronę stolika z telefonem, aby odłożyć pistolet. Dziewczyna pomyślała jednak, że Bernese chce zadzwonić, i uniosła się na kolana.

- Nie, nie możesz! - rozplakała się. - Nikt o tym nie wie. Nikt nie może się dowiedzieć!

Złapała Bernese za rękę, ale straciła równowagę i szarpnęła ją mocno. Pistolet wystrzelił. Pocisk świsnął obok głowy Hazel, przebił się przez szklane ściany terrarium i utkwił w drewnianych schodach. Odłamki rozbitego szkła posypały się na dywan i na ognistorude włosy Hazel.

Hazel i Bernese zastygły w milczeniu, nie mogąc oderwać wzroku od dymiącej dziury w stopniu.

- Bernese? Bernese? - rozległ się na górze krzyk Lou.

Usłyszały jego tupot dobiegający z piętra. Za nim biegła grupka przerażonych chłopców.

- Stać! - wrzasnęła Bernese i kroki natychmiast umilkły. - Nikomu nic nie jest. Lou, zostań z chłopcami.

- Pytałem cię, czy go nie odbezpieczyłaś - zawołał Lou z wyrzutem.

- Może lepiej będzie, jak ty zabezpieczysz sobie usta - odkrzyknęła Bernese.

Wystrzał obudził mieszkającą w sąsiednim domu siostrę Bernese, Genny, która poderwała się na łóżku, przyciskając kołdrę do piersi. Okno jej sypialni wychodziło na trawnik przed domem Bernese i Genny zobaczyła, że drzwi wejściowe są otwarte, a w środku pali się światło. Zerwała się z łóżka i pognąła przez hol do pokoju Stacji. Włączyła lampę, usiadła na łóżku obok niej i zaczęła nią potrząsać. Stacia usiadła i błyskawicznie oprzytomniała, otwierając szeroko oczy. Uniosła pięść do podbródka, rozchylając wyprostowany kciuk i mały palec. Znak ten oraz wyraz jej twarzy pytał, co się stało.

Genny potrząsnęła głową i zamigała w odpowiedzi. *Słyszałam wystrzał. Zezując w lewo, wskazała oczami dom Bernese, a potem pokazała szereg kolejnych znaków. Drzwi otwarte. Światło włączone. Co robimy?*

Kiedy tylko przestała migać, sięgnęła prawą dłonią do lewego przedramienia i zaczęła szarpać porastające je delikatne ciemne włosy. Wyrwała jeden z nich wraz z cebulką.

Nie skub, pokazała jej Stacia. Delikatnie odsunęła palce Genny i poklepała ją pieszczotliwie, a potem zamigała *Załatwię to*. Wyrzebała się z pościeli i włożyła szlafrok. Energicznie zawiązała pasek, a potem obróciła się na pięcie i pędem ruszyła w stronę drzwi. Jej długie czarne włosy były rozpuszczone i powiewały za nią jak sztandar.

Genny stała przez chwilę z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Rany boskie - wykrztusiła i pobiegła za Stacją, wymachując gorączkowo rękami i nadaremnie starając się znaleźć w polu jej widzenia. *Zaczekaj. Wezwij policję.*

Goniła ją w ten sposób przez całą drogę, aż do ganku przed domem Bernese. W końcu przystanąła, schyliła się i podniosła szyszka sosnową, wyrwijąc wraz z nią garść darni. Potem cisnęła ją z całej siły przed Stację, aby znalazła się w polu jej widzenia. Szyszka stuknęła w obitą sidingiem ścianę domu Bernese, wznecając tuman kurzu, jakby eksplodowała petarda. Została po niej na drewnie czarna plama,

niczym gigantyczny odcisk kciuka. Stacia przystanęła, by posłać siostrze pełne irytacji spojrzenie, po czym znikła we frontowych drzwiach.

Genny stała kilka kroków poza plamą światła wylewającego się z wnętrza domu, szarpiąc długi czarny warkocz. Jej nerwowe palce wspinały się po splecionych włosach, aż dotarły do delikatnego meszku porastającego kark. Genny chwyciła dwa albo trzy włoski, wyszarpnęła je, strzepnęła z palców i natychmiast zaczęła szukać następnych. W drzwiach ukazała się oszołomiona ćma księżycowa, która trzepocąc skrzydełkami, uleciała w górę i rozplynęła się w mroku. Genny odprowadziła ją wzrokiem, a potem wbiegła na ganek. Zajrzała do środka.

Bernese i Stacia pomagały Hazel przejść na drugą stronę holu, stąpając ostrożnie wśród kawałków stłuczonego szkła. Hazel była naga od pasa w dół i pojękiwała. Spod sportowej bluzy wзираł straszliwie rozdęty brzuch. Reszta ciała Hazel była tak chuda, że Genny widziała jej żebra. Uda dziewczyny były zalane krwią. W jej włosach połyskiwały odpryski szkła, sprawiające niestosowne do sytuacji odświeżające wrażenie. Trzy albo cztery ćmy krążyły wokół lampy, a jedna unosiła się nad Hazel, jakby zauroczona jej jaskrawymi włosami.

- Co się dzieje? - pisała Genny, wyskubując sobie z karku kolejny włos. - Czy ona jest ranna? Postrzeliłaś ją w brzuch?

- Nikt nie jest ranny - odparła Bernese. - Dziecko się rodzi i to teraz, bardzo szybko. Pomóż mi.

Bernese i Stacia położyły Hazel na dywanie w przejściu do bawialni. Próbowaly usadzić ją w kucki, ale opadła na plecy i leżała, miotając się, kiedy przychodziły skurcze. Stacia pokazała błyskawicznie kilka znaków.

- Stacia chce wiedzieć, co ci jest potrzebne? - wyjaśniła Genny.

- Wygotowany sznurek. Nożyczki. Czyste ręczniki - mówiła Bernese, a Genny przekładała jej słowa na język migowy. - Gorąca woda. Lekarz, ale na to nie możemy liczyć. Myślę, że dziecko już wychodzi.

Stacia skinęła energicznie głową i popędziła korytarzem do kuchni. Bernese uklękła obok Hazel, dopóki skurcz nie ustał.

- To się musi skończyć - szlochała cicho dziewczyna. - Zrób coś.

- Zaraz się skończy - odpada Bernese. - Musimy wyjąć dziecko.

Genny, usiądź za jej głową.

- Ja? - pisnęła Genny.

- Chyba że chcesz z drugiej strony - powiedziała Bernese i zwróciła się do Hazel: - Oddychaj.

- Och, och, och, och - stęknęła Genny.

Nadal stała w drzwiach, kołyszając się w tył i w przód, a jej rozbiegane oczy prześlizgiwały się po całym pomieszczeniu, zerkając na śmy, na Bernese, na krew i na pistolet, niezdolne spocząć w jednym miejscu. Kołysała się coraz szybciej, a jej niespokojne palce szczypały skórę w poszukiwaniu włosów do wyrwania.

- Zbliży się następny - powiedziała Hazel. - Nie pozwól na to.

- Potrzebujesz tego - odrzekła Bernese. - Ten skurcz wypchnie dziecko i potem wszystko się skończy. Więc niech przyjdzie.

- Nie, nie, nie. Nie chcę - jęczała Hazel, ale skurcz i tak nadszedł nieubłaganie, a ona była bezradna. Bernese krzyczała na nią, by pada.

Genny kołysała się jeszcze bardziej, dysząc i szarpiąc się za włosy.

- Skończ z tym skubaniem i potrzyмай dziewczynę za głowę. - Bernese podniosła na nią wzrok. - I przestań sapać. Nie mam czasu, żeby usuwać sobie z drogi twoje wielkie dupsko, jak mi tu zemdlejesz.

Hazel gwałtownie szarpnęła głową i wygięła całe ciało, walcząc ze skurczem. Widząc to, Genny wbiła sobie paznokcie w rękę, na tyle mocno, by rozdrapać ją do krwi, a potem spojrzała na swe przedramię. Ból rozjaśnił jej umysł i pozwolił uwolnić typowy dla Frettów wigor, który więziła w sobie tak głęboko. Zapanowała nad nerwowymi dłońmi i przypadła do Hazel, klękając za jej głową.

- No to już. Oddychaj razem z nią - poinstruowała ją Bernese.

Kiedy Genny przyszła z pomocą, Bernese zapada się o framugę drzwi i położyła dłoń na szczycie brzucha Hazel.

- No dawaj, dziewczyno - nakazała, napierając na ramię całym ciałem. - Przyj mocno.

Hazel, płacząc, napada na rękę Bernese. Potem znów osunęła się bezwładnie, kiedy skurcz ustał.

- Następnym razem przyj w taki sposób od samego początku - powiedziała Bernese.

- Nie chcę następnego razu - odpada Hazel.

Genny wyciągnęła rękę i machinalnie poklepała Hazel po ramieniu. Dziewczyna złapała ją za nadgarstek i podniosła na nią wzrok.

- Proszę, powiedz jej, żeby przestała - jęknęła błagalnie.

- Och, biedactwo - powiedziała Genny ze współczuciem, które przysłaniało zgrozę. - Nikt nie może powstrzymać Bernese przed niczym.

- Nienawidzę cię - zwróciła się Hazel do Bernese. - Nienawidzę cię, ty głupia kurwo.

- Ej, przecież to córka Ony Crabtree! - krzyknęła Genny. - To mała Hazel Crabtree!

- Oczywiście, że to ona - odparła Bernese, a w jej głosie wzbierała urażona duma Frettów.

Obie rodziny nie miały ze sobą nic wspólnego i od dawna odnosiły się do siebie z wrogością. Frettowie byli bandą afektowanych zarozumiałców. Żaden z nich nie wziął do ust alkoholu, nawet przy komunii pili sok winogronowy, ale humory ogarniały ich tak szybko i gwałtownie jak jakiś narkotyk. Ich decyzje miały swoje źródło we wzburzonych trzewiach i mieli głęboko gdzieś, co inni pomyślą o ich postępowaniu.

Z kolei rodzina Crabtreech była niemal powszechnie znana z cwaniactwa, a zakres ich emocji rozciągał się od tępego przygnębienia do piekielnej furii. Chytrzy i nieufni, niczego nie przeżywali mocniej od pełnych potępienia spojrzeń otaczającego ich świata. Świata, który istniał po to, aby ich ganić. Czując się osądzani, reagowali szyderstwem i wrzucaniem ramion, po którym następowała fala zimnego okrucieństwa.

Pedantyczni Frettowie byli wcieleniem ładu. Crabtree żyli w niewyobrażalnym syfie. Frettowie hołowali tradycji i obyczajom, podczas gdy Crabtree pienili się niczym kudzu, tworząc chaos i kolejnych Crabtreech, zazwyczaj nie bacząc na dobrodziejstwa wynikające z założenia rodziny. Frettowie mieli pieniądze i cieszyli się w mieście szacunkiem. Byli jak złote rybki w tym najmniejszym ze stawów, natomiast Crabtree żerowali przy dnie.

Miejsce Crabtreech w miejscowej społeczności nie wynikało z naturalnego porządku rzeczy, ponieważ, jak wszyscy inni w Between, byli oni biali. Biali jak papier, większość z nich była czystymi Irlandczykami, może z małą domieszką francuskiej, angielskiej czy niemieckiej krwi. Byli zaledwie trochę rozdrażnieni, kiedy poprawni moralnie biali ziomkowie spoglądali na nich z góry, ale takie traktowanie ze strony Frettów doprowadzało ich do szału. Frettów, którzy byli dziećmi białego ojca i kobiety będącej, jak to ujęła Ona Crabtree, „przekłątą półkwi indiańską squaw”.

Hazel odpoczywała z zamkniętymi oczami. Genny spojrzała na jej blade powieki, tak gładkie i niewinne.

- Na litość boską, dziecinko, ile ty masz lat? - powiedziała. - Bernese, bądź dla niej miła. Ona sama jest dzieckiem!

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - odpada Bernese. - Ona ma prawie szesnaście lat, a myślę, że jej matka jest w moim wieku.

- Nienawidzę cię - zwróciła się Hazel do Bernese, po czym znów otworzyła szeroko oczy. - O nie, to znów się zaczyna.

- Tym razem przyj - powiedziała Bernese.

- Nie wiem, jak przeć - Hazel popatrzyła z rozpaczą na Genny. - O nie, proszę, zrób coś. Zrób cokolwiek.

- Przyj, jakbyś sadziła kloca - wyjaśniła Bernese.

- Bernese, no wiesz! - ofuknęła ją Genny.

- Ile dzieci urodziłaś? - warknęła Bernese i Genny spuściła wzrok. - Więc się zamknij i pozwól mi pomóc tej dziewczynie.

- Zrób coś - powiedziała Hazel do Genny. - Mów do mnie. Cokolwiek. Śpiewaj.

Genny potrząsnęła głową, ale otworzyła usta, z których wydobył się drżący sopran:

- Jedyнным przyjacielem jest ci słodki Jezus...

Hazel gwałtownie machnęła nogą, wymierzając kopniaka Bernese.

- O kurwa, tylko nie Jezus! - wrzasnęła.

Bernese złapała ją za kolano i przygięła roztrzęsioną nogę do brzucha.

- Przygotuj się - powiedziała, opierając drugą dłoń na szczycie nabrzmiatego brzucha Hazel.

- Nie jestem gotowa. Pomóż mi - skowyczała Hazel, wijąc się po podłodze, podczas gdy Bernese mocowała się z jej nogą. - Pomóż mi. Śpiewaj. Ale nie o Jezusie.

Genny gorączkowo poklepywała Hazel wolną ręką i zaśpiewała pierwszą rzecz, jaka przyszła jej na myśl.

- Wzdychacie panie. Dręczy was wieczna męska niestałość...

- Już jest! Już jest! - wrzasnęła Hazel, miotając się z bólu.

- Przyj. Słyszysz mnie? Masz przec. - Bernese ucisnęła jej brzuch.

- Zmienni jak wiatr, twardzi jak głąz, zdradzają, budzą żalność - nie przestawała śpiewać Genny.

Hazel wiła się i trzęsła, ale pada. Genny pobladła, widząc czubek mojej główki, pokryty krwią i śluzem. Poczwała, że zaczyna kręcić się jej w głowie i tylko kurczowo zaciśnięta na jej ramieniu dłoń Hazel trzymała ją w pionie. Zamknęła oczy i śpiewała, kiwając się w tył i w przód.

- I przemień wnet westchnienia twe w hej nonny, nonny, nonny* - śpiewała Genny.

- Już prawie koniec. Gdzie jest Stacia? - odezwała się Bernese. - Genny, klęknij między jej nogami i chwyć to dziecko.

Ale dla Genny tego było już za wiele. Mocno zaciśnęła oczy i śpiewała.

* William Szekspir, *Wiele hałasu o nic*, tłum. Maciej Stomczyński

Od strony kuchni nadeszła Stacia, niosąc rondelkę gorącej wody, czyste serwety, nożyczki i sznurek. Położyła je na podłodze i uklękła między nogami Hazel, kiedy zaczął się kolejny skurcz.

Hazel pada, podczas gdy Bernese uciskała jej brzuch i wtedy moja główka pojawiła się w całości. Wydostałam się na świat z twarzą zwróconą ku górze, gapiąc się w światło rozgniewanymi oczami. Stacji wydawało się, że patrzę na nią. Miałam obrzmiałe powieki, które niemal całkiem zasłaniały mi oczy, ale Stacia była przekonana, że nasze spojrzenia się spotkały. Patrzyłam na nią uważnie, zirytowana i żywa. Moją twarz otaczał mrok, który ograniczał mi pole widzenia, pochłaniając jego brzegi, i w tym momencie byliśmy tylko my dwie. Nie istniała nawet Hazel.

Stacia zanurzyła palec w moich ustach, aby je oczyścić. Kiedy to robiła, zmarszczyłam brwi i rozdziawiłam szerzej buzię. Wyglądałam, jakbym wrzeszczała, ale nie wydobyłam z siebie żadnego dźwięku. Moje ciało było wciąż ściśnięte w ciele Hazel. Kiedy Stacia patrzyła na mnie, obróciłam się powoli w kanale rodnym, twarzą w dół. Podtrzymywała mi czoło szorstką dłonią, kiedy przyszedł kolejny skurcz. Wyśliznęłam się gładko jak ryba, prosto w jej wyczekujące ramiona.

- To już? Już po wszystkim? - zapytała Hazel.

- Sądzę, że tak, skarbie - powiedziała Genny, unosząc powieki. Skóra wokół jej oczu i ust była szara. - Och tak, myślę, że już po wszystkim.

Stacia uniosła wzrok ponad bezwładnym ciałem Hazel i jej spojrzenie napotkało Genny, która zapytała, migając jedną ręką. *Chłopiec czy dziewczynka?*

Stacia przesunęła obok prawego policzka skierowany ku dołowi kciuk.

- Dziewczynka - powiedziała Genny, kołysząc się i kiwając głową.
- To dobrze. Nie ma się co bać. Posłuchaj, masz śliczną małą dziewczynkę.

- Cipa mnie boli - powiedziała Hazel.

Stacia trzymała mnie, nie ruszając się z miejsca, a drugi koniec pępowiny niął między nogami Hazel.

- Już wyszło? - zapytała Hazel. - Dlaczego znowu się zaczyna?

- Znowu? - zapisała Genny.

- Tym razem nie będzie już tak ciężko - zwróciła się Bernese do obydwu.

Nachyliła się i trzymając za pępowinę, wyciągnęła łożysko, kiedy zaczął się skurcz. Genny zamknęła oczy i znów zaczęła śpiewać. Hazel rozluźniła się, dysząc ciężko, a Stacia zaczęła mnie myć i zawiązała pępowinę.

- Genny, zamknij się i przestań miauczeć - powiedziała Bernese.

- Hej nonny, nonny, nonny! - zawodziła Genny. - Czy to już koniec?

Hazel puściła jej rękę, a kiedy Genny otworzyła oczy i spojrzała w dół, zobaczyła na nadgarstku odcisniętą bransoletkę z krwawych śladów.

- Kto to jest Nonny? - zapytała Hazel osłabionym głosem.

- Co? - zdziwiła się Bernese.

- Ona śpiewała „Hej Nonny”. Kim jest Nonny? Czy chodziło jej o to dziecko?

Stacia wstała, trzymając mnie zawiniętą w ręcznik. Byłam rozbudzona i wpatrywałam się w jej mgliste, szare oczy, pełne powagi i zaciekawienia. Bernese zajrzała między nogi Hazel.

- Wygląda nieźle. Nie doszło do pęknięcia. Chcesz potrzymać dziecko? - Bernese zwróciła się do Hazel.

- Nie. - Dziewczyna odwróciła twarz i wlepiła wzrok w rozbite terrarium. Gąsienica znalazła wśród odłamków szkła i kamieni drogę na zewnątrz, a teraz spacerowała po blacie.

- To milutka dziewczynka i jest już o wiele czystsza - powiedziała Genny. Osowiała i wyczerpana siedziała płasko na podłodze za głową Hazel i lekko się kołysała.

Stacia oderwała w końcu ode mnie wzrok i Genny dała jej znak, że powinna dać mnie matce, ale Stacia ani drgnęła, tylko spojrzała na Hazel.

- Nie chcę jej. - Dziewczyna nerwowo potrząsnęła głową.

Stacia skrzywiła usta i przytuliła mnie mocniej.

- Może potem - rzekła Bernese.

Stacia tupnęła nogą, żeby zwrócić na siebie uwagę Genny i zamigała jedną ręką, przytulając mnie drugą do siebie.

- Stacia mówi, że to jej dziecko - oznajmiła Genny.

- Oczywiście - przytaknęła Bernese. - Dajcie dziewczynie minutę. Zaraz ją weźmie.

Genny pokręciła głową.

- Nie, mówię, że Stacia powiedziała „To moje dziecko. Chcę je”. Ona chce to dziecko.

Nastąpiła długa chwila milczenia, kiedy wszyscy oswajali się z tymi słowami. Bernese przeniosła wzrok ze Stacji na Genny, a potem jeszcze raz spojrzała na Stację.

- Nie bądź śmieszna - prychnęła, po czym przechyliła głowę i wrzasnęła w stronę pietra: - Lou, zostaw chłopców na sekundę i rzuć mi tu parę prześcieradeł. Najstarszych, jakie mamy. A w bieliźniarce znajdziesz jakieś stare ręczniki.

- Stacia mówi: „Nie jestem śmieszna. Ona do mnie przyszła. Jest moja” - tłumaczyła Genny. - Myślę, że ona naprawdę chce to dziecko.

- Och, jak dobrze - zwróciła się Hazel do Genny. - Weźcie je. Może być waszą Nonny.

- Zabieramy cię do szpitala - powiedziała Bernese.

- Tylko nie do szpitala - błyskawicznie zareagowała Hazel. - Zadzwoń do mamy i nigdy się stąd nie wydostanę. Ona zamknie mnie w domu i każe mi zatrzymać dziecko... - Jej oczy napełniły się łzami. - Proszę, nic mi nie jest. Pozwólcie mi tylko trochę się przespać, a potem sobie pójdę. Możecie wziąć sobie tę Nonny.

- Powinien obejrzeć cię lekarz - zaprotestowała Bernese. - Możesz dostać komplikacji i wykrwawić się w moim domu.

- Nie dostanę, obiecuję - odpada Hazel, a po policzkach spłynęły jej łzy. - Powiedziałaś, że wyglądam dobrze. A jeśli zabierzecie mnie

do szpitala, rzucę się pod ciężarówkę. Mówię poważnie. Razem z tą Nonny.

Stacia znów tupnęła i zaczęła migać.

- Stacia nalega - rzekła Genny. - Mówi: „To dziecko jest moim dzieckiem. Ja to wiem. Nie wiem, jak się to robi, jak się nią opiekować, ale Bernese wie. Bernese, pomóż mi”.

Genny wstała, podeszła do Stacji i odchyliła ręcznik, aby mi się przyjrzeć.

- O wielkie nieba, popatrzcie na te rude włosy - powiedziała. - I te maciupęńkie stopki.

- To nie jest chomik, Genny - krzyknęła Bernese. - To osoba. Mała Crabtree.

U szczytu schodów pojawiła się blada twarz Lou. Jego przeredzone brązowe włosy były zmierzwione, a nad uchem zwisała mu zaczeska. Zwinął prześcieradła i ręczniki w tłumok, który przrzucił się nad balustradą.

- Wracaj do chłopców - zakomenderowała Bernese i Lou zniknął.

Bernese delikatnie upchnęła ręczniki pod pośladekami Hazel, aby zebrać płyny, które sączyły się z niej, wsiąkając w dywan.

Stacia znów zaczęła migać, szybko i gniewnie, wykonując wolną ręką gwałtowne ruchy. Genny tłumaczyła, a jej spojrzenie przybrało tak przerażony wyraz, jak zawsze gdy miała w imieniu siostry powtórzyć na głos rzeczy, których nawet za milion dolarów nie odważyłaby się powiedzieć od siebie. Miała tak wysoko uniesione powieki, że było widać białka otaczające źrenice.

- Ona mówi: „Nie pouczaj mnie i nie waż się traktować mnie protekcyjnie. Mówię ci coś zupełnie poważnego, jeśli nie jesteś zbyt głupia, by to usłyszeć. Więc zamknij się i pomóż mi”.

Bernese nie zwracała uwagi na Stację, zajęta starannym układaniem starych prześcieradeł.

- Jest ci wygodnie? - zwróciła się do Hazel. - Chcesz trochę wody?

- Proszę, nie mów - błagała Hazel.

- Twoją mamą jest Ona Crabtree? - zapytała Bernese.
- Nie - odparła dziewczyna.
- Tak, to jej matka - wtrąciła się Genny.

Jej spojrzenie natrafiło ponad głową Hazel na oczy Bernese i Genny bezgłośnie poruszyła ustami na kształt słowa „pije”, a potem porozumiewawczo skinęła głową.

Bernese zawięta łożysko w najbardziej zużyty ręcznik. Zauważyła, że palce Genny wędrują w górę warkocza.

- Genny, na miłość boską, zabierz od siebie te ręce - powiedziała.
- Nie zaczynaj się skubać, kiedy jest już po wszystkim i zostało nam tylko czyszczenie dywanu. Dać ci tabletkę?

Genny pokręciła głową i potarła dłonią czoło, a potem zaczęła przekładać na język migowy to, co Bernese mówiła do Stacji.

- Dobrze, a teraz zrób coś pożytecznego. Zobacz, czy ta dziewczyna nie przystawi dziecka do piersi. Powinna je pokarmić, póki jeszcze nie zasnęło. A ja idę po worki na śmieci i zadzwonię z kuchni po ambulans.

Bernese ruszyła długim korytarzem w stronę kuchni, trzymając w ramionach mnóstwo przemoczonych ręczników. Hazel popatrzyła za nią, po czym obróciła się na bok i uniosła na rękach i kolanach.

- Powinnaś leżeć, skarbie - powiedziała Genny.

Stacia zawahała się. Próbowwała podać mnie Genny, ale ona, wciąż oszołomiona i pozieleniała, nie chciała mnie wziąć, więc Stacia podeszła do Hazel ze mną na rękach.

- Kochanie, powinnaś zostać na tym posłaniu - mówiła Genny, idąc za nami. - Jesteś... Och mój... Z ciebie coś wycieka.

Hazel wypełzła do przedpokoju. Kiedy sunęła w stronę stolika, parę odłamków stłuczonego szkła wbiło się jej w kolana. Stacia podążyła jej śladem, a za nią szła Genny, cmokając i wzdychając ze zniecierpliwienia. Nagle Hazel uniosła się na zakrwawionych kolanach i złapała leżący na komodzie pistolet. Stacia znieruchomiała, a Genny omal na nią nie wpadła.

Bernese była na końcu korytarza, kiedy Hazel zawołała:

- Jeszcze krok, a cię zastrzelę.

Bernese przystanąła i obróciła się. Hazel była tak słaba, że kołysała się z boku na bok jak pijana, próbując utrzymać ciężki pistolet.

- Zastrzelę cię, jeśli powiesz mojej mamie.

- Odłóż to, idiotko. Nie chcę więcej dziur w stolarcie - powiedziała Bernese.

- Zrobię to - odpada Hazel.

- Oszczędź mnie - w głosie Bernese czuć było lekceważenie. Po udach Hazel sączyła się cienkimi strużkami krew. - Ledwie możesz utrzymać się prosto. Nie trafiłabyś mnie, nawet gdybym stała w miejscu i czekała, aż wystrzelisz wszystkie sześć kul.

- Dobrze - powiedziała Hazel. Okręciła się w pasie, wciąż trzymając przed sobą broń. Stacia stała tuż za nią i dziewczyna przyłożyła lufę do jej brzucha, tuż pode mną. - Ale na pewno trafię ją.

Bernese zamarła w bezruchu i przez długą, straszłą chwilę panowało milczenie.

- Jezus, ratuj nas - wyszeptała niemal bezdźwięcznie Genny.

- Przystaniesz z tym Jezusem? Powiedziałam ci! - głos Hazel zabrzmiał przenikliwie.

Stacia bardzo powoli uniosła wolną rękę i zaczęła pokazywać znaki, unikając gwałtownych ruchów. Genny zmusiła się, by nie patrzeć na pistolet i skupić się na dobrze znanym widoku migającej siostry.

- Hazel, Stacia chce się dowiedzieć, gdzie jest twój ukochany - powiedziała Genny piskliwym, podniesionym tonem.

Hazel zmieszana przeniosła wzrok z wolno poruszającej się dłoni Stacji na jej twarz.

- Mój ukochany? - zapytała.

Genny była tak wystraszona, że była w stanie tylko obserwować rękę Stacji i powtarzać, co miała do powiedzenia, nie patrząc na nic innego.

- Masz dziecko. Musiałś mieć ukochanego.

Hazel głośno wciągnęła powietrze przez nozdrza.

- Miałam dużo ukochanych. - Wzruszyła ramionami.

Bernese uklękała powoli i odłożyła mokre ręczniki na podłogę.

- Ja miałam ukochanego - Genny odczytywała znaki siostry, nie odrywając wzroku od jej palców. - Tylko jednego.

Stacia wolno i łagodnie poruszała dłonią, a lufa pistoletu wciskała się w jej miękki brzuch. Wokół lampy, trzepocąc skrzydełkami, latała ćma księżycowa.

- Miał na imię Frank. Ale już go nie mam. Zrobił coś głupiego i z nim zerwałam. Myślałam, że go poślubię i zamieszkamy z Genny. Ja, Frank i moja siostra. Miałabym własne dzieci. Ale to się już nie spełni.

Stacia wciąż migała, ale podniosła wzrok i patrząc nad głową Hazel, napotkała spojrzenie Bernese, która wyprostowała się i zaczęła iść w ich stronę, stawiając powoli ciche kroki.

- Wiesz, co to jest syndrom Ushera? - powtórzyła Genny za Stacją, która opuściła oczy na Hazel, na jej roztrzęsioną dłoń trzymającą pistolet, a potem znów spojrzała na Bernese.

- Nie - odpada dziewczyna.

Jej chude ramiona drżały z wysiłku i Genny bała się, że Hazel może niechcący pociągnąć spust. Genny nie odrywała jednak oczu od ręki Stacji i tłumaczyła znaki, ledwie świadoma tego, co mówi. Pistolet wcisnięty w brzuch Stacji był czarną bestią na granicy jej pola widzenia.

- To znaczy, że jestem głucha - powtarzała Genny. - Urodziłam się głucha. I to oznacza, że moje oczy wysiadają. Za dziesięć lat będę ślepa. Jeśli dopisze mi szczęście, to za piętnaście. Nie widzę już brzegów. Po bokach jest ciemno, jakby ktoś przymknął okiennice. W pewnym momencie stracę zdolność widzenia na wprost i nie będę już mogła pracować. Jestem rzeźbiarką. Robię odlewy i składam lalki z porcelany. To moja praca. Tak więc straciłam mego ukochanego. Tracę moją pracę. A teraz to dziecko...

To dziecko jest moje. Przyniosłaś je do tego domu i wśliznęło się prosto w moje objęcia. Nikt nie będzie nazywał cię mamą, ponieważ

nikt nie odbierze mi tego dziecka. Franka już nie ma, mojej pracy nie będzie, a ja zadawałam Bogu pytanie: „Po co moje serce jeszcze bije?”. A ty przyniosłaś mi odpowiedź. Nie przejmuj się Bernese. Ona nie zrobi nic, aby wyrwać to dziecko z moich ramion. Pomoże mi się nim opiekować. Kiedy tylko dostrzeże moje ręce, a właśnie je dostrzeżę, nie będzie się martwić, czy to realne, zgodne z prawem, czy nawet sprawiedliwe. Pomoże mi. Wezmę to dziecko, a ty możesz iść do domu. Do domu czy dokądkolwiek chcesz.

Stacia przerwała na moment i patrząc surowo w oczy Hazel, zaczęła pokazywać dłonią kolejne znaki.

- Ale jeśli mnie zastrzelisz, Bernese będzie musiała zadzwonić do twojej mamy - powtórzyła za siostrą Genny.

Po długiej chwili ramiona Hazel opadły, kierując wylot lufy w dywan. Dziewczyna osunęła się i Bernese przebiegła te ostatnie kilka kroków przez hol, by złapać ją, zanim upadła na szkło. Potem wyłuskała pistolet z jej zwiotczącej dłoni, przestawiła skrzydełko bezpiecznika i ostrożnie odłożyła go na stolik.

- Pomóż mi - rzekła Bernese, a Genny doskoczyła do niej i razem odciągnęły Hazel od stłuczonego szkła i zaprowadziły na posłanie z prześcieradeł i ręczników. - No, już dobrze. Upewnijmy się tylko, czy niczego sobie nie naderwałaś. Ale tu bałagan.

Hazel zamknęła oczy. Wschodziło słońce, oblewając trawnik bladym światłem.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku - powiedziała Bernese, klęcząc między nogami dziewczyny.

Bernese wstała, włożyła ogrodowe kalosze, które stały obok drzwi wejściowych, i z chrzęstem deptając rozbite szkło, podeszła do telefonu. Podniosła słuchawkę.

- Bernese! - odezwała się Genny.

Hazel uniosła powieki i znów zaczęła płakać, wydobywając z głębi gardła żałosne kwilenie. Stacia uśmiechnęła się i pokręciła głową, spoglądając spokojnie i chłodno w oczy Bernese.

- Nie siej paniki, Genny. Dzwonię do Isaaca - wyjaśniła Bernese i zwróciła się do Hazel: - To mój prawnik, więc przestań histeryzować. Miauczysz jak rozdeptany kot.

Bernese wybrała zapamiętany w aparacie numer i stała czekając, aż telefon obudzi Isaaca Davidsa.

- To ja - powiedziała, kiedy odebrał. - Tak, wiem, która jest godzina, ale wynikła nagła potrzeba. Musisz tu przyjść, tak szybko, jak możesz... Wiem, ale włóż coś na siebie i się pośpiesz. Stacia potrzebuje, abyśmy pomogli jej wykraść wnuczkę Ony Crabtree.

Rozdział 2

Nic dziwnego, że po tak hucznym rozpoczęciu wyrosłam na osobę, która kontempluje ciszę. Ponad połowę mego dzieciństwa Frettowie i Crabtree handryczyli się zawzięcie o to, co ich łączyło. A ponieważ tym czymś byłam ja, nie ominęła mnie bolesna świadomość tego faktu. Ledwie zdążyłam wyrosnąć z pieluch, gdy Ona Crabtree odkryła, że jestem jej wnuczką i pijana stanęła na naszym trawniku, wzywając mnie zawodzącym głosem. Bernese wybiegła jej naprzeciw z taką samą gwałtownością i wrzaskiem. Miałam tylko trzy lata, ale ich nienawiść była nieskrywana, a ja byłam na tyle rozumna, by pojąć, że znajduję się niejako w samym jej środku. Awantura na trawniku przed domem nauczyła mnie dostrzegać i odczytywać subtelniejsze oznaki, które mówiły mi, jak bardzo moja przybrana rodzina pogardza tą rodziną i na odwrót.

Dorastałam w cichym i uporządkowanym domu mojej matki i ciotki Genny, który stał na końcu Grace Street. Bawiłam się z moimi kuzynami, a potem z córką Bernese, która urodziła się, kiedy miałam dziewięć lat. Członkowie rodziny Crabtreech, a szczególnie Ona, przechadzali po obrzeżach mego życia, łączywie pożerając mnie wzrokiem.

Ona Crabtree była na wpół obłąkana, na wskroś nikczemna i ciągle pijana, ale z zaciekłością psa podwórzowego pamiętała wszystkie urazy, jakich doznała. Już od dzieciństwa nienawidziła wszystkiego, co z Frettami związane. Po raz pierwszy ścięła się z Bernese na placu zabaw za Pierwszym Kościołem Baptistów w Between. Genny, która by-

ła pod świeżym wrażeniem letnich nauk ewangelicznych i pragnęła wypełniać Wielkie Posłannictwo, nieśmiało zaprosiła Onę do szkółki niedzielnej. Ona zgodziła się, ale Bernese zmierzyła wzrokiem jej niechlujną sukienkę.

- Ale najpierw idź do domu i się przebierz - powiedziała. - Do domu bożego wkładamy to, co najładniejsze.

Jestem pewna, że nigdy nie przyszło jej do głowy, aby letnia sukienka była tym, co Ona ma najładniejszego. Ona opowiadała mi tę historię dziesięć tysięcy razy, na dowód, że Frettowie to „snobistyczni chrześcijanie na pokaz”. Nigdy nie przestała ich nienawidzić, a kiedy dowiedziała się, że łączą nas geny, nieustannie mnie nachodziła. Nikt nie miał pojęcia, kim był mój ojciec. Nawet Hazel, która wyjechała z miasteczka. Gdyby nie Ona, bez dwóch zdań byłabym jedną z Frettów. Dlatego moja matka wraz z siostrami trwały przy mnie jak niedźwiedzice strzegące swego młodego, zawsze czujne i podejrzliwe.

Wojna, która wstrząsnęła naszą małą miściną, toczyła się głównie pod powierzchnią, a jedynie tu i ówdzie zdarzały się drobne potyczki. Bernese regularnie traktowała Onę jak powietrze, a kiedy dorastałam, chłopcy Crabtreech obrzucali jajkami domy Frettów w każde święto Halloween. A właściwie robili tak, dopóki Bernese nie przesiedziała całej nocy zaczajona w krzakach przed domem z nabitą strzelbą. Chłopcy pojawili się na Grace Street tuż po trzeciej nad ranem, a Bernese pozwoliła im podejść tak blisko, że mogłaby spojrzeć im w oczy, a wtedy wystrzeliła w powietrze, napędzając im stracha.

Kiedy miałam osiemnaście lat, zamieszkałam o godzinę drogi od domu i zaczęłam studiować antropologię na uniwersytecie stanowym Georgii. Moja wyprowadzka nie sprawiła jednak, że stosunki między Frettami a Crabtreeami się ociepliły. Przyjeżdżałam do domu w każdy weekend, a kiedy skończyłam studia, przyjeżdżałam częściej i zostawałam na dłużej, więc urazy były wciąż świeżo rozognione.

Nienawiść napływała i odżywała tysiącem małych wcieleń nawet w czasie mej nieobecności, ale nim zdążyła osiągnąć masę krytyczną

i eksplodować, przygasała, a potem znów odżywała. Frettowie winili za to Crabtreech, ci zaś zwalali wszystko na Frettów. A ja, jedyna osoba, która mogła to powstrzymać, byłam uwikłana w swą własną wojnę, która pustoszyła połowę mego życia w Athens.

Potem, kiedy przyklękałam na zgliszczach Between, przesiewając popiół i grzebiąc wśród kawałków poskręcane go metalu i nadtopionego szkła, odezwał się we mnie głos niedoszęłego archeologa, który twierdził, że mogłabym zapobiec tej wojnie, jedynie gdybym udusiła się własną pępowiną, zanim wzięłam pierwszy oddech. Nigdy nie zostałam archeologiem. Mój dyplom upoważniał mnie do podjęcia wyższych studiów, z czego jednak nie skorzystałam, więc nie mogę przywiązywać wielkiej wagi do moich wniosków. Zostałam tłumaczką języka migowego, ale jestem w tym dobra. Być może nie potrafię sięgnąć w przeszłość, aby od stworzyć klęski mojej rodziny, za to umiem odczytywać znaki, jakie pojawiają się wokół mnie, i złożyć je w jedną historię. Taką, która według mnie zawiera całą prawdę o dalszych krewnych.

Nie wiem, czy to Jonno, czy telefon obudził mnie rankiem tego dnia, kiedy wszystko trafił szlag. Jonno miał zwyczaj postękiwać i bełkotać, kiedy się budził, a zaczął mniej więcej w tym samym czasie, gdy rozdzwonił się telefon. Spojrzałam na budzik, po czym przewróciłam się na drugi bok i zakryłam mu usta dłonią. Otworzył oczy i poczułam pod palcami, jak jego usta wykrzywają się w uśmiechu. Ostatniego wieczoru poszliśmy ze sobą do łóżka z okazji definitywnego rozstania. Gdzieś tak po raz dwudziesty drugi.

- Dzień dobry, Nonny - powiedział radośnie, a jego słowa ugrzęzły między moimi palcami.

- Nic nie mów i bądź cicho - powiedziałam. - Żaden normalny człowiek nie dzwoniłby o tej porze, więc to musi być ciotka Bernese. Ona nie może się dowiedzieć, że tu jesteś. Zrozumiano?

Skinał głową, a wtedy zabrałam rękę.

- I nie uśmiechaj się do mnie - dodałam.

Posłusznie zacisnął wargi i zmarszczył brwi, jak gdyby brał na poważnie to, co powiedziałam. Nad jego szerokim czołem zwieszały się zmierzwione jasne loki. Był piękny i o tym wiedział. Odwróciłam się od niego i leżąc na boku, sięgnęłam po telefon.

- Dzisiaj nie przyjadę, Bernese - powiedziałam do słuchawki.

- A kto cię o to pyta? - odpada. - Mówisz, jakbyś jeszcze spała.

Za plecami czułam, jak Jonno przeciąga się niczym wielki kot i przysuwa się do mnie, przywierając nagim tułowiem do moich pleców. Odepchnęłam go łokciem, ale zignorował to i przylgnął do mnie jeszcze mocniej. Miał rozgrzane i giętkie ciało, a na udzie poczułam ucisk jego porannej erekcji.

- Trochę zasnęłam - wyjaśniłam. - Mam dzisiaj trzy fuchy i już powinnam się zbierać. Nie mogę wyrwać się z miasta i przyjechać.

- Mówiłaś to już wczoraj. Ale pomyślałam, że może chciałabyś się dowiedzieć, że tuż obok Stacia nie zmrużyła oka aż do świtu. Widziałam ją przez okno, jak chodziła tam i z powrotem, tam i z powrotem, cała w nerwach. Twoja mama jest w fatalnym stanie.

- Gdyby mama chciała, żebyś dzisiaj przyjechała do domu, toby mi o tym powiedziała - odparłam, mrużąc oczy. - Jestem zajęta przez cały tydzień, a w piątek mam sprawę rozwodową. Przyjadę w sobotę i mama o tym wie.

- Cały wczorajszy dzień spędziła w pracowni - ciągnęła Bernese, jak gdyby w ogóle mnie nie słyszała. - Grzebała w pudłach z głowami lalek, nuciła i wyciągała je wszystkie, dotykała ich twarzy, a potem pakowała je z powrotem, doprowadzając wszystkich do białej gorączki. A Genny! Nastroje mamy udzielają się jej niczym grypa żołądkowa. Wczoraj musiałam z pięćdziesiąt razy powstrzymywać ją od skubania. Skończy się to dla niej tak, że wyląduje na cztery dni w łóżku, jeśli nie w szpitalu.

- Daj jej xanax - doradziłam, odpychając stopami nogi Jonno. Odsunął się ode mnie, ale niezbyt daleko. Wciąż czułam za plecami ciepło promieniujące od jego ciała.

- Genny nie weźmie tabletki, bo a nuż twoja mama wybierze którąś głowę. Czeką w gotowości, żeby zacząć szyć korpus lalki i ubranie. I popadła już w paranoję. Nie tknęła musu jabłkowego, który jej przyniosłam, gdyż podejrzewała, że rozpuściłam w nim tabletkę.

- A jestem pewna, że to zrobiłaś - powiedziałam.

- Tak czy inaczej, to jest paranoiczne myślenie - odezwała się Bernese po krótkiej chwili milczenia.

- Nie, Bernese, to nie paranoja. To spryt. Wiesz, że gdybyś nie chciała, żeby mama była tak nieszczęśliwa, a Genny taka roztrzęsiona, mogłabyś przestać sprzedawać te głowy lalek.

Jonno zaczął bawić się w pajaka, wędrując palcami po moich plecach.

- Gdybyś zechciała tu przyjechać i pomóc jej którąś wybrać... - zaczęła Bernese.

Obróciłam się na plecy, przygniatając pajaka swoim ciężarem. Posłałam Jonno spojrzenie, które mogłoby wysuszyć całe lasy równikowe, ale on uśmiechnął się w odpowiedzi, a wyrzucenie na prześcieradle mówiło, że bynajmniej nie wędnie.

- Ale to nie nastąpi - przerwałam jej. - Głów nie ma aż tak wiele. Przestań je sprzedawać.

Nawet kiedy wypowiadałam te słowa, wiedziałam, że robię to nadaremnie. Bernese nie miała w sobie za grosz wrażliwości artystycznej, a nawet gdyby posiadała taki dar, mama i Genny tworzyły idealnie się dopełniający duet artysty i rzemieślnika. Dla Bernese nigdy nie było miejsca w ich procesie wytwarzania lalek, zatem od czasów, kiedy były jeszcze młode, trudniła się poszukiwaniem rynków zbytu dla ich produktów. Za wabik służyła jej wzruszająco tragiczna kombinacja talentu mamy, jej głuchoty i postępującego niedowidzenia. Owszem, wykorzystywała to. Ale skutecznie. Bernese przez kilka lat bywała w imieniu mamy na kongresach producentów lalek i zabawek, aż wreszcie zważała się z prawnikiem z Atlanty, Isaakiem Davidsem, i razem wynegocjowali wielki kontrakt z firmą Cordova Toys.

Cordova wciąż wytwarzała masowo popularną kolekcję lalek opartych na projekcie mamy, a sklepy rękodzielnicze w całym kraju sprzedawały reprodukcje jej wzorów, więc hobbyści mogli poskładać swoje własne lalki. W tym momencie nie było żadnego finansowego uzasadnienia, aby jeszcze sprzedawać oryginalne lalki mamy. Wyglądało to, jakby z każdą lalką, której się pozbywała, mama oddawała część siebie. Bernese musiała jednak maczać palce we wszystkich sprawach Frettów, a gdyby odpuściła sobie i to, zerwałaby tę wążką nić, jaka łączyła ją z pracą mamy i Genny.

- To do muzeum - oznajmiła Bernese z emfazą. - Poza tym widziałś, ile zaproponowali? Ale Genny nie może tego pojąć. Będzie się skubać, a potem rozmyślać i kombinować, i miotać się, aż całkiem odejdzie od zmysłów. A tak swoją drogą, Fisher też jest na ciebie wściekła. Dzisiaj rano stroiła fochy przy śniadaniu.

- To u niej normalne, że jest nadasana - odparłam. - Powiedz jej, że przyjadę w sobotę. Chyba że nastąpi koniec świata. I nie dzwoń do mnie już dzisiaj, o ile nie wydarzy się nic poważnego.

- Poczekaj sekundę - wtrąciła Bernese, nim zdążyłam się rozłączyć. - Fisher miała nadzieję, że pojawisz się wczoraj, więc lepiej porozmawiaj z nią, jeśli rzeczywiście nie przyjedziesz.

Jonno w milczeniu leżał obok mnie, z ręką wciąż uwięzioną pod moimi plecami.

- A kto jej powiedział, że przyjeżdżam do domu wcześniej? - zapytałam, ale już znałam odpowiedź.

- Zaraz ci ją dam. - Bernese tak gwałtownie trzasnęła słuchawką, że aż podskoczyłam.

W bezsilnej złości zabębniłam piętami w materac. Z miłą chęcią wystawiłabym do wiatru Bernese, ale nigdy Fisher. Mój świat kręcił się wokół tego dziecka. Matką Fisher była Lori-Anne, pierworodna córka Bernese. Urodziła ją, mając szesnaście lat i niemal natychmiast macierzyństwo wyszło jej bokiem. Fisher wychowywali Bernese i Lou, ale czułam, że przynajmniej w jednej trzeciej należy do mnie.

Jako niemowlę Fisher cierpiała na kolki i Bernese potrzebowała odpocząć od wrzasków, które trwały codziennie po cztery godziny. Mama była odporna na płacz, ale Genny nie mogła go znieść, więc mama zabierała ją do pracowni, podczas gdy Bernese i Lou pracowali w sklepie. Przez sześć miesięcy spędzałam każde sobotnie i niedzielne popołudnie, chodząc z Fisher tam i z powrotem po domu mamy. Lekarz polecił zawijanie, więc opatulałam ją ciasno koczykiem, aż zamieniała się w gruby kokon zakończony okragłą, rozgniewaną twarzą. Przypominała mi jedną z gąsienic Bernese. Pozbawione kończyn zawiniątko, które zawodząc, wiło się wściekle, próbując uwolnić się z moich ramion.

Wszystkie pomieszczenia w domu mamy otaczały położoną centralnie klatkę schodową. Hol przechodził w salon, a za nim znajdowała się duża kuchnia z kącikiem do jedzenia. Stamtąd łukowato sklepione przejście prowadziło do jadalni, która łączyła się z holem, zamykając pętlę. Chodziłam tam w kółko, jak gdyby dolna kondygnacja domu była torem wyścigowym, i trzymałam na rękach małą Fisher, która darła się nieprzerwanie jak zaklęta i zdawała się nie robić przerw, by zaczerpnąć tchu. Po kilku godzinach jej wrzask przechodził w zduszone beczenie, które przypominało głos rozjuszonego kozła. Pod koniec wydawała z siebie serię jękliwych kaszlnięć, a po każdym z nich myślałam, że może już skończyła, ale wtedy rozlegało się następne i następne, dopóki nie byłam gotowa zrzucić jej z mostu.

A jednak zakochiwałam się w niej każdego popołudnia, kiedy w końcu rozluźniała się i zapadała w sen. Stałam, kołysząc się w takt ciszy i trzymając w ramionach spory kawał bezwładnej masy. Potem rozluźniałam powijaki i kładłam się skulona obok Fisher, otaczając ją niczym skorupa ochronna. Byłam jak zahipnotyzowana trawiastym zapachem niemowlęcego potu i widokiem maleńkiej piąstki zaciśniętej na moim palcu. Nie mogłam powstrzymać się od pocierania policzkiem o mięciutki meszek na jej główce.

Kiedy już wyrosła z kolek, byłam od niej uzależniona. Zaczęłam przyjeżdżać do domu dwa razy częściej i przywiozłam tam z Athens ponad jedną trzecią mojej garderoby. Powiesiłam je w mojej dziecięcej szafie, obok pokazanej partii różowych i żółtych ubranek Fisher, a potem wybuliłam parę stów na najlepsze nosidełko. W większość weekendów zespół Jonno miał spore obłożenie, a sobota była najbardziej ruchliwym dniem w sklepie Bernese. Wszystkim więc odpowiadało, żeby Fisher spędzała weekendy ze mną, mamą i Genny. Mała dorastała, przywiązując się do mnie tak, jak ja do niej, i uderzała w lament, gdybym nie pokazała się w dniu, w którym Bernese zapowiedziała jej mój przyjazd. Właśnie tak jak dzisiaj.

W słuchawce rozległ się szelest i stukot.

- Cześć, Nonny - usłyszałam ponury głosik.

Jonno wykorzystał ten moment, aby wreszcie uwolnić rękę spod mnie i błędził palcami po moim biodrze.

- Cześć, Robaczku - mój głos zabrzmiał ochryple. Odchrząknęłam, bezskutecznie próbując odepchnąć dłoń Jonno. - Co porabiasz?

- Dziadziuś pójdzie ze mną na przystanek autobusowy - odpada Fisher. - Babcia powiedziała, że dzisiaj przyjedziesz.

- Babcia się pomyliła - rzekłam do telefonu, po czym spojrzałam na Jonno i oznajmiłam, zwracając się do obydwojga: - Dzisiaj nie.

Jonno zignorował moje słowa, objął mnie w tali i przyciągnął do siebie.

- Żałuję, że nie mogę przyjechać. Chciałabym się z tobą zobaczyć, ale mam dużo pracy - próbowałam udobruchać Fisher. Potem zakryłam dłonią słuchawkę i syknęłam do Jonno: - Idź się odpryskać i włóż coś na siebie. Wynocha!

- Ale proszę cię, Nonny, nie możesz? - narzekała Fisher. - Poszłybyśmy do sklepu Henry'ego kupić sobie książki. On ma na wystawie tę nową książkę o tym, co żaba ma w środku. Tam jest na obrazku przepołowiona żaba.

Jonno niezrażony moim surowym tonem posłał mi szeroki uśmiech i odsunął się ode mnie.

- Kiedyś musisz skończyć tę rozmowę - powiedział łagodnie i wstał z łóżka.

- Kto to był? - wtrąciła się Bernese. - Słyszałam głos mężczyzny.

- Bernese? - zdziwiłam się i gorączkowo zamachałam ręką na Jonno, próbując go uciszyć.

- Tak - odpada Bernese. - Fisher rozmawia z przenośnego aparatu. A ja z kuchennego.

- Myślałem, że rozmawiasz z Fisher - tłumaczył Jonno.

- U ciebie jest jakiś mężczyzna! - oburzyła się Bernese. - Nonny! Wiesz, że wciąż jesteś mężatką.

- Do piątku - odpowiedziałam.

- Więc dzisiaj to jest cudzołóstwo. A w piątek to będzie puszczalstwo. - Bernese uderzyła w zgryźliwy ton. - Ostatnio sprawdzałam, za jedno i za drugie możesz pójść do piekła.

- Jakie puszczalstwo? - zaciekała się Fisher.

- Fisher, rozłącz się - rozkazałam.

- Rozłącz się, Fisher - powtórzyła Bernese.

- Dobrze, babciu - odrzekła dziewczynka i w słuchawce rozległ się lekki trzask przerwane połączenia.

Jonno chichotał, zbierając porozrzucone ubrania. Uniosłam się i cisnęłam w niego poduszką, którą wyciągnęłam sobie spod głowy. Jonno wypuścił dżinsy i złapał ją w locie. Ułożył ją starannie w nogach łóżka i zaczął napinać i wygładzać poszewkę poduszki, naśladowując pedantyczne i nadgorliwe ruchy kelnera rozkładającego obrus.

Opadłam z powrotem na plecy i wlepiłam wzrok w sufit.

- Kto tam jest? - dopytywała się Bernese.

- Nikt, kto mógłby cię interesować - odparłam.

- Powiedz jej, że to ja, to się odczepi - odezwał się Jonno. - Nawet południowi baptyści pozwolą ci to robić z własnym mężem.

- To Jonno! - zapiszczała triumfalnie Bernese. - Rozpoznałam jego głos! Wróciłeś do Jonno?

- Nie - warknęłam.

- A mnie się zdaje, że tak - oznajmiła ciotka.

- Na razie, Bernese.

- Zaczekaj, Nonny. Jeżeli z powrotem jesteś z Jonno, nie musisz być w piątek w sądzie, więc nie ma powodu, żebyś nie przyjechała do domu. Mówię ci, twoja matka jest w potrzebie, a ty tam siedzisz niewzruszona jak faraon.

- To nie mama teraz mnie wzywa, Bernese, ale ty. A Jonno i ja nadal się rozwodzimy. - Usiadłam i wolną ręką przycisnęłam kołdrę do piersi. - W piątek o szesnastej.

Mówiąc te słowa, posłałam Jonno lodowate spojrzenie. Uniósł ręce w geście kapitulacji i udał się do łazienki.

- Już nie muszę być cicho, co? - zawołał i wypuścił potężny strumień moczu, który z głośnym pluskiem uderzył o muszlę.

- Ciociu Bernese, muszę się szykować albo się spóźnić.

- Ucałuj Jonno ode mnie - powiedziała Bernese.

- Nie - odparłam i rozłączyłam się.

Jonno spuścił wodę. Jego plecy idealnie komponowały się w obramowaniu drzwi. Prezentował się zachwycająco z różnych stron, ale szczególnie korzystnie wyglądał od tyłu. Jęknęłam i opuściłam z łóżka jedną nogę, by znaleźć leżący na podłodze podkoszulek. Chwyciłam go palcami stopy i przyciągnęłam do siebie.

Jonno stanął bokiem, ofiarowując mi widok swego rzymskiego profilu, a w zamian przywłaszczył sobie moją szczoteczkę do zębów. Jego obraz był wciąż oprawiony we framugę drzwi, ale była to raczej zasługa śmiesznie ciasnej łazienki, nie zaś wystudiowanej pozy. Zresztą, kto to wie. Naciągnęłam podkoszulek przez głowę i wstałam.

- Przesuń się. - Wcisnęłam się do łazienki, wskazując palcem na moją szczoteczkę: - Oddaj.

Jonno posłusznie oddał mi szczoteczkę. Zaczęłam szorować zęby, podczas gdy on nachylił się nad umywalką i splunął. Kiedy uniosłam wzrok, zauważyłam, że stoi z ramionami splecionymi na szerokiej pierśsi i obserwuje mnie w lustrze z chętnym uśmiechem.

- Co jest? - spytałam.

- Nic takiego - potrząsnął głową i unióśł brwi, robiąc minę niewiniątka.

Splunęłam i wypłukałam usta.

- A więc co?

- Opuścisz sobie dzisiaj pracę i pojedziesz do mamy, prawda? - Rzucił mi wystudiowane spojrzenie niesforenego chłopczyka.

- Nie - odparłam. - Wyjdź stąd. Muszę wziąć prysznic.

Jonno zrobił pół kroku naprzód i stojąc za mną, objął mnie w talii. Jestem wysoka, ale Jonno ma ponad metr dziewięćdziesiąt i musiał mocno ugiąć kolana, aby dotknąć nosem mojego karku.

- Wybierasz się do Between - zaczął podśpiewywać delikatnie. - Wybierasz się do Between.

- Przestań - powiedziałam, ale jego gorący oddech zjeżył mi włosy na karku i już opierałam się bezwładnie o niego.

Jonno nachylił się jeszcze bardziej, gładząc mnie po wewnętrznej stronie uda jedną ręką, która szybko powędrowała w górę, podczas gdy drugą wsunął mi pod koszulkę.

- Wybierasz się do Between - nucił.

- Powiedziałam ci, że nie. Przestań śpiewać, ty dzieciuchu.

Zamilkł, ale nie przestał mnie dotykać. Drugą ręką otworzył łazienkową szufladę, wygrzebał z niej paczkę kondomów i rozdarł opakowanie zębami.

- Słyszałem, co powiedziałaś - wyszeptał, naciągając prezerwatywę. - Ale ugniesz się i pojedziesz do mamy.

- Po co to mówisz? - spytałam.

Znów trzymał mnie oburącz, a ja pochyliłam się wraz z nim, napierając na niego, i poczułam, jak bardzo ciężą mi powieki.

W jego objęciach oderwałam się od ziemi, kiedy wszedł we mnie od tyłu.

- Bo zawsze tak robisz - odpowiedział.

Zdawał się mieć tysiące dłoni i pachniał tak znajomo. Pod powierzchnią tego wszystkiego, co usiłowali wpoić mi Frettowie, przebudziła się mała czerwona Crabtree, która drzemała w mojej krwi, i własn timer zaczynała dokazywać. Jonno posiadał bezgraniczny powab, który pociągał tę spętana bestyjkę.

- Przestań gadać - jęknęłam, zapierając się rękami o blat umywalki.

Przestał gadać i przez chwilę było świetnie. Jonno zawsze był świetny na tym etapie uwodzenia, wiedząc dokładnie, czego potrzebuje moje ciało. Ale kiedy posunęliśmy się dalej, odkryłam nagle, że znów mam otwarte oczy. Spojrzałam w lustro i zauważyłam, że Jonno też przygląda się naszemu odbiciu. Na tle bladoniebieskiej zasłony prysznicowej nasze wygięte ciała sprawiały wrażenie zastygłych w scenicznej pozie. Zobaczył, że patrzę w lustro i zdjawszy wielką rękę z mego biodra, chwycił mnie za głowę i odgiął ją do tyłu tak, że linia mojej szyi stanowiła łuk, który współgrał z łukiem bioder. Nasze odbicie było niczym ruchoma, perfekcyjnie skomponowana fotografia.

Przerobiliśmy cały wachlarz pozycji, przemieszczając się z łazienki na podłogę sypialni, a stamtąd do łóżka. Jonno odrabiał swoje zadanie - zawsze tak robił - ale wiedziałam, że zachwyciłby swoim wyglądem każdego, kto by nas akurat zdybał w tym momencie. Poruszał się wraz ze mną w sposób nasycony zewnętrznym przepychem, niemal upozowany. Był to taki rodzaj seksu, który chciałoby się sfilmować. Mój orgazm był nieunikniony, a Jonnończył dokładnie dziesięć sekund po mnie, robiąc przy tym miny zgodne z hollywoodzkimi standardami.

Sturlał się ze mnie i opadł na plecy, całkowicie nieruchomiejąc, tymczasem ja leżałam obok niego i zastanawiałam się, co do cholery jest ze mną nie tak. Ubiegłej nocy poszłam w cug po dwóch miesiącach abstynencji bez Jonno i nic nie wskazywało na to, bym tego ranka miała go odstawić. Wtem spojrzałam na zegar i wpadłam w panikę.

Zerwałam się i zaczęłam biegać po pokoju, próbując jako tako się ogarnąć w ciągu piętnastu minut. Jonno obserwował mnie, jak szamoczę się, naciągając majtki, i plądruję szafę. Włożyłam brązowo-złotą sukienkę z dzianiny, na tyle długą, że mogłam ją nosić bez pończoch.

- X. Machina ma dzisiaj występ późnym wieczorem - oznajmił. - Nie zaczniemy grać przed północą. Miałybyś coś przeciw, gdybym tu został i pospał trochę dłużej?

- Dobra - odparłam, zwijając włosy w kok, który spięłam klamrą.

- Będziemy grali Rox Box. Masz ochotę przyjść?

- Nie.

- Ach, racja - uśmiechnął się - zapomniałem. Przecież będziesz u mamy w Between.

- Zamknij się, Jonno - warknęłam.

Zeszłego wieczoru miałam na sobie brązowe sandały, które normalnie powinny zajmować stanowisko numer trzy w mojej szafce na buty. Ale tego wieczoru Jonno odegrał wspaniałą rolę księcia z bajki o Kopciuszku i zdjął mi je, a potem gdzieś rzucił, robiąc przy tym teatralne pauzy, w których całował moje kostki i stopy. W pamięci odtworzyłam tor ich lotu i znalazłam je pod kredensem. Wsunęłam je na stopy. Moje gładkie rude włosy zaczynały już uwalniać się od spinki. Miałam obłęd w oczach, a usiana piegami skóra pobladła. Nie miałam czasu na makijaż ani soczewki kontaktowe. Wyjęłam z szuflady okulary i włożyłam je na nos, przeklinając odziedziczone po Crabtreech geny. Wszyscy Frettowie z wyjątkiem mamy mieli doskonały wzrok.

- Nie wybieram się do Between.

- Ho, ho. Skoro tak, to przyjdź nas posłuchać - zaproponował Jonno. - Potem zapraszam cię na kolację.

- Nie chcę, żebyś zapraszał mnie na kolację. - Przystanąłam w drzwiach sypialni. - Nie chcę, żebyś gdziekolwiek mnie zapraszał. Ma cię tu nie być, kiedy wrócę, zamknij za sobą, a następnym razem chcę cię widzieć dopiero w piątek, punktualnie o czwartej, w sądzie. To naprawdę był ostatni raz.

- Ho, ho - odpowiedział, a kiedy obróciłam się w stronę wyjścia, dodał: - Hej, może chcesz pojechać razem ze mną do sądu w piątek? Wstąpię po ciebie, a potem pójdziemy coś zjeść.

W odpowiedzi trzasnęłam mocno drzwiami sypialni, a jego śmiech ścigał mnie, dopóki nie wyszłam z mieszkania.

Rozdział 3

Przeszłam niczym burza przez dwa pierwsze zlecenia, przekładając na język migowy kolejne wykłady z antropologii w kampusie uniwersytetu stanowego. Często dzwoniłi z uczelni do mojej agencji, żeby wynająć mnie w charakterze tłumaczki, kiedy jakiś głuchy student zapisał się na kurs antropologii, bo znałam profesorów i byłam oswojona z terminologią. Z tłumaczeniem wykładu było inaczej niż z rozmową, gdyż przekazywałam informację tylko w jednym kierunku. Słuchałam tego wykładu już po raz trzeci, więc nie sadzę, aby moi klienci zdawali sobie sprawę, jak bardzo jestem rozkojarzona.

Moje ostatnie zlecenie polegało na tłumaczeniu rozmowy z kandydatem do pracy w lokalnej restauracji. Byłam wciąż zdekoncentrowana, kiedy wjechałam swoim mustangiem cabrio na parking za budynkiem Bibi's Real Ice Cream. Siedziałam przez chwilę, chłodząc rozpaloną twarz w nadmuchu klimatyzatora. Zajrzałam do teczki. Mój klient, niesłyszący mężczyzna nazwiskiem James Leeds, ubiegał się o pracę na pół etatu. Z akt wynikało, że kierownicze restauracji, Amber DeClue, zależało konkretnie na mnie, więc doszłam do wniosku, że musiałam już kiedyś tłumaczyć dla Jamesa Leedsa. Nazwisko nie budziło we mnie żadnych skojarzeń, ale pomyślałam, że pewnie go sobie przypomnę, kiedy zobaczę jego twarz.

Przyjechałam ponad dwadzieścia minut wcześniej, więc skierowałam na twarz, po czym włożyłam soczewki, przypudrowałam nos, pomalowałam usta szminką i nałożyłam tusz na rzęsy. Rozpuściłam włosy, aby je rozczesać, ale nawet w wąskim lusterku widać było wyraźnie,

że są zmierzwione od rozpusty. Spięłam je z powrotem klamrą i włączyłam komórkę, aby sprawdzić, czy nie mam jakichś wiadomości albo nieodebranych połączeń. Nie było niczego. Kiedy pracowałam, miałam wyłączony telefon, ale słowa Bernese brzmiały tak złowieszczo, że nieomal spodziewałam się otrzymać wiadomość od mamy. Wiedziałam, ile dla niej znaczą te głowy lalek.

Pierwsze lalki, jakie zrobiła moja mama, były odkrywcami, których wysłała na poszukiwanie przeszłości swej własnej matki. Moja babcia ze strony Frettów zmarła, zanim przyszedłam na świat, ale z tego, co słyszałam od ludzi, Jane Frett była niezwykłą kobietą. Po urodzeniu mamy sama nauczyła się prowadzić samochód, aby jej córka mogła uczęszczać do szkoły dla głuchych. Jane musiała w tym celu codziennie jechać przez trzy godziny, ale nie chciała dopuścić, aby jej dziecko trafiło do internatu i straciło kontakt z rodziną ani też żeby pozostało niewykształcone. W latach czterdziestych była to wyjątkowa decyzja.

Życie Jane Frett zdawało się zaczynać od jej małżeństwa. Kiedy mama albo jej siostry pytały ją o dzieciństwo, rodzinę i o ich wspólne dziedzictwo, Jane zaczynała udawać głuchą. Pragmatyczna Bernese wruszała ramionami i dawała spokój, a Genny była zbyt nieśmiała, aby naciskać, za to mama szukała jakiejś więzi z przeszłością. W genach odziedziczyła sprawne ręce i głuchotę oraz głębokie wyczcucie kształtu, koloru i formy połączone ze zdolnością widzenia, którą, o czym wiedziała już od dzieciństwa, miała utracić w średnim wieku. Wszystko to musiało pochodzić od Jane. Mama, dorastając, poznała rodzinę ojca - porządnych i serdecznych ludzi o niemieckich korzeniach - ale po tych przodkach nie mogła dostać w spadku ani zdolności artystycznych, ani syndromu Ushera.

Jane Frett była półkwi Indianką z plemienia Seminolów, ale jako gorliwa baptystka mówiąca wyłącznie po angielsku należała do najbardziej zasymilowanych rdzennych Amerykanów, jacy kiedykolwiek chodzili po tej ziemi. Mama wiedziała o Indianach tyle, co wyczytała

w książkach z serii *Little House*. Jej pochodzenie było jak przysłowio-
wy cuchnący słoń w salonie - stał tam, ale mówienie o nim godziłoby
w dobre manieri. O ile dorośli mieszkańcy miasteczka nigdy nie wspo-
minali o nim w rozmowach z siostrami Frett czy ich szacownym ojcem,
z pewnością musieli robić to w swoich domach. Genny i Bernese do-
świadczwały w szkole normalnych i niegroźnych aktów okrucieństwa ze
strony dzieci wietrzących jakąś odmienność, które pohukiwały za nimi
i nazywały je Indiańcami.

Bernese, która była niskiej, ale solidnej postury i nie znała strachu,
szybko uporała się z dokuczliwymi atakami, kiedy dorwała najgłośniejs-
zego z prześladowców i tak obijała mu głowę, że krwawił z nosa i skama-
łał o litość. Mama nie spotkała się z wielkimi uprzedzeniami w szkole
dla głuchych, ale i tak ucierpiała za pośrednictwem Genny. Genny,
nerwowa od urodzenia, była w szkole naturalnym kozłem ofiarnym.
Zawsze można było na nią liczyć, że się widowiskowo rozpłacze albo
jeszcze lepiej, zacznie wyskubywać sobie kępki włosów.

Przekopując szafy i szuflady, mama nie znalazła żadnego aktu uro-
dzenia, żadnej Biblii rodzinnej ani niczego, co mogłoby rzucić światło
na przeszłość Jane. Kiedy jednak mama miała jedenaście lat, odkryła,
że należąca do jej matki szkatułka na biżuterię ma podwójne dno. Pod
nim znalazła fotografię mężczyzny, który bez wątpienia był rdzennym
Amerykaninem, siedzącego wraz z białą kobietą i małą dziewczynką.
Dziewczynka miała twarz Jane Frett i trzymała porcelanową lalkę
w wytwornej sukience. Szyja lalki była owinięta sznurami indiańskich
paciorków.

Już następnego dnia mama zrobiła swoją pierwszą lalkę. Uformo-
wała jej głowę z masy solnej i wysuszyła ją w ciągu jednej nocy. Gen-
ny, która już wtedy paliła się do pomocy, uszyła w rękach korpus lalki,
nie był on jednak niczym więcej, jak wypchanym stożkiem z czerwo-
nego jedwabiu. Mama próbowała nadać głowie lalki wygląd podobny
do tej na zdjęciu, ale nie miała wprawy. Zaczęła więc ćwiczyć. Przeczy-
tała wszystkie książki na temat lalek oraz ich wytwarzania, jakimi dys-

ponowała szkolna biblioteka, a potem błagała Jane, by kupowała jej następne. Swoje prace wykonywała w glinie i szło jej coraz lepiej, a potem zaczęła robić matryce, w których odlewała porcelanowe elementy. Robiła tę samą lalkę raz za razem, jak gdyby zadawała swej matce pytanie, na które nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Wiele dziesiątków lat po tym, jak z powodzeniem zdołała odtworzyć lalkę ze zdjęcia i zajęła się innymi twarzami i formami, wiele lat po śmierci Jane mama zadawała to pytanie tak długo, jak jeszcze mogła, dopóki jej świat nie pograżył się w mroku.

Każda z delikatnych porcelanowych głów, które odlała, zanim straciła wzrok, miała swoje imię. Imiona miały nawet lalki przedstawiające zwierzęta. Te głowy, które nigdy nie zostały połączone z resztą lalki w jedną całość, a było ich ponad sto, trafiły do pudełek, gdzie zabezpieczone bawełną leżały matryce wraz z najlepszymi odlewami. Każde z pudełek było opatrzone etykietką z imieniem lalki wypisanym po angielsku i alfabetem Braille'a. Nawet teraz, dwadzieścia lat po tym, jak jej pole widzenia zawężyło się do małej plamki światła, która też w końcu zgasła, mama potrafiła, dotykając etykietki na pudełku, opisać porcelanową twarz przypisaną do imienia.

Lalki były namacalnym ogniwem, które łączyło ją z jej pracą i dzieciństwem, z jej matką i ze zdolnością widzenia - wszystkim tym, co stanowiło dla niej dotkliwą stratę. Zawsze kiedy Bernese sprzedawała jedną z nich, mama chciała, bym przyjeżdżała do domu i była przy niej. Tym razem jednak bez trudu zgadłam, czemu mnie o to nie prosiła. Przypuszczalnie mamie jeszcze bardziej niż mnie zależało na tym, abym się rozwiodła. Wiedziała, że kiedy doszło do rozstania z Jonno, szybko straciłam grunt pod nogami. Gdyby wezwała mnie teraz do Between, mogłabym się tam zasiedzieć na dobre i przegapić piątkową rozprawę.

Musiałam z nią porozmawiać. Rozmowy telefoniczne z moją matką zwykle nie zadowalały żadnej z nas, ale musiałam spróbować. Nie mogłam być rozkojarzona i zaryzykować błędu w tłumaczeniu rozmowy

mego klienta z jego potencjalną szefową, gdyż mogłoby to kosztować go utratę pracy. Wyjęłam telefon z torebki i wstukałam numer 711. Po dwukrotnym sygnale oczekiwania uzyskałam połączenie z biurem usług przekąźnikowych. Przedarłam się przez menu automatyczne, wybierając rozmowę z konsultantem i wprowadzając numer mamy.

- Tu konsultant numer 75857, trwa łączenie - na linii odezwał się kobiecy głos.

- Dziękuję.

- Połączenie zostało przyjęte - odezwała się po minucie konsultantka. - Odpowiedź brzmi „Witaj”.

- Tu Nonny - powiedziałam. - Dzwoniła do mnie Bernese. Czy w domu wszystko dobrze? Dalej.

Słyszałam cichy stukot klawiatury, kiedy konsultantka wpisywała moją wiadomość, którą mama mogła odczytać na konsoli brajlowskiej. Potem nastąpiła długa, zbyt długa pauza.

- Tu wszystko dobrze. Dalej - przekazała wreszcie konsultantka.

Nie znaczyło to zupełnie nic. Nie miałam pojęcia, dlaczego mama odpowiada tak zdawkowo. Może była zirytowana tym, że Bernese zadzwoniła do mnie, może to, że ja zadzwoniłam do niej, a może po prostu mówiła prawdę w najbardziej odpowiednim z dostępnych dla niej języków.

- Czy wybrałaś już głowę? Dalej - zapytałam.

- Jeszcze nie. Dalej.

- Może nie powinnaś. W ogóle nie musisz pozbywać się żadnej z nich, jeżeli tego nie chcesz. Dalej.

- Trudno mi wybrać, ale jest mi miło na myśl, że moje lalki trafią do muzeum. Uśmiech. - Konsultantka przerwała na chwilę, po czym dodała: - Nie mogę tego odczytać. Wygląda, jakby wpisała J-N-N-O. J-N-N-O sypia u ciebie? Czy piątek wciąż aktualny? Dalej.

Zatem Bernese nie czekała ani minuty, aby powiedzieć Genny i mamie, że Jonno był dziś w moim mieszkaniu wczesnym rankiem. Zbyt wczesnym.

- Wszystko dobrze - odparłam. - Wciąż aktualne. Zadzwoiłam tylko, żeby się dowiedzieć, czy mam wpaść do domu, żeby ci pomóc. Tylko na dzisiaj. Dalej.

- Nie przyjeżdżaj przed sobotą. Dalej - oznajmiła konsultantka.

- Bo nie potrzebujesz mojej pomocy? Czy potrzebujesz, ale nie chcesz, żebym przegapiła rozprawę? Dalej.

- Ile razy zamierzasz mnie o to pytać? Uśmiech - konsultantka odczytała wiadomość beznamiętnym głosem. - U mnie wszystko w porządku. Rozłączasz się czy rozmawiasz dalej?

Zaprawdę chciałam zobaczyć ręce mamy. Wiedziałyby, do jakiego stopnia wszystko jest „w porządku”, widząc, jak poruszają się jej palce; czy podrygują radośnie, czy podkurczają się w szybkich, pogardliwych ruchach.

- Rozłączam się - powiedziałam.

- Połączenie zostało zakończone przez rozmówcę - poinformowała mnie konsultantka.

Podziękowałam jej i zakończyłam rozmowę. To było najlepsze, co mogłam zrobić. Mama wiedziała przynajmniej, że jestem do dyspozycji. Ponownie otworzyłam telefon, ale zastygłam w bezruchu. Gdy szłam do pracy, zwykle go wyłączałam.

Miałam w Athens reputację skrupulatnej tłumaczki. Kiedy byłam w pracy, próbowałam wyłączyć myślenie i zamienić się w kanał komunikacyjny, most pozwalający nawiązać porozumienie między kulturą głuchych i słyszących. Gdybym nie była skoncentrowana, dokładne wypełnienie tego zadania byłoby trudne, zwłaszcza że nie wszyscy ludzie niesłyszący posługują się amerykańskim językiem migowym. Niektórzy literują słowa albo używają migowego angielskiego bądź też własnych systemów znaków, a nawet łączą to wszystko w jedną kombinację. Sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, gdyż struktura amerykańskiego języka migowego jest zupełnie inna niż w języku angielskim. Słyszając dosłowną interpretację tych znaków, ktoś mógłby uznać swego głuchego rozmówcę za osobę niewykształconą. Tłumaczenia słowo

w słowo są mniej więcej tak samo uproszczone, jak instrukcje obsługi załączane do niektórych japońskich urządzeń elektronicznych, ponieważ amerykański język migowy nie jest sposobem na prowadzenie rozmów po angielsku.

Jest to odrębny język posiadający własną strukturę i dialekt, mowa ciała, która w równym stopniu opiera się na fizycznych niuansach, co na znakach. Jego tłumaczenie przychodzi mi bardzo naturalnie, gdyż jest to mój język ojczysty, tak samo jak angielski. To jego poznałam najpierw, porozumiewając się z matką na wiele miesięcy przed tym, jak wypowiedziałam jakieś zrozumiałe słowo do kogokolwiek innego.

Zamiast wyłączać telefon, zamieniłam dzwonek na alarm wibracyjny i schowałam go z powrotem do torebki. Świadomość, że mama może się do mnie dodzwonić, pozwoli mi zapomnieć o tym, co dzieje się w domu, na tyle długo, bym mogła skupić się na pracy. Siedziałam jeszcze przez chwilę w samochodzie, wciągając uspokajającą, przyjazną woń starej skórzanej tapicerki mego mustanga. Kiedy poczułam się skoncentrowana, wyłączyłam silnik, wysiadłam z samochodu i obezłam budynek lodziarni, kierując się w stronę głównego wejścia.

Salon Bibi's był urządzony w przesłodzonym, kiczowatym stylu retro. Znajdowało się tam kilka obitych sztuczną skórą boksów i mnóstwo małych okrągłych stolików, przy których stały metalowe krzesła z oparciami w sercowatym kształcie i miękkimi siedziskami. Dwaj chłopcy w pasiastych bluzach i czapczkach uwijali się za ladą, przy której tłoczyła się spora kolejka. Wypisany kredą na tablicy jadłospis oprócz lodów polecał skromny wybór zup i kanapek. W barze było pełno studentów i pomyślałam, że to nie najlepsza pora dnia na planowanie rozmowy z kandydatem do pracy. Stałam w przejściu, zastanawiając się, czy powinnam zapukać do drzwi z napisem „Tylko dla personelu” znajdujących się w głębi lokalu, czy zapytać jednego z chłopców o Amber DeClue. Wtedy poczułam lekki dotyk na ramieniu.

Dziewczyna, która stała za mną, przypominała jednego z tych dzieciaków z uczelni, smukła, o melancholijnym spojrzeniu i brązowych

włosach opadających bezładnie na ramiona. Wyglądała tak świeżo i zwiewnie, jakby ociekała kroplami porannej rosy. Miała długie opalone nogi, chude i niezgrabne jak u młodego jelonka, i przenosząc ciężar ciała z jednej na drugą, mierzyła mnie wzrokiem.

- Pani DeClue? - zapytałam.

- Ty jesteś Nonny? - odezwała się niemal równocześnie, po czym spłonęła rumieńcem i dodała: - To znaczy, pani Overmilk?

- Frett - sprostowałam.

- Co? - zrobiła chwiejny krok w tył.

- Moje nazwisko to Frett.

- Ale ja konkretnie zamawiałam, to znaczy, prosiłam o Nonny Overmilk - powiedziała poważnym tonem, zakładając kosmyk włosów za ucho.

- To nazwisko po mężu - odparłam. - Teraz wracam do Frett.

- Och! Rozwodzi się pani? - wybałuszyła na mnie swe wielkie oczy.

- Gdzie jest... - zerknęłam na kartkę - James Leeds?

- Jeszcze nie przyszedł. Może usiądziemy i poczekamy?

- A więc to pani prowadzi tę rozmowę? - zapytałam.

Wydawała mi się zbyt młoda i niepewna, aby powierzono jej taką odpowiedzialność, ale w odpowiedzi skinęła głową, a potem zaczęła lawirować między stolikami, przeciskając się na drugi koniec sali. Ruszyłam za nią. Była ubrana w krótką lnianą sukienkę bez rękawów, która wyglądała na dosyć drogą. Nie było to coś, co można by włożyć na siebie do podawania lodów. Miała tak chude ręce, że łokcie były szersze od bicepsów. Usiadłyśmy w dużym boksie w głębi sali. Czekały na nas zarezerwowane miejsca, o czym informował leżący na stole żółty skórzany plecak.

Dziewczyna zatrzymała się obok stolika, a kiedy usiadłam, stanęła na wprost mojej ławki, blokując mnie w boksie. Musiałam unieść głowę, by na nią spojrzeć, kiedy przemówiła.

- Nonny. To interesujące imię. Od czego to zdrobnienie? Od Wynony?

- To nie jest zdrobnienie od niczego - potrząsnęłam głową.
- Och. Więc to jakby całe imię? Nonny? - mówiąc to, uniosła nerwowo jedną stopę, a potem postawiła ją dokładnie w tym samym miejscu.

- Tak. - Zerknęłam na zegarek na wyświetlaczu mego telefonu. Było już po trzeciej. - Nie usiądzie pani? Żeby zobaczyć, kiedy pojawi się pan Leeds?

- Och tak. Pewnie - Odeszła parę kroków i wśliznęła się do boksu, siadając naprzeciwko mnie.

Jej nawyk poprzedzania wszystkiego zduszonym „och” zaczynał działać mi na nerwy, co sprawiło, że poczułam irytację na samą siebie. Athens było miastem akademickim, więc miałam do czynienia z wieloma studentami i zwykle lubiałam z nimi pracować. Żadna z rzeczy, które dzisiaj mnie gnębiły, nie miała nic wspólnego z Amber DeClue i wiedziałam, że nie powinnam na niej niczego wyładowywać.

Patrzyła na mnie brązowymi szklistymi oczyma, a jej spojrzenie było nerwowe i onieśmiałe. Miała wyczekującą, niemal zachęcającą minę, jak gdyby wyszła mi naprzeciw pytaniem o moje imię i oczekiwała teraz, że ja wykonam swój ruch, by podtrzymać uprzejmą konwersację. Odwróciłam wzrok, przyglądając się, jak chłopcy za ladą nakładają podwójne porcje lodów i wyciągają z lodówki zawinięte kanapki.

- Zdaje się, że to całkiem niezłe zajęcie, takie tłumaczenie dla głuchych - odezwała się Amber po paru minutach.

- Lubię to - odparłam.

- To dobrze płatna praca?

- Owszem.

Nie patrzyłam w jej stronę, ale kątem oka widziałam, jak wielkie brązowe oczy obserwują badawczo moją twarz. Nie chciałam być dla niej opryskliwa, ale też pragnęłam uniknąć wytworzenia się nawet nikłej więzi. Gdyby gawędząc ze mną, poczuła się swobodnie, byłoby

wielce prawdopodobne, że podczas rozmowy służbowej zacznie zwracać się do mnie, a nie do Jamesa Leedsa.

- Overmilk. To dziwaczne nazwisko, co? - odezwała się znowu po kilku minutach. - To dlatego wróciła pani do Frett? Również z powodu tego osobliwego nazwiska. Ale nie powiedziała mi pani, czy jest rozwiedziona.

- Nie, nie powiedziałam - odrzekłam. - Zaczekam jeszcze pół godziny, ale potem będę musiała iść, jeśli pan Leeds się nie pojawi. Gdyby chciała pani jeszcze z nim rozmawiać, za pośrednictwem agencji można wyznaczyć inny termin.

Amber zmarszczyła czoło. Czekałam, aż coś powie, ale ona patrzyła na mnie bezradnie, a jej dłonie manipulowały niepokojąco wielkim pierścieniem z diamentem, który nosiła na serdecznym palcu.

- Więc myśli pani, że powinnam do niego zadzwonić, czy co? - odezwała się w końcu.

- Nie sądzę, żebym mogła pani doradzać - odparłam. - Jestem tu jedynie po to, aby tłumaczyć.

Usiadła na końcu ławki, obróciła się bokiem i założyła jedną nogę na drugą. Kiedy kołysała stopą, jej sandał balansował hipnotycznie, zawieszony na palcach. Paznokcie u nóg miała pomalowane lakierem w kolorze morskiej zieleni.

- Nie będę do niego dzwonić - oznajmiła wreszcie, znów wbijając we mnie spojrzenie wielkich oczu.

- Dobrze.

Upłynęło kolejne pięć minut. Zwykle nie przeszkadza mi milczenie, lecz Amber zdawała się nie odrywać ode mnie wzroku. Patrzyła na mnie z powagą, a jej drobne ciało rozpiekał niepokój, kiedy podrygiwała, siedząc na krawędzi boksu. Wymachiwała nogą coraz gwałtowniej, aż sandał zaczął uderzać o podeszwę jej stopy, wydając przy tym klaszczący odgłos. Prawdopodobnie była córką właściciela, a może jego narzeczoną - pierścionek z diamentem nosiła na właściwym palcu.

Tak czy inaczej, nosiła się bardziej jak księżniczka niż menedżer i podejrzewałam, że nigdy wcześniej nie prowadziła rozmowy z kandydatem na pracownika. A może już to robiła, ale czuła się podenerwowana perspektywą rozmowy z kimś głuchym.

- To będzie proste - powiedziałam. - Kiedy przyjdzie James Leeds, proszę udawać, że mnie tu nie ma. Proszę zwracać się do niego, nie do mnie, i pytać go o wszystko to, o co pani pyta innych kandydatów. Jestem pewna, że da sobie pani radę.

- Więc jeśli to nie rozwód, dlaczego wraca pani teraz do nazwiska Frett? - zapytała, wzruszając ramionami. - To upodobanie, feminizm czy coś innego?

- Nie - odpowiedziałam i siedziałyśmy w milczeniu przez kolejnych parę minut.

- Nie sędzę, żeby przyszedł - stwierdziła Amber. Wygramoliła się z boksu i stanęła na końcu mojej ławki, znów blokując mi wyjście. - Naprawdę nie wolno pani ze mną rozmawiać? Czy o to chodzi? To znaczy, że nawet gdyby pan Leeds się nie pojawił, pani powinna siedzieć tutaj w całkowitym milczeniu?

Kiedy Amber mówiła, mój telefon zaczął wibrować, pomrukując natarczywie we wnętrzu torebki. Zerknęłam na wyświetlacz, spodziewając się zobaczyć numer telefonu mamy. Nie był to żaden ze znanych mi numerów, ale z początkowych cyfr wywnioskowałam, że dzwoni do mnie ktoś z Between.

- Mogę panią na chwilę przeprosić? - zwróciłam się do Amber.

Dziewczyna wzruszyła nerwowo ramionami, po czym zrobiła krok w tył i obróciła się bokiem, prezentując garbaty profil nosa. Wciąż jednak stała na tyle blisko, że nie mogłam wyjść. Pokręciłam głową i odebrałam telefon.

- Nonny? - głos Bernese był tak surowy i zdesperowany, że z trudem go rozpoznałam.

- Bernese? Dobrze się czujesz? - spytałam. - Czy z mamą wszystko w porządku?

- Stacia czuje się dobrze - odpada Brenece. - Chodzi o Genny i niech tych Crabtreech piekło pochłonie. To Genny, to nasza Genny.

- Crabtree? - dopytywałam się zdezorientowana. - Co oni zrobili? Bernese, co się stało.

- Suka się zerwała - wyjaśniła Bernese. - Suka Crabtreech wydo-
stała się na wolność i napadła twoją Genny.

Rozdział 4

Nigdy nie ulegało wątpliwości, że jeden z należących do Crabtreech dobermanów wydostanie się na wolność i zaatakuje Genny. Było to tylko kwestią czasu. Zwierzęta te stanowiły istne wcielenie dzikości i okrucieństwa. Lobe, najstarszy z synów Ony, wyszkolił je na psy obronne. Zastosował przy tym nieco typowej dla swej rodziny prostaczej metodyki i przypuszczałnie jakąś książczynę wypatrzoną wśród mnóstwa przypadkowych artykułów, rozłożonych na stojaku obok kasy w markecie: *Jak w 30 dni wytresować psa zabójcę* czy coś w tym stylu. Gdyby dodać do tego ogólną niefrasobliwość Crabtreech, a wszystkie te czynniki pomnożyć przez rozchwierutaną furtkę, zabezpieczaną długim łańcuchem, który trzeba było ze trzy razy okręcić wokół słupka, żeby dobrze ją zamknąć, otrzymamy algebraiczną formułę na katastrofę.

Genny śmiertelnie bała się każdego zwierzęcia, które sięgało jej powyżej kolana. Szczególnym przerażeniem napawały ją duże psy. Oczywiście bała się również szpitali. I pakowanych luzem cukierków na Halloween. I przejść dla pieszych, i świadków Jehowy, i samoobsługowych dystrybutorów paliwa, i wszystkiego, co miało więcej niż sześć nóg, a zwłaszcza ośmiornic. Jednak cierpka woń jej strachu była czymś, co przyprawiało psy o apopleksję, kiedy tylko ją zwietryły.

I to wyłącznie Genny wzbudzała ich wrogość. Na mamę psy nawet nie zwracały uwagi, chociaż była jej siostrą bliźniaczką. Mama i Genny to bliźniaczki dwujajowe, ale z wiekiem stawały się coraz bardziej podobne do siebie. Genny zawsze była ładniejsza, ale ta różnica zatar-

ła się wraz z upływem lat, szczególnie po tym, jak mama całkowicie oślepła i Genny zaczęła dobierać jej stroje. Po przeszło sześćdziesięciu latach wspólnego życia Eugenia i Eustacia były dla kogoś obcego praktycznie nie do odróżnienia. Obie niewysokie i pulchne, nosiły wyraźne cechy rdzennych mieszkańców Ameryki, a ich drobne twarze o bladej cerze wyglądały na trochę niedopasowane do całej reszty. Każdego dnia Genny układała ich czarne, poprzetykane nitkami siwizny włosy w identyczne schludne koki, pudrowała nosy i barwiła policzki płynnym różem.

Wzdrygałam się na samą myśl o tym, jak delikatna musiała być struktura ich genów, a przecież moja niezłomna matka, obdarzona duszą pirata, przyszła na świat głucha jak pień, a jej oczy miały całkowicie zaniemóc po ukończeniu przez nią czterdziestu lat. Z drugiej strony Genny była fizycznie sprawna, ale tak bojaźliwa i nerwowa, że nie sądzę, aby w ogóle odważyła się opuścić macicę, gdyby Stacia nie zrobiła tego pierwsza. Za to z zewnątrz były niemal jednakowe.

Psy nie miały jednak problemów z ich rozróżnianiem, a szczególnie pies alfa. A właściwie suka. Ta, którą ciotka Bernese ochrzciła „Zdzirą”.

Nazywała ją Zdzirą od tak dawna, że podchwyciła to cała rodzina, nie zważając na fakt, że Frettowie zwykle używali tylko biblijnych przekleństw. Owszem, zdarzało im się powiedzieć „piekło” czy „dupa”, ale w odniesieniu do konkretnych miejsc, a słowo „kurwa” zastępowali „nierządnicą”, często opatrując epitetem „babilońska”. Żadnemu z nich nawet się nie śniło nazwać kogoś zdzirą, ale potrafili mówić w ten sposób o psie Crabtreech, nawet stojąc w przedsiönku Pierwszego Kościoła Baptystów w Between.

Całe miasteczko było z tym tak oswojone, że pastorowi Greggowi nie drgnęła nawet powieka, gdy używaliśmy tego słowa, mając na myśli owo konkretne zwierzę. Mała nerwowa Genny miała słodkie serduszko. W jej przypadku żelazne zasady Frettów zdawały się ociekać lukrem. Była ulubienicą rodziny, o ile nie całego miasteczka, więc każdy pies,

który jej nie lubił, zasługiwał na najgorsze wyzwiska. Bóg już o tym wiedział, więc nie było powodu, aby specjalnie panować nad językiem.

Tamte psy, a zwłaszcza Zdzira, nie tylko jej nie lubiły. Zdzira pragnęła jej śmierci.

Tego dnia, kiedy Zdzira zaatakowała, Genny poszła rano z mamą do jej pracowni, położonej przy rynku w Between. Pracownia mieściła się na piętrze dużego wiktoriańskiego domu, gdzie na parterze Bernese urządziła muzeum, wystawiając tam lalki mamy i swoje najokazalsze gąsienice. Na górze poza pracownią znajdował się magazyn, gdzie mama trzymała pudełka z porcelanowymi głowami lalek poukładane w równych rzędach na regałach. Mama była właśnie w tym magazynie i wodząc palcami po brajlowskich etykietkach, wciąż próbowała wybrać jedną z głów. Genny czekała w części warsztatowej i z minuty na minutę stawała się coraz bardziej głodna i marudna.

Bernese założyła tę pracownię dla mamy i Genny na długo przed tym, jak Ona Crabtree w ogóle pomyślała o posiadaniu psów obronnych. Początkowo Bernese planowała wyburzyć znaczną część ściany, która dzieliła pracownię od półpiętra, i wstawić tam szklaną płytę. W ten sposób turyści zwiedzający muzeum lalek mogli wejść na podest i zobaczyć, jak mama pracuje nad specjalnymi rzeźbami dotykowymi, które sobie wówczas upodobała. Jednak już sam ten pomysł obudził w Genny odrobinę zdrowego rozsądku, więc zdecydowanie stanęła okoniem.

- Powiesiłaś już na dole nasze wielkie na kilometr zdjęcia i to wystarczy, Bernese. - Kiedy mówiła, ton jej głosu stopniowo narastał. - Stacia i ja nie będziemy siedzieli jak małpy w klatce, żeby gapili się na nas jacyś barbarzyńcy.

Wypowiadając te słowa, Genny błyskawicznie przekazywała je siostrze, dotykając jej dłoni, ale nim zdążyła się rozkręcić na dobre, ręce Stacji już zaczęły śmigać w powietrzu.

- A Stacia mówi, że jeśli wstawisz to okno, nie będziemy tam pracować. Koniec, kropka - dodała Genny.

I na tym się skończyło. Ściana pozostała na swoim miejscu, a schody prowadzące na piętro oddzielono pluszowym sznurem.

Teraz Genny żałowała, że nie ma tam okna. Snuła się po pracowni przez cały ranek i czuła, że powietrze zaczyna nabierać stęchłego smaku. Poszła do magazynu i kilkakrotnie ułożyła dłonie w słowo „lunch”, aż wreszcie Stacia zgodziła się przerwać poszukiwania. Wzięły swoje torebki, a Genny z powrotem włożyła buty. Miała wysokie ciśnienie i puchły jej stopy, ale nie miała zamiaru pozbywać się swoich butów numer trzydzieści osiem i pół.

Frontowe wejście do muzeum było zamknięte. Turyści płacili za wstęp w sklepie, a Bernese wpuszczała ich osobiście. Genny i Stacia wyszły na plac, a Genny przekreśliła klucz w drzwiach.

Ryneczek w Between stanowił żywy przykład malowniczości. Był to starannie utrzymany, przejrzysty skwer z fontanną pośrodku, którą otaczały klomby rozkwitających jaskrawo kwiatów. Znajdował się tam również puszysty, dorodny trawnik, który sprawiał wrażenie nadnaturalnej świeżości. Wybrukowany chodnik przebiegał wzdłuż linii budynków i przecinał ukośnie plac, prowadząc do fontanny.

Z trzech stron rynek okalały rzędy połączonych sklepów, z których każdy miał ceglany front utrzymany w ciepłych, brzoskwińowych barwach, z wyraziste białymi wykończeniami. W narożniku położonym najbliżej szosy stał Pierwszy Kościół Baptistów w Between. Był to klasyczny prowincjonalny kościół o strzelistej wieży, z której co godzinę rozlegał się pogodny dźwięk dzwonów.

W każdym z pozostałych trzech narożników dumnie prezentowały się obszerne domostwa w wiktoriańskim stylu. W pierwszym z nich mieściło się muzeum Bernese, w drugim tani hotelik Merchantów. W trzecim narożniku, w budynku pokrytym matowym żółtym tynkiem, z całą masą brązowych i szafirowych ozdób, mieszkał Isaac Davids. Na parterze miał swoją kancelarię. Znad okapów dachu zerkały gargulce, a na szczycie bocznej wieżyczki obracał się blaszany kogucik.

Byłoby szybciej, gdyby mama i Genny przecięły skwer na ukos. Idąc po przekątnej od sklepu z lalkami, wyszłyby prosto na Grace Street. Genny jednak miała coś do załatwienia, a obie chciały się dowiedzieć, co będzie na obiad, więc ruszyły dookoła placu. Minęły sklep Bernese, która za wielkim oknem wystawowym właśnie obsługiwała klienta.

Przystanąły przed księgarnią Henry'ego Crabtreego, która znajdowała się tuż obok. Genny zamówiła książkę z wzorami narzut, ale Henry powiedział jej, że jeszcze nie nadeszła. Był on jedną z niewielu pozostałych w miasteczku osób liczących sobie tyle lat, co ja, gdyż większość mieszkańców Between przekroczyła już pięćdziesiątkę. Henry był moim bliskim przyjacielem i w ciągu tygodnia, kiedy przebywałam w Athens, opiekował się mamą i Genny. Genny, która często była zakłopotana i nieśmiała w towarzystwie mężczyzn, darzyła go bezgranicznym uwielbieniem. Henry miał łagodny niski głos, który działał na jej nerwy kojąco niczym balsam. Mama też go lubiła, więc zatrzymały się na pogawędkę i oznajmiły mu, że spodziewają się mnie dopiero w sobotę.

- To przez ten rozwód, wiesz - powiedziała Genny poufnym tonem, a w jej oczach pojawiły się błyski. Mama puściła dłonie Genny, którymi ta przekazywała jej znaki, i uniosła palce wskazujące do kąci ków ust, po czym triumfalnym gestem oddaliła je na boki.

- Stacia mówi, że nareszcie - przetłumaczyła Genny. Z powrotem podała ręce mamie, aby mogła brać udział w rozmowie. - Wiem, że rozwód to nic dobrego i w ogóle, ale czyż to nie jest oczywiste? Cieszymy się. Nie podoba się nam ten chłopiec - ciągnęła Genny, jednocześnie przekazując mamie dotykiem swoje słowa.

Henry przygładził nieskazitelne mankiety i zmarszczył brew.

- Mnie też - oznajmił.

Mama i Genny pożegnały się z nim i poszły do restauracji. Na tablicy wiszącej obok frontowych drzwi widniała wypisana kredą specjalność zakładu. Genny poinformowała mamę, że w tym dniu jest to przerażające spaghetti z indykiem.

Mama zrobiła kwaśną minę i odparła: *na zupę do domu?*

Genny zawahała się, próbując zdecydować, czy mniejszym złem będzie zjeść turketti, czy przejść obok psów. W końcu machnęła ręką i ruszyły dalej, mijając rząd trzech kiczowatych sklepików z antykami i dom Isaaca.

Należące do Crabtreech stacja benzynowa i warsztat znajdowały się dokładnie po przeciwnej stronie skweru, przy ulicy Philbert. Od strony placu widać było dystrybutory z paliwem i zdezelowany sklepik, obok zaś dwa stanowiska naprawcze, ziejące czernią niczym rozdzielone paszcze. Na tyłach mieściło się składowisko części, a sterty po- wyginanych kawałków metalu i wraki samochodów wznosiły się ponad niskim dachem sklepiku. Ulica Philbert stanowiła granicę oddzielającą rynek od zapuszczonych włości Crabtreech. Po drugiej stronie zaczynał się już inny świat i Bernese wcale nie była odosobniona w przekonaniu, że był on ohydny.

Genny i mama opuściły skwer i znalazły się u zbiegu Grace Street i Philbert. Po swojej lewej stronie miały stację benzynową, a po prawej nie było niczego prócz spadzistego pobocza, za którym ciągnął się rów zarośnięty kudzu. Dalej rozciągały się już tylko pustkowia Georgii porośnięte sosnami i karłowatymi drzewami. Równoległe do płotu, za którym znajdowało się złomowisko, biegł chodnik. Idąc ramię w ramię, moje dwie małe i kruchutkie damulki znalazły się na tym właśnie chodniku i niespiesznie podreptały wzdłuż ogrodzenia.

Lewą ręką mama ujęła Genny pod ramię, w prawej zaś trzymała laskę, którą wymacywała drogę. Na jeden długi i rozważny krok mamy przypadały trzy drobne kroczki Genny, a biała laska postukiwała w takt ich marszu. W swoich wzorzystych sukienkach i ortopedycznych butach były zupełnie nie do rozróżnienia. Kiedy tak szły, za ogrodzeniem pojawiły się psy. Jeden wyczołgał się spod starego chevroleta, a drugi wystawił łeb zza przerdzewiałej lodówki.

Zdzira pojawiła się nagle, jakby wyskoczyła spod ziemi. Genny nie zauważyła jej wcześniej, dopiero w momencie, kiedy stała po drugiej

stronie płotu, w połowie drogi do furtki. Suka szczyrzyła zęby w przerażającej karykaturze uśmiechu, a z gardeł pozostałych psów dobywał się tak zdławiony warkot, że Genny poczuła raczej drgania powietrza, niż go usłyszała. Zwierzęta przemieszczały się w szyku, niczym czarne lśniące ptaki, a dwa potężne samce osłaniały na flankach muskularną sukę. Zdzira dyszała chrapliwie, wydając z siebie coś pomiędzy warkotem a sykiem.

Stacia poczuła zapach psów i drżenie ramienia Genny. Przystanąła i wdała się z siostrą w zajadły spór, który prowadziły, odkąd pojawiły się psy. Wetknęła łaskę pod pachę i gestami rąk oznajmiła, że powinny wracać do domu drugą stroną Grace Street, trzymając się z dala od psów, a potem ujęła dłonie Genny, by otrzymać odpowiedź, którą znała już na pamięć.

Wiesz, że tam nie ma chodnika - odpada Genny. - Wylądujemy w rowie i potrzaskamy sobie wszystkie kości na pięćdziesiąt kawałków.

Ruszyły w dalszą drogę. Mama wiedziała, że nigdy nie zwycięży w tym sporze, ale rytualne pytanie zdawało się działać na Genny uspokajająco.

Psy zaczęły iść wraz z nimi. Sierść na grzbiecie Zdziry najeżyła się, a łapy tak zeszywniały, że jej zazwyczaj sprężysty chód stał się nienaturalnie mechaniczny. Cała trójka położyła płasko uszy wzdłuż gładkich czaszek, co upodobniło je do potwornych fok.

Psy znalazły się na wysokości furtki, przez którą Zdzira jak zwykle usiłowała przecisnąć swą wąską głowę. Tym razem jednak łańcuch był okręcony wokół słupka tylko dwa razy i kiedy suka wepchnęła pysk w ciasną szczelinę, furtka ustąpiła.

Mama poczuła, że mięśnie ramienia Genny się kurczą. Zatrzymała się i sięgnęła w stronę ręki siostry. Genny właśnie otwarła dłoń, rozczapierzając palce, a potem gdzieś się usunęła i mama straciła równowagę. Zachwiała się i upadła jak długa na bok, uderzając mocno ramieniem w rozległą i twardą powierzchnię. Domyśliła się, że leży na ulicy. Jej ciało skuliło się odruchowo, kiedy wyobraziła sobie samocho-

dy nadjeżdżające pędem w jej stronę, i leżała czekając, aż zostanie rozsmarowana po asfalcie.

Po chwili, która zdawała się trwać wieki, zdała sobie sprawę, że wciąż jest w jednym kawałku i zaczęła dochodzić do siebie. Kręciło się jej w głowie i nie mogła złapać tchu. Była oszołomiona brakiem tlenu. Musiała bardzo się wysilić, aby wciągnąć haust powietrza, które przenikała cierpka woń psów i asfaltu. Obróciła się na brzuch i ostrożnie uniosła, podpierając się na rękach i kolanach. Próbowwała odnaleźć drogę do Genny, albo do swojej laski, albo do krawężnika, jednak straciła wyczucie kierunku i ulica pod jej dłońmi zamieniła się w bezkresną gładką przestrzeń. Dobiegł ją wyrazisty zapach świeżej krwi, zmieszany z pyłkiem kwiatowym unoszącym się w majowym powietrzu, i mama poczuła, że dochodzi on z jej ramienia. Był bardzo intensywny. Mama nie wiedziała, gdzie jest Genny, i zaczęła gwałtownie wydychać powietrze, wydając przy tym głębokie wibrujące dźwięki. Wydychała powietrze raz za razem, gdyż przed laty, gdy była dzieckiem, Genny nauczyła ją, że w ten sposób można wydobyć z siebie krzyk.

Mama, głucha i niewidoma, była zdezorientowana i nie wiedziała, czy to psy wydostały się na wolność, czy potrafił je samochód, ale Genny widziała dokładnie, co się święci. Dla niej wyglądało to tak, jakby furtka urodziła potwora. Najpierw przecisnął się pysk, obleczony napiętą skórą, z wargami odsłaniającymi zęby i z widocznymi białkami oczu. Suka wypchnęła głowę na zewnątrz, a w szczelinie pojawiła się jej łapa, skrobiąc pazurami po betonie. Pozostałe dwa psy warczały groźnie, jakby chciały dodać jej otuchy. Przez trwający wieczność ułamek sekundy wydawało się, że Zdzira utknęła, ale zapierając się na potężnych tylnych łapach i miotając tam i z powrotem, zdołała przecisnąć drugi bark. Genny patrzyła, jak wąskie biodra zwierzęcia bez trudu prześlizgują się przez furtkę. Zdzira dopadła ją w dwóch susach.

Suka zaatakowała Genny z boku, popychając ją na mamę. Genny wczepiła się dłońią w siostrę, ale nie była w stanie utrzymać ciężaru jej upadającego ciała. Laska mamy poszybowała wysoko i wylądowała na

ulicy. Genny również straciła równowagę, czując na skórze gorący oddech i dotyk ześlizgujących się zębów, które chybiły jej karku. Upadając, okręciła się na plecy i wyciągnęła przed siebie ramiona, bezskutecznie usiłując zepchnąć z siebie psa swymi drobnymi, pulchnymi rękami krawcowej. Suka całym ciężarem wgniotła się Genny w brzuch, kiedy obie wylądowały na ziemi. Złapała ją za rękę, rozdzierając ciało zębami, a potem zwolniła uścisk i zatopiła kły w jej ramieniu.

Zdzira potrząsała głową w tył i w przód, szarpiąc Genny. Ból pojawił się natychmiast i był straszliwy, ale i pożądany, gdyż okazał się silniejszy od strachu. Kiedy Genny poczuła ból, zaczęła myśleć. Czuła, jak pies wyszarpuje kawałki jej mięsa, czuła falę smrodliwego gorąca, które biło od przygniatającego ją cielska. Wepchnęła przedramię w gardło zwierzęcia i uderzając je drugą ręką po grzbiecie, zaczęła odpychać się stopami i pełznąć po chodniku. Ostry beton rozdzierał jej sukienkę i skórę na plecach, ale nie zważała na to. Musiała się uwolnić, gdyż wiedziała, że kiedy przybiegną pozostałe dwa psy, może zginąć w ciągu paru sekund, a ona absolutnie nie mogła zginąć. Słyszała krzyki mamy i gdzieś w głębi swej psychiki, w jakimś spokojnym miejscu, skąd mogłaby przyglądać się całej opresji z umiarkowanym zainteresowaniem, usłyszała głos, który podpowiadał: „A może to jest dobry pomysł”. Zatem Genny zaczęła również krzyżeć.

Henry Crabtree próbował sprzedać książkę Dennisa Lehane'a na kasecie kierowcy ciężarówki, który zajrzał do księgarni, aby kupić jakieś godziwe porno. W ten sposób kierowcy, którzy zatrzymywali się w Between, by zatankować, znacznie podnosili mu sprzedaż. Henry miał w sobie coś nieprzyzwoitego, co kryło się za jego nieskazitelnie białą koszulą i drobną, kościstą twarzą. To coś tkwiło w ostro ściętych kościach policzkowych, a może w ciemnych obwódkach, które zawsze otaczały jego oczy, sprawiając, że wyglądały na głęboko osadzone i starsze niż cała reszta. Było to trudne do uchwycenia, ale Henry sprawiał wrażenie kogoś, kto trzyma fajkę do palenia opium albo nóż o rę-

kojeści z kości słoniowej w tylnej kieszeni nienagannie skrojonych spodni w kolorze khaki.

Henry prawie już obsłużył kierowcę, kiedy usłyszał, jak mama zaczyna krzyczeć. Z początku nie mógł zidentyfikować źródła tego dźwięku, który nie miał ludzkiego brzmienia. Zagadkowo spojrzął na swego klienta

- Jakby świst pary? - Kierowca wzruszył ramionami.

Wtedy rozległ się krzyk Genny.

- Nie - zaprzeczył Henry.

Jednym susem przesadził ladę i odtrącając zwałistego kierowcę, ruszył pędem w stronę drzwi. Bernese wybiegła już ze sklepu i ciężko dysząc, gnała na swych przysadzistych krótkich nogach w stronę sióstr. Henry wyprzedził ją z łatwością, a kiedy przebiegał koło restauracji, krzyknął do Trude, która stała w drzwiach z rozdziawionymi ustami, aby zadzwoniła na dziewięćset jedenaście.

Kiedy Henry zobaczył, co się dzieje, Zdzira zdążyła już dopaść Genny. Pozostałe psy dosłownie zdzierały sobie skórę z głów, usiłując przecisnąć się przez szczelinę w furtce. Stacia nieustępliwie pełzła na czworakach w stronę środka jezdni. Henry nie przystawał. Obawiał się, że suka może w każdej chwili złapać Genny za szyję i rozszarpać jej tętnicę.

Henry rzucił się na Zdzirę i próbował dłońmi rozewrzeć jej szczękę. Jego długie czarne włosy wymknęły się spod skórzanego opaska i opadły mu na oczy, oślepiając go. W tym momencie zwierzę puściło Genny i mocno wpiło się zębami w jego przedramię.

Zza rogu wyłoniła się Ona Crabtree i stanęła przed stacją benzynową. Szarzące włosy miała upięte w kok, z którego wyslizgiwały się niesforne kosmyki.

- Chodź tu, do mnie, tutaj, do jasnej cholery, no chodź tu! - krzyczała na psa.

Zdzira nie zwracała na nią uwagi, ale dwa samce natychmiast znieruchomiały i oddaliły się od ogrodzenia. Tuż za Oną pojawił się Lobe, zaczerwieniony na twarzy i ubrany w przepocony kombinezon,

a w rękę trzymał kolczatkę. Miał zaciętą minę, jego gęsta ruda broda jeżyła się groźnie.

Zasapana Bernese podbiegła do Stacji i podniosła ją z asfaltu, a potem odprowadziła na pobocze. Stacia impulsywnie wymachiwała rękami, usiłując coś zakomunikować, a Bernese, która nigdy nie poznała języka migowego, pochwyciła jej dłoń i wypisała na niej „OK”. Była tak roztrzęsiona, że zamiast tego powtórzyła kilkakrotnie „BK”, Stacia zaś odpychała jej ręce i próbowała migać.

Z pomocą Henry'ego Lobe zdołał przecisnąć kolczatkę przez łeb Zdziry. Z całej siły szarpnął za łańcuch, zaciskając obrożę na szyi psa, i odciągnął go od Genny, która natychmiast odskoczyła i ze szlochem zaczęła pełznąć po chodniku.

Ona Crabtree podeszła do Zdziry i bosą kościstą stopą wymierzyła jej parę zamasztych kopniaków. Spod zadartej podomki widać było żyłki na jej nogach.

- Ty kupo ścierwa! - krzyknęła skrzekliwym głosem, a suka przyłgnęła brzuchem do ziemi i rozpląszczyła się niczym potulne szczenię. Jej pysk wciąż ociekał krwią Genny.

Lobe odwrócił się bez słowa i zaczął ciągnąć Zdzirę w stronę stacji benzynowej. Ona rozplatała wiszący na furtce łańcuch i założyła go ponownie. Kiedy okręciła go porządnie, również oddaliła się w stronę stacji. Chodnik był upstrzony bryzgami i zaciekami krwi Genny i Henry'ego. Miała nienaturalnie jaskrawy kolor, jak w filmie, ale na obrzeżach zasychała już na brązowo. Ona wdepnęła w największą kałużę i jej prawa stopa zostawiła cztery krwawe ślady, każdy bledszy od poprzedniego.

Henry zdjął postrzępioną koszulę i przycisnął ją do ramienia Genny, żeby zatamować krwotok, nie zwracając uwagi na to, że sam jest ranny w rękę. Genny była półprzytomna. Posuwając się na czworakach, zeszała z chodnika na porośnięty trawą skrawek ziemi, który ciągnął się wzdłuż ogrodzenia. Wciąż przyciskając opatrunek, Henry podniósł ją i opad na swoim kolanie, aby rana znalazła się jak najwyżej.

Isaac Davids wyszedł ze swej kancelarii i podpierając się laską, szedł wzdłuż Grace Street tak szybko, jak tylko potrafił. Za nim podążała Trude z naręczem papierowych ręczników, jak gdyby miała zamiar powycierać ulicę. Za nimi, od strony hotelu, dreptali pan i pani Merchant, ich córka Ivy, a cały pochód zamykała Amy Bend, właścicielka cukierni. Z pootwieranych drzwi sklepików z antykami wyglądały zatroskane twarze.

Bernese zaniechała prób porozumienia się ze Stacją, która dyszała ciężko jak parowóz, dostała wypieków na twarzy i cała się trzęsła, w milczeniu dopytując się o Genny w ich wspólnym języku.

Henry usłyszał syrenę ambulansu, który nadjeżdżał od strony Loganville. Kiedy już się wydawało, że jest po wszystkim, w tylnych drzwiach budynku stacji benzynowej stanął ten kretyn Lobe i wykopał kulącą się Zdzirę z powrotem na złomowisko. Ledwie przebrzmiał huk zatraskiwanych drzwi, a suka uniosła kikut ogona, zjeżyła sierść i warcząc, rzuciła się pędem ku ogrodzeniu. Usłyszała ją Genny i zaczęła się wrywać Henry'emu, usiłując wstać i krzycząc z przerażenia, kiedy drapieżna paszcza znalazła się po drugiej stronie płotu, kilka centymetrów od jej głowy. Trude całkiem niepotrzebnie zaczęła histeryzować, ale przynajmniej Bernese miała komu wymierzyć policzki.

Kiedy ambulans dotarł na miejsce, wszystko na nowo ogarnął chaos. W tylnych drzwiach sklepiku pojawiali się na przemian Lobe i Ona Crabtree i miotając plugastwa, usiłowali krzykiem poskromić psy. Genny zanosila się od płaczu, Henry krwawił i robiło mu się słabo, a Trude wyklinała na Bernese, którą świerzbiło, aby jeszcze raz ją spoliczkować. Wszyscy inni łazili w kółko, załamywali ręce i rozdeptywali plamy krwi, wchodząc sobie nawzajem w drogę. Podczas upadku mama rozharatała sobie plecy, z których teraz ściekała jej krew. Wyciągnęła obie ręce przed siebie, próbując czegoś dotknąć, ogrodzenia, samochodu albo jakiejś osoby, czegokolwiek, co pozwoliłoby jej odzyskać orientację.

Ratownicy medyczni przyjrzeni się całej scenie i zaczęli wymachiwać strzykawkami, grożąc, że zaaplikują środek uspokajający każdemu, kto

się nie zaniknie. Takie ostrzeżenie podziałało równie skutecznie jak jakieś lekarstwo i natężenie zbiorowej hysterii spadło do kilkunastu decybeli. Wtedy załoga karetki zaczęła metodycznie sprawdzać, kto jest faktycznie ranny, a kto tylko uwalany krwią. Przyjechał szeryf, a potem jeszcze kilka ambulansów i opanowani, sprawni ludzie, oswojeni z widokiem rzezi, dokonali selekcji poszkodowanych, których zabrano do szpitala w Loganville.

Całą tę historię poskładałam później, wypytyując każdego, kto tam był, o szczegóły, które zbierałam niczym elementy układanki, a potem rozmieszczałam odpowiednio w czasie i przestrzeni, aby zyskać przejrzyste pojęcie, co i kiedy się stało. Było to dziwne, że przypadkowe skrawki całego zajścia przyłgnęły do różnych osób. Nikt poza Bernese nie miał pojęcia, co działo się z pozostałymi dwoma psami. Isaac Davids był jedynym, który zauważył krwawe odciski bosej stopy Ony Crabtree. A Henry powiedział mi, że kiedy walczył ze Zdzirą, kierowca ciężarówki wyniósł z jego księgarni z pięć kaset Dennisa Lehane'a.

- Oczywiście to przykre, że zostałem okradziony - powiedział później Henry - ale patrząc na to z szerszej perspektywy, może obudziłem w nim zamiłowanie do książek.

Wyobraziłam sobie tego kierowcę na tle całego zajścia. Widziałam go, potężnego mężczyznę o szerokiej piersi i długich, umięśnionych rękach, stojącego na skwerze przed księgarnią. Mrużąc oczy, patrzył w stronę Grace Street, gdzie pies atakował Genny. Widziałam, że zamiast pomóc, postanowił zgarnąć, co tylko nawinie mu się pod rękę, i umknął do swojej ciężarówki zaparkowanej za kościołem. Nie mogłam mu wybaczyć.

Sobie też nie mogłam wybaczyć. Mama potrzebowała mojej pomocy przy wyborze głowy, Genny potrzebowała, bym ukoiła jej nerwy, a Fisher po prostu mnie potrzebowała, jak zwykle. Ale ja nie miałam zamiaru tracić jednego z tych ostatnich dni, w których mogłam legalnie nazwać Jonno moim mężem. Jednocześnie bałam się, że jeśli tylko odwrócę wzrok, Jonno znajdzie jakiś sposób, by pokrzyżować mo-

je plany i nie dopuścić do rozwodu. Może też chciałam udowodnić im wszystkim, że nie wystarczy na mnie zagwizdać, bym przybiegła od razu. Cokolwiek by mną kierowało, rezultat był taki, że znajdowałam się w Athens i wpatrzona w puste, brązowe oczy Amber DeClue przyciskałam telefon do ucha i słuchałam, jak Bernese opowiada mi o tym, czemu nie zdołałam zapobiec.

Rozdział 5

- Zdzira napadła Genny? - wykrztusiłam do telefonu i przez krótką chwilę oszołomienia wydawało mi się, że Bernese informuje mnie o śmierci Genny.

Amber wciąż stała nade mną, blokując wyjście z boksu, w przeciwnym razie cisnęłabym telefon i pognała na złamanie karku do domu.

- Jest w szpitalu - oznajmiła Bernese. - Jej stan jest poważny, ale stabilny. Straciła mnóstwo krwi. Zdzira poszarpała ją od stóp do głów.

- W szpitalu? - Nagle ogarnął mnie taki strach, że z trudem wypowiedziałam te słowa. - Bernese, Bernese - powtarzałam bezradnie, podczas gdy oczy Amber robiły się coraz większe i prawie nie mieściły się w jej szpiczastej kociej twarzy.

W tym właśnie momencie Bernese po raz pierwszy i ostatni w swoim życiu postanowiła wykazać się intuicją.

- Nie, nie. Będzie mogła rozmawiać. Dłonie pozostały nienaruszone - powiedziała, a ja znów odetchnęłam z ulgą. - Pies rzucił się jej do gardła, ale wiesz, że nasza pulchniutka Genny prawie wcale nie ma gardła, za które można by ją złapać.

Usłyszałam w tle niski ton męskiego głosu, a potem Bernese prawdopodobnie zasłoniła słuchawkę dłonią. Nie mogłam zrozumieć ani słowa z tego, co mówił wujek Lou, za to słyszałam głos Bernese dobiegający jakby zza ściany.

- Tak, to rozmowa zamiejscowa, to Nonny - mówiła. - Rozmawiam z Nonny.

Znów usłyszałam dudnienie męskiego głosu, który potem zagłuszyły słowa Bernese.

- Zachowujesz się, jakbym ci robiła nie wiadomo co! - krzyknęła.
- Ja tylko rozmawiam przez telefon.

- Ciociu Bernese, gdzie jest mama?

- W szpitalu w Loganville. Nie potrafiłam jej wytłumaczyć, co się dzieje, a ona dostała wypieków i wymachiwała rękami, rozżłoszczona jak osa. A potem zrobiła się blada jak kreda. Sanitariusz zbadał jej puls, ale nikt nie potrafił się z nią porozumieć. Obawiał się, żeby nie zasłabła, więc nafaszerował ją ativanem. Położyli ją tuż obok Genny. Nie obudzi się przez co najmniej cztery, pięć godzin, nie przy takiej dawce, jaką dostała. Cholera, może prześpi nawet całą noc. Ale nie mogę tego powiedzieć na pewno.

- Będę tam, zanim się obudzi - odparłam. - Już jestem w drodze.

Mój mózg zaczynał już skakać jak metronom, przełączając się pomiędzy szokującą opowieścią Bernese a listą zadań, jakie musiałam wykonać, by jak najszybciej znaleźć się w drodze do Between.

- Nie wskakuj do samochodu, żeby gnać tu w dzikim pędzie, bo jutro i tak będziesz musiała wracać, jeśli teraz zostawisz rozgrzebaną robotę. Genny nie da sobie rady sama, a mama, upadając na ulicę, zdarła sobie połowę skóry z pleców. Ona cię potrzebuje, Nonny. Muszę już kończyć.

- Zaczekaj chwilę. A czego mi nie powiedziałaś, Bernese? - zapytałam.

- Po prostu rób, co do ciebie należy, abys mogła zostać tu z nami. Jeśli nie dotrzesz tu przed ósmą, powiedz mi to teraz. Mogę sprowadzić z Atlanty tego oślizłego typa o bladej twarzy, żeby przetłumaczył Stacji, co się stało. Ktoś to musi zrobić, kiedy ona się obudzi.

Po raz kolejny w duchu przeklełam Bernese za to, że nie nauczyła się języka znaków, ale rodzinny system komunikacji trwał niezmienny od dziesięcioleci. Było to coś powszedniego i głęboko zakorzenionego.

W końcu mama i Genny były bliźniaczkami i już jako dzieci stworzyły swój własny język. Kiedy mama zaczęła chodzić do szkoły, Genny przyswoiła sobie język migowy niejako poprzez osmozę, a cała reszta rodziny nie zauważyła żadnej zmiany. Mama zawsze wypowiadała się za pomocą gestów, a Genny zawsze tłumaczyła. To był ustalony wzorzec.

- Przyjadę, zanim mama się obudzi - oznajmiłam.

Kątem oka zauważyłam, że Amber podryguje, jakby chciała zwrócić na siebie moją uwagę.

- Czy wszystko w porządku? - wymamrotała, kiedy spjrzałam w jej stronę.

Machnęłam na nią ręką, ale zamiast odejść, wśliznęła się do boksu i siadła naprzeciwko mnie, zapadając się w skóropodobnej tapicerce. Wierciła się, opada stopy na miękkim siedzisku i podciągnęła kolana pod brodę. Wyglądała, jakby miała dwanaście lat.

Znow usłyszałam w tle głos wujka Lou.

- Ona musi dokładnie wiedzieć, co się stało - warknęła do niego Bernese. - Byłbyś łaskaw się ode mnie odwalić?

- Wielkie nieba - odezwałam się. - Nie traktuj wujka w ten sposób.

- To nie jest Lou - odparła Bernese po krótkiej pauzie. - On jest w Loganville.

- Zaraz, a więc na kogo krzyczysz?

Przypomniałam sobie, że numer telefonu, który pojawił się na wyświetlaczu mojej komórki, pochodził z Between, a nie z Loganville.

- Gdzie ty właściwie jesteś? - zapytałam. - Dlaczego nie jesteś w szpitalu?

- Pojadę tam, kiedy tylko będę mogła - odpowiedziała lakonicznie, po czym zamilkła.

- Bernese, lepiej żebyś w tej chwili wszystko mi wyjaśniła. - Zaczynałam się niepokoić. - Gdzie jesteś? I gdzie jest Fisher? Czy wszystko z nią w porządku?

- Och, uspokój się, Nonny. Wujek Lou zaraz odbierze Fisher od koleżanki. Poszła się do niej bawić zaraz po przedszkolu, chwala Bogu, bo w przeciwnym razie byłaby ze mną i widziałyby, jak Zdzira napada na Genny.

- Więc co to za mężczyzna, z którym rozmawiałaś? - dopytywałam się.

Słyszałam, jak Bernese nerwowo bębni palcami.

- To tylko Thig - odezwała się w końcu.

- Thig Newell? Szeryf Newell? Będziesz domagała się odszkodowania od Crabtreech?

Bernese nie udzieliła mi odpowiedzi, a moje plecy zaczęły się mimowolnie prostować i rozciągać, aż w końcu siedziałam zeszywniała i napięta, jakby ktoś wpompował we mnie powietrze.

- Bernese, przestań wreszcie kręcić i powiedz, co się tam do jasnej cholery dzieje - naskoczyłam na nią.

Oczy Amber zrobiły się okrągłe jak ćwierćdolarówki, a dwoje młodych ludzi, którzy przy sąsiednim stoliku karmili dziecko lodami, posłało mi piorunujące spojrzenie.

- Jestem tak jakby aresztowana - oznajmiła Bernese oficjalnym tonem. - A szkoda, że nie skłętaś mnie mocniej.

- Aresztowana! - znów zapadłam się w miękkim obiciu, zakrywając oczy wolną dłonią. - A co zrobiłaś?

- Zrobiłam jedyną rzecz, jaką mogłam zrobić, żeby móc sobie jeszcze spojrzeć w oczy, Nonny. No, jak myślisz, co zrobiłam?

Wzięłam głęboki, oczyszczający oddech, który jednak bynajmniej nie oczyścił mego samopoczucia.

- Myślę, że stałaś tam, dopóki wszyscy się nie rozeszli, albo wróciłaś do sklepu, wyjęłaś z torebki pistolet, na który nie masz pozwolenia, i zastrześliłaś Zdzirę - powiedziałam ścisząc głos.

Amber aż podskoczyła i ze zdziwienia zaparło jej dech. Odsunęłam się od niej i obróciłam się bokiem.

- Proszę, proszę, powiedz mi, że się mylę - dodałam.

- Dwie kulki w łeb. - Bernese nie kryła satysfakcji. - Załatwiłabym jeszcze tamte dwa, ale uciekły i schowały się na złomowisku, kiedy zaczęłam strzelać.

- O kurwa, Bernese. Kurwa! Czyś ty oszalała?

- Wyrażaj się! - krzyknęła Bernese. - Wiem, co robię.

Niestety, nie wiedziała. Nie miała pojęcia. Już wcześniej miała za targi z Oną, ale wtedy angażowała w to prawników, całą machinę biurokracji i policję, czyli elementy cywilizowanego świata, w jakim funkcjonowali Frettowie, świata, który przerażał Crabtreech. Teraz użyła przemocy, a był to język, którym tamci posługiwali się z niezwykłą biegłością. Nagle ogarnęło mnie takie przerażenie, że wprost zabrakło mi tchu. Żałowałam, że nie mogę po prostu się skulić, wśliznąć pod stół i ukryć.

- To jest wojna, Bernese. Wywołałaś regularną wojnę.

- Cóż, ja tego nie zaczęłam - mruknęła opryskliwie do słuchawki.

- Mój pies nie pogryzł żadnego z Crabtreech.

Musiałam jak najszybciej znaleźć się w domu. Nie tylko żeby zobaczyć się z mamą, ale żeby powstrzymać Onę, zanim weźmie odwet. Mój umysł przełączył się z powrotem na listę zadań. Miałam w planie kilka zleceń, na które moja agencja będzie musiała znaleźć zastępstwo. W zasadzie powinnam odstąpić wszystkie wykłady z antropologii, ponieważ do końca semestru zostało parę tygodni, a ja nie miałam pojęcia, kiedy wrócę. W piątkowe popołudnie miałam stawić się na sali sądowej, ale nie mogłam zostawić Genny, małej Fisher i mamy na łaskę i niełaskę rozjuszonych Crabtreech. Musiałabym dokładnie zbadać stan emocjonalny Ony, nim zyskałabym pewność, że mogę spokojnie wrócić na rozprawę.

Albo też mogłabym zadzwonić do Jonno i poprosić go, żeby w piątek poszedł do sądu i przełożył termin rozprawy. Musiałabym go błagać. Zresztą to ja prowadziłam go za rączkę poprzez wszystkie formalności związane z naszym rozstaniem, pokazując mu, gdzie należy złożyć podpis. Beze mnie nie trafiłyby nawet do biura naszego adwo-

kata. Mówiąc szczerze, Jonno był tak oderwany od rzeczywistości, że nie miał nic poza chevroletem impalą z 1987 roku. Mogłabym oskubać go do czysta. I mówiąc jeszcze bardziej szczerze, czasami byłam tak wściekła, że chyba miałam ochotę to zrobić.

Męczyło mnie, kiedy wraz z nim brałam udział w komicznym dogorywaniu naszego małżeństwa. Pierwszą wizytę w kancelarii naszego prawnika Jonno potraktował jak wycieczkę krajoznawczą. Poszedł zobaczyć, jak wygląda rozwód, tak samo jak zwiedza się fabrykę pączków. Byłam skłonna przypuszczać, że podszedłby do tego poważniej, gdybym przestała z nim sypiać, ale kiedy znajdował się w pobliżu, moja chęć położenia go trupem zwykle gdzieś ulatywała. Wyciągałam do niego bezwolnie ręce, które pragnęły zacisnąć się bezlitośnie na jego cudownej szyi. Moje dłonie drżały i kurczyły się nerwowo, kiedy próbowałam je zmusić, aby zwisały wiotko i nieszkodliwie, lecz chwilę potem, nim zdążył położyć mnie na plecy, już wędrowały po jego ciele i wcale nie wyglądało to tak, jakbym chciała go udusić.

- Nonny? - odezwała się Bernie. - Co tak zamilkłaś? Nie przejęłaś się chyba tymi Crabtreemi, prawda? Niech sobie idą do wszystkich diabłów. Liczy się nasza rodzina, Genny i twoja mama.

Zerknęłam przez ramię. Amber z zapalczą miną na swej pięknej twarzy nachylała się w moją stronę i marszcząc brwi, próbowała wyłowić każde słowo. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, natychmiast skierowała wzrok w inną stronę, odwracając przy tym całą głowę tak, że mogłam jedynie podziwiać jej profil.

- Nie mogę teraz pozbierać myśli - odparłam. - Muszę jechać. Wyciągnę cię stamtąd, jeśli wujek Lou nie dotrze do ciebie przed moim przyjazdem.

Bernese pożegnała się ze mną i odłożyła słuchawkę.

Mój skołowany mózg dodał do listy zadań „odnaleźć Jonno”. Musiałam spróbować, nawet gdyby szanse, że faktycznie pojawi się w piątek, były nikłe. Od czasu, jak nasz wspólny prawnik złożył mój pozew, Jonno nie raczył nawet przyjść, żeby złożyć podpis na potwierdzeniu.

Trzy razy umawiałam się z nim w kancelarii, ale na dwa spotkania nie dotąd on, a na jedno ja. Wreszcie poprosiłam adwokata, aby wysłał mu pocztą kopię pisma, której on nigdy nie odesłał. Postanowiłam zapłacić w biurze szeryfa za doręczenie dokumentów przez gońca, ale zanim ten dotąd na miejsce, Jonno wyjechał w trasę ze swoim zespołem. Kiedy wrócił do domu, czekałam na niego z potwierdzeniem i piórem, a sekundę po tym, jak je podpisał, wylądowaliśmy razem w łóżku. Po tem zawiozłam osobiście ten dokument do kancelarii adwokackiej, obawiając się, że gdybym wrzuciła go do skrzynki na listy, Jonno mógłby mu pomóc się stamtąd wydostać i przenieść do kosza na śmieci. Dlatego nie było zbytnio prawdopodobne, że teraz mógłby się zdobyć na jakieś pomocne działanie.

Chwyliłam torebkę i wstałam. Amber uczyniła to samo.

- Będę musiała określić to jako niestawiennictwo - powiedziałam, spojrzawszy na zegarek i szybkim krokiem ruszyłam w stronę wyjścia, lawirując między stolikami.

- Pani wychodzi? - Amber szła tuż za mną.

- Tak. Proszę zadzwonić do agencji, jeśli chce pani ustalić kolejny termin.

- Obiecała pani poczekać przez trzydzieści minut. A minęło niewiele ponad dwadzieścia. - Jej głos zrobił się piskliwy od oburzenia. - Co się dzieje?

- Ważne sprawy rodzinne.

Dochodziłam już do drzwi, kiedy wyprzedziła mnie, stając mi na drodze.

- Co się stało? - spytała. - Czy to coś poważnego?

Okrzyknęłam ją i bez słowa wyszłam z restauracji. Wybiegła za mną i za plecami usłyszałam kłapanie jej śmiesznych sandałów. Zatrzymała się, kiedy przyspieszyłam kroku i puściłam się truchtem w stronę parkingu. Wskoczyłam do samochodu, a kiedy zbliżałam się do wyjazdu, zobaczyłam Amber stojącą przy drzwiach restauracji. U jej stóp leżał porzucony jaskrawożółty plecak, a dziewczyna trzymała w ręku tele-

fon i jednym palcem zawzięcie uderzała w klawisze. Z pewnością dzwoniła do tatusia albo narzeczonego, żeby się poskarżyć, że wyszłam sześć minut za wcześnie.

Cóż, mogła zwrócić się do agencji, aby następnym razem przysłać kogoś innego, i miałam nadzieję, że tak zrobi. Obawiałam się, że jej przejęta i wystraszona mina będzie już zawsze mi się kojarzyć z tym okropnym dniem i tym okropnym psem, więc byłabym najszcześniejsza na świecie, gdybym nie musiała nigdy więcej oglądać jej twarzy.

Kiedy wróciłam do swego mieszkania, Jonno już tam nie było. Zadzwoiłam do niego, ale nikt nie odbierał. Kiedy zespół miał próby, czasami wyłączali dzwonek telefonu i zapominali włączyć przez kilka dni. Wmawiałam sobie, że dlatego tak uporczywie próbuję go odnaleźć, aby spróbować go nakłonić do przesunięcia terminu rozprawy, ale chyba sama w to nie wierzyłam. Kiedy wybierałam numer, trzęsły mi się ręce, a w głębi duszy pragnęłam jedynie, aby ktoś wziął mnie w objęcia.

Rozłączyłam się po dziewięciu sygnałach i wybrałam numer domowy Ony Crabtree, ale odezwała się automatyczna sekretarka. Wiedziałam, że im wcześniej z nią porozmawiam, tym bardziej jest prawdopodobne, że zdołam zapobiec temu, co zamierzała popełnić.

- Proszę, nie rób niczego, niczego, dopóki się nie zobaczymy - powiedziałam do słuchawki i podałam numer swojej komórki.

Szukałam jej jeszcze na stacji benzynowej, ale tam zastałam tylko najmłodszego z jej synów, Tuckera. Obiecał przekazać matce, aby do mnie zadzwoniła, ale nie mogłam zbyt na niego liczyć. Sprawiał wrażenie, jakby do reszty już zatracił swój mały rozumek.

Zadzwoiłam do agencji i odwołałam cały grafik zleceń, po czym udałam się do sąsiadów i zwerbowałam ich nastoletniego syna do opieki nad kotem Lewisem. Lewis teoretycznie należał do Jonno, ale tak samo jak leżące pod moim łóżkiem czerwone buty numer czwórki sześć albo para męskich majtek w górnej szufladzie, nie zdążył się jeszcze ode mnie wyprowadzić.

Kiedy byłam już gotowa do wyjścia, jeszcze raz zadzwoniłam do Jonno, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Wiedziałam, że późnym wieczorem ma występ w Rox Box, jednak do tego czasu powinnam być już dawno w drodze. Zeszłam do samochodu, upewniłam się, że dach jest należycie zamocowany i usiadłam za kierownicą. Zamierzałam jechać prosto na autostradę, ale po drodze skręciłam w ulicę, która prowadziła do domu Boyda.

Boyd był perkusistą zespołu X. Machina. Nie bębniarzem. Wpadał w szał, kiedy nazywało się go bębniarzem. Jonno pomieszkiwał u niego kątem, odkąd wyrzuciłam go od siebie. W tym momencie można było spokojnie powiedzieć, że tam mieszkał. Przed domem nie było jego impali, lecz i tak się zatrzymałam. Wspięłam się po rozklekotanych stopniach na werandę i nacisnęłam dzwonek.

Nikt nie otwierał. Motorynka Boyda stała na werandzie przypięta łańcuchem do balustrady, ale mógł on pojechać z Jonno, żeby przygotować występ. Podeszłam do okna i zajrzałam do środka.

Na parapecie stały w rzędzie butelki po chianti i plastikowe zabawki z zestawów Happy Meal. Boyd miał dwadzieścia dziewięć lat i żywił się zestawami dziecięcymi z McDonalda i wytrawnym winem. Butelki zasłaniały mi połowę pola widzenia, jednak wyżej szyba była na tyle czysta, że mogłam coś zobaczyć. Była to prawdopodobnie zasługa Jonno, który dał się poznać jako człowiek oswojony ze środkami czystości. Za to wnętrze było urządzone w stylu, który najlepiej oddawała nazwa Centralnie Wypiętrzony Syf.

Podłoga była usłana stertami brudnych ubrań i pudełek z płytami. Na środku pokoju, obok ogromnej mosiężnej fajki wodnej, stał wzmacniacz, który podobnie jak parę innych sprzętów spełniał rolę świecznika. Pokrywały go wielobarwne zacieki wosku, spływające po jego zaplamionej obudowie. Jedyne źródło światła stanowiła czterdziestowatowa żarówka osadzona w stojącej na podłodze wiekowej lampie z kloszem z barwionego szkła. Telewizor był wyłączony i nie zauważyłam, aby z kuchni czy holu dochodziło jakieś światło.

Półmrok połączony z bałaganem sprawiał, że dom ten wydawał mi się egzotyczny. Wszystkie te poniekąd mroczne miejsca, w których bywał Jonno, miały w sobie atmosferę tajemniczości. Kiedy byłam dzieckiem, puszki z zupą na najniższej półce w spiżarni musiały stać w równym rzędku, a drzwi do mojego pokoju musiały być zamknięte, o ile nie „pasowały do otoczenia”. Pedantyczność Frettów przybierała postać choroby psychicznej, ale mama i Genny, zarówno wskutek upodobania, jak i konieczności, posunęły się jeszcze dalej, nadając porządkom rangę religii.

W ich domu nic się nigdy nie zmieniało. Wiedziałam, że kiedy za kilka godzin przekroczę ich próg, obok wejściowych drzwi zobaczę ten sam kwadratowy stolik, ze stojącym w tym samym miejscu zakurzonym niebieskim wazonem, w którym od dziesięcioleci tkwi bukiet plastikowych gerber. Obok wazonu stała porcelanowa waza malowana w chińskie wzory. Kiedy przyprowadzałam mamę do domu, natychmiast wrzucała do niej klucze.

Wróciłam do rzeczywistości. Powinnam już być w drodze, ale nie potrafiłam zmusić się do wyjazdu bez spotkania z Jonno. Postanowiłam dać mu piętnaście minut. Mogli tylko wyskoczyć po paczkę goździkowych cygaretek dla Boyda.

Na werandzie stała wiecznie zawilgocona sofa. Siadając na niej, od razu zapadłam się dobre kilkanaście centymetrów w miękkim obiciu. Zaczęłam grzebać między poduszkami w poszukiwaniu jednej z tych książek w miękkiej oprawie, które Jonno rozsiewał, gdziekolwiek przysiadł, niczym linijący kot włosy. Wymacałam jedną w pobliżu oparcia i wyciągnęłam ją. Była to książka pod tytułem *Zen i sztuka konserwacji motocykla*.

Rozpadam się na sofie, aby poczytać w słabnącym świetle popołudniowego słońca, lecz nie mogłam się skupić. Wzięłam głęboki oddech, pierwszy od czasu rozmowy z Bernese. Weranda pachniała jak Jonno. Nie był to jego osobisty zapach, ale woń otaczającego go powietrza, pachnącego tam jak w miejscu, w którym mógł przebywać.

Tak bardzo chciałam, żeby naprawdę tu był, chociaż gdyby pojawił się w ciągu najbliższych pięciu minut, nie wiedziałabym, co powiedzieć.

Oprócz tego, co było kłamstwem. Wiedziałam, co chcę powiedzieć. Powiedziałam to zresztą, chociaż go przy mnie nie było.

- Jestem taka wściekła. Jestem taka wściekła, taka wściekła - powiedziałam i powtarzanie tych słów pozwoliło mi w końcu to poczuć.

Czułam, jak gdzieś w dole brzucha narasta to uczucie, jak wynurza się spod paniki, która z początku mnie ogarnęła, i rozchodzi się po moim ciele niczym wino, wypełniając mnie, oplatając moje kończyny i zniewalając.

Ta wściekłość była czymś żywym, oddzielnym ode mnie, ale tak głęboko zakorzenionym, tak pierwotnym, że wędrowała po mnie w sposób niedostrzegalny, jak krew, krążąc w swoim własnym, zawziętym rytmie. Słowa na kartce migotały i tańczyły. Odrzuciłam książkę, by mieć wolne ręce, którymi zaczęłam tłuc w obwisłe poduszki. Wyprostowałam się i zabębniłam mocno stopami w podłogę werandy.

- To był wypadek, głupi wypadek - powtarzałam na głos. - To był wypadek, że ten pies się uwolnił.

Złość jednak rozsadzała mnie i parowała z mojej skóry. Miałam ochotę rozszarpać Onę Crabtree, wszystkich Crabtreech, chociaż wiedziałam, że taki brutalny i zapalny atak wściekłości bierze się z moich genów, które mnie z nimi łączyły. Miałam ochotę poprzetrącać im te niechlujne łapy, porozpruwać im gardła. Po policzkach spływały mi łzy. Jeżeli miałam rację, jeżeli zaczęła się wojna, przynajmniej byłam całkowicie pewna, po czyjej stronie, nawet jeśli nikt nie chciał celowo skrzywdzić Genny, a Bernese zastrzeliła tego piekielnego psa ze złośliwą premedytacją.

Uspokoiłam się tak samo szybko, jak szybko ogarnęło mnie wzburzenie. Skurecz w żołądku ustępował, kończyny już nie były takie spięte. Przełknęłam ślinę i pocierając powieki, ciężko dyszałam. Siedziałam jeszcze przez chwilę, pozwalając emocjom przycichnąć. Wciąż

czułam w sobie gniew, okiełznany i wyczekujący, będący częścią mnie tak samo moje piegi czy przywiązanie do porządku, którego nauczyłam się od mamy. Byłam jednak tak wyczerpana, że nie miałam siły się podnieść i odejść, nawet gdyby weranda stanęła w płomieniach.

Żałowałam, że nie mogę po prostu się tam położyć i leżeć w bezruchu, czekając, aż Jonno wróci do domu, pogładzi moje włosy i dotknie mnie. Nie wiedziałam, co zrobić z moim ciałem, tak rozgniewanym i tak osłabionym. Nie wiedziałam jak usiąść, wstać czy pobiec w taki sposób, jaki pozwoliłby mi zachować ten lęk i rozpacz, ten gniew i wywołane nim zmęczenie, od którego świat wirował mi przed oczami. Pragnęłam, aby pojawił się Jonno i zręcznie ułożył moje kończyny w odpowiednią pozę. Kiedy wyobrażałam go sobie, jak mnie skręca i wygina, poczułam w sobie narastający posmak czegoś seksownego i przez chwilę byłam pewna, że się pojawi, że moje pragnienie jest na tyle silne, aby go przywołać.

Wciąż zatem nie wyzbyłam się fantazjowania o tym, jaki powinien być Jonno. Jak również i ja. Prawie ja. Ja, której nie ma. Kobieta, którą mogłabym się stać, gdybym urodziła się jako jedna z Frettów, zamiast być adoptowaną Crabtree. Gdybym tak młodo nie wyszła za mąż. Gdybym skorzystała z proponowanego mi stypendium i wyjechała na studia do Karoliny Północnej. Gdyby moja mama i Genny, a potem Fisher nie potrzebowały mnie tak bardzo.

Nigdy nie mogłam nią zostać. Byłaby teraz w moim wieku, ustabilizowana i wykształcona trzydziestolatka o czarnych włosach upiętych w kok skręcony z warkocza. Biologiczna córka mamy miałaby cudowne szerokie usta, oczy w kształcie półksiężyców i nie musiałyby chodzić na wysokich obcasach, nie chcąc, aby koleżanki spoglądały na nią z góry. Pracowałaby gdzieś w muzeum, z dala od psów, Crabtreech i rozwodów. Widziałam ją oczyma duszy, jak ślęczy nad grubymi książkami albo porządkuje wykopane z ziemi pozostałości po wojnie secesyjnej, układając je w czystych, wyścielonych bawełną pudełeczkach. Potem zobaczyłam, jak pojawia się Jonno, który dorósł do

takich rzeczy, jak garnitur i elementarne poczucie odpowiedzialności. Widziałam, jak bierze ją w objęcia.

Poruszają się we wspólnym rytmie, rozbudzając się nawzajem. Zapominają o tym, jacy są piękni. Zatracają rachubę czasu i zapominają o bożym świecie. Osuwają się na podłogę między równymi rzędami muzealnych gablotek. A potem zamieniają się w kłębowisko dzikich instynktów, zadyszane, spoczone i groteskowe.

To były bzdury, totalne bzdury. Gdybym sobie na to pozwoliła, mogłabym tak siedzieć całą noc i roztkliwiać się nad tym, co by było gdyby, ale połowy rzeczy, nad którymi się tak użalałam, nie mogłam zmienić. Urodziłam się tym, kim jestem. A gdybym była nią? Tamtą kobietą? Przede wszystkim nigdy nie zwróciłabym uwagi na Jonno. Któż z Frettów związałby się z dzieckiem w ciele pięknego mężczyzny, który traktuje seks jak sztukę, a swoją partnerkę jak mięso? Jak tylko Jonno opuszczał sypialnię, roztaczał chaos, który był pozbawiony piękna i miał w sobie wszystko poza czystością. A jednak fantazja pozwoliła nam przetrwać dziesięć lat tego małżeństwa i trwającą rok rozwodową szarpaninę. I tak oto roztrzęsiona i wyczerpana gwałtownym atakiem złości szukałam pocieszenia u człowieka, który pod każdym względem był dla mnie nieodpowiedni.

Dokładnie tak postąpiłby każdy z rodziny Crabtreech.

Poczułam do siebie nagłą odrazę. Moja rodzina mnie potrzebowała, a ja siedziałam tutaj. I nie potrafiłam dostatecznie szybko zostawić tego wszystkiego w cholerę.

Dosłownie.

Kiedy dźwigałam się z przepastnych miękkości sofy, zobaczyłam, że impala Jonno właśnie wyłania się zza rogu. Serce podskoczyło mi do gardła i tłukło się jak oszalałe, a każde jego uderzenie przyprawiało mnie o odruch wymiotny. W każdej chwili mógł mnie zobaczyć. Nim zdążyłam to sobie przemyśleć, oparłam się ręką na balustradzie i przeskoczyłam ją, po czym wylądowałam w gliniastej ziemi. Ciężko dysząc, przykucnęłam za potarganym żywopłotem.

Gdyby teraz Jonno nakrył mnie zaczącą w krzakach jak jakąś wariatkę, byłaby to najgorsza rzecz, jaką mogłam sobie wyobrazić. Podwinęłam długą sukienkę i zakradłam się za róg domu, przytrzymując się ściany jak jakiś gryzoń.

Usiadłam z plecami opartymi o mur, wystawiłam nos zza węgła i zerknęłam przez zarośla. Widziałam dokładnie mojego mustanga, który stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy, niemal na wprost wejścia do domu Boyda. Gdyby Jonno go zauważył, natychmiast by się zorientował, że to mój samochód. Uważał za zabawne, że tak bardzo kochałam ten odnowiony sportowy wóz z potężnym silnikiem, podczas gdy moja frettowska natura nie pozwalała mi przekraczać prędkości o więcej niż pięć kilometrów na godzinę i opuszczać dachu.

Chevrolet skręcił na podjazd i zatrzymał się po drugiej stronie domu, znikając mi z pola widzenia. Modliłam się, aby Jonno i Boyd nie dostrzegli mojego samochodu. Duże domy stojące przy tej ulicy zostały dawno temu podzielone na mieszkania do wynajęcia, a zdezelowane auta studentów, których pełno było przy obu krawężnikach, zapewniały mi dobry kamuflaż.

Usłyszałam, jak drzwi impali otwierają się i zamykają, a potem dobiegły mnie strzępki rozmowy. Dwa męskie głosy sprawiały takie wrażenie, jakby prowadziły sprzeczkę.

- Nie, bo jeśli zakończymy na G, to będzie za duże wahnięcie, jak to optymistyczne pół tonacji wyżej - powiedział Boyd, kiedy obaj zbliżali się do frontowych drzwi.

- Optymizm dobrze schodzi - stwierdził Jonno.

- Może i tak, ale chłopie, nie o tym jest ta piosenka. Jeśli zakończymy w ten sposób, wprowadzimy zaprzeczenie. Tak jakby melodia mówiła, że oni dadzą radę.

Usłyszałam, jak ich buty zadudniły na dekach werandy i wstrzymałam oddech.

- A może dadzą - odparł Jonno.

- Daj spokój, chłopie - nie ustępował Boyd.

Frontowe drzwi zatrzęsęły się za nimi. Podniosłam się gwałtownie i zauważyłam, że wciąż ściskam w ręku książkę Jonno. Cisnęłam ją na ziemię. Tak cicho, jak tylko umiałam, przedarłam się przez krzaki i pobiegłam do samochodu.

Rozdział 6

Zjazd z drogi numer 78 prowadzący do Between znajdował się około ośmiu kilometrów przed zjazdem do Loganville. Between leży po obu stronach autostrady, w połowie drogi między Athens i Atlantą. Nie ma tam nic poza miejskim skwerem i kilkoma niewielkimi osiedlami. Przypuszczalnie całe miasteczko już by doszczętnie zmarniało, gdyby nie moja mama i Bernese. Frettowie, a zwłaszcza Bernese, która zarządzała finansami mamy, praktycznie stworzyli miejscową gospodarkę. Ich ofiary stanowiły znaczną część uposażenia pastora, a dzięki płaconym przez nich podatkom mieliśmy eleganckiego szeryfa w niepełnym wymiarze godzin. Sklepiki i restauracje otaczające rynek przetrwały dzięki temu, że Bernese zamieniła Between w najosobliwszą atrakcję turystyczną Południa. Jej muzeum, które w jednej połowie eksponowało prace mojej mamy, a w drugiej było poświęcone hodowli motyli, miało wysokie notowania we wszystkich tych ekscentrycznych przewodnikach dla dziwołagów. W jednym z nich zdobyło nawet więcej gwiazdek niż Cadillac Ranch.

Mimo wszystko jednak miasteczko nie dorobiło się swego własnego szpitala. Genny i mama zostały odwiezione do Loganville. Zresztą i tak najpierw zjechałam Philbert Street, minęłam skwer i skręciłam w Grace Street. Musiałam sprawdzić, co dzieje się z Fisher, a także byłam ciekawa, czy wujkowi Lou udało się wyciągnąć Bernese z aresztu. Nie było jeszcze siódmej, więc mama powinna wciąż pozostawać w kojących objęciach ativanu.

Słońce już zachodziło, a na parterze domu Bernese paliły się wszystkie światła, wylewając się oknami na nieskazitelny trawnik. Bernese mieszkała w błękitno-szarym domu, który miał kształt pudełka krakersów. Niczym spóźniona refleksja dostawiona była do niego frontowa weranda z nieodłącznym fotelem na biegunach.

W przygasającym świetle zauważyłam Fisher, która kucąca na trawie obok żwirowego podjazdu. Wiedziałam, że Lou i Bernese na pewno jej pilnują i obserwują ją przez okno, ale poczułam niepokój. Ta maleńka istota, żywe wcielenie wszystkiego, co dla mnie drogie, stała bezbronnie i samotnie przed domem.

Nie podejrzewałam, aby Ona zamierzała zrobić coś mojej Fisher. Ale jeśli Ona była na tyle wściekła i pijana, aby zadzwonić do swojego brata albo jego stukniętych synów z Alabamy, mogłaby rozpętać w miasteczku coś, nad czym sama nie byłaby w stanie zapanować. Ale na pewno do nich nie zadzwoniła. Nie zrobiłaby tego bez rozmowy ze mną.

Zaparkowałam na podjeździe. Nie wiedziałam, czy Bernese jest w domu, czy wciąż jeszcze w areszcie, ale przez chwilę grzebałam na dnie torebki, aby się upewnić, czy mam przy sobie pustą buteleczkę. Był to cylinder z plastiku w bursztynowym kolorze, zabezpieczony białą zatyczką. Gdyby Bernese była w domu, mogłabym go potrzebować.

Wygramoliłam się z mustanga i zatrzasnęłam drzwi. Fisher nie patrzyła w moją stronę, kiedy się do niej zbliżałam. Ze wzrokiem wlepionym w trawę przycupnęła na krótkich, pękatych nóżkach. Miała na sobie swoją ulubioną żółtą piżamkę w motyle. Zbudowała na trawniku kopczyk z białych kamyczków przyniesionych z podjazdu, a na szczycie położyła mięsisty liść magnolii, który w zamyśleniu trącała postrzępioną wykałaczką.

- Cześć Robaczku - zagadnęłam, ale Fisher nawet na mnie nie spojrzała, tylko kiwając się, wsparta na pośladkach znów szturchnęła liść. - Czy ktoś wie, że tu jesteś? - spytałam, ale nie uzyskawszy odpowiedzi, spróbowałam innego sposobu. - Co robisz z tym liściem, Fisher?

- Bawię się w doktora Splintera i ludzkie ciało - odparła jednostajnym tonem.

Grube paluszki jej stóp wczepiły się w trawę. W końcu raczyła podnieść wzrok w moją stronę.

- Zostaniesz dłużej niż przez minutę? - zapytała, marszcząc czarne proste brwi.

- Nie w tej chwili - powiedziałam, a Fisher znów zwiesiła głowę. Kosmyki ostrzyżonych na pazia włosów zasłoniły jej twarzą, lecz widziałam, jak wydyma dolną wargę. - Ale wróć. Chyba dopiero jutro, więc nie wybieraj się na nocny spacer. Dziś w nocy nie będzie nikogo za ścianą.

Nadal zbywała mnie milczeniem.

- Mówię poważnie, Fisher. Zostań w swoim łóżeczku. Przyjechałam tutaj na długo i będziemy razem w weekendy, jak zawsze. Dobra?

Wykonała nieznaczny, oficjalny gest, który bardziej przypominał lekkie pochylenie głowy niż przytaknięcie. Postanowiłam zadowolić się tym, co mogłam otrzymać.

- Babcia jest w domu? - spytałam.

Fisher zerknęła spod grzywki, badawczo przyglądając się mojej twarzy. Wzruszyła ramieniem i znów opuściła głowę.

- Babcia jest w środku i odmierza mi kolację - oznajmiła. - Dzisiaj patrzy na mnie przez to okno. Nie wychodzę na ulicę.

- Przygotowuje ci kolację - poprawiłam.

Zmierwiłam jej włosy, a ona przyjęła to łaskawie, wyginając szyję jak dobrze wychowany kot, który akceptuje pieszczoty natrętnego nieznajomego.

- No dobra, Fisher. Widzę, że jesteś zagniewana. Przykro mi, że tak rzadko się tu pokazywałam w tym miesiącu. Też za tobą tęskniłam, wiesz o tym.

Fisher nie odpowiadała, więc ruszyłam w stronę domu.

- Moja koleżanka ze szkoły Tia jest metodystką - zawołała za mną, nim zdążyłam zrobić dwa kroki.

Obejrzałam się. Nie byłam pewna, czy zwraca się do mnie, czy mówi sobie ot tak.

- Będzie mi tak smutno, kiedy ona pójdzie do piekła - dodała. -
Smutno jak sto pięćdziesiąt.

- Fisher, Tia nie pójdzie do piekła za to, że jest metodystką - odpadam, przykładając sobie dłoń do czoła.

Fisher milczała, a ja stałam i wpatrywałam się bezradnie w tył jej głowy.

- Nie pójdzie do piekła za to, że jest czarna - odezwała się w końcu, jak gdyby chciała podważyć moje słowa.

- Oczywiście, że nie - powiedziałam.

- Więc dlaczego pójdzie do piekła?

- Bóg nie posyła małych dziewczynek do piekła - zapewniłam ją.
- Nigdy. Uwierz mi w to.

Fisher dźgnęła brutalnie liść, aż wykałaczką przeszła przez niego na wylot. Zakręciła patyczkiem, a nabity liść obrócił się, zrzucając kilka kamyczków.

- A ja nie wychodzę na ulicę - mruknęła.

- Grzeczna dziewczynka - odpowiedziałam.

Zgarbiła się, chowając uszy między ramionami. Wciąż kuciała nad swoją kupką kamieni, odwrócona do mnie plecami. Czekałam jeszcze chwilę, ale nie powiedziała nic więcej. Fisher była małym uparciuchem. Zwykle gniewała się na mnie tak długo, dopóki jej nie przechodziło.

Podeszłam do frontowych drzwi i przystanęłam na moment, przygotowując się do starcia. Od prawie roku Bernese prowadziła wojnę podjazdową przeciwko mnie, odkąd oświadczyłam, że wyrzuciłam Jonno. Według Bernese, zarówno jako baptystka, jak i jedna z Frettów, nie powinnam się rozwodzić. Jej zmasowane ataki przybierały znacznie na sile, kiedy zbliżał się termin rozprawy. A zawsze potrafiła znaleźć sposób, aby mi dokopać. Nie mogłam oczekiwać, że pozwoli mi odetchnąć tylko dlatego, że mama i Genny trafiły do szpitala. Mój

rozwód był jak Rzym, gdyż zmierzały do niego wszystkie rozmowy prowadzone przez Bernese.

Miałam jednak przy sobie buteleczkę, upchniętą na dnie torebki. Gdyby Bernese naciskała mnie dość mocno, to w moim obecnym nastroju mogłabym jej przyłożyć tą buteleczką w głowę.

Przeszłam przez hol, przystając, by zerknąć do terrarium, gdzie Bernese poukładała gałęzie derenia. Wspiwały się po nich żółtozielone i różowe gąsienice, a tu i ówdzie zauważyłam kilka kokonów. Bernese przeniosła całą hodowlę motyli do swego muzeum, ale terrarium, roztrzaskane przez moją rodzoną matkę, dawno wymieniła na nowe. Teraz należało ono do Fisher, która podzielała jej zamiłowanie do małych robaczek, i wyglądało na to, że dziewczynka hodowała modraszki.

Ruszyłam długim korytarzem w stronę kuchni, mijając łukowate wejście do bawialni, a obok jeszcze jedno, prowadzące do oficjalnej jadalni. Było tam tak sterylnie czysto, że na wielkim stole można by spokojnie przeprowadzić operację na otwartym sercu. W kredensie lśniła poustawiana w równych rządkach porcelana. Tak naprawdę nigdy nie jadłam ze ślubnej zastawy stołowej Bernese, która wszystko podawała na całkowicie białych talerzach Farberware.

Bernese ostatnio odnowiła sobie kuchnię. Ciemnozielony wystrój ustąpił miejsca matowej stali, która prezentowała się nazbyt monumentalnie i chłodno na tle wyblakłych tapet usianych stokrotkami. Na ścianach wisały zdjęcia trzech synów Bernese oraz ich rodzin. W niektórych miejscach widniały połyskliwe placki o kształcie ramek, które kiedyś tam wisały. Bernese zdjęła wszystkie zdjęcia swego najmłodszego dziecka, Lori-Anne, i powoli zapełniała luki portretami Fisher.

Bernese stała w kuchni obok potężnej lodówki roztaczającej metaliczny poblask, plecami zwrócona do mnie, a przodem do kontuaru. Wyglądała, jakby zamierzała niebawem położyć się do łóżka. Była ubrana we frotowy szlafrok i domowe pantofle, a na głowie miała różowe papiloty z gąbki, które odsłaniały srebrne odrosty jej kruczoczarnych włosów. Na desce do krojenia dzieliła połówkę melona na cztery równe kawałki.

- Domyślałam się, że to ty - odezwała się, zerkając przez ramię. - Przed chwilą dzwoniłam do szpitala. Mówią, że stan Genny jest stabilny. Daje sobie radę. Podłączyli ją do kroplówki, żeby podać jej prosto do krwi leki przeciwbólowe i antybiotyki. Mówią, że przez najbliższy dzień albo dwa będzie dużo spała, ale Boże, to tylko dowodzi, że oni nie znają Genny. Jeśli jest wystarczająco rozstrojona, nie pomoże żaden z leków, który jej podają, i niech ich Bóg ma w swojej opiece. Za to Stacia nadal twardo śpi.

- Powiedziałam w agencji, żeby nie dawali mi żadnych zleceń - powiedziałam. - Zostanę w szpitalu, dopóki się nie przekonamy, jak będzie z Genny.

Bernese odłożyła nóż i odwróciła się do mnie.

- Najlepiej, jakbyś pofatygowała się tutaj i mnie przytuliła - odparła.

Otoczyłam ją ramieniem, schylając się nisko, by cmoknąć ją w gąbkowy wałek nad czołem. Poczułam, że Bernese jest dziwnie miękka w talii. Byłam przyzwyczajona, że jej ciało było jędrne w dotyku, kiedy wbijała je w obcisły gorset.

- Jestem zbyt zmęczona, by zrobić prawdziwą kolację. Ale mogę ci podgrzać coś z tych resztek, a tu masz świeży owoc.

- Muszę jechać - potrząsnęłam głową. - Chciałam tylko się upewnić, że wróciłeś do domu. Widzę, że Fisher coś nie w sosie.

Bernese wypuściła mnie z objęć i odwróciła się w stronę lodówki. Zrobiłam krok w tył, żeby mogła otworzyć drzwi i wyjąć kilka pojemników Tupperware.

- To dziewczynka. Długo chowa urazy - stwierdziła Bernese i zdjęła pokrywkę z pojemnika. Mruknęła, patrząc na leżącą w środku fasolkę szparagową, po czym minęła mnie i włożyła go do kuchenki mikrofalowej.

- Powiedziała mi, że martwi się o swoją koleżankę Tię, która pójdzie do piekła. Mówiłeś jej coś o metodystach?

- Nie powiedziałam, że metodyści idą do piekła. - Bernese ze świstem wypuściła powietrze. - Fisher chciała zajrzeć do kościoła tej ko-

leżanki, kiedy była na wycieczce w Loganville. Mówiłam jej, żeby do nich nie przystępowała. Metodyści wierzą, że każdemu, kto się narodził, jest już pisane piekło albo niebo i nic nie można na to zaradzić, jakby nie było łaski bożej i nie liczył się Jezus.

- Nie możesz mówić Fisher takich rzeczy, Bernese - pokręciłam głową. - Wiesz, jaka ona jest. A skoro już mowa o predestynacji, to jej wyznawcami nie są metodyści, lecz prezbiterianie.

- No cóż, ci metodyści też wierzą w coś głupiego, inaczej byliby baptystami. - Wzruszyła ramionami. - W każdym razie, jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego Fisher jest zła jak osa, czemu nie spojrzysz w lustro, Zapracowana Panno Rozwodniczko? Przyzwyczała się, że przyjeżdżasz tu co tydzień. Ona liczy na ciebie.

To była pierwsza salwa. Zignorowałam ją.

- Czy wyjaśniłaś wszystko w biurze szeryfa? - spytałam.

Bernese otworzyła drugi pojemnik, w którym była sałatka jajeczna. Powąchała ją i usatysfakcjonowana kiwnęła głową.

- Tak, jak na razie. Mój Boże, ten Thig jest takim dupkiem. Naślałam na niego mojego prawnika.

- Bernese, Isaac reprezentował wolę Thiga. On jest prawnikiem każdego. - Wywróciłam oczami - Chyba powinnaś jechać do Loganville i poszukać kogoś, kto orientuje się w prawie karnym.

Bernese wzruszyła ramionami.

- Isaac zawsze spisywał się jak należy. Wiesz, że nic nie może się stać. Praktycznie trzymam Thiga w garści. - Wydeła dolną wargę i nagle odniosłam wrażenie, jakby stała przede mną rozrośnięta do gigantycznych rozmiarów kopia Fisher. - No i lepiej też będzie, jak oddam ten pistolet.

Wyjęła z zagraconej szuflady komplet miseczek do odmierzania i jedną z nich nabrała porcję sałatki. Potem obróciła miarkę do góry dnem nad talerzem, który stał na blacie.

- Sprawdź, czy fasolka już się podgrzała - powiedziała.

Otworzyłam mikrofalówkę i wyciągnęłam jeden z miękkich strączków, podczas gdy Bernese opłukiwała miseczkę.

- Jest wystarczająco ciepła. - Podałam jej pojemnik.

Odmierzyła pół miseczki fasolki i zrzuciła ją na talerz obok sałatki. Wzięła młynek do pieprzu i zaczęła kręcić nim nad strączkami, aż pokryły się drobnymi, czarnymi piegami.

- Przygotowujesz to dla Fisher? - zmrużyłam oczy.

- Yhm - przytaknęła Bernese, sięgając po kawałek melona.

- Dlaczego odmierzasz jej porcję sałatki?

Bernese położyła owoc na talerzu, który przypominał smutną twarz. Małe okrągłe kupki sałatki i fasolki wyglądały jak oczy, a samotny plaster melona miał kształt szerokich, wykrzywionych ust. Bernese wzięła otwartą książkę, która leżała na pojemniku na chleb, zamknęła ją i uniosła tak, abym mogła zobaczyć okładkę. Zobaczyłam tytuł *Dziecko w formie*, a pod spodem widniały słowa: „Jak uchronić dziecko przed epidemią otyłości”.

- Fisher nie ma nadwagi - potrząsnęłam głową.

- Przyjrzałaś się jej? - spytała Bernese. - Jest ubita jak cegła.

- Taką ma budowę. Nie jest otyła.

- Jest dosyć grubiutka. - Bernese odwróciła się w stronę holu i zawołała: - Lou? Przyrowadź Fisher na kolację.

- Dobra - słaby głos dobiegał od strony schodów.

Bernese odłożyła książkę na pojemnik z chlebem.

- A jeśli teraz nie jest otyła, to ta książka gwarantuje, że na pewno nie będzie. - Zwróciła się do mnie. - Widziałaś jej matkę?

- Nie. To ty widziałaś jej matkę.

Stojąc plecami do mnie, Bernese położyła talerz Fisher na kuchennym stole. Obeszłam stół dookoła, aby widzieć jej twarz.

'- Czy Lori-Anne była tutaj?

Bernese wzruszyła ramionami, a jej usta zacisnęły się mocno, jak gdyby miała pocałować śmiertelnego wroga.

- Tak. Była tu w poniedziałek - powiedziała. - Nigdy nie widziałas nikogo tak grubego.

- Czego chciała?

- Na pewno nie zobaczyć się z Fisher. Pojawiła się w czasie, kiedy mała powinna być w przedszkolu, ale niestety była konferencja i zastała ją w domu. Dobry Boże, Lori-Anne nie wiedziała, gdzie się podziać, a Fisher wspinała się na nią jak na wielkie tłuste drzewo. Chciała na ręce i krzyczała „To mama, to mama”, a Lori-Anne ledwie to zniosła. Zgrzytała zębami i spoglądała na mnie z wyrzutem, jakbym specjalnie zostawiła Fisher w domu. Jakbym jakimś cudem wiedziała, że ona przywlecze się tutaj, żeby znów pożyczyć pieniądze. Chce sobie założyć opaskę na żołądek.

- Co jej powiedziałaś?

- A jak myślisz? To jak sypanie pieniędzy w studnię bez dna. Była coraz bardziej przykra, aż powiedziała: „Robisz tak, żebym przybrała jeszcze dwadzieścia kilo, bo wtedy dostanę refundację na ten zabieg. Chcesz, żebym przytyła jeszcze dwadzieścia kilo?”. Roześmiałam się w głos i powiedziałam: „Dziewczyno, nie mogłam cię nawet nakłonić, żebyś umyła zęby, kiedy miałaś siedem lat. Gdybym w ogóle mogła sprawić, żebyś coś zrobiła, w tej chwileczce siedziałabyś na dupie w kościele i błagała Jezusa o zmiłowanie”. - Bernese przeszła do holu. - Lou, mówiłam, że Fisher ma przyjść na kolację, i to już.

Wzięłam głęboki oddech.

- To zależy, kiedy wypiszą mamę i Genny, ale może jutro poszłabym z Fisher do Henry'ego - powiedziałam. - Chciała jakąś książkę o wnętrzu żaby.

- Nie popieraj tych głupot - oburzyła się Bernese. - Mam już dosyć rozmów o krwi, wnętrznościach i o tym, jak byłam pielęgniarką. Fisher ciągle mnie wypytuje, co człowiek ma w środku i jak działa nerka. A działanie nerki z całą pewnością nie stanowi miłego tematu do rozmowy.

Otwarłam usta, aby jej odpowiedzieć, ale powstrzymałam się, widząc, że nadchodzi Fisher. Bernese nalała ciepłej wody do zlewu, do dała trochę płynu do mycia naczyń i wrzuciła tam brudny pojemnik.

Wzięłam głęboki oddech i stanęłam obok stołu.

- Muszę jutro wyjść na trochę, więc jeśli wypiszą mamę, zostawię ją z tobą - oznajmiłam. - Wiesz, że po takich lekach może być otumazoniona przez dzień lub dwa i nie sądzę, żeby mogła wtedy być sama.

- A cóż takiego ważnego masz do zrobienia?

- Muszę się zobaczyć z Oną Crabtree.

Bernese zamarła na dźwięk tego imienia, a potem wolno odwróciła się do mnie.

- Mam nadzieję, że idziesz tam po to, żeby skopać jej tę kościstą starą dupę - mruknęła.

Fisher wyglądała na nieświadomą niczego, zajęta bez reszty pojedynkiem na spojrzenia ze swoją smutną kolacją, mimo to zwróciłam uwagę Bernese.

- Chcesz zrobić z Fisher wyrzutka, wyrażając się przy niej w ten sposób? - upomniałam ją.

- Jak ty w ogóle możesz patrzeć na Onę po tym, co oni zrobili Genny? - spytała Bernese.

- Nie mam wyboru. Postarałaś się o to. Próbowала już się do niej dodzwonić i będę jeszcze próbowała, kiedy tylko się dowiem, co z mamą. Ci jej chłopcy są nieobliczalni, Bernese, a ich kuzyni z Alabamy są jeszcze groźniejsi. To kryminaliści. Kiedy Thig wniesie przeciw tobie oskarżenie i pozwoli ci się wykręcić od zabicia tego psa, a wiesz, że tak będzie, aż strach pomyśleć, co oni mogą zrobić.

- Jeśli nie spodoba im się, jak Thig to załatwi, mogą zadzwonić na prawdziwą policję do Loganville - odparła Bernese.

- Crabtree nie wzywają policji. Połowa tych chłopaków jest na zwolnieniach warunkowych.

Bernese zmierzyła mnie wzrokiem, po czym zaczęła skrupulatnie szorować brzegi miseczki.

- Pies wy dostał się wskutek zaniedbania Crabtreech, o ile nie zrobili tego celowo. Nienawidzą mnie i chcieli skrzywdzić naszą rodzinę. Ten pies był ich bronią, więc ich rozbroiłam. - Zerknęła przez ramię i dodała: - Fisher, jedz kolację.

Fisher podniosła widelec i beznamiętnie dziabnęła sałatkę. Kiedy tylko Bernese odwróciła wzrok, dziewczynka z powrotem opuściła widelec, kładąc go starannie na środku zwiniętej serwetki.

- No cóż, jeśli się tam wybierasz, mogłabyś również przekazać jej coś ode mnie. Powiedz jej, żeby lepiej pozbyła się tamtych dwóch psów. One stanowią zagrożenie - mówiła Bernese ze wzrokiem utkwionym w zlewozmywaku, szorując zawzięcie gąbką brzeg miarki. - Jeśli Ona tego nie zrobi, Isaac postara się o nakaz sądowy, a Thig go wyegzekwuje. A jeśli Isaac i Thig nie dadzą rady, osobiście zastrzelę te psy. Fisher, czy ty jesz?

- Ta kolacja jest smutna - odparła Fisher, a Bernese odwróciła się w jej stronę.

- Zjedz to! - krzyknęła. - Masz jeść dokładnie to, co jest na liście, żeby dieta zadziałała.

Fisher miała buntowniczą minę. Ręce trzymała pod stołem.

- Weź. Ten. Widelec - wycedziła Bernese.

- Jest zbyt smutna, żeby ją zjeść. - Dziewczynka wsunęła sobie dłoń pod uda i zgarbiła się.

Bernese, krzycząc, ruszyła w jej stronę z morderczym spojrzeniem. Biegiem okrążyłam stół i stojąc między nimi, nachyliłam się nad Fisher.

- Nie jest smutna - zwróciłam się do małej. Chwyciłam plaster melona i skierowałam go ostrymi końcówkami ku górze. - Śmieje się, zobacz.

Fisher przez chwilę wpatrywała się w talerz.

- No dobra. - Chwyciła widelec i posłusznie nabiła na niego parę strączków fasolki.

Odwróciłam się do Bernese, która stała za mną, dysząc z wściekłości.

- Dobrze się czujesz? - spytałam.

Bernese była nerwowa, ale nigdy nie widziałam, żeby tak szybko traciła cierpliwość przy Fisher.

- Zirytowałaś mnie - odpowiedziała.
- Przepraszam, że zaczęłam o tym mówić. - Uniosłam dłonie. -
Możemy później wrócić do tematu Ony. Teraz muszę jechać do mamy.

Bernese omiotła sobie językiem wnętrze ust, wysuwając szczękę, jak gdybyssała coś obrzydliwego.

- Nie ma sprawy. - Spokojnie wróciła do zlewozmywaka.

- Do zobaczenia jutro. - Pocałowałam Fisher w czubek głowy. Dziewczynka siedziała pochylona nad stołem i mechanicznie nabierała jedzenie widelcem. - Trafie sama do wyjścia.

- Dziękuję, że przysłaś - odezwała się Bernese dziwnie oficjalnym tonem, kiedy wchodziłam już do holu.

- Nie musisz mi dziękować. - Przystanąłam zaskoczona. - Ona jest moją matką.

- Trudno pojąć, jak poważnie traktujesz teraz swoją rodzinę - powiedziała. - Teoretycznie to mąż jest rodziną, a popatrz, co robisz ze swoim.

Gorące wypieki wystąpiły mi na twarz i ścisnęłam kurczowo torebkę jedną ręką, podczas gdy paznokcie drugiej wbiłam sobie w skórę dłoni. Ponieważ jednak między nami siedziała Fisher, z głową poważnie zwieszoną nad talerzem, nie mogłam nic odpowiedzieć.

Rozdział 7

Zatrzymałam się przy dyżurce pielęgniarek, aby dowiedzieć się, w którym pokoju leżą mama i Genny. Znajdowały się na drugim piętrze. Kiedy wyszłam z windy, usłyszałam piskliwe narzekanie Genny dobiegające z głębi korytarza. W przerwach między falami jęków rozlegał się łagodny męski głos o balsamicznym tonie. Doszłam za tymi dźwiękami do pokoju 214, a że drzwi były otwarte, weszłam bez pukania.

Mama leżała na łóżku pod oknem. Wciąż twardo spała. Zastona oddzielająca łóżka była odsunięta. Blżej wejścia leżała Genny, z ramieniem i szyją owiniętymi bandażami. Nogi miała przykryte kołdrą. Jej wykrzywione usta odznaczały się na tle okrągłej twarzy i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu lat widzę ją bez odświeżonej warstwy różowej szminki. Długie białe włosy, grube i wciąż jeszcze obficie poprządkane czarnymi pasemkami, leżały rozpuszczone na poduszce.

Na przysuniętym blisko łóżka krzesło dla gości siedział Henry Crabtree. Patrząc ponad jego ramieniem, Genny zauważyła, że weszłam do sali.

- Och, Nonny, przyszedłeś do mnie! - jęknęła, a oczy jej zaśniły.

Henry natychmiast wstał i z uśmiechem na twarzy odwrócił się do mnie. Był drobnej i kościstej budowy, a jego wystająca z podwiniętego rękawa niezabandażowana ręka opleciona ciemnymi, wypukłymi żyłami i mięśniami zdawała się nie pasować do całej reszty.

- Tak się cieszę, że tu jesteś - uściśnął mi dłoń.

Nachyliłam się nad Genny i pocałowałam ją w czubek głowy.

- Oczywiście, że przyszłam, głuptasku - powiedziałam, po czym zwróciłam się do Henry'ego: - Czy mama w ogóle się budziła?

Henry pokręcił głową.

Genny zmrużyła oczy, a zrobiła to tak powolnie, że wyglądała, jakby zapadała w sen, ale potem gwałtownie uniosła powieki.

- Och Boże, Nonny, dlaczego Stacia się nie budzi? - Jej dłonie zaczęły trzepotać niczym skrzydła oszołomionego ptaka. - Czy ona zapadła w śpiączkę?

Napotkałam wzrokiem spojrzenie Henry'ego.

- To morfina - wymamrotał, wskazując lekkim kiwnięciem głowy kroplówkę.

- To nie śpiączka, ona po prostu śpi - powiedziałam.

- Nie masz pewności. To może być śpiączka - panikowała Genny.

Chwyciłam ją za ręce, które delikatnie położyłam jej na brzuchu, ale kiedy tylko się cofnęłam, Genny znów wyprostowała ramiona, unosząc dłonie w kierunku sufitu.

- Czy ona oddycha? - spytała. - Potrząśnij nią trochę.

- Wszystko z nią dobrze. Twoja Nonny jest przy tobie i możesz teraz zasnąć. Zajmę się wszystkim.

Znów wzięłam jej ręce i lekko ściągnęłam w dół, a wtedy Genny opuściła powieki.

- Te psy. Wciąż czuję ich oddechy - odezwała się, niewyraźnie wymawiając słowa. - Boli mnie ramię.

- Teraz powinnaś się przespać - powiedziałam kojącym tonem. - Czy to jest przycisk do dawkowania morfiny? Naciśniemy go.

Włożyłam jej do ręki pudełeczko programatora, a ona nacisnęła guzik.

- Nie mogę spać przez tych lekarzy. Kto ich tam wie. Albo te psy. A jeśli znów uciekły? Mogłyby mnie wyśledzić. Mogą mnie tu znaleźć, a jeśli zasną, nie będę wiedziała, kiedy uciekać.

- Nie pozwolę im - odparłam.

- Oho, czy ja spadam? - zapytała Genny, a jej dłonie zrobiły się luźne. Wyprostowałam się, myśląc, że już śpi, ale wtedy znów się odezwała. - A gdybym umarła, Nonny? Co by się stało z moją Stacją? Nie możesz pozwolić mi umrzeć, bo cóż by poczęła Stacja?

- Nie umarłaś i nie umrzesz - odpowiedziałam.

Genny nie odezwała się już, a po chwili nawet jej zaciśnięte usta były rozluźnione i zapadła w sen.

- Ciebie też położyli w szpitalu? - zwróciłam się do Henry'ego.

- Nie. Ten pies mnie trochę poszarpał, ale wystarczyło, że mnie pozszywali i dostałem antybiotyk, który elegancko wstrzyknęli mi w tyłek. Wróciłem do domu, żeby się umyć i zamknąć sklep, a potem przyjechałem tutaj, żeby zobaczyć, co z Genny i twoją mamą.

- Czy Genny się skubała? - zapytałam.

- Nie. Miotłała się i nie chciała zasnąć, ale nie próbowała się okaleczać - odparł.

Kiedy się wyprostowałam, oczy Henry'ego i moje znalazły się dokładnie na tym samym poziomie. Był ubrany w jedną z miliona swoich białych koszul z kołnierzykiem dopinany na guziki. Ta, którą miał na sobie, wyglądała na szczególnie delikatną i kosztowną, i zapewne stanowiła pozostałość z czasów, kiedy pracował jako programista komputerowy w Nowym Jorku. Była starannie wsunięta w spodnie khaki, które zdobił wyraźny gruby szew, biegnący aż do czerwonych mokasynów. Sięgające do ramion włosy, kolejną pamiątkę po nowojorskim życiu, Henry nosił zaczesane do tyłu i spięte w kucyk.

- Myślisz, że jutro dasz radę otworzyć sklep?

- Sądzę, że tak - odparł Henry. - Choć z drugiej strony nikt jeszcze nie umarł, nie mogąc kupić książki.

- Dziękuję, że wróciłeś, żeby posiedzieć z Genny i z mamą. Nie musiałeś tego robić.

Henry uniósł brwi i spojrzał na mnie ponad szklami swych małych, okrągłych okularów.

- Oczywiście, że musiałem, Nonny Jane. Jesteśmy niemalże jak rodzina.

Odpowiedziałam mu uśmiechem. To był nasz dyżurny dowcip. Henry pochodził z Luizjany i był przeszczepem z tamtejszego konara rodzinnego drzewa Crabtreech. Kilka lat temu, kiedy Fisher i ja spotkałyśmy go w księgarni, próbowaliśmy dokładnie ustalić, w jakim stopniu jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Wyciągnęliśmy nawet długą wstęgę taśmy papierowej, aby sporządzić wykres. Crabtree z Georgii często miewali dzieci przed ukończeniem szkoły średniej, a śledząc wstecz kilka pokoleń naszych przodków ustaliliśmy, że jesteśmy dalekimi kuzynami z dziada pradziada. Przynajmniej na papierze.

Nigdy mu tego nie powiedziałam, ale nie sądzę, żebyśmy byli w ogóle spokrewnieni. Ojciec Henry'ego, Reau, był typowym Crabtreem, wysokim, bladym, piegowatym rudzielcem. Kiedy był młodym wyrostkiem i mieszkał w Lafayette, coś przeskrobał i miał do wyboru pójść do więzienia albo do wojska. Wybrał wojsko, co było niespotykaną decyzją w tej rodzinie. Wśród Crabtreech panowała zgodna opinia, że lepsze narkotyki można dostać w więzieniu.

W armii wyuczył się na mechanika i podobało mu się to. Będąc na przepustce w Lafayette, zakochał się w młodej kobiecie, która miała za sobą już dwa rozwody. Ożenił się z nią miesiąc po ich pierwszej randce. Do małżeństwa wniosła bardzo obfity bagaż, włącznie ze światowej klasy przypadkiem psychozy maniakalno-depresyjnej oraz skłonnością do lekkiego traktowania przysięgi małżeńskiej. Była ciemnonooką Cajunką o tak silnych pozostałościach francuskiego akcentu, że musiał on być przynajmniej częściowo sztuczny. Nigdy się go nie wyzbyła, a nawet Henry przejął odrobinę tej wymowy.

Henry, niższy o pół głowy od każdego Crabtreego, jaki kiedykolwiek się narodził, wyglądał jak matka, tylko miał karnację ciemniejszą o jeden odcień. Ona miała ziemistą cerę, jego skóra była oliwkowa. Jej oczy miały barwę mlecznej czekolady, jego wydawały się prawie czarne. Miał jeszcze młodszą siostrę, tak samo rudą i cherla-

wą jak ojciec, ale do niego Henry nie był ani trochę podobny. Ludzie woleli jednak o tym nie wspominać, ponieważ Reau odziedziczył mnóstwo typowej dla Crabtreech agresji i trzymał w domu okazałą kolekcję broni palnej.

Henry miał siedem lat, kiedy jego ojciec postanowił wyjechać i przenieść się z rodziną do Between. Pracował u Ony jako mechanik, a matka Henry'ego wykupiła lokal przy skwerze i założyła tam księgarnię. Reau, który chwalił sobie czas spędzony w wojsku i ożenił się z miłośniczką książek, był uważany przez swych krewnych za odmienca. Samo to miało w sobie tyle ironii, że nie sposób było jej wyczerpać przez lata. Kiedy jednak Henry miał dwanaście lat, Reau udowodnił, że jest mimo wszystko prawdziwym Crabtreem. Urznął się jak bela z paroma kumplami i razem postanowili zrobić wypad do lasu, żeby ustrzelić parę wiewiórek. Kiedy usiłował sforsować ogrodzenie z drutu kolczastego, jego strzelba, którą oparł o słupek, wypaliła, zabijając go na miejscu.

Matka Henry'ego przeprowadziła się z dziećmi do mieszkania położonego nad sklepem. Było to po tym, jak ciotka Bernese otworzyła muzeum i Between stało się obowiązkową przystanią dla tego pokroju ludzi, którzy lubią wędrować wozami kempingowymi i oglądać cudacznie wielkie kule z cynfolii i figurki Maryi płaczące krwią na Wielkanoc. Ruch turystyczny utrzymał księgarnię przy życiu, która pozwoliła rodzinie Henry'ego wiązać koniec z końcem nawet bez pensji Reau. Myślę, że Ona mogła im trochę pomagać.

Henry i ja, dorastając, nie byliśmy blisko siebie. Byłam od niego młodsza o jakieś cztery lata. Wydawałam jednak swoje kieszonkowe w księgarni i spędzałam popołudnia u niego w domu, bawiąc się z jego siostrą. Henry zawsze przewijał się gdzieś w tle, coś czytał albo majstrował przy jednym ze starych komputerów. Nie przeszkadzało mi, że był w pobliżu, ale nigdy mnie nie pociągał, pomimo że wyglądał jak Johnny Depp. Jako nastolatek i młody mężczyzna Henry nie był dojrzały jak na swój wiek. Był spokojny i zamknięty w sobie, a subtelne

rysy twarzy dodawały mu uroku. Był wręcz piękny. Wszystko to sprawiało, że nie odczuwałam do niego pożądania.

Kiedy wyjechałam na studia, Henry wciąż mieszkał w domu, opiekując się matką i pracując dorywczo jako programista, aby utrzymać księgarnię. Jego zarobki wystarczyły, aby Lilly mogła przystać na propozycję cząstkowego stypendium i czmychnąć na uniwersytet stanowy w Savannah.

Kiedy byłam na pierwszym roku, zmarła matka Henry'ego. Wyśiadła jej wątroba. Potem dowiedziałam się, że Henry wyjechał z Between. Bernese była zawiedziona, gdyż nie chciał jej sprzedać księgarni, by mogła rozwinąć swój interes. Nie chciał jej nawet podnająć, chociaż wyglądało na to, że wyprowadza się na stałe. Henry ożenił się z kobietą, którą poznał w internecie, jakąś handlarką dzieł sztuki z Nowego Jorku. Bernese zdążyła ją poznać wcześniej niż ja.

- Ładna sztuka, ale wygląda dziwnie - powiedziała.
- Znaczy, dziwnie ubrana? - spytałam zaciekawiona.
- Nie, całkiem przyzwoicie. Idę o zakład, że jej buty kosztowały więcej niż mój samochód, ale wygląda jakoś niepewnie - stwierdziła, po czym dodała szeptem, jak gdyby chciała mi powiedzieć coś nieprzyzwoitego: - Nie jestem pewna, ale tak na oko wydaje mi się, że jest po części czarna.

- Na litość boską, Bernese, kogo to obchodzi?

- No cóż, z nas nikogo, ale jak myślisz, czy zrobi to wrażenie na Crabtreech?

Pojęłam, o co jej chodziło.

Henry wrócił dwa lata później, holując za samochodem niewielką przyczepę i po cichu otworzył na nowo księgarnię. Nie wrócił już do Nowego Jorku, a jego żony nigdy więcej nie widziano w miasteczku. Rex Gentry, jedyny listonosz w Between, powiedział mi - a tak naprawdę wszystkim - że między biurem Isaaca Davidsa a jakąś nowojorską kancelarią krążyły listy i grube koperty. Potem korespondencja ustała, a Henry przestał nosić ślubną obrączkę.

Parę lat po jego rozwodzie zawiązała się między nami *zażyła* przyjaźń. Obydwoje uwielbialiśmy dobre powieści i dobrą kawę. Fisher uwielbiała Henry'ego, a ja zaczęłam uzależniać się od jego towarzystwa podczas moich weekendowych pobytów w domu. Powinnam była się spodziewać, że znajdę go tutaj, siedzącego przy mamie i Genny.

Mama poruszyła się, a ja szybko zajęłam miejsce na krześle przy jej łóżku. Wymachiwała rękoma w powietrzu dokładnie tak samo, jak Genny. Nachyliłam się nad nią i nakreśliłam palcem serduszko na jej ramieniu. Zawsze tak robiłam, kiedy wchodziłam do pomieszczenia, w którym się znajdowała, żeby mogła wiedzieć, że to ja. Mama była jeszcze zaspana i powtórzyła moje imię w języku migowym, dodając pytajnik, więc jeszcze raz nakreśliłam serduszko. Odetchnęła z widoczną ulgą i wypowiedziała moje imię na głos.

Mama rzadko mówiła, ale kiedy to robiła i kiedy zwracała się do mnie po imieniu swoim wysokim i chrapliwym głosem, przeciągając samogłoski, rozpierała mnie gwałtowna fala miłości.

Wyciągnęła ręce w poszukiwaniu moich, więc podsunęłam je tak, by mogła mnie dotknąć. Moja mama miała dłonie jak dama, drobne o szpiczastych palcach, ale jej paznokcie były zawsze krótko przycięte, a skóra na opuszkach stwardniała. Opowiedziałam jej wszystko, czego się dowiedziałam i co ona chciałaby wiedzieć, zaczynając od tego, że Genny czuje się coraz lepiej. Powiedziałam jej, gdzie jest i co się stało, że jestem przy niej, a Genny śpi na sąsiednim łóżku i że Henry również do nich przyszedł. Kiedy pokazywałam znaki, jej zwinne dłonie szybko prześlizgiwały się po moich, odczytując ich kształt jak alfabet Braille'a.

Kiedy mama dowiedziała się, że Bernese zastrzeliła Zdzirę, wymownie poruszyła ramieniem, a jej palce ułożyły się w *O Boże*.

Mama oczywiście miała pytania, więc podałam jej ręce i odpowiadałam, tłumacząc również to, co mówił Henry, toteż zamiast myśleć w języku migowym albo w angielskim, balansowałam między jednym a drugim. Kilkakrotnie musiałam powtarzać cały przebieg wydarzeń,

a mama porównywała go z tym, co zapamiętała, i wypytywała Henry'ego o szczegóły.

- Z początku nie zdawałam sobie sprawy, że to psy. Wiedziałam tylko, że coś mnie zabija. - Kiedy powtarzałam za mamą, mówiłam w pierwszej osobie, ale rzadko zdarzały się wątpliwości, czy powiedziałam coś w imieniu mamy, czy od siebie.

Mama odnalazła z boku łóżka przyciski sterujące i podniosła zagłówek tak wysoko, aby usiąść.

Byłam pewna, że umrę i zastanawiałam się, co zrobi Genny. Tak się bałam. Co by Genny zrobiła, gdybym umarła? - zamartwiała się mama.

Nie umarłaś i nie umrzesz - odpowiedziałam.

A co z tamtymi dwoma psami? Czy Bernese też je zastrzeliła? - dopytywała się mama.

Zaprzeczyłam, a wtedy zacisnęła usta.

Powiedz jej, żeby tam wróciła je zastrzelić. Niech to lepiej zrobi, albo nie wracamy z Genny do domu.

Nie przetłumaczyłam dokładnie Henry'emu jej słów.

- Mama martwi się o Genny - powiedziałam mu tylko. - Mogę cię na chwilkę przeprosić, Henry? Muszę z nią pomówić.

Henry skinął głową i przesiadł się na inne krzesło. Nie patrzył w naszą stronę. Potrafił odróżnić znaki alfabetu i pokazać kilka zwrotów, ale nie znalazł języka migowego na tyle dobrze, aby śledzić naszą rozmowę.

Trzeba z tym ostrożnie. Pójdę porozmawiać z Ona Crabtree - zwróciłam się do mamy, nie tłumacząc na głos swojej wypowiedzi.

I co powiesz? - spytała mama. - *Genny będzie łykała xanax i skubała się do krwi, zanim poczuje się bezpiecznie.*

Zaczęłam przedstawiać jej swój plan, ale nagle moje ręce znieruchomiały. Na szpitalnym korytarzu pojawiła się Ona Crabtree, jakby sama wzmianka o niej przywołała ją w jakiś magiczny sposób. Przechodząc koło otwartych drzwi, omiotła mnie bezbarwnym spojrzeniem, a moje plecy przeniknął lodowaty strach. Mamę zaintrygowało,

że tak nagle przerwałam rozmowę i nim zdążyłam na nowo podchwycić utracony wątek, zaczęła wypytywać, co się dzieje.

Henry siedział przy łóżku Genny i był zwrócony do drzwi plecami. Kiedy obrócił głowę, aby zobaczyć, co przykuło moją uwagę, nikogo już nie zobaczył.

Co? Co? - mama niecierpliwie domagała się odpowiedzi, potrząsając moimi znieruchomiałymi rękami. Bardzo chciałam skłamać, ale nie mogłam tego zrobić. Taką zasadę wyznawała Genny. Jeżeli coś się wydarzyło przy mamie, jeżeli cokolwiek działo się w jej obecności, Genny nalegała, aby tego nie zatajać. Bernese wciąż się od tego uchylała i 80 procent najstraszliwszych awantur rodzinnych zaczynało się od jej słów „Nie mów tego Eustacii, ale...”. Kiedy Bernese wypowiadała te słowa, Genny równocześnie tłumaczyła je mamie.

Ona Crabtree jest tutaj - oznajmiłam. Przeliterowałam imię Ona i użyłam naszego własnego znaku na określenie jej nazwiska, zamykając szybko dłoń, jakbym chciała ją uszczypnąć, a potem powtarzając ten sam gest powoli, jakbym mówiła „niski”. Było to bardziej skomplikowane niż normalnie przyjęte oznaczenia nazwisk i miało negatywny podtekst. Nigdy nie używałyśmy tego znaku w odniesieniu do Henry'ego. Nie przeszkadzało mi to. Fakt, że moja matka określała ich w ten sposób, był tylko kolejnym dowodem na to, że uważa mnie za całkowicie swoją. Spojrzałam w stronę drzwi. Ona znów przechodziła tą samą drogą.

- Co się dzieje? - zapytał Henry.

Spojrzałam na niego i potrząsnęłam głową, gdyż nie chciałam, aby Ona usłyszała, że o niej mówię. Mama zaczęła odpowiadać, ale przerwałam jej, obiecując, że zaraz wrócę, i wstałam z krzesła. Mimo to wciąż trzymała mnie za rękę, a wolną dłonią pokazała: *Dlaczego Ona tu jest?*

- Co jest? - Henry był na tle bystry, że zauważył, jak z mamą literujemy imię „Ona”.

Położyłam palec wolnej ręki na ustach, aby go uciszyć, po czym specjalnie dla Ony dodałam:

- Mama chce pić, mógłbyś jej przynieść trochę wody?

Henry obdarzył mnie przeciągłym spojrzeniem, które o wiele wymowniej niż wszystkie znane mu słowa dawało mi do zrozumienia, że coś kręcę.

- Oczywiście - powiedział i podszedł do stolika między łózkami, na którym stał plastikowy dzbanek z lodowatą wodą i dwa kubki.

Ona Crabtree znów przeszła za drzwiami. Była jak blaszana kacuszka na strzelnicy, pojawiająca się i znikająca co chwilę.

Puść mnie, to pójdę i sprawdzę - poprosiłam mamę.

- Możesz tu zostać jeszcze parę minut? - zwróciłam się do Henry'ego, kiedy mama puściła moją rękę. - Muszę się dowiedzieć, kiedy wypiszą moją mamę.

Henry skinął głową, omiatając mnie kolejnym badawczym spojrzeniem. Próbował podać mamie wodę, ale ponieważ ona tak naprawdę o nią nie prosiła, była zaskoczona, że ktoś podaje jej kubek.

Wyszłam za próg, zostawiając otwarte drzwi. Ona oddalała się ode mnie, idąc wzdłuż korytarza. Ruszyłam za nią. Obejrzała się przez ramię, aby sprawdzić, czy za nią idę, i przyspieszyła kroku. Znikła za rogiem, a ja puściłam się pędem za nią. Serce zaczęło mi kołatać, a dłonie zacisnęły się w pięści. Ukryta wściekłość, którą poczułam na werandzie przed domem Jonno, znów we mnie odżyła. Czułam się jak drapieжник ścigający żyłastą bestię zbudowaną ze ścięgien i chrząstek. Kiedy zakreśliłam na końcu korytarza, Ona, która czekała za rogiem, złapała mnie za ramię i zanim zdążyłam coś powiedzieć, pociągnęła zdecydowanie za sobą.

- Mogłaś wejść do sali - odezwałam się, ale pozwalałam, aby dalej wlokła mnie za sobą.

- Nie chcę teraz rozmawiać z Henrym. Chcę rozmawiać z tobą - odrzekła. - I w ogóle co on tu robi? Nie wystarczy tym Frettom, że mają ciebie, muszą jeszcze bałamucić Henry'ego?

Nie czekając na moją odpowiedź, wlokła mnie dalej, obok rzędu wind, aż do wnęki, gdzie znajdowały się automaty z napojami. Puści-

ła moje ramię, ale wciąż czułam się przyszpilona jej nerwowym spojrzeniem.

- Która z nich jest pogryziona? - spytała, wykręcając swoje zgrubiałe ręce. - Ta ślepa czy ta szurnięta?

- To Genny - odparłam. Ona patrzyła na mnie z niecierpliwością, a ja odwzajemniłam jej spojrzenie. - Wiesz, która to Genny.

- Więc nie ta ślepa - stwierdziła. - To dobrze. Przysięgam, bardzo nie chciałam, żeby to była ta ślepa.

- Mówisz o mojej matce - powiedziałam.

Ona uniosła górną wargę, szczerząc zęby jak jakiś nerwowy koń. Jej zęby były szare po brzegach i dziwnie płaskie. Moje siekacze też były takie płaskie, nim zaczęłam nosić aparat ortodontyczny.

Ona miała niewiele ponad sześćdziesiąt lat i każdy rok przeżyła intensywnie. Wciąż żyła w ten sposób i było to wypisane na jej twarzy. Widziałam w jej rysach swą własną twarz, tak samo wysokie kości policzkowe i wąską szczękę. Miałam jej nos, zbyt długi, cienki i trochę krzywy, i chyba jedną trzecią jej piegów. Była teraz niższa ode mnie, skurczona ze starości, z przygarbionymi ramionami, ale widziałam jej zdjęcia z czasów, kiedy była młodą kobietą. Wtedy miała moje ciało, wysmukłe nogi, nienaturalnie długi tułów i niezbyt obfite piersi.

Nie powiedziałam nic, a Ona rozluźniła się i odwróciła wzrok, patrząc w stronę automatów z colą.

- Co się stało? - zapytałam. - Dlaczego do tego doszło? Kto nawalił z tą furtką?

- Myślę, że to najprędzej mógł być Varner. - Wzruszyła ramionami. Varner był najnowszym z długiego łańcucha jej ślubnych mężów. - Zaprawiliśmy się dość ostro zeszłego wieczoru przed zamknięciem stacji. To on wyłaził tylnym wyjściem, a był mocno zalany.

- Po co w ogóle trzymacie takie psy. One stwarzają zagrożenie, jeżeli nie są odpowiednio ułożone. A powinnaś wiedzieć, że nienawidzą Genny.

- To dobre psy, Nonny. - Ona znów wzruszyła ramionami. - Dałam ponad cztery stowy za każdego szczeniaka. Może i chłopcy mieli do nich trochę twardą rękę, ale jak się chce psa obronnego, to trzeba twardo. Ale nigdy się nie spodziewałam, że mogą kogoś pogryźć, chyba żeby wszedł na złomowisko ktoś niepowołany. - Zawiesiła głos, po czym dodała: - Ale nigdy nie każ mi się ich pozbywać.

- Mówiłam ci, że moim zdaniem to zagrożenie.

- Nie ma mowy, żebym się ich pozbyła. - Ona unikała mojego wzroku.

Odwrociłam się do niej plecami i odeszłam dwa kroki, a potem znów spojrzałam na nią.

- Nie sądzę, żebym mogła teraz z tobą rozmawiać - powiedziałam, ale nie ruszałam się z miejsca.

Nie mogłam odejść, dopóki się nie przekonam, że Ona nie zadzwoni do swego brata z Alabamy, o ile już tego nie zrobiła. Musiałam się upewnić, że mojej rodzinie nic nie grozi.

Ona zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie spode łba, pocierając podbródek. W końcu wskazała kciukiem na automat z colą.

- Masz jakieś drobne? - zapytała.

- Wiem, że nie przyszedłeś tu zobaczyć, jak się czuje Genny. Co tu robisz?

- Przyszedłam zobaczyć się z tobą. - Ona tarła podbródek jeszcze mocniej. - Wiedziałam, że przylecisz do nich w te pędy, jak zwykle. Ten automat przyjmuje dolary, jeśli nie masz drobnych.

- Nie mam ochoty dawać ci teraz dolara. - Zmrużyłam oczy.

Wygrzebała z torebki pomięty banknot i zaczęła użerać się z maszyna, próbując wepchnąć go w szczelinę. Automat wypływał banknot z powrotem, a ona natychmiast usiłowała włożyć go ponownie. Za każdym razem rolki mechanizmu wciągające papier wydawały cichy szum.

- Założę się, że Bernese już wróciła do domu, prawda? Zastrzeliła mojego psa w miejscu publicznym z takiej samej broni, za jaką mój

dzieciak Tucker dostał wyrok. - Ona potrząsnęła głową, kiedy automat znów zwrócił jej banknot.

- Bernese wyszła za kaucją - odparłam. - Thig ją aresztował.

- Thig Newell jest na jej usługach i dobrze o tym wiesz - stwierdziła. - Źle zrobiła, zabijając mojego psa.

Maszyna po raz czwarty wypluła jej dolara.

- Och, na litość boską! - Złapałam banknot i naciągnęłam go mocno, a potem rozprostowałam, pocierając nim o udo. - Nikt nie mówi, że Bernese powinna była zastrzelić tego psa. Pewnie nawet ona sama wie, że popełniła błąd. - Wsunęłam dolara w szczelinę i nacisnęłam przycisk, a w dole automatu zadudniła spadająca puszką. - Bernese była zdenerwowana. Wszyscy byliśmy. Genny została ranna. I to naprawdę poważnie. Mam nadzieję, że to wiesz.

Kiedy odwróciłam wzrok w stronę Ony, zobaczyłam, że mnie nie słucha. Wpatrywała się we mnie tym dobrze znanym, nieobecny i chciwym spojrzeniem. Przyglądała mi się w ten sposób, odkąd ukończyłam trzy lata. Wtedy to Hazel Crabtree, moja rodzona matka, uciekła z jakimś robotnikiem, którego poznała w objazdowym wesołym miasteczku. Od tej pory słuch o niej zaginął. Zostawiła jednak list, w którym opisała, jaką straszną matką była Ona, i szczegółowo wymieniła wszystkie okropieństwa, do jakich się posunęła z jej powodu. Na koniec wyjaśniła, dlaczego adoptowane dziecko Stacji Frett ma takie ogniste rude włosy.

Moje pierwsze wspomnienie Ony mogłoby równie dobrze być moim pierwszym prawdziwym wspomnieniem. Leżałam w moim dziecięcym łóżeczku i usłyszałam coś, co brzmiało jak wrzask potępieńca. Dźwięk ten dochodził z dołu, z frontowego dziedzińca. Była to pijana w sztok Ona Crabtree.

- Dajcie mi to dziecko, wy suki! - krzyczała, wymachując listem od swej kochającej córeczki. - To dziecko jest moje i lepiej mi je tu przynieście, zanim podpalę ten wasz pieprzony dom. Puszczę was z dymem, wy Frettowskie dziwki, i odbiorę to dziecko!

Wyszłam z łóżeczka i podbiegłam do okna, by wyrzec na dziedzi-
niec i zobaczyć tę rozwrzeszczaną istotę. Była tak blada i wychudzo-
na, że ramiona, którymi wymachiwała, wyglądały jak białe kości. Za-
częłam płakać, będąc przekonana, że przyszła, aby mnie porwać
i wyjść mi trzewia.

Wtem zapaliło się światło i w drzwiach stanęła Genny. Potem zja-
wiła się moja mama, która podbiegła do mnie, wzięła na ręce i mocno
przytuliła. Zabrała mnie od okna i usiadła ze mną na łóżku. Trzymając
za podbródek, obróciła moją twarz, aby znajdowała się dokładnie na
wprost jej twarzy, w obrębie jej zawężonego pola widzenia. Spojrzałam
w jej oczy, szare, spokojne i pełne otuchy, a mama zaczęła swoją opo-
wieść.

Był to pierwszy raz, kiedy opowiedziała mi o moich narodzinach
i kiedy poznałam dzieje naszej miłości. Nie przypominam sobie szcze-
gółów tej konkretnej opowieści, spowitej we wspomnienia tysięcy in-
nych takich rozmów. Ale pamiętam to pokrzepienie, które dawały mi
jej ręce, mówiące mi, że jestem bezpieczna, że nazywam się Nonny Ja-
ne Frett i jestem jej dzieckiem i nikogo innego. Mogła też próbować
mi powiedzieć, kim jestem albo tylko kim chciałaby, abym była, ale
jakkolwiek by na to patrzeć, najbardziej wyraziście dotarło do mnie to,
że jestem tak bardzo kochana.

Patrząc na ręce mamy, słyszałam dobiegające z zewnątrz wrzaski.
To przypuszczalnie Bernese i Ona przekrzykiwały się nawzajem na
trawniku. Bezgłośnie zapewnienie mojej matki, ciche, ale tak wymow-
ne, zepchnęło tamte głosy na dalszy plan, a potem jej ruchome słowa
skąpały się w migotliwych odblaskach czerwieni i błękitu wpadających
przez okno, kiedy to policja przyjechała zaprowadzić porządek i za-
brać Onę.

Teraz czułam spojrzenie Ony na swej skórze jak dotyk łąpczy-
wych palców i wiedziałam, że nasza rozmowa nie dotyczy Genny ani
tego, że Bernese zastrzeliła jej psa. Nasza rozmowa była o dwadzie-
ścia siedem lat starsza. Czułam, jak przytłacza mnie straszliwa siła jej

miłości. Była zacięta, beznadziejna i niemal całkowicie pozbawiona wzajemności.

Mój gniew częściowo przycichł pod wyraźnym ciężarem jej tęsknoty. Gdzieś w głębi, w samym środku mego umysłu byłam pewna, że ten pies uwolnił się przez przypadek. To była właśnie jedna z tych rzeczy, a poza tym Ona nie zadzwoniła do swego brata ani do jego szalonych synów, domagając się brutalnej zemsty. W każdym razie jeszcze tego nie zrobiła. Przyszła tu, aby się przekonać, czy uważam ją za winną i czy ją znienawidziłam. Utraciła mnie na tak wiele sposobów i zdawałam sobie sprawę, jak wciąż wielkie ma to dla niej znaczenie.

- Ale Genny wyjdzie z tego - powiedziałam. - Tak mówią.

- Przyglądałam się wam wszystkim i wydawała mi się dosyć zwa-wa. Siedziała na łóżku i odprawiała rękami te swoje gówniane czary.

- Genny spała na drugim łóżku. Rozmawiałam na migi z moją mamą.

- No to dobrze. - Ona przysunęła się bliżej mnie. - Już się martwiłam, że pies dobrał się jej do krtani. W takim razie co ta ślepa robi w szpitalu, skoro ta druga jest ranna?

Starałam się być spokojna, ale to za sprawą jej genów posiadałam bardzo skąpe zasoby cierpliwości.

- Moja matka nazywa się Stacia Frett. Wiesz, że ma na imię Stacia, a nie ta ślepa.

- Ale ona *jest* ślepa - odpada Ona usprawiedliwiającym tonem.

- Owszem, jest - przytaknęłam.

- I głucha też - dodała.

- Tak, od urodzenia.

- Jak ktoś taki może być matką - powiedziała Ona. Nie mówiła tego w złości, w jej głosie słychać było zadumę, ale z tego, jak unikała mojego wzroku, domyśliłam się, że jest poirytowana. - Nie widziała, co robisz, ani cię nie słyszała i cud, że nie upuściła cię na głowę i nie jesteś opóźniona.

- Może nie upuściła mnie dlatego, że była trzeźwa - odparłam.

Z gardła Ony wydobył się krótki chrapliwy kaszel. Rozciągnęłam dłonie raz i drugi, starając się nie zaciskać ich w pięści.

„Czyń pokój - pomyślałam sobie. - Daj jej, czego chce, żeby nie zadzwoniła do swojego brata i pozbyła się tamtych psów”. Liczyło się tylko to, aby Genny czuła się bezpiecznie. Jedyne, co do mnie należało, to zabiegać o pokój, a potem mogłam wracać do domu, rozwiesić się i na zawsze rzucić w diabły Athens i Jonno. Jako tłumaczka języka migowego mogłam znaleźć pracę w Atlancie, nie dalej jak godzinę jazdy od domu. Może nawet mogłabym latem zabierać Fisher na trochę i wyjechać z nią z Between, z dala od tych wszystkich Frettów, psów i przeklętych Crabtreech. Mogłybyśmy wybrać się do Centennial Park, usiąść przy fontannie i opychać się jakimiś cholernymi morelami.

Przez moment widziałam, jakie mogłoby to być łatwe, tymczasem Ona przytłaczała mnie zachłannymi spojrzeniami. Rozpaczliwie starała się nawiązać jakiś kontakt i wydawało się realne, że gdybym nachyliła się do niej i wzięła ją w objęcia, że gdybym obdarzyła ją czymś takim, może doszłybyśmy w ten sposób do porozumienia. Ale tak trudno było mi nachylić się w jej stronę. Nie wiedziałam, jak okazać uczucie, którego w sobie nie miałam, zwłaszcza że oczekiwała tego ode mnie, wyrażając się lekceważąco o mojej matce.

- Chciałam jedynie powiedzieć, abys miała na uwadze, że mówisz o mojej matce - starałam się tchnąć w mój ton trochę ciepła.

- To moja córka nosiła cię w sobie. Ona jest matką - oświadczyła. Wciąż była sztywna i napięta. - Ja jestem twoją rodzoną babką.

- Wiem, kim jesteś - odparłam beznamiętnie i stałyśmy w tej wnęce, rozdzielone całą naszą przeszłością.

Po tym, jak Hazel wyjawiała swój sekret i opuściła miasteczko, Ona próbowała ubiegać się o prawo do opieki nade mną, ale Isaac Davids udaremnił te starania. Kiedy miałam pięć lat, ostatecznie zgodził się, by pozwolić jej na ograniczony kontakt ze mną, prawdopodobnie żeby oszczędzić nam ciągania po sądach. Nie jestem pewna, czy przeprowadzona naprędce przez Issaca adopcja była w stu procentach ko-

szerna. Kiedy klientem była Bernese, Isaac ochoczo wykorzystywał wszystkie dostępne kruczki prawne.

Kontakt z Oną nie trwał długo. Zapamiętałam kilka wymuszonych spotkań, kiedy siedziała spięta i zażenowana za kierownicą swej półciężarówki i wioząc mnie do Tastee-Freeez, zadawała pytanie za pytaniem. Czy dobrze mi idzie w szkole? Czy mam przyjaciółki? Czy „ci ludzie” karmią mnie, jak należy?

Jawnie wrogi sposób, w jaki mówiła o mojej matce i reszcie rodziny, sprawiał, że nie umiałam usiedzieć na miejscu. Mając pięć lat, nie wiedziałam, co powiedzieć, kiedy podając mi porcję lodów, mówiła:

- Jesteś wychowywana przez złodziei.

Wyrażała się o Bernese, używając tego samego określenia, jakim ta nazywała jej sukę alfa. Prawdopodobnie nienawidziła jej bardziej niż mamę i Genny razem wzięte. Ona nie była głupia i wiedziała, kto dopilnował wszystkich formalności. Właściwie jeżeli po bożym świecie chodził ktoś, kogo Ona Crabtree nienawidziła bardziej niż Frettów, był to ich prawnik. Frettowie nigdy nie byłiby w stanie mnie przygarnąć, gdyby nie Isaac. Bernese mogła sobie mieć za męża Lou Baxtera, ale to Isaac był jej prawą ręką. Wujek Lou zawsze wydawał mi się przemęczony, jak gdyby miotał się rozpaczliwie, usiłując dotrzymać kroku swej żonie, ale to Isaac Davids szedł zawsze obok niej i Ona o tym wiedziała.

Po jednej z takich nienadzorowanych wizyt, która okazała się ostatnią, wyszłam z domu Ony i przywitałam się z mamą i Genny, oczekującymi mnie na chodniku.

- Co to jest żydowska ciota? - zwróciłam się do Genny.

Posługiwałam się już biegle językiem migowym, ale moje umiejętności były niewystarczające, bym mogła zapytać mamę o nieznanne mi dotąd słowo. Genny pobladła i powtórzyła mamie moje pytanie.

Skąd znasz takie słowo? - zapytała mama.

Obserwowałam ręce Genny i teraz mogłam odpowiedzieć.

Ona nazywa pana Isaaca żydowską ciotą z Between - wyjaśniłam.

Mama stanęła tak, bym nie mogła widzieć jej dłoni, które zatrzeptały gwałtownie, kiedy mówiła coś Genny. Potem obróciła się do mnie i zaczęła mi wszystko cierpliwie wyjaśniać.

Onie nie podoba się to, że pan Isaac jest Żydem. Taka jest jego religia, tak samo jak my jesteśmy baptystami. Oznacza to też, że jest narodowości żydowskiej, tak jak ty jesteś z pochodzenia Irlandką, a my wywodzimy się od Niemców i Seminoli. Niektórzy ludzie nie lubią takich, którzy wydadzą się inni niż oni. To głupi sposób myślenia, a my Frettowie nie jesteśmy głupi.

A tamto słowo... To nie jest ładne słowo. Nie powtarzaj go. W naszym domu mężczyznę, który nie ma żony, nazywamy kawalerem. Zrozumiałaś?

Skinęłam głową. Mama pocałowała mnie i od razu udałyśmy się wszystkie do domu Bernese. Bernese znów wezwała Isaaca, który za parę dni zapukał do drzwi Ony z kolejnymi dokumentami. Od tej pory nasze spotkania odbywały się pod nadzorem. Oznaczało to, że chodziłam w asyście mamy i Genny do parku albo McDonalda w Loganville, gdzie widywałam się z Oną. Genny i mama siedziały obok siebie, ramię w ramię, w odległości niecałych dwóch metrów ode mnie i Ony. Obserwowały ją przesywającym i nieprzyjaznym wzrokiem, siedząc tak nieruchomo, jak gdyby stanowiły element wystroju wnętrza.

Teraz obie leżały poturbowane w szpitalnej sali, a Ona nawiązywała ze mną zatrważający i nienadzorowany kontakt.

- Co to znaczy, że wiesz, kim jestem? Jestem twoją krewną i nie powinnaś trzymać z Bernese Baxter przeciwko mnie.

- Próbowałam wyjaśnić Bernese, jak to wygląda od twojej strony. - Wzięłam głęboki oddech. - Odbyłam z nią długą rozmowę i zapewniam cię, że teraz, kiedy jest już po wszystkim, Bernese żałuje, że zastrzeliła twojego psa. Tak samo jak ty bez wątplenia żałujesz tego, co twój pies zrobił Genny. Nie będzie domagała się od ciebie odszkodowania za pobyt Genny w szpitalu. A ona ma ponad czterdzieści szwów i będzie musiała tu zostać jeszcze kilka dni.

Ona syknęła z irytacji i wyciągnęła colę z automatu.

- To zwykła stara cola - powiedziała, gapiąc się na puszkę. - A ja chciałam tę waniliową.

- Wiesz, że wielu ludzi domagałoby się zwrotu kosztów leczenia. Myślę, że w ten sposób Bernese chce udowodnić, jak bardzo żałuje. - Przymilna nuta w moim głosie napawała mnie obrzydzeniem, ale zdobyłam się na wymuszony uśmiech i zrobiłam krok w jej stronę.

- Bernese śpi na kupie forsy i nie rusza jej to. - Ona wyróciła oczami. Otworzyła puszkę i pociągnęła łyk. - Powiem ci coś, jeżeli ona puści to w niepamięć, to ja też.

- Dziękuję ci, Ono. Obawiałam się, że mogłabyś zadzwonić do swojego brata. Wiesz, że najstarszy z jego chłopaków, Billy, jest dość porwoczy. - Użyłam określenia, które zasługiwało na rangę niedopowiedzenia stulecia. - Mam nadzieję, że nie będziesz ich wszystkich denerwować i tu ściągać.

- Bądź co bądź ci chłopcy mogliby narobić sobie kłopotów, prawda? - Wzruszyła ramionami. - Ale teraz myślę, że obie możemy to załatwić między sobą.

Ciężko przełknęłam ślinę.

- Miałam też nadzieję, że pomyślisz o tym, aby znaleźć nowy dom dla pozostałych dwóch psów - dodałam. - Może przyjąłby je któryś z twoich krewnych. Muszę ci powiedzieć, że strach mnie ogarnia na samą myśl, co mogłoby się stać, gdyby znów wydostały się na wolność. Bernese nalega, aby je uspić, ale też jej mogę to wyperswadować, jeżeli gdzieś je wywieziesz.

Ona kiwnęła głową niemal potakująco.

- Mam dalszego kuzyna, Clintę, który może zechce je przyjąć. - Przynęła się do mnie o krok, tak blisko, że czułam jej oddech, w którym spod słodkiego zapachu coli przebijała się lekka woń zgnilizny. - Rozglądał się za jakimiś dobrymi psami, a mieszka kawałek w stronę Baton Rouge.

- Naprawdę jestem ci za to wdzięczna. - Sięgnęłam do jej ramienia i obdarzyłam ją przelotnym uściskiem. - Muszę już wracać, zobaczyć, co z Genny.

Nim zdążyłam się obrócić, Ona rzuciła się na mnie i objęła kościstymi ramionami. Zesztywniałam i niemalże odruchowo odskoczyłam, ale zaraz zmusiłam się do odprężenia i jedną ręką odwzajemniłam jej uścisk. Kiedy mnie puściła i cofnęła się o krok, wiedziałam, że wyczuła mój mimowolny opór. Jej gardło poruszało się, kiedy przełykała, a powieki drgały nerwowo. Patrzyłam, jak jej zwilgotniałe oczy znów stają się lodowato zimne, przewyciężając cierpienie.

- Zapomnijmy o całej sprawie, kiedy tylko dostanę, powiedzmy, osiemset dolarów - powiedziała, opuszczając wzrok.

- Osiemset dolarów? - powtórzyłam.

- Tak - potwierdziła. - Te psy to czystej rasy doberman. A suka była najlepsza z miotu. Była warta tych czterech stów, jakie za nią dałam. I chcę po dwieście za każdego z tamtych pozostałych. Jako że weźmie je mój kuzyn, byłoby nie w porządku, żeby Bernese płaciła za nie całą cenę.

Nie byłam pewna, ile mam na koncie, ale nie miałam wątpliwości, że mogę te osiemset dolarów wziąć od mamy. Mama była tak samo pragmatyczna jak Bernese, ale tylko w połowie tak zapalczywa. Byłaby gotowa zapłacić, aby mieć pewność, że Genny będzie bezpieczna, bo jedynie to miało dla niej znaczenie. Wiedziałam, że w ten sposób mogę zapobiec wojnie i dalszemu rozlewowi krwi, a tylko to się dla mnie liczyło.

- To mi się wydaje rozsądne. Mogę ci przynieść pieniądze.

- Czemu nie, przyjdź w piątek wieczorem. Nie widziałam cię już całe wieki. Przyrządę pieczeń.

- Bardzo chętnie zjem z tobą kolację - przytaknęłam skwapliwie.

- To świetny pomysł. Osiemset. W porządku. No to do zobaczenia.

Szłam już korytarzem, niemal oszołomiona ulgą, kiedy Ona wynurzyła się zza rogu i zawołała za mną:

- Nie przynos gotówki. Nie mogę trzymać pieniędzy w domu. Wiesz, Tucker wyszedł na zwolnienie warunkowe i jeśli coś znajdzie, od razu przepije.

Serce zakołatało mi w piersi. Odwróciłam się do niej.

- To może przyniosę ci je w piątek rano, kiedy banki są otwarte - zaproponowałam.

- Nie, przyjdź na kolację. Możesz przynieść mi czek. - Uśmiechnęła się, wlepiając we mnie lisie spojrzenie swych chytrych poślódkłych oczu. - Czek od Bernese. Skoro ona się tak czuje, mogłaby jeszcze napisać „przepraszam” w miejscu, gdzie się wpisuje, za co jest czek, ale absolutnie tego nie wymagam. Jej czek. Podpisany przez nią. To mi wystarczy za przeprosiny. Kiedy go dostanę, wydam psy.

Otwarłam usta, aby jej coś odpowiedzieć, ale Ona uniosła puszkę jak do toastu i powiedziała:

- Do zobaczenia w piątek.

Rozdział 8

- Po moim trupie! - krzyknęła Bernese. - Po moim wzdętym, gnijącym i po dwakroć martwym trupie i po trupach moich oprawców.

- O Boże, pomóż - wyszeptałam, patrząc w sufit. Spróbowałam jeszcze raz: - Mówisz poważnie? Bo bratankowie Ony mogą ci to zapewnić.

Pomagałam Bernese wymieniać ekspozycję na półce z przodu sklepu. Pod przeciwległą ścianą znajdowały się lada i kasa, a pomiędzy nimi okno wystawowe i sporych rozmiarów dziecięcy stół do zabawy. Za nami stały rzędy regałów zastawionych domkami dla lalek, strojami, mebelkami oraz formami i zestawami do samodzielnego montażu. Na wszystkich tych półkach były same lalki. Kopie lalek mojej matki.

Lalki przyglądały mi się tępych wzrokiem. Wszystkie były umieszczone w oddzielnych pudełkach, które ściśnięte w równiutkich rzędach ciągnęły się od podłogi do sufitu. Lalki mojej mamy były śliczne, ale tutaj znajdowało się ich po prostu za dużo, stały w idealnych szeregach jak piękne, łagodne żołnierzyki. Cała ściana wyglądała jak katakumby w klasztorze karmelitów bosych. Katakumby z oczami.

- Podaj mi żabki - powiedziała Bernese.

Balansowała na szczycie rozklekotanej drabiny, układając zwierzęce lalki. Moja mama wykonała serię lisów o długich pyszczkach, korpulentnych niedźwiadków, żabek bez szyi i ciemnoookich kotów. Wszystkie miały kosmate rączki i delikatne stopy, wygięte w łuk i przypominające zwierzęce łapki. Genny uszyła dla nich wyprostowane korpusy o ludzkich kształtach i ubrała je z wiktoriańską wytwornością.

Krzywiąc się, zaczęłam wyciągać pudełka z otwartej skrzyni, która stała obok drabiny. Byłam cała obolała po nocy spędzonej na krześle między szpitalnymi łózkami. Mamę wypisano dopiero tego ranka.

Bernese ustawiała żabki na najwyższej półce, a jej pulchne ciało oparte na drobnych stopach balansowało ryzykownie. Wszyscy Fretto- wie mieli komicznie krótkie i szerokie stopy. Pławne stopy, jak mawiała Genny. Moje za to przyrównywała do nart, gdyż były podłużne i wąskie, o grzbietach nakrapianych bladymi piegami.

- A więc Crabtree chcą moich pieniędzy. To szokujące - stwierdziła Bernese. - To Ona powinna mi zapłacić, bym jej nie zaskarżyła i nie zabrała tej głupiej stacji benzynowej. Mogłabym tam założyć BP z porządną toaletą. U niej urzędują jakieś długowłose typy, których ledwie można o coś spytać.

- Na litość boską - syknęłam, zerkając w stronę Fisher.

Po lunchu odebrałyśmy ją wraz z mamą z przedszkola i teraz obie bawiły się jednym z otwartych domków dla lalek. Bernese złożyła dwa takie domki, głównie z myślą o Fisher, ale również dla dzieci klientów. Było tam też pudełko ze sfatygowanymi mebelkami i około dwudziestu lalek, które pamiętały lepsze czasy. Mama i Fisher wyjęły z pudełka całą rodzinę lalek i były pogrążone w cichej rozmowie na temat ich wymyślanego życia.

- Ona nie słucha - uspokoiła mnie Bernese, a Fisher natychmiast uniosła wzrok.

- Tu jestem - powiedziała, a jej zwinny umysł pięciolatki nie przerywał opowieści o losach najmłodszej z lalek, którą snuła, dotykając rąk mamy, kiedy zwróciła się do nas. - Czy wciąż jeszcze są Żydzi?

- O co ci chodzi? - zapytała Bernese, marszcząc brwi.

Fisher wzruszyła ramionami. Podała lalkę-niemowlaka mamie, która dotykaniem odnalazła drogę do pokoju dzieciennego na drugim piętrze domku i włożyła ją do łóżeczka. Mama siedziała na składanym krześle, które Bernese przytargała z magazynu, ale jej dłonie nie poruszały się z typową dla nich sprawnością. Musiała zażywać środki

przeciwbólowe, gdyż okaleczone ramię i poobijany bok dawały się jej we znaki. Miała szczęście, że upadając, nie złamała sobie kości biodrowej. Leki sprawiły, że była otumaniona i pobladła. Ilekroć znajdowałam się w pobliżu mamy, jej powierzchowność zazwyczaj pozwalała mi bezbłędnie wyczuć, w jakim jest nastroju. Dzisiaj odnosiłam wrażenie, jakby się skurczyła i przybyło jej lat. A może to dlatego, że siedziała sama. Prawie nigdy nie widywałam mamy bez Genny. Tymczasem Genny była jeszcze w szpitalu. Siedziałyśmy z mamą przy niej, dopóki nie nadeszła pora, aby odebrać Fisher z przedszkola. Genny zapadała w drzemkę i budziła się, a kiedy wychodziłyśmy, twardo spała.

Fisher robiła teraz przemeblowanie na drugim piętrze domku, urządzając salonik muzyczny, gdzie jedna z młodszych lalek mogła ćwiczyć grę na maleńkich skrzypcach.

- Tak jak w czasach biblijnych były dinozaury, ale już ich nie ma - powiedziała. - Czy są jeszcze Żydzi?

- Metodyści - mruknęła Bernese ponuro. - Widzisz, jakie bzdury przynosi do domu, kiedy zagląda do kościoła tej Tii?

- Oczywiście, że wciąż są jeszcze Żydzi - zwróciłam się do Fisher. - Znasz pana Isaaca, prawnika twojej babci? On jest Żydem. Ale dinozaurów tak naprawdę nie było w czasach biblijnych, Fisher. One żyły o wiele wcześniej.

- Jeśli wierzyć w ewolucję - wtrąciła Bernese. - My nie wierzymy.

Ustawiła na półce ostatnie zwierzątko, kaczkę o bujnych żółtych lokach wystających spod staroświeckiego czepka, po czym odwróciła się w moją stronę.

- Myślisz, że powinnam spłacić Onę Crabtree, prawda? - spytała. - Welkie nieba, Nonny, po czyjej ty jesteś stronie?

- To trudny wybór. Mówię ci, co powiedziała Ona, bo się boję, Bernese. - Podałam jej rękę i pomogłam zejść z drabiny.

- Bzdura. Uważasz, że powinnam zapłacić, a to znaczy, że bierzesz jej stronę - zaperzyła się Bernese.

- Uważam, że jeśli dostanie pieniądze, będzie to bezpieczniejsze dla nas - odparłam.

- Idź do niej i jej powiedz...

- Nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł.

Bernese chwyciła pustą skrzynkę i zaniósła ją w głąb sklepu. Znajdowały się tam drzwi, które prowadziły do magazynu i kantorka. W kantorku, niewielkim schludnym pomieszczeniu, stało biurko i dwie wysokie szafy na dokumenty zapchane paragonami, formularzami podatkowymi, zamówieniami i teczkami klientów. Teczki były posegregowane według kategorii i podkategorii, niektóre alfabetycznie, niektóre chronologicznie, a jeszcze inne według znanego tylko Bernese porządku, w zależności od rodzaju teczki. Każdemu, kto nie był Frettem, mogłoby się wydawać, że panuje tam chaos, i faktycznie, poza samą Bernese jedynie Isaac Davids był w stanie znaleźć potrzebny dokument i nie potrzebował do tego trzech godzin, przewodnika ani garści prochów antydepresyjnych.

W kącie sklepu znajdowały się schody, które prowadziły na piętro, do umeblowanego mieszkania z dwiema sypialniami. Bernese nazywała to pięterko swoimi włościami pod wynajem, chociaż nigdy ich nie wynajmowała.

- Oto do czego prowadzi takie bieganie między tobą a nią. Ona myśli, że jestem po twojej stronie, ty myślisz, że trzymam z nią - mówiłam, idąc za Bernese. - W końcu obie będziecie bardziej wściekłe na mnie niż na siebie nawzajem.

- Niemożliwe, o ile nie zaczniesz chodzić na czterech łapach i oświadczyć, że odgryziesz Genny drugiej ręki. - Bernese otworzyła drzwi, wrzuciła pustą skrzynkę do magazynu i przecisnęła się obok mnie, wracając za ladę. - Powiedz Onie, że jeśli sama nie pozbędzie się tych psów, sama wskażę im drogę do piekła.

- Szkoda, że nie jestem Żydówką - oznajmiła Fisher żałosnym tonem.

- Całe szczęście - krzyknęła na nią Bernese.

Parsknęłam śmiechem. Fisher nie cierpiała, kiedy się z niej śmiałam. Była już na mnie rozgniewana i wiedziałam, że gdybym nawet się uśmiechnęła, chodziłaby nadąsana przez cały dzień.

- Nie możesz wypisać tego głupiego czeku? - podeszłam za Bernese do lady. - Po tym, co stało się mamie i Genny, jestem tak samo wściekła jak ty, ale przynajmniej rozumiem, że to był wypadek.

- A właśnie, że nie - zawołała Fisher za nami. - Ja chcę być Żydówką.

- Nie, Fisher. Chcesz być baptystką. I nią jesteś, więc ciesz się z tego - odpowiedziała Bernese, po czym zwróciła się do mnie: - Dlaczego to ja mam ugłaskiwać Onę Crabtree, skoro to wszystko stało się z jej winy?

Schyliła się za ladą i zaczęła robić porządki na półkach, poprawiając równe rzędy papierowych torebek.

- Żydzi to naród wybrany przez Boga! - zawołała Fisher uroczystym tonem, kiwając w tył i w przód ojcem lalkowej rodziny.

Bernese spojrzała na nią zza lady. Poczzerwieniała na twarzy, a jej oddech stał się szybszy.

- Żydzi pójda do piekła. Chcesz iść do piekła?

- Bernese - upomniałam ją. - Jesteś o krok od jawnej demoralizacji. A nawet bliżej.

Fisher przerwała rozmowę z mamą i spojrzała poważnie na Bernese.

- Pan Isaac pójdzie do piekła?

- Nie, oczywiście, że nie - odpada Bernese.

- No właśnie. Bóg wtrąca do piekła tylko tych ludzi, którzy ci się nie podobają - zniżyłam głos tak, aby słyszała mnie tylko Bernese. - Co w ciebie wstąpiło?

Bernese posłała mi jadowite spojrzenie, po czym zwróciła się do Fisher:

- Tak naprawdę nikt prócz Boga nie wie, kto pójdzie do piekła. Ale gdybyś była Żydówką, nie mogłabyś obchodzić Gwiazdki. Ani

chodź z nami do kościoła co niedziela. Chciałabyś wyjeżdżać na wakacje ze szkółką biblijną, ale byś nie mogła.

Mama poklepała rączkę Fisher, która odwróciła się od nas, przyjmując rezolutną pozę. *Babcia nie pozwala mi być Żydówką* - zwróciła się w języku migowym do mamy, dotykając jej lewej dłoni.

Mama po chwili zastanowienia odnalazła pokoić na pierwszym piętrze domku i przez chwilę błądziła po nim palcami, dopóki nie znalazła lalki. Podała ją Fisher, a potem jej dłonie zaczęły mówić: *Ta dziewczynka jest Żydówką. To prawdziwa dziewczynka. Nazywa się Anna Frank.*

Czy ona gra na skrzypcach? - zapytała Fisher, a wtedy moja matka roztoczyła przed nią opowieść. Po kilku minutach obie pomagały Annie i jej rodzinie w urządzaniu mieszkanek na poddaszu. Według wersji Fisher Anna Frank zamieszkała w kryjówce z kilkoma ojcami, matką siostrzyczką i skrzypcami. Matce lalek została przypisana rola nazisty.

Zadźwiewał dzwonek przy drzwiach i do sklepu weszła para młodych ludzi. Turyści. Wyglądali na zmęczonych, jak po kilku godzinach jazdy samochodem, w podróżnych ubraniach wyjętych prosto z walizki. Mężczyzna trzymał na rękach dziecko, może trzyletniego brzdąca o jasnych anielskich lokach. Bernese uniosła wzrok i w szerokim uśmiechu odsłoniła wszystkie swoje kwadratowe siekacze.

- Dzieci! - zawołała mała dziewczynka, pokazując na wystawę lalek.

- Tak - odpowiedziała jej matka i skuliła się pod ostrzałem wielu par wpatrzonych w nią oczu lalek. - Dużo dzieci.

Ojciec trzymał w ręku przewodnik *Samochodem przez Południe*. Był to najbardziej rozpowszechniony przewodnik, w którym pojawiało się Muzeum Lalek i Motyli, jakkolwiek zawstydzająco słabo przygotowywał ludzi do wizyty w owym miejscu.

- Na drzwiach jest napisane, że możemy tu kupić bilety do muzeum - powiedział mężczyzna.

- Owszem - odparła Bernese. - Dorośli pięć dolarów, a nasza mała przyjaciółka chyba wejdzie za darmo. Nie ma jeszcze czterech lat?

Podczas gdy Bernese wymieniała uprzejmości i rozliczała się z ojcem, ja próbowałam zająć się matką, ta jednak była pochłonięta obserwowaniem Fisher, która porozumiewała się z mamą, dotykając jej dłoni. Również przyglądałam się im przez chwilę. Najwyraźniej Anna Frank zaprzyjaźniła się z Atomówkami i właśnie schodziła z poddasza, aby dać wycisk nazistom.

Dyskretnie chrząknęłam, a matka spojrzała w moją stronę. Skinęłam w stronę jej córki głową, a potem potrząsnęłam nią przecząco, chcąc dać do zrozumienia, że muzeum nie jest najlepszym miejscem dla takiego brzdąca. Kobieta musiała mnie opacznie zrozumieć, gdyż odsunęła się od mamy i Fisher, oblewając się lekkim rumieńcem.

- Nie chciałam być niegrzeczna - wyjaśniła. - Nigdy nie widziałam tego, co one robią.

Bernese podeszła do nas, nim zdążyłam otworzyć usta.

- Teraz proszę państwa za mną. Wpuszczę was do środka i możecie zwiedzać, ile dusza zapagnie.

- Powodzenia - rzuciłam za nimi, kiedy kierowali się za Bernese w stronę wyjścia, niczym bezbronne kaczątko, które przypadkowo podążają śladem drapieżcy.

Bernese posłała mi wrogie spojrzenie i zwróciła się do gości:

- Kiedy zobaczą już państwo muzeum, zapraszam z powrotem na zakupy. Mamy wszystkie typy...

Potem drzwi zatrzasnęły się i nie dosłyszałam już nic więcej.

- Czemu oni zabierają tam takie małe dziecko? - Fisher nie odrywała wzroku od swojej zabawy. - Czy oni zgłupieli?

- Nie znają się.

Chwilę później Bernese wróciła do sklepu i wykrzywiła usta w szerokim, radosnym uśmiechu.

- Wcześniej jak na sezon turystyczny - powiedziała. - Ale w tym tygodniu miałam już kilku. I to nawet nie w weekend!

- Zostawiłaś ich samych? - zapytałam.
- Lou tam jest, sprząta terraria. Będzie miał na nich oko.
- Skoro jesteś w dobrym nastroju, to co się tyczy Ony... mogłabyś pomyśleć o jakimś ustępstwie?

- Znaczy, ustąpić jej - zachnęła się. - Nie oczekuj tego po mnie. I mówię całkiem poważnie, żeby zabrała te psy. Powtórz jej to.

Uniosłam bezradnie ręce ku niebu.

Znów odezwał się dzwonek przy drzwiach i Bernese odwróciła się w tamtą stronę, wyszczerzając zęby w uśmiechu przeznaczonym dla turystów i klientów. Tym razem był to jednak tylko Henry, który wetknął głowę przez drzwi.

- Kawy? - zwrócił się do mnie, unosząc brwi.

- Chętnie - odpowiedziałam. - Daj mi chwilę.

Henry zamknął drzwi za sobą. Podeszłam do mamy i uklęknłam obok na podłodze, kreśląc serduszko na jej ramieniu, aby zwrócić na siebie uwagę i powiedzieć, że wybieram się do księgarni. Mama chciała zostać i pobawić się z Fisher, więc zaproponowałam, że przyniosę jej coś na kolację z restauracji. Miałyśmy za sobą długi dzień, a nie chciałam obarczać jej gotowaniem.

Zanim wstałam, Fisher złapała mnie za rękę i nachyliła się do mnie.

- Kiedy już dorosnę, żeby zostać Żydówką, pozwolę ci przyjść do mojego kościoła - wyszeptała mi do ucha. - Nawet jeżeli nie będę mogła przychodzić do twojego.

Jej oddech sprawiał, że jeżyły mi się włosy na karku. Był ciepły i pachniał cukierkami. Mama musiała podtykać jej słodocze. Spojrzałam na nią równie poważnie, jak ona na mnie.

- Wiem o tym - wyszeptałam w odpowiedzi.

Fisher rzuciła mi się na szyję, uderzając mnie w zęby głową. Potem przekrzywiła ją tak, by wcisnąć twarz między moją szyję a ramię. Wciskała się we mnie i trzymałam w objęciach mały ubity kłębek mięśni, a potem nagle się rozluźniła. Ścisnęłam jej nóżkę, a zęby wciąż bolały mnie od uderzenia. Puściła mnie i zaczęła się wyrывać, ale ponieważ

wciąż ją tuliłam, musiała wypęłznąć z moich ramion. Kiedy już się uwolniła, poklepała mnie po ramieniu, jak gdyby chciała dodać mi otuchy. Potem wróciła do mamy i lalek. Wstałam, rozcierając usta.

- Przyniosę mamie kolację. Czy wy też coś chcecie? - zapytałam przy wyjściu.

- Jeśli idziesz do restauracji, przynieś nam pieczeń rzymską z dużą porcją sosu - powiedziała Bernese.

- Fisher tego nie tknie.

- To dla mnie i Lou. Fisher stosuje dietę z książki.

- Powinnaś z tym skończyć - zwróciłam się do niej delikatnym tonem. - Fisher to jeszcze dziecko i jej organizm wciąż się rozwija. Co by się stało z twoimi gąsienicami, gdybyś przestała je karmić?

Bernese odpowiedziała mi równie łagodnie:

- Pod tym względem nie wchodź mi w drogę, Nonny, zwłaszcza przy niej.

- Coś jest z tobą nie tak, Bernese. Traktujesz ją, jakbyś nie była sobą. Co się stało?

Bernese zbyła mnie milczeniem i tylko zerknęła na Fisher.

- Czujne ucho - mruknęła.

Spojrzałam na Fisher. Siedziała z głową pochyloną nad lalkami, ale jej plecy były wyprostowane i napięte, a ciało zastygło w bezruchu. Nasłuchiwała uważnie, nawet kiedy poruszała lalkami albo komunikowała się z mamą, dotykając jej rąk.

- Wrócimy do tego później - powiedziałam i wyszłam.

Rozdział 9

- Z gorącym mlekiem czy mała czarna? - Henry z uśmiechem zerknął na mnie przez ramię.

Dla siebie przygotował podwójną espresso. Na ladzie stała filiżanka wypełniona tak gęstą i czarną cieczą, że wyglądała niemal jak stężała. Dla Henry'ego liczył się czysty efekt.

- Poproszę podwójną. I dużo gorącego mleka. Jak masz cukier, to posłódź trochę. A jak masz opium, to dodaj kopiastrą łyżeczkę.

Z przodu sklepu, tuż przy drzwiach, znajdowała się kasa, a reszta lady zamieniła się teraz w bar kawowy. Opadłam ciężko na jeden z taboretów i podpadam głowę rękami.

- Mam opium waniliowe - Henry pokazał mi butelkę syropu.

- Biorę - powiedziałam, a Henry przechylił butelkę nad największym z papierowych kubków. - Lej, nie żałuj.

- Tak źle?

- Z mamą już dobrze, a lekarz powiedział, że Genny też dojdzie do siebie. Nafaszerowali ją lekami do nieprzytomności. Za to Bernese chce mnie doprowadzić do apopleksji. - Pokręciłam głową.

- Będzie gorzej, nim zdąży się poprawić - stwierdził Henry. - Ona Crabtree jest gotowa iść na noże.

Wręczył mi kubek i pociągnęłam spory łyk latte, parząc sobie wargi.

- Bernese też. I nie chodzi tylko o tę awanturę z Oną. Cała moja rodzina wychodzi z nerwów. Bernese zachowuje się jak rozjuszona samica chomika. Gotowa kiedyś odgryźć głowę Fisher, o ile wcześniej nie zagłodzi jej na śmierć. Coś się nagle strasznie popsuło i nie potrafię

rozgrzyźć, o co chodzi. Fisher robi się przez nią markotna. Coraz bardziej. A mama też się denerwuje, bo Bernese sprzedawała kolejną z jej oryginalnych głów.

- Czemu ona wciąż to robi? - spytał Henry.

- Bo taka jest Bernese. Tej nocy w szpitalu mama poprosiła mnie, żebym wybrała za nią jakąś głowę - powiedziałam. - Nie czuje się na siłach, by zrobić to sama, i mówi, że nie chce nawet wiedzieć, co wybiorę. Myślę, że teraz jest zbyt przejęta Genny, żeby się tym martwić, ale jest pewne jak amen w pacierzu, że to się jeszcze na mnie zemści. Na pewno wybiorę nie tę głowę, co trzeba. Którąkolwiek bym wybrała, będzie to akurat ta, z której stratą najtrudniej się jej pogodzić, bo ona nie chce stracić żadnej z nich.

Tymczasem Ona domaga się, żeby Bernese zapłaciła za pogrzeb Zdziry, a co gorsza, każe mi przyjść do siebie w ten weekend na pieczeń i cała moja nadzieja w Bogu Wszchemogącym, że ty też zostaniesz zaproszony na tę kolację, w przeciwnym razie chyba tego nie wytrzymam, a w piątek po południu mam sprawę rozwodową, jeśli w ogóle na nią pójde... I teraz wiesz, jak to jest, kiedy wypełnia cię zgroza. - Zaskoczyło mnie, że jestem bliska płaczu.

Kiedy mówiłam, Henry przyglądał mi się uważnie.

- Nie jestem pewien, czy dodałem wystarczająco dużo opium - powiedział.

- Ani połowy. - Wypiłam już większość kawy i obserwowałam go spod opuszczonych rzęs. Mimo podłego nastroju próbowałam obdarzyć go najbardziej przymilnym uśmiechem, na jaki było mnie stać. - Nie sądzę, abyś był skłonny porozmawiać z Oną w moim imieniu. Ale może spróbowałbyś sprawić, żeby zmaźrała?

Henry pokręcił głową.

- Czy ja noszę plakietkę z napisem „Cześć, jestem Syzyf”? Mam zamiar trzymać się z dala od tej waśni. I ty też powinnaś.

- Prócz tego, że się tu urodziłam, ta waśń jest moim przeklętym spadkiem - odparłam posępnie.

Wypiłam resztkę kawy i wstałam, by wyrzucić pusty kubek. Nasze spojrzenia spotkały się na tej samej wysokości.

- Niestety bardzo niewiele mogę zrobić w tym względzie - powiedział. - A w szpitalu zostałam przyłapaną na zadawaniu się z wrogiem.

Patrzyłam, jak miarowymi i precyzyjnymi ruchami okręca w dłoni filiżankę. Miał kwadratowe dłonie o długich, tępo zakończonych palcach, a paznokcie zawsze przycinał bardzo krótko. Ręce Henry'ego sprawiały wrażenie za dużych przy całej jego żylastej sylwetce.

- Daj spokój - odezwał się w końcu. - Nie mam dzisiaj dużego ruchu, więc pomogę ci wybrać tę głowę. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

Postawił filiżankę na ladzie. Na drzwiach wejściowych wisiała dwustronna tabliczka z papierowym zegarem. Obrócił ją tak, aby od zewnątrz było widać napis „zamknięte” i ustawił wskazówki zegara na godzinę, o której spodziewał się wrócić.

Wybrukowaną uliczką ruszyliśmy w stronę muzeum. Mijając po drodze sklep Bernese, pomachaliśmy do niej przez szybę. Dostrzegłam czubek głowy mamy wystający sponad dziecięcego stolika.

Z muzeum wychodziła właśnie para młodych turystów. Delikatną buzią małej dziewczynki wstrząsały tłumione spazmy, a jej oczy były zaczerwienione od płaczu. Matka była blada, a ojciec spojrzał na mnie, po czym szybko odwrócił wzrok. Twarz miał wykrzywioną od gniewu. Otoczył żonę ramieniem i odciągnął ją na bok, aby zrobić przejście dla mnie i Henry'ego. Ominęli nas szerokim łukiem i udali się w stronę parkingu.

- Próbowałam ich ostrzec - powiedziałam, kręcąc głową.

Henry roześmiał się. Miał wspaniały śmiech, niski i gardłowy. Odziedziczył go po swej matce wraz z lekkimi pozostałościami cajuńskiej wymowy.

- Masz klucz? - zapytał.

Skinęłam głową i weszliśmy na schody. Na frontowych drzwiach wisiała tablica z napisem „Zapraszamy do Muzeum Lalek i Motyli”.

Pod spodem widniały godziny otwarcia oraz informacja, że bilety można kupić w sklepie obok. Weszliśmy do środka i zamknęliśmy za sobą drzwi na klucz.

Nad holem wznosił się podest, na który prowadziły schody, jednak teraz wejście na górę było zagrodzone grubym ozdobnym sznurem. Drzwi do pracowni zamykano od środka na zasuwę, kiedy mamy i Genny nie było w środku.

- Musimy przedostać się do tylnych schodów - powiedziałam.

Po jednej stronie schodów wisiała strzałka z napisem „Motyle”, która kierowała zwiedzających do drzwi po lewej. Po drugiej stronie na podobnej tabliczce skierowanej w prawo widniał napis „Lalki”.

- Zabawmy się w turystów - zaproponował Henry. - Którą stronę wybierasz?

- Lalki - odparłam bez chwili zastanowienia.

- To ja obejrzę motyle. Spotkamy się z tyłu. - Skierował się w lewo.

Pomieszczenia na parterze tworzyły wielki krąg poprzedzielany szerokimi łukowatymi przejściami. Przy trasie Henry’ego znajdowały się wszystkie terraria Bernese, wypełnione gąsienicami i kokonami, a nad każdym z nich wisiała tabliczka z informacjami o gatunku oraz przyszpilonymi dorosłymi osobnikami, które Bernese własnoręcznie spreparowała. W muzeum nie było żywych motyli. Kiedy wykluwały się z kokonów, Bernese wypuszczała je na skwerze. Ogrodniczy Klub Baptistek dbał, aby przez całą wiosnę i lato klomby były pełne kwiatów przyciągających motyle.

Usłyszałam, jak w pierwszej sali za przedsionkiem Henry wita się z wujkiem Lou. Gąsienice to w zasadzie maszyny do pożerania, które spędzają cały czas na przetwarzaniu pożywienia w nawóz. Pasjonujące zadanie usuwania ich odchodów przypadło w udziale Lou.

Posłusznie udałam się w kierunku, który pokazywała strzałka z napisem „Lalki”. Weszłam do wielkiej sali, która była poświęcona pracom mojej matki. Było tam wystawionych kilka spośród jej najwcześniejszych lalek, włącznie z pozostałościami pierwszej lalki z masy

solnej. Większość twarzy zdążyła już się wykruszyć, ale kształt głowy i czerwony jedwabny korpus pozostawały nadal nietknięte. Na ścianie po prawej wisiały tablice, które prezentowały skróconą biografię mamy i wyjaśniały, na czym polega syndrom Ushera. Między nimi znajdowały się zrobione w różnych okresach zdjęcia mamy i Genny, na których przeważnie pracowały nad lalkami.

Na ścianie po lewej, oprawione w jedną podłużną ramę, wisiało zdjęcie oraz kilka kartek artykułu, który ukazał się w magazynie „Life”, kiedy mama miała dwadzieścia parę lat. Był to artykuł, który pomógł Bernese i Isaacowi zawrzeć kontrakt z firmą Cordova Toys. Na zdjęciu moja matka stała obok Genny, która nieśmiało odwróciła wzrok. Mama za to odważnie patrzyła w obiektyw, a jej spojrzenie było szczere i spokojne. Genny miała włosy upięte w kok, a mama nosiła długi warkocz, który opadał jej na ramię.

Mama była trochę grubsza od Genny, szczególnie na twarzy. Jej kości policzkowe i szczęka miały ostrzejszy zarys, wskazujący wyraźnie na indiańskie pochodzenie. Oczy mamy miały kształt półksiężyców skierowanych ostrymi końcami w dół. Sprawiały wrażenie, jakby się uśmiechała, ale jej szerokie usta pozostawały zaciśnięte i poważne. Genny wyglądała przy niej jak kopia odrysowana przez kalkę - bledsza, ładniejsza, o lekko nieostrych krawędziach.

„Gasnące oczy artystki nieustraszenie spoglądają w obiektyw” - głosił napis pod zdjęciem. To Bernese wymyśliła taką bzdurę, a oni ją wykorzystali.

Nienawidziłam tej sali. Nie było w niej nic faktycznie związanego z moją matką. Była to sala poświęcona Bernese, która celebrowała w niej swoją marketingową megalomanię. To było sanktuarium wyzysku, ale ilekroć spoglądałam na same lalki, docierało do mnie, że moja mama przerastała to wszystko. Była zbyt dobrą artystką, aby musiała posługiwać się swoją ślepotą jako wabikiem, ale Bernese i tak to robiła. Zawsze się zastanawiałam, czego Bernese mogłaby pozbawić mamę, kupcząc nią w ten sposób, gdyby nie zauważyła jej pewności

siebie albo przekonania, że jej wzrok, gdy go jeszcze miała, posiada zarówno klarowność spojrzenia, jak i dystans.

Przeszłam do następnego pomieszczenia. Zamontowane tutaj tabliczki prowadziły zwiedzających poprzez poszczególne etapy procesu formowania porcelany. Można też było obejrzeć niektóre z pierwszych matryc mamy, jednak w sali dominowała wielka szklana gablota stojąca na środku. W środku znajdowały się oryginały ostatnich serii mojej matki. Lalki-zwierzątka. Cordova wyprodukowała ich pomniejszone wersje, ale wszystkie oryginały, zarówno lwy, jak i myszki, mierzyły około pięćdziesięciu centymetrów.

Wszystkie siedziały na miniaturowej karuzeli, która sama w sobie była dziełem sztuki. Ręcznie rzeźbiona i malowana przypominała stare drewniane karuzele z wesołych miasteczek, jakie mama zapamiętała z dzieciństwa. Jeżeli wrzuciło się dziesięciocentówkę do automatu umieszczonego obok gabloty, drewniane koniki poruszały się w górę i w dół, a karuzela zaczynała wirować, grając zubożoną wersję *The Carousel Waltz**.

Przystanęłam, aby przyjrzeć się zwierzątkom. Bernese mogła tego nigdy nie zauważyć, ale ja wiedziałam, że lalki-zwierzęta powstały na podobieństwo znanych mojej mamie osób, mieszkańców Between. Siebie sportretowała jako brunatnego niedźwiedzia, który stał obok Genny, pandy o słodziutkim pyszczku. Genny uszyła dla nich obu ubranka ze stalowoszarego jedwabiu. Trude była kaczką, Merchantowie jeleniami, a w lisach o wąskich mordkach rozpoznałam Crabtreech. Jedna mała lisiczka stała obok drewnianego kucyka, a z rękawów jej wiśniowoczerwonej sukienki wystawały niedźwiedzie łapki. Było to ciche wyznanie miłości mojej matki do mnie.

Bernese też tam była. Mama uwieczniła ją oczywiście pod postacią ćmy o wielkich oddalonych od siebie owadzych oczach i delikatnych porcelanowych czułkach wystających z czubka głowy. Genny uszyła

* Słynny walc z musicalu Rogersa *Carousel* (przyp. tłum.).

dla niej niski, przysadzisty korpus, zbyt gruby, aby ćma mogła latać, i ubrała go w obcisłą sukienkę z czarnej krepy. Szary płaszcz symbolizował skrzydła, a dzięki wybiegowi mamy ćma miała na nóżkach wy-modelowane z porcelany wiktoriańskie trzewiki z guziczkami. Obok niej na koniku siedział Lou pod postacią burej myszki. Isaac, eleganci świerszcz o wydłużonej głowie, stał po drugiej stronie Bernese.

Nigdy nie zgadzałam się z taką symboliką. Chociaż Bernese uwielbiała ćmy i motyle, wydawała się nazbyt drapieżna, by sportretować ją pod postacią owada. Niemniej jednak ta ćma, siedząca sztywno na karuzelowym koniku, niezaprzeczalnie stanowiła odzwierciedlenie Bernese. A gdyby mama nie straciła wzroku, byłam pewna, że kiedy urodziła się Fisher, jej lalka byłaby gąsienicą. Mogłam ją sobie dokładnie wyobrazić, bladezieloną gąsienicę o przysadzistej sylwetce i niewinnej twarzyczce.

- A jakim ja byłbym zwierzęciem? - zapytał Henry, czytając w moich myślach.

Studiowanie cyklu życia motyli nie zajęło mu wiele czasu i obszedł całe muzeum dookoła, by spotkać się ze mną przy gablocie.

- Nie wiem - odparłam.

Wszyscy Crabtree byli lisami, ale dla niego taka postać nie wydawała się odpowiednia. Może ryś, nakrapiany głębokim brązem i złotem.

Odeszliśmy od karuzeli i udaliśmy się do dużej sali położonej na tyłach domu. Było to miejsce, gdzie zderzały się ze sobą dwie połówki muzeum. W przeciwległej ścianie znajdowały się zamknięte drzwi z tabliczką „Tylko dla personelu”. Prowadziły do tylnej klatki schodowej i miałam do nich klucz, jednak w tym momencie zasłaniała je ogromna welwetowa przegroda, która wypełniała salę praktycznie od ściany do ściany, pozostawiając pod sufitem zaledwie piętnastocentymetrowy prześwit. Była to prostopadłościenna konstrukcja z rur PCV obwieszona sięgającą do podłogi grubą tkaniną i nakryta grubym niebieskim zadaszaniem. W środku można by prawdopodobnie bez obaw wywoływać zdjęcia.

Naprzeciwko nas znajdował się zbudowany z rurek i draperii przedsionek, który prowadził do środka. Od wejścia emanowała słaba purpurowa poświata lamp ultrafioletowych.

- Masz ochotę? - zapytał Henry.
- Najmniejszej.
- Daj spokój. Nie byłem tam od lat.

Kiedy się uśmiechał, zauważyłam przebłysk skrywanego na co dzień łobuzerstwa, którym mnie kusił jak młody chłopak chcący zaprościć dziewczynę do wesołego miasteczka na festynie.

- To mnie przytłacza.
- Na minutkę. No, śmiało. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Jeśli tam wejdziemy, odwleczesz trochę wybieranie głów.

Chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę gardzieli tunelu z rurek i draperii. Postanowiłam nie stawiać oporu.

Tunel skręcił ostrym łukiem niemal natychmiast i wejście z przyjemnym prostokątem słonecznego światła znikło. Fosforyzujące ślady stóp na podłodze i ciąg maleńkich lamp ultrafioletowych zawieszonych na ścianie prowadziły nas do wnętrza konstrukcji. Widziałam to dzieło Bernese setki razy, ale i tak mocniej ścisnęłam rękę Henry'ego.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało dosyć niewinnie. W wielkiej gablocie wystawowej stał w pełni urządzony dom dla lalek otoczony z obu stron miniaturowym lasem. Wyglądałby całkiem zwyczajnie, gdyby nie oświetlenie. Ultrafioletowe lampy nadawały meblom dziwny połysk, a białe fragmenty wytapetowanych ścian i pościel na łóżkach lśniły fioletową poświatą. W tym upiornym świetle żyła rodzina tanich plastikowych lalek, dostępnych w masowej sprzedaży kopii niektórych prac mojej mamy. Przy kuchence stała matka, a jej uśmiech i oczy w ultrafioletowym świetle zatraciły ludzki wygląd. Tatuś musiał się przewrócić, bo leżał sztywno na podwórku, a czarne plamy na jego białym golfie upodabniały go do dalmatyńczyka. Dwaj identyczni chłopcy siedzieli nieruchomo w bawialni na dwóch identycznych konikach na biegunach. Tuż obok, w pokoju dzieciennym leżało w kołys-

ce piegowate niemowlę, a w salonie przyszczata dziewczynka o mojej twarzy siedziała sztywno i ostrożnie na bujanym fotelu.

Kiedy nasze oczy przyzwyczyły się do półmroku, zaczęliśmy wyczuwać jakieś poruszenie w obrębie domu i otaczających go drzew. Kątem oka dostrzegłam, że coś się przesuwa, a potem zauważyłam jednego z nich w pokoiku dzieciennym. Był bladezielony i połyskiwał odrażająco, kiedy przemykał za kołyską. Potem zobaczyłam drugiego, jak podnosił się i uderzał zakończoną czarnymi wyrostkami głową o nogi siedzącej w salonie lalki. Przyłgnał lepkimi odnóżami do łydki dziewczynki i zaczął się po niej wspinać, do połowy znikając pod fałdami sukienki.

Kiedy zauważyłam te dwa, okazało się, że wszędzie jest ich pełno. W ultrafioletowym świetle nie były podobne do tych ruchliwych małych robaczków, które uwielbiała Fisher. Tutaj ich złożone z segmentów ciała przemykały między drzewami i pełzały wśród mebelków, a czarne główki szukały drogi. W bawialni, za plecami nieruchomych chłopców zwieszał się od podłogi do sufitu długi kokon, zamocowany na obu końcach cienką przędzą. Przez cienką niczym papier osnowę mogłam niemalże zaobserwować, jak rosnąca w środku larwa wygina się i kręci.

Nieruchoma rodzina lalek blade połykiwała w swoich nakrapianych strojach, a gąsienice pełzały po nich, srając bez przerwy. Meble również były upstrzone ich odchodami. Lou ze swoim sprzątaniami był daleko w tyle. Rozmiar i proporcje gąsienic, które czaiły się za tymi dziećmi oraz ich bezmyślnie uśmiechniętymi rodzicami, nadawały całej scenie makabryczny wygląd. Robaki ukrywały się i włóczyły w tej nocnej scenerii, aż w końcu zawijały się w kokony, a potem wyrwały na wolność w poszukiwaniu partnera i umierały w szklanym więzieniu.

Na dachu zauważyłam trzy dorosłe ćmy księżycowe. Jedna przysiadła nieruchomo, a blade punkty na jej żółtozielonych skrzydłach lśniły zawzięcie jak rozwścieczone oczy. Długie końcówki jej skrzydeł drgały. Pozostałe dwie były złączone odwłokami i kiedy im się przyglądałam,

zaczęły trzepotać i spadły, znikając za domkiem. Nie można ich było winić. To był ich rytm życia. Ómy księżycowe wykluwają się pozbawione układu pokarmowego, więc parzą się i umierają w przeciągu kilku dni. Bernese nie wypuściła na wolność wszystkich dorosłych ciem. Musiały one złożyć jaja w papierowych torbach, które Bernese schowała za drzewami. Powychodziły z nich gąsienice, które zawinęły się w kokony, przepoczwarzyły się i rozmnażały w nieskończonym cyklu dzięki wiecznej wiosennej nocy, jaką dla nich stworzyła.

- Co za dziwactwo - odezwał się Henry.

Prawie zapomniałam, że tam ze mną był. Kiedy wpatrywałam się w gąbłotę, jego obecność sprowadziła się do ciepła i nacisku, które czułam w dłoni. Odwróciłam się, by spojrzeć na Henry'ego. Jego zęby i białka oczu połyskiwały opalizujące. Stał zafascynowany, nie odrywając wzroku od tego niezwykłego połączenia domku dla lalek i terrarium.

- Bernese naprawdę nie zdaje sobie z tego sprawy?

- Nie - odparłam. - To się jej wydaje oczywiście, jak podstawy matematyki. Hoduje ómy i motyle z zamiłowania, a na domkach dla lalek zbudowała swój status, więc oczywiście powinna to w jakiś sposób połączyć.

Henry przyglądał się gąbłocie jeszcze przez chwilę, po czym zdrżał i odwrócił wzrok.

- Być może. Ale to nie jest najlepszy sposób.

- Wiesz, komu jeszcze to się podoba? - zapytałam. - Nie uwierzysz.

- Komu?

- Jonno. Zachwyca się. Uważa, że to jest odlotowe.

Henry puścił moją dłoń, zerkając na mnie zza okularów.

- Odlotowe?

- Tak twierdzi.

- Jasne - powiedział Henry. - Zdaje mi się, że to wiele o nim mówi.

Potem zamilkł, przyglądając mi się zbyt długo i zbyt natarczywie.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Dasz sobie z tym radę? Rozwiedziesz się z nim?

- Dlaczego każdy wciąż mnie o to pyta? Mam adwokata. Mam termin rozprawy. Nawet Jonno zachowuje się tak, jakby to był jakiś głupi kaprys, który prędzej czy później mi przejdzie.

- To się wydaje niewiarygodne, że mogłabyś się rozwieść i uwolnić od Jonno. Nie dlatego, że jedno naturalnie następuje po drugim, ale dlatego, że taka jest idea rozwodu, prawda? Uwolnić się od niego.

- Dlaczego mój rozwód jest taki nieprawdopodobny? Twój był do-
syć realny.

- Nie dla mnie - odparł. - Jeszcze przez wiele miesięcy nie mog-
łem uwierzyć, że jest już po wszystkim.

Starannie utrzymywaliśmy kontakt wzrokowy, aby nie patrzeć na domek dla lalek. Kątem oka zauważyłam lekkie poruszenie, kiedy jed-
na z ciem zatrzepotała skrzydełkami i zerwała się do lotu. Nie odry-
wałam wzroku od Henry'ego.

- Ja w to wierzę - powiedziałam.

- Nigdy jej nie poznałaś. - Jego zęby błysnęły w ultrafioletowym
świecie.

- Twojej żony?

Pokręciłam głową. Widziałam ją raz, kiedy wraz z Henrym przyje-
chała na krótko do Between, żeby uporządkować jakieś sprawy jego
matki. Była niepospolicie piękna, a na plecy opadały jej idealnie pofa-
lowane długie czarne włosy. Miała jednak w sobie coś poza urodą.
Charyzmę, a może zbytek elegancji. Poruszała się tak, jakby była ob-
wieszona maleńkimi, niewidzialnymi dzwoneczkami, a jej ruchy miały
za zadanie wydobyć z nich dźwięk. Jej widok sprawił, że zapragnęłam
poznać ją lepiej, gdyż byłam uwikłana w coś równie charyzmatyczne-
go. Henry wiedział, jak było ze mną i z Jonno.

- Drażni mnie, jeżeli ktoś mi nie wierzy - odezwałam się. - Jedy-
ną osobą, która mi wierzy, jest Bernese, a pewnie nawet ona udaje,

żeby móc mi prawić kazania o świętości małżeństwa. Ale ja poważnie, szczerze i na amen z nim skończyłam.

Henry przechylił głowę na bok, jak gdyby ważył moje słowa.

- Wyglądasz, jakbyś miała spuchniętą wargę. - Patrzył na moje usta.

- Och, faktycznie. Fisher mnie staranowała. - Dotknęłam górnej wargi, a potem opuściłam rękę bezwładnie.

Henry wciąż wpatrywał się w moje usta. Wydawał się dziwnie spokojny i w tym momencie uświadomiłam sobie, że coś między nami się dzieje. To było jak mały zielony pęd wystawiający główkę ze skalistej ziemi, tak blade i niepozorny, że nie zauważyłam go wcześniej.

Nim zdałam sobie z tego sprawę, Henry zrobił krok w moją stronę i przyłgął ustami do moich warg. To nie był koleżeński ani towarzyski pocałunek, trwał na to zbyt długo. Był jednak tak statyczny, że wydawał się prosty i zwyczajny jak łyk zimnej wody, który miał spłukać smak Jonno z moich ust.

Potem coś się zmieniło. Dotykał mnie tylko ustami, ale teraz przyciskał je mocniej. Nasze ciała nie stykały się ze sobą, a ręce zwisały swobodnie po bokach, ale czułam promieniujące od niego ciepło. Postrzegałam jego ciało niemal na poziomie komórkowym, wyczuwając wszystkie różnice.

Był ode mnie znacznie szerszy w ramionach i trochę węższy w biodrach. Pachniał kawą, czystym lnem i papierem, a spod tego przebijała się jakaś ciepła i żywa woń, w której wyczuwałam miedziany posmak, jakby woń zwinnego drapieżnika, uzbrojonego w zęby i niebezpiecznego. Potem Henry przysunął się jeszcze bliżej i całując mnie, przyłgął do mojego ciała, biodrami do bioder, piersią do piersi, a głowę przechylił w lewo i rozchylonymi wargami wpijał się w moje usta.

Całował mnie tak, jak od ponad dziesięciu lat nie robił tego nikt prócz Jonno. On jednak w niczym go nie przypominał. Jonno był jak ściana, o którą się opierałam, ściana o setkach dłoni, pewnych i wyra-

finowanych, które nienagannie wywiązywały się z powierzonych im zadań. Taki był Jonno, ale to, co się działo teraz, nie miało z nim nic wspólnego. To był Henry, twardy i gładki. Jedną dłoń wplótł mi we włosy, odchylając głowę do tyłu, a ręką spoczywającą na moim biodrze objął mnie w talii i przycisnął do siebie.

Zdawało mi się, że balansuję na krawędzi i zaraz się zapadnę, osunę, tracąc punkt podparcia i nie będę miała pod stopami nic pewnego i znajomego. Zamykałam oczy i wtedy znów to zobaczyłam, owo nieznaczne poruszenie, trzepot skrzydełek gdzieś na granicy pola widzenia. Położyłam ręce na jego ramionach i odepchnęłam go. Puścił mnie, a w przestrzeń, jaka powstała między nami, wdarło się napełniające mnie dreszczem zimne powietrze. Uskoczyłam przed tym chłodem i zatoczyłam się, tracąc równowagę. Zrobiłam wielki krok w tył, a wtedy przyszła mi nagle do głowy absurdalna myśl: „Mamo, czy mogę?”.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem w purpurowej poświacie.

Kiedy tylko złapałam oddech, miałam zamiar spytać go beztróskim i swobodnym tonem „Co to miało u licha znaczyć?”. Stojący obok gabloty Henry zdawał się tak niewzruszony, że chciałam, aby ten oddech pasował do jego nastroju. Kiedy jednak otworzyłam usta, wyrwały się z nich całkiem inne słowa:

- Ja pierdołę, Henry. Jestem mężatką.

Staliśmy naprzeciw siebie, obydwójecie ciężko dyszeliliśmy w zgodnym rytmie. Po chwili Henry przyglądził nienaganny kołnierzyk i uniósł jedno ramię, próbując sprawić beztróskie wrażenie.

- No i widzisz - powiedział. - To, czy uwolniłaś się od Jonno, to zasadnicze pytanie.

Nie zareagowałam na jego słowa uśmiechem. Patrzyłam na niego zszokowana, z wytrzeszczonymi oczami i dotykałam obolałej wargi. Śledziłam palcami ducha jego obecności na moich ustach.

- Może powinienem... - odezwał się, ale zaniemówił, a ja nie miałam pojęcia, jak dokończyć za niego to zdanie. - Mój błąd - powiedział w końcu.

Zaczął się cofać, a potem obrócił się i ruszył w kierunku tunelu z rurek i draperii. Zniknął za zakrętem, idąc w stronę świetlistego prostokąta, który wyprowadził go na zewnątrz.

Rozdział 10

Kiedy wróciłam do sklepu, niosąc kolację dla wszystkich, była prawie szósta i Bernese już zamykała. Powiedziała mi, że mama poszła się położyć w jednej z sypialni na pięterku, a Fisher i Lou wrócili do domu.

- Wzięłam dla Fisher dziecięcą porcję kurczaka. - Wręczyłam Bernese torbę z jedzeniem.

- Lepiej sama to zjedz. - Wyciągnęła pudełko leżące na samej górze, obwąchała i odłożyła na ladę. - Dziś wieczorem Fisher dostanie jajko na twardo z marchewką i odtłuszczonym jogurtem.

- To zakrawa na paranoję, Bernese - powiedziałam, ale ona tylko machnęła na mnie ręką.

- Zanieś jedzenie mamie, póki jest ciepłe - powiedziała. - I pozamykaj wszystko, kiedy będziecie wychodzić.

Minęłam kantorek i weszłam po schodach na piętro. Rozłożyłam kolację mamy na stole w kuchni. Kiedy znalazłam się w sypialni, mama właśnie dźwigała się powoli do pozycji siedzącej. Narysowałam palcem serduszko na jej ramieniu i usiadłam obok na łożku.

Kolacja ładnie pachnie - stwierdziła mama.

Dziś jest dobry dzień na przysmaki. Pieczeń rzymska od Trude. Chcesz zjeść tu czy w domu?

Tutaj. Jestem głodna, a ta pieczeń jest zawsze pyszna. Śniły mi się te psy. Rozmawiałaś z Ona Crabtree? Czy będzie musiała je uspić?

Nie. Wywiezie je do swojego kuzyna z Luizjany i tam zostawi.

Kiedy?

Nie mam pojęcia.

Ale na pewno to zrobi?

Prawie na pewno. - Dłonie zeszywniały mi z niepokoju, kiedy przekazywałam jej te słowa. - *Staram się to załatwić.*

Mama zaczęła wstawać, a potem znów opadła na łóżko.

Lepiej zażyję przy kolacji jedną z tych tabletek - powiedziała.

Plecy ci dokuczają?

Trochę. I stłukłam sobie biodro przy upadku. Czy wybrałaś już głowę?

Tak.

Rzeczywiście wyciągnęłam trzy albo cztery pudełka na chybił trafił, odwinęłam każdą z głów i odłożyłam z powrotem jedną po drugiej. Wydało mi się niemożliwe, aby mama rozstała się z którąkolwiek z nich. Potem wyjęłam trzy albo cztery kolejne. I tak w kółko. W końcu wybrałam tę głowę, po którą sięgnęłam na samym początku, i schowałam ją do torebki bez rozpakowywania, oglądania i rozmyślenia. Zapamiętałam ją. Była to dziewczynka, którą moja mama obdarzyła ułożonymi równo falami czarnych lśniących loków. Jej wysmukłe dłonie i delikatnie wygięte stopy były wykonane z litych kawałków porcelany, sama zaś głowa była pusta w środku, więc skóra i włosy połykiwały lekko, przepuszczając światło.

Kogo wybrałaś?

Dotykając jej dłoni, zaczęłam literować Josephine, ale kiedy byłam w połowie, mama odepchnęła moją rękę.

Nie Josephine - zaprotestowała.

Poklepałam ją delikatnie po nodze, a ona niespiesznie dotknęła mojej dłoni.

Prosiłaś mnie, żebym wybrała...

Mama znów odtrąciła moje ręce.

Nie Josephine - powtórzyła, a jej usta zacisnęły się w upartym grymasie. Potem zdecydowanym ruchem przecięła ręką powietrze, zamykając temat. - *Jestem głodna. Muszę wziąć lekarstwo.*

Dałam za wygraną. Objęłam ją i ostrożnie pomogłam podnieść się na nogi, tak aby nie urazić jej pokierszowanego ramienia. Potem za-

prowadziłam ją do kuchni, wsparłam się na mnie obolałym bokiem. Po-deszłyśmy do stołu i stanęłam za jej plecami, podtrzymując ją, dopóki nie namacała ręką oparcia krzesła. Kiedy usiadła, jej dłonie błędziły przez chwilę po krawędzi stołu, a potem ostrożnie zaczęły badać jego powierzchnię, określając położenie widelca i piankowego pojemnika z jedzeniem i napoju. Obmacała przykrywkę kubka, aby sprawdzić, czy już wetknęłam w niego słomkę, po czym wzięła go do ręki, a dru-gą dłoń wyciągnęła po tabletkę.

Wykupiłam jej receptę, więc miałam w torebce buteleczkę perco-cetu. Podałam jej jedną tabletkę, a kiedy ją połknęła, wystawiła rękę po następną.

Możesz tylko jedną - oznajmiłam, dotykając jej dłoni.

Mama zacisnęła usta i zażądała całej fiolki.

Możesz zażywać tylko po jednej co cztery godziny.

Znam się na zegarze - odpowiedziała rozdrażniona i poklepała się palcem wskazującym w nadgarstek. Podałam jej buteleczkę, którą nie-dbale wetknęła do kieszeni.

Powiedziałam mamie, że schodzę na dół, a ona przytaknęła mi gestem dłoni. Nie lubiła rozmawiać przy jedzeniu, gdyż nie potrafi-ła wykonywać obu tych czynności naraz, a wystygłe posiłki jej nie smakowały.

Wróciłam na dół, aby się upewnić, że Bernese zgasiła światło przed sklepem. Piankowy pojemnik z kawałkami kurczaka spoczywał na la-dzie. Zostawiła go tam jako kolację dla mnie albo chcąc dać mi do zro-zumienia, abym nie mieszała się do jej planu, który zakładał wpędze-nie Fisher w anoreksję, zanim skończy dziesięć lat. Nie miałam ochoty na nic. Przebijając głowy lalek i starając się nie myśleć o pocałunku Henry'ego, straciłam apetyt. Teraz znów zaczynało to do mnie wracać. Próby odegnania tych myśli okazały się niewyobrażalnie trudnym za-daniem.

Nie byłam pewna, jak powinnam się do tego odnieść. Komentarz, jaki potem wygłosił, zdawał się świadczyć, że potraktował to jako

swego rodzaju sprawdzian, jakby polizał wnętrze moich ust, by potem stanąć z boku i zaobserwować reakcję chemiczną. Gdyby mój język zabarwił się na niebiesko, oznaczałoby to, że jestem nastawiona pozytywnie do Jonno.

Nie potrafiłam dociec, dlaczego nigdy nie widziałam w Henrym nikogo więcej poza, no cóż, poza samym Henrym. Jakoś nie udało mi się ulec jego urokowi ani też dostrzec jego zainteresowania. Byłam mężatką, ale nie byłam martwa. Może to przez powiązania z rodziną Crabtreech. Ale gdyby nawet dzięki jakimś cudem nieujawnionym wcześniej genom recesywnym, które odpowiadały za czarne oczy i smagłą cerę, w żyłach Henry'ego płynęła krew Crabtreech, był on dla mnie tak dalekim kuzynem, że nie miałoby to żadnego znaczenia.

Gdyby nie jego nazwisko, byłby tym, czego moja rodzina mogłaby dla mnie zapragnąć. Mama i Genny uwielbiały go za jego maniery, czytanie i zdrowy rozsądek, a nawet za przywiązanie do wykrochmalonej odzieży. Zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę miał on więcej wspólnego z Frettami niż z Crabtreemi. Cholera, pewnie jego pościel była wyprasowana jak w szpitalu. Poczułam rumieńce na samą myśl o jego łóżku.

Zanurzyłam kawałek kurczaka w przesłodzonym sosie barbecue i próbowałam wypędzić Henry'ego z moich myśli. Absolutnie nie był mi potrzebny kolejny mężczyzna, kiedy nie do końca miałam pewność, czy pozbyłam się poprzedniego. Potem jednak zdałam sobie sprawę, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest utrata przyjaźni Henry'ego.

Wyrzuciłam resztki niedoszłej kolacji Fisher i wróciłam na górę do mamy. Było oczywiste, że mama czuje się podle. Jak gdyby jej podły nastrój nie był dostatecznie wyraźny, poruszała się ociężale, schodząc ze schodów po jednym stopniu, aby oszczędzać stłuczone biodro. Zaproponowałam, że pobiegnę do domu po samochód i ją podwiozę, ale upada się, aby iść.

Ustawiałam się u jej boku, w miejscu, które zwykle zajmowała Genny. Mama chciała przemierzyć skwer w poprzek. Zazwyczaj wolała chodzić wybrukowaną uliczką, ale tym razem zdecydowała się na gładką nawierzchnię, aby nie nadkładać drogi. Kiedy szliśmy po wiosennej trawie, wspierała się na mnie bardziej niż zwykle, ale stawiała pewne kroki i nie zgodziła się, abym wzięła jej wielką torebkę. Niosła ją przewieszoną przez zdrowe ramię.

Przystanęliśmy na odpoczynek obok przejścia dla pieszych, a potem przecięliśmy Philbert Street i minęliśmy stację benzynową Crabtreech. Kiedy dotarliśmy do rogu siatkowego ogrodzenia otaczającego złomowisko, mama zwolniła i znów się zatrzymała.

Przystanęłam wraz z nią. Mama puściła mój łokieć i wzięła trzy głębokie oddechy, przenosząc ciężar ciała na zdrowe biodro i nogę. Zza przerdzewiałego dodge'a wyłoniły się dwa duże doberman, po czym zaczęły przekradać się w naszą stronę, patrząc na nas przez siatkę pustym, bezdusznym wzrokiem.

Spojrzałam na mamę.

Czuję ich zapach. Czy one warczą? - zapytała na migi.

Nie. Sprawiają wrażenie bardzo spokojnych.

Zawsze warczały, kiedy tylko pojawiała się Genny.

Wracajmy do domu. Możesz dalej iść?

Mama przytaknęła oszczędnym kiwnięciem głowy, a potem wsadziła lewą dłoń do kieszeni.

Nie możesz zażywać kolejnej tabletki przez co najmniej trzy godziny - upomniałam ją, dotykając drugiej ręki.

Mama uniosła brwi, a jej usta zaokrągliły się ze zdziwienia. Kiedy wyciągnęła rękę w kieszeni, zobaczyłam, że nie ma w niej nic poza samą zakrętką od buteleczki percocetu.

- *O rany boskie* - powiedziałam na głos.

Wymowałaś ją w mieszkaniu? - zapytałam. - *Zażyłaś jeszcze jedną tabletkę?*

Mama zaprzeczyła stanowczym ruchem dłoni.

Idź poszukać butelki - rozkazała mi. - Ja tu zaczekam.

Nie zostawię cię samej przy tych wściekłych psach - odpowiedziałam.

Mama stała tak blisko ogrodzenia, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby go dotknąć.

Te psy nigdy nie zwracały na mnie uwagi. Poszukaj tabletek. Nie zasną bez nich.

Chciałam ją nakłonić, aby poszła ze mną, ale twardo stała przy ogrodzeniu, jak gdyby zapuściła korzenie. W końcu zostawiłam ją i ruszyłam z powrotem naszym śladem, uważnie patrząc pod nogi. Na środku ulicy zauważyłam jedną z pigułek i schyliłam się po nią. Druga leżała w kanale ściekowym przy krawężniku, a nieopodal znalazłam pustą i otwartą fiolkę. Tuż obok wypatrzyłam trzecią tabletkę, prawie całkiem ukrytą w gęstej trawie.

Mama najwyraźniej gubiła tabletki przez całą drogę, niczym wyrosnięta Małgosia z bajki rozrzucająca narkotyki zamiast okruszków chleba. Gdybym była Jasiem, mogłabym iść za nimi, a jutro Bernese upiekłaby mnie w piecu do wypalania ceramiki.

Udało mi się odszukać tylko parę tabletek, ale nie chciałam, aby mama nadal stała sama między tymi psami a ulicą. Mama nigdy nie obchodziła się nieostrożnie z obiektami materialnymi, zatem fakt, że tak niedbale wetknęła fiolkę do kieszeni, powinien wyczulić mnie na to, jaka jest rozkojarzona. Znalazłam tyle tabletek, aby zdołała przetrwać noc, a rano mogłam podjąć śmiało wyzwanie i zadzwonić do doktora Crowa, prosząc go o wystawienie nowej recepty na ten kontrolowany lek, ponieważ moja mama rozsypała pierwszą partię w wysokiej trawie. Domyślałam się, że odpowie mi: „Rozumiem! Jak przypuszczam, czek dostanę pocztą? A twój mały braciszek zjadł ci zadanie domowe?”.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam mamę, która stała wciąż w tym samym miejscu, opierając się na zdrowej nodze. Podbiegłam do niej i nakreśliłam serduszko na jej ramieniu, a potem ustawiłam się obok, aby mogła znów wyciągnąć laskę i złapać mnie pod rękę.

Ostrożnie ruszyliśmy w stronę domu i obiecałam sobie, że będę ją wozić do pracowni i z powrotem, dopóki nie przestanie być taka roz-targniona. Kiedy zamknęłyśmy za sobą frontowe drzwi, mama wrzuci-ła swoje klucze do niebieskiej wazy, obok której położyła torebkę. Wciągnęła głęboko powietrze przez nos, chwytając zapach domu, a potem wydała z siebie długie, pełne zadowolenia westchnienie. Wy-prostowała plecy, uniosła podbródek i w jednej chwili uwolniła swoją żywotną osobowość, a jej obecność namacalnie wypełniła dom.

Czy możesz zadzwonić i spytać o Genny? Chyba upiekę jej z ciasto po-marańczami - powiedziała mama i żwawo poszła w stronę kuchni, do-tykając ręką ściany. Idąc za nią, przemierzyłam jadalnię, a kiedy tylko dotarła do kuchennego blatu, poklepałam ją po ramieniu. Zasugero-wałam jej, że skoro przez dwadzieścia minut wlokłyśmy się do domu jak muchy w smole, lepiej by było, gdyby się położyła do łóżka.

Ale nie dawaś mi deseru. Zadzwoni i dowiedz się o Genny i przestań się martwić.

Ponieważ nic nie mogło jej powstrzymać, chwyciłam słuchawkę ku-chennego telefonu i wybrałam numer szpitala w Loganville. Dyżurna pielęgniarka poinformowała mnie, że Genny czuje się dobrze, a dok-tor Crow przyszedł wcześniej, aby ją zbadać. Z Genny nie mogłam po-rozmawiać, bo znowu zasnęła.

Zasiadłam przy stole i oddałam się przyjemności obserwowania mojej matki, która przygotowuje ciasto we własnym domu. Wyciągnę-ła z lodówki cztery opakowania masła i wybrała średnią miskę do mie-szania. Potem odwinęła masło i wrzuciła je do miski, którą włożyła do kuchenki mikrofalowej. Przesunęła palcami po opisanych alfabetem Braille'a przyciskach, zaprogramowała urządzenie na minutę pracy w niskiej temperaturze i nacisnęła start.

Uwielbiałam obserwować pewność jej ruchów, gdy się krzątała i nucąc, mieszała mąkę z solą. Często nuciła, kiedy w domu nie było z nią nikogo spoza rodziny. Mówiła, że te wibracje, które czuje wtedy w piersi, są przyjemne. Wysokie tony wydobywające się w krótkich

i nieregularnych odstępach mogłyby wystraszyć kogoś obcego, jednak mnie dawały uczucie spokoju, ponieważ oznaczały, że moja matka jest w domu, szczęśliwa i spokojna, pogrążona w swoim świecie.

Piekła dla mnie to ciasto co roku, na moje urodziny. Jednym z pierwszych moich wspomnień był widok mamy przygotowującej je. Wtedy jeszcze widziała. Opuściła tylko jeden rok. Był to rok, w którym skończyłam osiem lat, a mama przestała pracować w porcelanie. Jej wzrok tak się pogorszył, że opuściła Genny i mnie na siedem miesięcy, które spędziła w Helen Keller National Center w Nowym Jorku, gdzie uczyła się, jak żyć ze ślepotą.

Nie chciałam, żeby wyjeżdżała, a Genny wpadła w załamanie nerwowe. Obie szlochałyśmy histerycznie i uczepiając się kurczowo mamy, próbowałyśmy zatrzymać ją w domu, ale i tak wyjechała. Powiedziała mi wtedy: *Opuszczam was na pół roku, ale kiedy wrócę, będę wiedziała, jak być twoją mamą, albo zostanę tu i nie będę tego wiedziała i niebawem to ty będziesz musiała być moją mamą.*

Wlała wyrobione ciasto do foremki, którą włożyła do piekarnika, a kiedy się schylała, jej twarz wykrzywił grymas bólu. Potem wyprostowała się i opada o blat, więc przekazałam jej najnowsze wieści o Genny, a wtedy z zadowoleniem przytaknęła gestem dłoni.

Potem dodała: *W tym tygodniu chcę zacząć nową rzeźbę. Mam ją w głowie, ale nie do końca wiem, co chcę wyrazić. Wyobraziłam ją sobie dokładnie, kiedy mieszałam ciasto. Będzie nosić nazwę „Kości psów”. Zrobię ją z wielu kawałków, bardzo gładkich i bardzo długich, a każdy będzie zakończony zgrubieniami. Wypalę je oddzielnie, a każdy element będzie tak gładki jak masło, twardy i chłodny. A kiedy wypalę już wszystkie, wezmę młotek i rozbiję kilka z nich na kawałki. Niekoniecznie na pół, chociaż niektóre mogą pęknąć na pół. W parę trzeba będzie rozbić w drobny mak same końcówki, a inne rozpadną się na trzy lub cztery kawałki. Dopasuję je do siebie wszystkie razem w taki sposób, jaki będzie mi odpowiadał. Myślę, że pionowo, opierając je o siebie nawzajem, jak szkielec tipi. Zatem żeby wyczuć to należycie, trzeba zacząć od podstawy i przejechać*

dłońmi wzdłuż całego elementu, który musi być bardzo gładki i piękny. Będzie zachęcał, żeby dotykać go coraz wyżej, ale potem stanie się ostry i poszczerbiony, a to przeważnie w miejscach, gdzie elementy się ze sobą skrzyżują. Choć niektóre krótsze kawałki nie sięgną do głównego spojenia, będą się opierać na tych dłuższych. To będzie bardzo gniewna rzeźba. Spodoba ci się.

Wiedziałam, że nie ma sensu wybijać jej z głowy pracy, aby jej ramię zdażyło wyzdrowieć. Kiedy mama czuła gotowość do rzeźbienia, nie dało się jej powstrzymać, nawet przykuwając ją do łóżka.

To brzmi wspaniale - odparłam. - Ale nadużywasz swoich sił. Dlaczego nie położysz się do łóżka? Wyjmę za ciebie to ciasto, kiedy będzie gotowe.

Dlatego że ja teraz mam ochotę na to ciasto - odpowiedziała.

Czemu jesteś taka uparta i zawzięta? Na określenie słowa „uparta” posłużyłam się jednym z naszych własnych znaków, którego dosłowna i dokładniejsza interpretacja mogłaby brzmieć „Bernesowata”.

Ponieważ mama mnie nauczyła, że tak trzeba. Zmarszczyła brwi i trzy razy poklepała mnie palcem wskazującym po nadgarstku. Po chwili przerwy dodała: Tak samo jak twoja mama ciebie. Czemu taka nie jesteś?

Jestem - odparłam, a mama zachichotała rozbawiona moją irytacją.

Wiem, że zamartwiasz się tym, co ci Crabtree mogą zrobić. A Bernese daje ci w kość. Ale mam nadzieję, że nie będzie to dla ciebie usprawiedliwieniem, żebyś opuściła piątkową rozprawę. Powinnas się rozwiesić. Potem będziesz mogła zająć się tym, czym naprawdę chcesz. A może znajdziesz sobie inny problem, który tak cię zaangażuje, że znów nie będziesz mogła?

Działasz mi na nerwy - odpowiedziałam. - Mówisz to tak, jakbym wiedziała, czego chcę.

Bo wiesz. I ja też wiem, czego chcę.

Czego chcesz?

Chcę zrobić polewę do tego ciasta. Pięknie pachnie.

Kiedy po raz ostatni klepnęła mnie palcem po nadgarstku, oznajmiłam jej naburmuszona, że idę spać.

Nie skosztujesz ciasta? - zapytała, unosząc brwi z udawaną niewinnością.

W odpowiedzi życzyłam jej lakonicznie dobrej nocy i udałam się na górę, tupiąc na tyle mocno, aby mogła poczuć impet moich kroków. Jedynym hałasem, jaki odczułam, był jednak prawie bezgłośny śmiech mamy, który ścigał mnie na schodach.

Rozdział I I

Raptownie otworzyłam oczy. Oddychałam ciężko, pogrążona w ciemności, a w moich uszach przebrzmiewało echo jakiegoś nieokreślonego hałasu. Stojący obok łóżka budzik pokazywał dwadzieścia sześć po trzeciej. Leżałam w mdłej poświacie sączącej się przez szczeliny w żaluzjach, ale hałas, który mnie obudził, już się nie powtórzył. Upłynęła chwila, zanim odzyskałam orientację.

Poczułam, jak wilgotne ciepło przyciska się do moich pleców. Uniosłam się lekko i odwróciłam głowę. Fisher. Spała zwinięta w kłębek z rączkami przyciśniętymi do piersi i wygiętymi plecami wtulała się we mnie. Jej grzywka zlepiała się w dwie urocze kępki.

Obróciłam się na drugi bok, by leżeć twarzą do niej i opadam głowę na ręce, wygniatając łokciem dziurę w staroświeckiej, wypchanej pierzem poduszce.

Była taka śliczna, mała uśpiona istotka. Miała grube, ciemne rzęsy, leciutko zaróżowione policzki, a jej odprężone we śnie usta zachowały niemowlęcy kształt. Nachyliłam się, by powąchać jej włosy. Spod zapachu dziecięcego szamponu Johnson przebijała się rozbuchana woń świeżo ściętej trawy typowa dla Fisher. Nachyliłam się jeszcze bardziej i pocałowałam jej twarzyczkę. Leżała z rączką wsuniętą pod policzek i miała oddech słodki jak krowa. Najwyraźniej jej złość na mnie przeskoczyła jedno pokolenie wstecz i skierowała się przeciw Bernese.

Ilekcroć Fisher była wściekła na Bernese, wybierała się na nocne wybieżki. Czasami schodziła do holu i zaszywała się w pokoju gościnnym, innym razem przenosiła się na sofę w bawialni. Kiedy była naprawdę

rozniewana, włamywała się do domu mamy i kładła się do swego dzieciennego łóżeczka albo przychodziła do którejś z nas. Dwa razy przemierzyła Grace Street, samotnie i w nocy, i dotarła do sklepu z lalkami. Otworzyła sobie zapasowym kluczem i poszła spać do mieszkania na pięterku.

Pomyślałam, że Bernese może przeżyć szok, kiedy obudzi się i odkryje, że Fisher znów powędrowała gdzieś w nocy. Rozważałam, czy powinnam spróbować przenieść ją z powrotem do własnego łóżka, czy po prostu pójść do sąsiedniego domu i zostawić Bernese kartkę, kiedy ponownie usłyszałam ten tajemniczy łoskot, który mnie obudził. Dochodził z zewnątrz. Wyśliznęłam się z łóżka i podeszłam do okna wychodzącego na ulicę. Zauważyłam nieznaną mi odkrytą półciężarówkę, która stała zaparkowana przed domem Bernese. Była zwrócona przodem do wylotu ulicy, jakby ktoś planował szybką ucieczkę.

Samochód wujka Lou był zaparkowany pod wiatą, a wóz Bernese stał tuż za nim, na żwirowym podjeździe. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do mroku, dostrzegłam sylwetkę szczupłego mężczyzny albo chłopca, który pochylony nisko przemykał między autami Lou i Bernese. Zmrużyłam oczy. Poświata księżycy była zbyt blada, abym mogła rozpoznać jego twarz, ale widziałam, że jest wysoki i kościsty. Byłam skłonna iść o zakład, że to najmłodszy z synów Ony, Tucker Crabtree.

Nie miałam na sobie nic prócz podkoszulka, wzięłam więc z otomany zwinięte dzinsy i szybko się ubrałam. Wsunęłam stopy w adidasy, nie zwracając sobie głowy skarpetkami, po czym wyszłam po cichu z pokoju i zbiegłam po schodach. Wyśliznęłam się na zewnątrz i pod osłoną nocy zakradłam się po trawniku na podjazd przed domem Bernese.

Chłopak znajdował się po drugiej stronie samochodu i wciąż się schylał, więc go nie widziałam. Dostrzegłam za to, że po mojej stronie opony w aucie Bernese zostały przecięte. Nie przebite w jednym miejscu, ale rozplątane długimi nacięciami, tak że z każdego koła wysta-

wały teraz po trzy albo cztery wywinięte wstęgi przekrojonej gumy. Zerknęłam na samochód Lou i zobaczyłam, że jego opony zostały zdestawowane w ten sam sposób.

Usłyszałam syk powietrza, kiedy nóż zagłębił się w jednej z opon po drugiej stronie.

- Tucker, matole, to ty? - szepnęłam.

Chłopak wstał i wynurzył się zza maski samochodu. Miałam przed sobą nieznanego dzieciaka o przetłuszczonych brązowych lokach i twarzy pokrytej straszyną trądzikiem. Usta otworzył szeroko ze zdziwienia.

- Kurwa - odezwał się, a ja dokładnie w tym samym czasie powiedziałam to samo.

Gapiliśmy się na siebie i mimo że to on trzymał nóż, nie byłam do końca pewna, kto bardziej się wystraszył.

- Dawaj, dawaj, wiejemy - syknął i puścił się sprintem w stronę pi-
kapu.

- Hej! - krzyknęłam za nim, ale on ani myślał się zatrzymać.

- Hej! - niczym echo rozległ się jakiś kobiecy głos, którego ton był równie oburzony jak mój. - Nie zostawiaj mnie tu!

Towarzyszka chłopca siedziała na ziemi po przeciwnej stronie samochodu. Kiedy dzieciak wskoczył do kabiny półciężarówki i zatrzasnął za sobą drzwi, ociężałe podniosła się na nogi. Była to zwałista kobieta o bladym, galaretowatym ciele i wielkich jak uda ramionach, które trzęsły się i podrygiwały w blasku księżyca. Miała odwróconą głowę, więc nie widziałam jej twarzy, jedynie plamę szminki rozmazaną na ustach.

- Co za dupek - wymamrotała i wtedy rozpoznałam jej głos. To była Lori-Anne, matka Fisher. Zatoczyła się do przodu, potem w tył. Jej towarzysz uruchomił silnik i odjechał, nie zapalając świateł. - Chyba się porzygam - dodała.

- Lori-Anne, czy ty oszalała? - zaczęłam ją strofować.

- Zamknij się, Nonny, ty gnido.

Obiema rękami przytrzymywała się samochodowi, próbując zachować równowagę. Nie widziałam jej od stycznia, kiedy przyjechała, żeby podrzucić Fisher pluszowego misia z okazji urodzin. Wsiadła wtedy z samochodu, który zostawiła przy krawężniku z pracującym silnikiem, a na fotelu pasażera siedział jakiś dziwny mężczyzna. Bernese nawet nie prosiła jej, żeby została. Od tamtej pory przybrała jakieś dziesięć czy dwanaście kilo, a twarz miała tak obrzmiałą, że nie byłam pewna, czy jest w stanie całkowicie otworzyć oczy.

- Lori-Anne, przecież wiesz, jak jest! Nie możesz się tu włączyć po nocy pijana i przecinać opon. Twoja matka trzyma w domu broń. Myślisz, że będzie się przyglądać, kto grzebie przy jej samochodzie, zanim zaczniesz strzelać?

Lori-Anne zgięła się wpół i znów znikła za samochodem, skąd dobiegł charakterystyczny odgłos towarzyszący wykrztuszeniu sporej porcji alkoholu. Owionął mnie zapach przetrawionej nalewki brzoskwiniowej i cofnęłam się o krok. Parę chwil później Lori-Anne znów się pojawiła.

- Przyłapałaś mnie - odezwała się.

Nitka połyskującej śliny zwisała jej z wargi. Lori-Anne miała wielkie oczy, tak wielkie jak Billy Joel, i zawsze wydawała mi się smutna, nawet kiedy się uśmiechała. Teraz smugi rozmazanego tuszu do rzęs akcentowały ich opadający w dół kształt. Była tak blada, że w blasku księżyca jej skóra połyskiwała na zielono. Miała wysoko upięte włosy, które opadały jej płasko na jedną stronę.

- A co sobie myślałaś? - zapytałam.

Zbyła mnie machnięciem ręki, po czym stąpając ociężale, wyszła zza samochodu i ruszyła w stronę ulicy. Mamrotała pod nosem coś o „cholernych wścibskich dziwkach”, kiedy zataczając się na wysokich obcasach, przeszła obok mnie.

- Lepiej chodź do mamy i Genny i prześpij się trochę - mówiłam, idąc za nią. - Albo odwiezę cię do domu.

Znów machnęła na mnie ręką i szła dalej. Dotarła do końca podjazdu i zaczęła iść wzdłuż Grace Street. Poszłam za nią.

Spojrzała na mnie kątem oka i wyciągnęła rękę z kciukiem wystawionym w górę, machając nią, jak gdyby chciała zatrzymać samochód.

- Autostop to świetny pomysł, jeśli chcesz zostać zgwałcona lub zamordowana - stwierdziłam.

- Zamknij się. Leć obudzić moją matkę i poskarż się na mnie.

- Lori-Anne, co to był za chłopak?

- Jakiś fajny koleś, którego wyhaczyłam w tym barze. - Wzruszyła ramionami. - Musiałam iść się napić. Czułam się podle i mówiłam mu o mamie i w ogóle, a on powiedział, że wie, jak ją załatwić. Wtedy wydawało mi się, że to świetny pomysł.

W końcu przestała iść i stałyśmy na środku ulicy, wpatrując się w siebie nawzajem.

Ze wszystkich dzieci Bernese Lori-Anne była do niej najbardziej podobna. Chłopcy wdali się w Lou, po którym odziedziczyli spadziste ramiona, szerokie biodra, rude włosy i nieśmiałe usposobienie. Wszyscy osiedli gdzieś w Georgii, by wieść, jak określała to Bernese, „owocny żywot”. Miała na myśli to, że się poženili, pracowali i płodzili całe tłumy rudowłosych i nieśmiałych dzieci. Lori-Anne była jednak dziewczyną, dość wysoką jak na jedną z Frettów, obdarzoną czarnymi włosami i zadziornym charakterem jak jej matka.

- Powiesz mamie, że to ja? - Jej dolna warga zaczęła drżeć.

- Och, dobry Boże - zirytowałam się. - Masz dwadzieścia jeden lat. Nie wypada ci nawet tak myśleć, a co dopiero mówić.

- Jestem w parszywym nastroju - oznajmiła.

- Cóż cię opętało?

Znów zakołysała się lekko na stopach.

- Nie wiem. Widzę mamę i dostaję szału, a potem robię głupstwa. To tak, jakby ona mnie zmuszała, żebym to robiła. Proszę, nie mów jej, że tu byłam.

- Kiedy masz zamiar dorosnąć? - spytałam. - Nie możesz wciąż się zachowywać jak głupi dzieciak. Masz córkę.

Dotarliśmy prawie do złomowiska Crabtreech. Lori-Anne wybuchła gwałtownym śmiechem.

- Teraz już nie mam.

- Owszem, masz - powiedziałam. - Masz dziecko i chyba powinnaś wiedzieć, że teraz twoja matka akurat nie najlepiej ją wychowuje.

- Ona nie jest moja. - Lori-Anne przysiadła raptownie na krawężniku. - Czyżby mama ci nie powiedziała?

- Co miała mi powiedzieć?

- Mama pozbawiła mnie praw - wybełkotała, a jej otoczone rozmazanym tuszem oczy wypełniły się łzami.

- Pozbawiła cię... Co masz na myśli? Twoich praw rodzicielskich? Lori-Anne przytaknęła.

- Teraz Fisher należy do mamy, a ja nie mam do niej nic. Ten jej chytry adwokat, ten Isaac, zaczął mi wciskać kit, że niby „bla, bla, bla, jeśli nie możesz wziąć na siebie odpowiedzialności, bądź przynajmniej na tyle odpowiedzialna, żeby się do tego przyznać”. Potem kazał mi podpisać jakiś długi dokument i musiałam iść do sądu potwierdzić, że go podpisałam, więc teraz nie mam nic do powiedzenia na temat tego, co dzieje się z Fisher. Ona już nie jest moja, więc nie mów mi, co mam, a czego nie mam. Nie mam nic.

- Och, Lori-Anne - powiedziałam bezradnie. - Kiedy to się stało?

- Przed paroma tygodniami.

Usiadłam obok niej na krawężniku.

- Kiedy byłaś w ciąży, mówiłam ci, że Jonno i ja moglibyśmy ją przysiąść. Natychmiast. Wciąż bym tego chciała.

- Wiesz, że mama na to nie pozwoli. - Lori-Anne potrząsnęła głową. - Zagarnęła Fisher pod swoje skrzydła, a ja zaczynam już prawie żałować za tę gówniarę. Mieszkałam tu całe życie, a ona nigdy się od tego nie uwolni. Ma tak samo przesrane jak ja, tylko jest jeszcze zbyt mała i głupia, żeby to wiedzieć. Nic nie mogłam zrobić, a potem mama mnie wykiwała. Nonny, ja oddałam jej swoje dziecko, a co dostałam? Wielkie gówno i tyle. Teraz nie zamierza mi pomóc, kiedy chcę

ić na operację żołądka. Mama i jej prawnik założyli dla mnie ten fundusz, ale nie mogę z niego korzystać. To są moje pieniądze, powiedziała, że to będą moje pieniądze, kiedy podpisywałam te jego głupie papiery. Ale teraz wydzielają mi je po kawałku, a nawet te ochłapy przechodzą mi koło nosa, bo idą na opłaty za moje mieszkanie, telefon i różne takie. Nie mogę ich nawet powąchać. Tylko Isaac Davids może nimi dysponować, chociaż to są moje pieniądze. Mama nie godzi się na bajpas żołądka, więc on powiedział, że nie będzie bajpasów. A jeżeli mi tego nie założą, to się zabiję. Powiedz jej to.

Trudno było poprzez szloch i bełkot zrozumieć, co mówi, ale jedno było oczywiste. Sprzedała Fisher swojej matce i jedyną rzeczą, jakiej żałowała, było to, że nie może dostać się do pieniędzy, które za to dostała. Wstałam i odeszłam kawałek wzdłuż ulicy, w obawie, że gdybym została przy niej, zaczęłabym okładać ją pięściami po głowie i ramionach.

Zatrzymałam się po kilku krokach i nie patrząc na nią, zapytałam:

- Czy Fisher wie?

Lori-Anne nie udzieliła mi odpowiedzi, ale było oczywiste, że Fisher nie wiedziała. Dałaby to po sobie poznać. To w moich ramionach Fisher po raz pierwszy jadła z butelki, to ze mną uczyła się odmawiać paciorek. To mnie szeptała swoje życzenia, zdmuchując świece na torcie urodzinowym, i mnie pokazywała sekretne kryjówki. Przychodziła do mnie ze wszystkimi skaleczeniami i zadrapaniami, które całowałam. Często zakreślała te miejsca markerem, jeśli zdążyły się zagoić, zanim przyjechałam. Znałam Fisher na wylot i wiedziałam, że gdzieś w głębi skrywa tęsknotę za swoją mamą. Potrzebowała mamy, która podrzucałaby ją wysoko i nazywała kluseczką, a te dziecięce marzenia bezradnie oscylowały wokół biednej Lori-Anne. Gdyby Fisher się dowiedziała, mogłaby się załamać.

Znów ruszyłam w stronę domu.

- Nonny, nie mów mojej matce, że to ja pocięłam jej opony - krzyknęła za mną Lori-Anne.

Zawahałam się. Po części niczego bardziej nie pragnęłam, jak niezwłocznie obudzić Bernese i wyciągnąć ją z domu w koszuli nocnej i papilotach, aby zobaczyła siedzący na krawężniku wrak swojej córki. Nie mogłam jednak tego zrobić. Bernese mogłaby ją sponiewierać jak psa i to by mi przyniosło satysfakcję, ale nazajutrz, kiedy Lori-Anne wróciłyby już do Loganville, cała złość skupiłaby się na Fisher. Zbyt dobrze wiedziałam, jak wszystko układa się w przyciężkiej głowie Bernese po tej transakcji - Lori-Anne przybierała na wadze, ale to Fisher była na diecie.

- Nie powiem jej, Lori-Anne. Tylko idź już stąd, dobrze?
- Dziękuję ci, Nonny - odpowiedziała. - Przysięgasz?
- Przysięgam. Ale nie dziękuj. Po prostu odejdz.

Nie oglądając się, wróciłam do domu.

Fisher spała z nosem wbitym głęboko w moją poduszkę. Przysiadłam obok i lekko, tak aby jej nie obudzić, pogłaskałam ją po zmierzwionych włosach. Leżała opatulona kołdrą, a kiedy jej dotknęłam, zaczęła się wiercić i rozkopywać. Jej ubita sylwetka zachowała po trosze niemowlęce kształty. Miała pokaźny brzusek, krótkie, rozłożyste plecy i wąskie biodra. Spod kołdry wystawała jedna z jej stóp. Miała fretowskie stopy, tak szerokie, że palce sprawiały wrażenie lekko wykrzywionych. Kiedyś jej nóżki były zakończone tłuściutkimi kotlecikami, które wydawały się stworzone tylko po to, aby bezradnie nimi wymachiwać ewentualnie wpychać je do bezzębnej buzi. Uszło jednak mojej uwagi, kiedy jakimś sposobem zmieniły swą pierwotną naturę, przeobrażając się w doskonale funkcjonujące stopy. Teraz proces ten był już dokonany.

Rozdział 12

Zaraz po przebudzeniu usłyszałam, jak mama i Fisher krzątają się po kuchni, a mój telefon komórkowy miotał się w torebce niczym roz-wścieczona osa. Zerwałam się z łóżka, aby go odebrać.

- Czy Fisher tam jest? - warknęła Bernese, zanim zdążyłam wykrztusić „halo”.

- Jest - odparłam, pocierając twarz.

- To weź ją za łeb i do domu - powiedziała i rozłączyła się.

Pomyślałam, że pewnie już widziała opony, a Fisher dostanie się te-raz za nocną eskapadę. Wiedziałam jednak, że Bernese znaczną częś-cią winą obarczy Crabtreech i w żaden sposób nie mogłam ukierunko-wać inaczej jej myślenia. Nigdy by nie uwierzyła, że to, co się stało, było aktem przypadkowego wandalizmu. Jedyne podając jej na tacy Lori-Anne, mogłam sprawić, aby odwróciła uwagę od Crabtreech. Nie miałabym nic przeciwko temu, ale wydając Lori-Anne, zaszkodziła-bym Fisher, a ona miała dosyć problemów.

Ubrałam się i zeszłam na dół. Mama właśnie zmywała po sobie, Fi-sher zaś jadła jeszcze płatki z mlekiem. Mama była już ubrana, a wło-sy zaplotła w warkocz, który luźno opadał jej na ramię. Kiedy Genny była w szpitalu, nie miała nikogo, kto mógłby zrobić jej makijaż. Zda-łam sobie sprawę, jak bardzo puder zmiękczał jej ostre rysy, a pogod-na szminka, którą tak lubiła Genny, odwracała uwagę od wydatnych kości policzkowych.

Kiedy zapytałam mamę, czy chce zażyć tabletkę przeciwbólową, zaprzeczyła pewnym i energicznym machnięciem ręki.

Przytępiają mi umysł. Wzięłam dużo motrinu - wyjaśniła. - Chcę się już zobaczyć z Genny. Czy wypiszą ją dzisiaj?

Nie miałam pojęcia, więc zadzwoniłam do szpitala. Genny nie spała i właśnie jadła śniadanie. Zapewniłam ją, że mama i ja przyjedziemy do niej, kiedy tylko uda nam się wybrać. Była podenerwowana, ale dała mi słowo, że się nie skubała.

Kiedy rozmawiałam przez telefon, Fisher przyniosła mamie pustą miseczkę do umycia. Była już ubrana w jaskrawożółte krótkie spodenki i koszulkę oraz sandały, więc kiedy tylko mama odłożyła umytą miseczkę na ociekacz, byliśmy gotowe do wyjścia.

Wszystkie trzy przeszłyśmy trawnikiem w stronę domu Bernese. Po drodze zerknęłam na jej samochód. W chłodnym świetle poranka zdewastowane opony wyglądały jeszcze bardziej beznadziejnie.

Gdy przekroczyłyśmy próg, Bernese właśnie szła nam na spotkanie, stąpając po schodach tak powoli, jak gdyby ich powierzchnia była pokryta maleńkimi Crabtreemi, których rozgniatała na miazgę. Zatrzymałyśmy się w holu i zauważyłam, że twarzyczka Fisher przybiera buntowniczy wyraz. Wydęła dolną wargę, zmrużyła oczy, a jej plecy zeszywniały, jakby spięła się w sobie. Nachyliłam się, aby pomasaż jej kręgosłup.

- To nie o ciebie chodzi, kochanie - szepnęłam jej do ucha. - Powinnaś skończyć z tymi nocnymi wyprawami. I wiesz o tym. Ale babcia złości się dzisiaj na coś innego.

Mama złożyła swoją laskę i schowała ją do torebki, po czym wyciągnęła ręce w moją stronę, abym mogła tłumaczyć jej przebieg rozmowy. Bernese zatrzymała się na drugim stopniu od dołu, gdzie była na tyle wysoka, by patrzeć na nas wszystkie z góry. Jej oczy jarzyły się płomiennym blaskiem i byłam niemal pewna, że zaraz powie: Jestem Oz! Wielki i straszliwy!". Zaskoczyło mnie, że jej ogniste spojrzenie spoczęło na Fisher. Zatem mimo wszystko chodziło o nią.

- Idź na górę i przynieś swoją świnkę skarbonkę - odezwała się Bernese.

Fisher stała twardo obok mnie, wczepiona w nogawkę moich spodni, a potem oderwała się i wbiegła na schody, prześlizgując się zwinnie obok Bernese, aby jej nie dotknąć.

- Wielkie nieba - powiedziałam, kiedy tylko Fisher znikła na górze. - Przecież była tuż obok, ze mną i z mamą.

Bernese opuściła posterunek na schodach i weszła do holu, kierując się w stronę kuchni.

- Chodźcie - rzuciła oschle przez ramię.

Zmieszane ruszyliśmy jej śladem.

Na kuchennym stole stał pełny kosz z rzeczami przeznaczonymi do prania. Bernese zaczęła w nim przebierać i wygrzebała parę majteczek Fisher. Uniosła je rozciągnięte między rękami, tak że widziałam wyraźnie obrazek przedstawiający dynię zamienioną w powóz, a potem obróciła je teatralnym gestem, pokazując siedzenie.

U samej góry, na elastycznym ściągaaczu rozpiętym na kwadratowej dłoni Bernese widniały litery FFB, od Fisher Frett Baxter. Inicjały zostały napisane czarnym wodoodpornym markerem. Pod spodem dostrzegłam długie i chwiejne linie. Całe siedzenie pokrywały przecinające się pod różnymi kątami nierówne kreski. Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że te linie układają się w wielkie, nakreślone nieporadnie ręką przedszkolaka litery. Nie byłam w stanie ich odczytać. Udało mi się odróżnić M albo N i dobrze znane, charakterystyczne dla Fisher J, w którym daszek przecinał pionową linię, jak w małym T.

Spojrzałam na Bernese i wzruszyłam ramionami, próbując równocześnie opisać ten widok mamie.

- Tu jest napisane „Jestem Żydem”. - Bernese pogrzebała w koszu i wyciągnęła jeszcze jedną parę majteczek, a potem następną i następną, rozprostowując je wszystkie na stole, abym widziała koślawe linie pokrywające każde z nich. - Napisała „Jestem Żydem” z tyłu każdych majtek, jakie ma. Na każdej parze. I użyła do tego mojego sharpie, którego nie wolno było jej ruszać. Mogłabym teraz prac tę bieliznę

w stężonym wybielaczu aż po sądny dzień, a na nich dalej będzie wi-
dać „Jestem Żydem”.

Mama rozdziawiła usta, jej ręka zatrzepotała parę razy, literując szybko H, a potem A, aby wyrazić rozbawienie. Poczułam, że również wzbiera we mnie śmiech, ale wystarczyło jedno spojrzenie na rozpaloną nerwowo twarz Bernese, abym zrozumiała, że taka reakcja mogłaby źle się dla mnie skończyć. Stłumiłam w sobie wesołość, zaciskając usta, a policzki zaróżowiły mi się od wysiłku. Ścisnęłam rękę mamy i uspokoiłam ją: *Cicho, ona wygląda, jakby miała dostać udaru.*

- Nie sądzę, aby to było coś, co cię naprawdę zdenerwowało, Bernese - zwróciłam się do niej, kiedy mogłam już spokojnie mówić.

- Czyżby? - Bernese złowrogo zmarszczyła brwi. - A co jeszcze, do cholery, zrobiła Fisher?

Z przerażeniem uświadomiłam sobie, że Bernese nie widziała jak dotąd swojego samochodu.

- Nic, nic - powiedziałam w końcu. - Przyszła do nas w nocy i spała ze mną, ale o tym już wiesz.

W korytarzu pojawiła się Fisher, powłócząc nogami, jakby kroczyła w kondukcie pogrzebowym. Niosła małą posrebrzaną świnkę z podłużnym otworem w grzbiecie. Świnka rozkładała się na dwie połówki, aby łatwo można było dostać się do wnętrza. Dałam ją Fisher w prezencie, kiedy miała dwa lata. W zeszłym roku pokryła świnkę nalepkami zapachowymi Hello Kitty, a potem pocierała je i wachała, aż zdarty się i rozmazały, przypominając jakąś chorobliwą wysypkę.

Fisher bezgłośnie postawiła świnkę na blacie obok Bernese i stanęła, wlepiając Wzrok w podłogę.

- Usiądź i zjedz śniadanie - rozkazała Bernese.

Na talerzu leżała skromna porcja twarożku, plasterek wędliny z indyka i połówka brzoskwini.

- Zjadłam z ciocią Stacją - oznajmiła Fisher.

- Nakarmiłaś ją? - Bernese odwróciła zaczerwienione oczy na mamę. - Przecież ci mówiłam! Co jej dałaś?

Mama przeliterowała *produkty mączne*, co wiernie przetłumaczyłam Bernese jako płatki zbożowe.

- Och nie! Rano powinna dostawać białko. Białko! A nie węglowodany! Chcesz, żeby zamieniła się w taką bezwartościową kupę sady jak jej matka?

- Bernese! - powiedziałam podniesionym tonem, a Fisher podniosła na nią przerażony wzrok.

Bernese złapała skarbonkę i zwróciła się do Fisher.

- Kupimy ci nowe majtki za twoje... - Nagle zamilkła i zmieszana wlepiła wzrok w trędowną świnkę. Potrząsnęła nią. Nie było żadnego odgłosu. Otworzyła ją i przewróciła do góry dnem obie połówki, ale ze środka nic nie wypadło. - Gdzie są twoje pieniądze?

Dziewczynka wzruszyła ramionami, ponownie wbijając wzrok w podłogę.

- Odkładałaś sobie z kieszonkowego na tę grę, którą chciałaś sobie kupić. Gdzie są twoje pieniądze?

- Wrzuciłam je do fontanny. - Fisher unikała jej spojrzenia.

Lepiej będzie, jak je rozdzielisz - zaproponowała mama, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Po części wierzyłam, że w pewnym momencie Bernese zacznie się zachowywać normalnie, zmierzwi małej włosy i powie: „Żeby mi to było ostatni raz”. Na pewno nie mogła być tak wściekła, na jaką wyglądała, z powodu kilku par majtek i nocnych wędrówek Fisher, które przecież już spowszedniały.

- Do fontanny? Tej na środku skweru? Czemuż, na Boga?

- Żeby spełniło się życzenie - wyjaśniła Fisher.

- Może powinnaś przerwać na chwilkę - wtrąciłam, ale moja propozycja przeszła bez echa.

- Wrzuciłaś ponad piętnaście dolarów do fontanny? - głos Bernese był lodowaty. - Banknoty również?

- To było ważne życzenie - przytaknęła Fisher.

- Czego, na litość boską, mogłaś sobie zażyczyć za całe piętnaście dolarów?

- Dobra. Wystarczy. Naprawdę powinnaś przestać - odezwałam się, ale Bernese nie spuszczać wzroku z Fisher, machnięciem ręki nakazała mi, abym się zamknęła.

Fisher zgarbiła ramiona, skulona trwożnie.

- Jeżeli powiem, to się nie spełni - jej głos był ledwie słyszalny.

- Jeżeli nie powiesz, może się spełnić wielkie lanie. - Słowa Bernese brzmiały złowieszczo, a w jej niskim tonie nie było ani śladu codziennej dobrodusznej krzykliwości.

Nastąpiło wyczekujące milczenie, a potem Fisher znów rozprostowała ramiona. Jej wydęte wargi zamieniły się w zaciętą kreskę, kiedy podniosła wzrok. Ich oczy się spotkały i atmosfera zgęstniała od czysto zwierzęcego instynktu.

- Chciałam, żebyś umarła i żeby przyszła moja prawdziwa mama i mnie zabrała - powiedziała Fisher niemal bezgłośnie.

Zapadła długa, straszliwa cisza. Bernese patrzyła na Fisher, jak gdyby niezupełnie rozumiała jej słowa, jakby nie do końca wierzyła w to, co usłyszała. Potem tak zacisnęła usta, że prawie nie było widać jej warg, wytrzeszczyła oczy, a jej źrenice rozszerzyły się, jakby ogarnęło ją fizyczne cierpienie. Wyglądało to tak, jak gdyby uszło z niej całe powietrze. Grobowe milczenie panowało przez kolejne pięć sekund, które dłużyły się w nieskończoność. W końcu Bernese złapała oddech, a ja przypomniałam sobie, czego dowiedziałam się ostatniej nocy od Lori-Anne. Bernese dotknięta do żywego mogła powiedzieć o tym Fisher. Wyobraziłam to sobie. Mogła powiedzieć małej, że została sprzedana przez swą własną matkę. Nie mogłam do tego dopuścić. Prędzej zakatrupiłabym Bernese, niżbym pozwoliła, aby powiedziała coś, co zraniłoby moją Fisher. Postąpiłam naprzód, pociągając za sobą mamę, tak że obie stanęłyśmy niczym mur pomiędzy babką a wnuczką.

- Nie mów tego - wydarłam się na Bernese. - Nie odzywaj się. Fisher, idź na górę i umyj zęby. Idź, no idź, już. Słyszysz? Idź, natychmiast.

Wrzeszczałam coraz głośniej, nie dając Bernese dojść do głosu i jednocześnie tłumacząc wszystko mamie na język gestów, które z gwałtownością przelewałam w jej ręce. Krzyczałam na Fisher, dopóki nie ucichł tupot jej stóp na schodach. Potem stanęłam w drzwiach, zablokowałam przejście i zwróciłam się do Bernese łagodniejszym tonem:

- Zastanów się przez chwilę. Zastanów się przez chwilę i weź głęboki oddech. To jest dziecko. To jest pięcioletnie dziecko i cokolwiek do niej masz, zachowaj dla siebie.

Dzielna dziewczyna - powiedziała mama, po czym powtórzyła: - *Dzielna dziewczyna, dzielna dziewczyna.*

Kiedy Fisher była już na piętrze, Bernese wypuściła urywany oddech.

- Przepraszam. - Usiłowała nas wyminąć i wyjść z kuchni.
- Zostaw ją w spokoju - powiedziałam.
- Nie idę do Fisher - odparła. Miała poszarzałą, pooraną zmarszczkami twarz. - Muszę usiąść.

Usunęłam się na bok, a ona przeszła przez hol do bawialni. Mama i ja ruszyliśmy za nią. Bernese usiadła na sofie obitej materiałem w szkocką kratę i zwróconej tyłem do wykuszowego okna. Położyłam rękę mamy na oparciu przestronnego fotela stojącego naprzeciwko, a ona okrzyknęła go i usiadła. Zajął miejsce obok niej, aby tłumaczyć.

Co w ciebie wstąpiło? Nigdy nie traktowałaś Fisher w ten sposób. Co się zmieniło? - mówiła mama. - *Wyrządzasz szkodę temu dziecku.*

Bernese słuchała tego, jak tłumaczyłam, ale nie odrywała oczu od mamy, jakby mnie nie było w pobliżu.

- A ona nigdy nie była taka pyskata - odpowiedziała wreszcie, ale jej słowa brzmiały bez przekonania.

Ona po prostu odpłaca ci się tym samym - wyjaśniła mama.

Przetłumaczyłam jej znaki, po czym dodałam:

- A do tego, Bernese, ona rośnie. Jeśli nadal będziesz tak postępować, to ją zniszczysz.

- Dlaczego nie używasz tego wielkiego, hałaśliwego otworu w swojej twarzy, żeby tłumaczyć słowa mojej siostry? - Bernese zmierzyla mnie nienawistnym wzrokiem. - Nikt cię nie pyta o zdanie, Nonny. Nie waż się mnie osądzać. Nie było cię tutaj. Połowa problemów, jakie stwarza Fisher, jest twoją zasługą, a ty byłaś zbyt zajęta komplikowaniem sobie życia, by zobaczyć, jak ona marnieje z tęsknoty. Tęskni za tobą jak szalona, to i zachowuje się jak urwis. A ja tak już dłużej nie mogę.

- Ale to ty właśnie...

Usłyszałam głośne chrząknięcie Lou dobiegające ze szczytu schodów i natychmiast zamilkłam. Mama zaczęła migać, ale przerwałam jej słowami: *Zaczekaj. Fisher tu idzie.*

Fisher kroczyła za Lou ze spuszczonego wzrokiem, stawiając za każdym razem obie nogi na stopniu. Żałość emanowała praktycznie ze wszystkich porów jej skóry, a postawa ostro kontrastowała z radośnie żółtymi szortami o pomarańczowych aplikacjach i jaskrawozielonym plecakiem w kształcie żaby, który zwisał jej z ramion.

- Kochanie, idziemy z panną Fisher przespacerować się na przystanek - oznajmił Lou.

- Nie zapomnij o jej lunchu - powiedziała Bernese.

Lou podreptał do kuchni i wyjął z lodówki brązową papierową torbę z jedzeniem. Fisher czekała w holu, unikając patrzenia w naszą stronę. Lou wsunął torbę z posiłkiem do plecaka, który pod dodatkowym ciężarem opadł niżej, zwieszając się z jej ramion jak omdlałe skrzydła.

Z całych sił pragnęłam teraz podejść do niej, wziąć ją na ręce i mocno przytulić, ale Fisher nienawidziła być dotykana, kiedy czuła się nieszczęśliwa. Wiedziałam, że gdybym to zrobiła, dziewczynka zeszywniałaby w moich ramionach jak kot, którego ktoś nosi wbrew jego woli. Musiałam poczekać, aż będzie gotowa i sama do mnie przyjdzie.

Mogłam jedynie zawołać za nią, kiedy przekraczała próg:

- Miłego dnia w przedszkolu, Robaczku.

Zerknęła w moją stronę i nagrodziła mnie, lekko unosząc kąciki ust, po czym wyszła.

Kiedy tylko zamknęły się drzwi, byłam gotowa, aby podjąć przewany watek, ale mama powstrzymała mnie, czując, że zaczynam poruszać rękami.

Teraz ja - oznajmiła. - Powiedz Bernese, że wiem, że to był bluff. Wiem, że ona nigdy nie przypuszczała, że Lori-Anne ją do tego zmusi.

Nie do końca wiedziałam, o co jej chodzi, ale to nie była moja sprawa. Odezwała się we mnie zawodowa żyłka i powtórzyłam Bernese dokładnie to, co przekazała mi mama.

Miałam wrażenie, że Bernese zapadła się jeszcze głębiej w poduszki sofy.

- Oczywiście, że to był bluff. Lori-Anne w ogóle ze mną nie rozmawiała. Zażerała się i zapijała na śmierć, nie stroniąc też od prochów. I ci faceci... Każdy mógł ją mieć. A potem, kiedy w końcu zdecydowała się ze mną porozmawiać, chodziło jej o pieniądze. Znowu. Powiedziałam to tylko dlatego, żeby się opamiętała. Myślałam, że taki wstrząs uświadomi jej, jak postępuje. Ani przez sekundę nie pomyślałam, że naprawdę byłaby w stanie przehandlować swoje szanse do opieki nad Fisher.

Nic nie mów - upomniała mnie mama, która musiała wyczuć napięcie w moich rękach. - To niejest twoja rozmowa.

Siedziałam w milczeniu, podczas gdy Bernese mówiła dalej:

- Nie mogę pozwolić, aby to się powtórzyło, Staciu. Wiem, że to może się wydawać trudne dla Fisher, ale ona i Lori-Anne są identyczne. Lori-Anne była tak samo ponura i zawzięta, a ja nigdy nie wiedziałam, co ona sobie myśli. Moi chłopcy nigdy nie sprawiali mi kłopotów, za to ona warczała, tupała i kłóciła się ze mną, aż wióry leciały. A kiedy to nie skutkowało, przytakiwała, mówiąc: „Tak, mamo. Nie, mamo. Oczywiście, mamo”. A potem kłamała i kombinowała. Napytała sobie tysiąc razy więcej biedy niż wszyscy jej bracia razem wzięci. A teraz

Lori-Anne nie zamierza przestać, aż wreszcie jej serce tego nie wytrzyma albo wjedzie po pijanemu w jakieś drzewo. A ja mogę tylko się starać, aby Fisher nie poszła w jej ślady.

Nawet jeżeli to ją niszczy? - zapytała mama, ale Bernese zdawała się jej nie słyszeć.

- Isaac przejrzał ją lepiej niż ja - ciągnęła dalej. - Założył fundusz, aby ochronić mnie, jak również ją, podczas gdy ja zaklinałam go jak największa idiotka pod słońcem, że nie musi tego robić. Mówiłam, że potrzebny jest tylko jakiś gęsto zadrukowany świstek, który by wyglądał jak akt prawny, żebym miała jej czym pomachać przed nosem. Mówiłam, że to nie ma znaczenia, ponieważ Lori-Anne nigdy by się nie zrzekła swoich praw do dziecka.

Musisz trzymać Fisher z dala od tej awantury.

- Nie powiedziałam jej na ten temat ani słowa! - zaprotestowała Bernese.

Może i nie, ale uważaj, żeby się nie zorientowała, że coś się zmieniło.

- Bo się zmieniło. - Ziemistoszara twarz Bernese zaczęła powoli odzyskiwać kolory. - Teraz to ja będę za nią odpowiadać. Lori-Anne nigdy nie stanie na nogi, aby być jej matką, więc wszystko spoczywa na mnie. Wydałam na świat trzech porządných synów, takich jak ich ojciec, a potem przytrafiła mi się Lori-Anne, czego nigdy nie planowałam ani się nie spodziewałam. Ta dziewczyna już urodziła się krnąbrna. Zaszła w ciążę, mając piętnaście lat, jakbym źle ją wychowała, i po dziś dzień nie dowiedziałam się od niej, kto jest ojcem Fisher. Zresztą wątpię, czy sama wie. A wy żyjecie sobie wygodnie tuż obok i mówicie mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić. Zgraja wzdychających i cmokających z dezaprobatą ciotek. Ale ja nie mogę w ten sposób, już koniec. Od tej chwili Fisher nie będzie miała innej matki prócz mnie. I nie mogę jej zmarnować.

Nie mogłam już dłużej trzymać języka za zębami.

- Nie zachowuj się, jakbyśmy cię opuściły albo wepchnęły ci Fisher na siłę - powiedziałam. - Dokonałaś takiego wyboru, zanim się

urodziła. Lori-Anne chciała ją oddać od samego początku. Zastraszyłaś ją, chociaż ja, mama, Genny i sama Lori-Anne mówiłyśmy ci głośno i wyraźnie, że ona nie jest gotowa do macierzyństwa. A kiedy powiedziałaś, że nie zniosłabyś, gdyby twoja wnuczka trafiła do obcych, zaproponowałam ci, że Jonno i ja moglibyśmy ją przygarnąć...

Mama gorączkowo potrząsała ręką, ale w tym samym momencie Bernese weszła mi w słowo.

- Tak, i gdybyśmy zrobili po twojemu, teraz Fisher przeżywałaby wasz rozwód.

- No jasne. To, że zabijasz w tym dziecku ducha, możemy zwalić na mój rozwód. Wszystko, co złe, dzieje się przez mój rozwód, więc czemu również nie to, że pastwisz się nad nią.

Działacie mi na nerwy - zamigała mama.

Nie odpowiedziałam jej. Tłumaczenie było łatwiejsze niż prowadzenie rozmowy we trzy. Kiedy oprócz przekładania znaków mamy zaczęłam dodawać coś od siebie, mogłam jedynie mówić tylko to, co było konieczne i pozwalało jej podtrzymać wątek.

- Nie pastwię się nad Fisher - znów odezwała się Bernese. - Nieważne, jak bardzo mnie drażni, nie próbuję się jej pozbyć. Ona wie, że jest moja, choćby nie wiem co.

- I przypuszczalnie to ją wytrąca z równowagi - odparłam.

- Ale przynajmniej nie porzucę jej tak, jak ty swojego męża. Wiem, co to znaczy rodzina.

Tak bardzo trudno było mi usiedzieć na miejscu. Okrutnie brakowało mi Genny. Przez wzgląd na jej nerwy zawsze byliśmy zmuszeni zachowywać stosowną formę. Brakowało mi jej stałej obecności u boku mamy, której wszystko tłumaczyła. Bez niej musiałam myśleć w dziewięciu różnych kierunkach i rozmawiając z Bernese, nie mogłam powstrzymać się od krzyku. Zostałam na miejscu, pozwalając, aby stłumiona wściekłość znajdowała ujście w gestach moich rąk, kiedy z werwą tłumaczyłam mamie, co powiedziała Bernese. Mój przekład na język gestów był niezwykle dokładny, ale nie było w nim ani śladu zawodowego dystansu.

- Siedzisz tu i osądzasz mnie, wytykasz mi każdy pyłek, chociaż nie wiem, jak mogłaś go dostrzec zza tej belki, która tkwi w twoim oku. I nie wygląda na to, aby cię obchodziło, że może ja też przeżywam swój własny rozwód i że klęska mojego małżeństwa nie jest wyłącznie moją winą.

Pozwalasz jej zmienić temat - upomniała mnie mama. - *Tu nie chodzi o ciebie, ale o Fisher.*

Ona musi to usłyszeć - odpowiedziałam, po czym zwróciłam się do Bernese:

- Czy wiesz, że ani razu mnie nie spytałaś, dlaczego się z nim rozwodzę? Po prostu stwierdziłaś, że to jakiś mój dziecinny kaprys. Och, co za nudy, chyba pora pozbyć się męża.

To nie prowadzi do niczego dobrego - wtrąciła mama.

- Bo to nie jest ważne dlaczego - odpada Bernese. - My się nie rozwodzimy.

- Jest ważne dlaczego.

To jest ucieczka od tematu. - Mama była nieustępliwa, ale odpowiedziałam jej: - *Daj spokój, muszę jej pokazać.* Mama uniosła ręce, a potem wykonała taki gest, jakby umywała je ode mnie, lecz mimo to sięgnęłam po torebkę. Grzebałam w niej tak długo, dopóki nie znalazłam pustej fiolki w bursztynowym kolorze, którą nosiłam przy sobie od roku. Postawiłam ją z trzaskiem na stoliku i z powrotem usiadłam obok mamy, podając jej ręce.

- Co to jest? - zapytała Bernese.

- Oto dlaczego się rozwodzę. - Mój głos brzmiał bardzo poważnie, wręcz obcesowo, ale spojrzenie na ten niewinny cylinder wykonany z brązowo-złotego plastiku, zamykany bezpieczną zakrętką chroniącą zawartość przed dostępem dzieci, których nie miałam, niemal mnie załamało.

Tej nocy, kiedy nastał koniec mego małżeństwa, butelecza była pełna. Ściskałam ją w dłoni, kiedy usłyszałam chrobot klucza w zamku, i wsunęłam do kieszeni, gdy Jonno właśnie wchodził do domu. By-

ła trzecia w nocy, czy coś koło tego, wracał z koncertu w McGoo-Goo, gdzie jego zespół grywał co czwartek.

Poderwałam się z sofy, na której szlochałam i zgrzytałam zębami, zamieniając się we wściekłego rudzielca. Będąc w takim stanie, wyzbywałam się całej samokontroli i nie miałam wtedy w sobie nic z Frettów. Pieniła się we mnie furia, którą odziedziczyłam po Crabtreech. Podbiegłam do Jonno i brutalnie kopnęłam go w piszczel, aż podskakując na jednej nodze, wyleciał na zewnątrz. Kiedy znów próbował wejść do mieszkania, wydałam z siebie nieartykułowany wrzask i uniosłam rozcapierzone paznokcie, gotowa rozharatać mu twarz.

- Laseczko, co się stało? - zapytał.

Jeszcze bardziej pogorszył tym sprawę. Zawsze nazywał mnie Laseczką, kiedy wszystko było dobrze. Jeżeli nie uświadomił sobie, że nic nie było dobrze, to chyba nie kopnęłam go dostatecznie mocno.

Tuż obok drzwi znajdowały się wbudowane w ścianę półki na książki. Złapałam jedną z nich i cisnęłam, a impet uderzenia zatrzymał go w miejscu. Jonno zachwiał się i jęknął, następna książka zaś trafiła go w głowę.

- Co jest, do... - powiedział.

Wzięłam całe naręczcie książek, wyszłam za nim na korytarz i rzucałam w niego jedną po drugiej, aż wycofał się w stronę schodów. Trzymał przed sobą futerał z trąbką, którym próbował zasłaniać się przed moimi ciosami, więc mierzyłam niżej, trafiając go książkami w uda i kolana.

- Przestań. - W jego głosie pojawiła się wreszcie irytacja. - Co się dzieje?

Została mi jedna książka. Wepchnęłam ją sobie pod pachę i w odpowiedzi wyjęłam z kieszeni grzechoczącą buteleczkę penicyliny. Nie musiałam nic mówić, gdyż widziałam, że już się zorientował i to jeszcze bardziej pogorszyło sprawę.

- Och, no tak - powiedział, spuszczać wzrok, a jego długie, bursztynowe rzęsy rzuciły niewinny cień na policzki. - Miałem zamiar

z tobą porozmawiać. To znaczy, chciałem, żebyś poszła do lekarza. Powinnaś to zrobić. Martwiłem się, ale jeszcze nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć. Wiesz, Laseczko? Jak to powiedzieć...

Wyjęłam ostatnią książkę spod pachy i zrobiłam krok w tył, przymerzając się do potężnego rzutu. Jonno uskokczył i schował się za rogiem. Usłyszałam jego kroki na schodach i trzaśnięcie drzwi frontowych. Nie pojawiał się przez parę kolejnych miesięcy. Dzwonił kilka razy, ale odkładałam słuchawkę, nim zdążył powiedzieć „o” w słowie „halo”, więc chyba zabrakło mu odwagi, żeby przyjść. I dobrze. Musiałam czekać pół roku, aż wynik mojego drugiego testu na HIV okazał się negatywny, i dopiero wtedy uspokoiłam się na tyle, że byłam w stanie myśleć.

Czekając na wykonanie tego testu, wiedziałam, że moje małżeństwo jest skończone. Kiedy wreszcie dostałam wynik, mogłam się z nim zobaczyć, chociaż zszokowało mnie to, z jaką ulgą natychmiast wskoczyłam do jego łóżka. Ale nawet w trakcie tego pojednania wiedziałam, że to koniec. Kiedy rozpakowywałam tę jakże nieodzowną prezerwatywę, kiedy naciągałam ją na niego, wiedziałam, że nieważne, czy go kocham, czy nie, nie ma już powrotu po tej beztrioskiej zdradzie. Następnego dnia wywlokłam go z łóżka, ubraliśmy się przed dziewiątą i zawiozłam go do centrum, gdzie poszliśmy do adwokata.

Nie byłam pewna, czy teraz, patrząc na tę buteleczkę, zdołałabym jeszcze raz opowiedzieć to wszystko.

- Co to ma znaczyć, ta buteleczka? - Bernese patrzyła na mnie wyczekująco.

- To znaczy, że on mnie zdradził.

Nastała długa chwila milczenia, a wlepione we mnie spojrzenie Bernese było tak badawcze, jakby mierzyła mnie wzrokiem.

- Dorośnij - powiedziała w końcu.

- Proszę? - Nachyliłam się w jej stronę, pewna, że musiałam się przestyszeć, po czym zwróciłam się do mamy: *Chyba mi powiedziała, żebym dorosła.*

Tak, to do niej podobne - stwierdziła mama.

- Powiedziałam „dorośnij”. - Twarz Bernese była jak wyrzeźbiona w twardym drewnie.

- Ale on mnie zdradził.

- Rozumiem - odpada. - No to zdradził. Zdarza się. Cały czas się zdarza. Prawie w każdym małżeństwie do tego dochodzi. Ale to nie jest powód, by się rozwodzić.

- Owszem, jest - powiedziałam, a potem wszystko pojęłam. Nachyliłam się jeszcze bardziej i ściszyłam głos: - Ciociu Bernese, czy chcesz przez to powiedzieć... To znaczy, że wujek Lou...

Przerwała mi opryskliwym prychnięciem.

- Lou? Proszę. Nie mówiłam, że zdarzyło się to mnie. Nie bądź głupia. Ale jestem pewna, że zdarza się cały czas innym ludziom. Jednak to nie oznacza, że masz pozwolić jakiejś kurwie, żeby zabrała ci męża. Zaciągnij go do domu i zamień jego życie w takie piekło, aż zacznie żałować, że nie uciął sobie swojego męstwa, zanim pozwolił mu skakać na boki.

Tłumacząc na język migowy słowa Bernese, czułam, że ręce mamy spoczywające na moich są zeszywniałe, niewątpliwie od wysiłku, z jakim powstrzymywała się, aby nie powiedzieć mi, że kiedyś mówiła mi to samo.

- Kiedy ludzie zawierają małżeństwo, potrzebne jest zaufanie. Po to jest przysięga. Jeśli ktoś ją łamie, jeśli pozwala sobie na zbliżenie, w jakiegokolwiek formie, z kimś innym...

Nagle przestałam mówić. Ponad ramieniem Bernese, przez cienkie firanki zasłaniające okno wykuszowe, dostrzegłam Henry'ego Crabtree, który szedł wzdłuż Grace Street. Był zbyt daleko, bym mogła zobaczyć wyraz jego twarzy, ale poruszał się szybko, długimi, zdecydowanymi krokami, pochylając do przodu spięte ramiona. Miałam wrażenie, że jego żylaste ciało, cienkie jak ostrze, przecina powietrze ze świstem.

- Jestem mężatką od ponad czterdziestu lat, Nonny. I mam pojęcie, jak to działa. - Bernese zdawała się nie dopatrywać w moim

nagłym zamilknięciu niczego poza okazją do zabrania głosu. - Próbowowałaś kiedykolwiek wziąć go za pysk?

- On mnie nie kocha - wyjaśniłam.

Kiedy Henry Crabtree podszedł bliżej, zobaczyłam jego zaciętą, nieustępliwą minę. Starałam się nie odrywać oczu od Bernese, gdyż nie mogłam wyobrazić sobie gorszego momentu na jakąś romantyczną misję w wykonaniu mężczyzny, z którym się całowałam - co swoją drogą stanowiło wyraźne pogwałcenie moich wciąż prawomocnych ślubów małżeńskich.

- Nie bądź taką pensjonarką - odpada Bernese. - Kochanie-sra-nie. On jest twoim mężem.

- Nie chodzi o to, że nie jest we mnie zakochany - pokręciłam głową. - To nie jest jakiś romans.

Zerknęłam na złotobrazową buteleczkę, a potem przeniosłam wzrok z powrotem na jej twarz, starannie unikając wyglądania przez okno.

Skończ już z tym - wtrąciła się mama. - *Miałaś rozmawiać o Fisher.*

Będę rozmawiać o Fisher - odpowiedziałam. - *Ale dopóki nie rozstrzygnę z nią kwestii mojego rozwodu, nie będzie słuchała, co mam do powiedzenia na jakikolwiek inny temat.*

Zawsze będzie do tego wracać.

Mama poddała się, chociaż nie wyglądała na przekonaną.

- Dlaczego wciąż patrzysz na tę buteleczkę? Co ona ma z tym wspólnego? - zapytała Bernese, po czym wzięła ją ze stolika i przeczytała etykietkę. - Penicylina? Co ma penicylina do...

Odezwała się w niej pielęgniarka i zobaczyłam, że zaczęła sobie wszystko kojarzyć.

- Gdyby tylko zdradził, no cóż, może dałoby się jeszcze coś odzyskać - powiedziałam. - Ale on nie założył prezerwatywy, kiedy z nią był. O ile mi wiadomo, nie zrobił tego przy żadnej z nich, chociaż w domu też przestaliśmy ich używać.

- Przede wszystkim, dlaczego używaliście kondomów? - zapytała Bernese, wydymając nozdrza niczym byk.

- Ponieważ pigułki doprowadzają mnie do szału, a nie byliśmy gotowi, aby mieć dziecko.

- I przestaliście?

Czułam, że się rumienię, a kiedy mówiłam, moje słowa były niewiele głośniejsze od szeptu.

- Ponieważ myślałam, że jesteśmy gotowi - wyjaśniłam. - Ale nie widzę już szans po tym, jak usłyszałam od lekarza, że tak naprawdę nie dostała pani infekcji dróg moczowych, starając się zająć w ciąży. Pani ma syfilis.

Trudno mi było spojrzeć w oczy Bernese, ale się zmusiłam. Patrząc nad jej ramieniem, widziałam, że Henry Crabtree podchodzi coraz bliżej. Potem jednak skręcił gwałtownie w lewo i zdałam sobie sprawę, że idzie do domu mamy, nie do Bernese. Po czterech długich krokach znikł mi z pola widzenia.

Wydałam z siebie westchnienie ulgi i całą swoją uwagę z powrotem skupiłam na Bernese i tłumaczeniu naszej rozmowy mamie. Oczywiście Henry nie mógł wiedzieć, że tu jestem. A może przyszedł, aby powiedzieć, że ten pocałunek był błędem. Aby przeprosić. Aby odbudować naszą starą swobodną zażyłość. Właśnie jego przyjaźni potrzebowałam teraz najbardziej, ale nie chciało mi się w to wierzyć. Szedł niezłomnym krokiem, jak księżę z bajki przypuszczający szturm na zamek złej czarownicy.

Tymczasem Bernese przeżywała jakiś wewnętrzny dramat. Na policzki wystąpiły jej rumieńce, kiedy odrzuciła buteleczkę, która przetoczyła się po stoliku i upadła na podłogę.

- Ten śmierdzący kawał gnijącego mięsa - powiedziała. - I nie miałas o tym pojęcia, dopóki nie poszłaś do ginekologa?

- Nie - odparłam.

To było okropne. Bądź co bądź syfilis. Praktycznie śmiertelna choroba. Jonno nie mógł przynieść do domu jakiejś zwyczajnej szerzącej się po akademikach zarazy, jak rzeżączka albo wszy. Musiała to być jakaś dziwna odmiana tej choroby, której moja lekarka nie widziała

od lat. „Zastanawiam się, czy teraz wystąpi opryszczka” - powiedziała, obserwując mnie uważnie, a ja zaczerwieniłam się na samą myśl.

Mama, która wiedziała o wszystkim, poklepała mnie po udzie, podczas gdy Bernese przyglądała mi się z troską w oczach.

- Nonny, powiedz mi, czy jesteś pewna, że to wszystko, czym cię zaraził? - zapytała.

- Jestem pewna. Przechodziłam badania. Dwa razy.

Bernese przytaknęła z ulgą, a potem jej spojrzenie znów rozgorzało gniewem.

- Nie mogę uwierzyć, że się z nim rozwodzisz - powiedziała. Już chciałam zaprotestować, ale ona dodała: - Powinnaś dorwać parszywca i odstrzelić mu łeb. Posłać go do piachu.

Za oknem znów pojawił się Henry, który wracał w stronę ulicy. W pewnym momencie jednak przystanął i obrócił się, spoglądając badawczo na dom Bernese. Potem zaczął iść w naszym kierunku, a jego widoczna przez okno postać stawała się coraz większa.

Bernese wygłosiła długą mowę przeciwko Jonno, grożąc mu wszelkimi odmianami biblijnych kar. Dwukrotnie usiłowałam przerwać jej monolog, ale mnie zignorowała.

Bernese się wścieka, a Henry Crabtree właśnie tu idzie - zwróciłam się do mamy. - Muszę z nim pomówić.

No to idź. Bo ta rozmowa nie ma sensu.

Racja. Bernese mówi do mnie, ale nie ma w tym nic interesującego - wyjaśniałam. - Powinam pozwolić, aby sama doszła do siebie. Chcesz wrócić do domu, zostać tutaj czy iść ze mną i porozmawiać z Henrym?

Henry dotarł do pierwszego stopnia prowadzącego na szeroką werandę przed domem Bernese. Przystanął i zawahał się. Widziałam jego oczy jarzące się blaskiem, jak gdyby próbował intensywnością swojego spojrzenia wypalić dziurę w drzwiach frontowych.

Mama sprawiała wrażenie, jakby rozważała, którą z moich propozycji wybrać, więc zwróciłam się do niej:

Bernese dalej rozprawia o tym, jak to należałoby powiesić Jonno i wyrzucić mu flaki. Miałaś rację. Nie powinnam była jej pozwolić na odejście od tematu. Teraz nie będzie zamęczać mnie rozwodem, tylko robić wyrzuty, czemu go nie zabiłam. To wszystko zasłona dymna, ponieważ nie chce rozmawiać o tym, co wyprawia z Fisher.

Objaśniałam mamie to wszystko, aby była na bieżąco z sytuacją, ale również aby Bernese widziała, że tłumaczę i miała wrażenie, że jej słucham.

Henry stał zupełnie nieruchomo, ze wzrokiem wlepionym w drzwi i zaczęłam się zastanawiać, co bym mogła mu powiedzieć, aby go ułagodzić. Jednak mówiąc szczerze, w porównaniu z tym wszystkim, co działo się z naszymi rodzinami, nasz wspólny problem był niczym. To tylko pocałunek. Henry zachowywał się śmiesznie. Poczułam ukłucie rozdrażnienia. Tego dnia nie miałam nastroju na romantyczne sceny.

Zostanę tutaj i poleżę na sofie Bernese - zdecydowała wreszcie mama. - Dokucz mi biodro. Odpocznę trochę, a potem możemy pojechać do szpitala i dowiedzieć się, co z Genny.

Przytaknęłam jej gestem dłoni, po czym wstałam gwałtownie, kiedy Bernese była w połowie zdania. Stojący na schodach Henry zauważył poruszenie za firanką. Zajrzał w okno, a potem ruszył w jego stronę i nasze spojrzenia się spotkały.

Pojęłam natychmiast, że z czymkolwiek przychodził, nie miało to w sobie ani odrobiny romantyzmu. Nie dlatego tkwił w bezruchu pod drzwiami, że czuł się niepewnie. Henry Crabtree był wściekły. Tak wściekły, że aż cały wibrował. Widziałam, że jego ramiona drżą, jakby strząsał jakiś ciężar z pleców. Wymierzył we mnie palec, a potem machnął dłonią do siebie, jakby chciał mi powiedzieć tym gestem: „Wyłaż stamtąd”.

Rozdział 13

Henry stał na podjeździe i oglądał opony w samochodzie Bernese. Upłynęło kilka minut, nim zdołałam się wyswobodzić od rozmowy z Bernese i ułożyć mamę na sofie. W tym czasie Henry trochę się opamiętał, a nawet jakby uspokoił.

- Są pocięte - wskazał ręką na opony.
- Tak. To szczęście, że Bernese jeszcze ich nie widziała.

Potrząsną głową i zobaczyłam furię wypełniającą jego czarne oczy.

- Henry, co się z tobą dzieje? Dlaczego stałeś tak długo na tych schodach?

- Nie byłem pewien, czy na widok Bernese nie rzucę się na nią z pięściami - odparł, po czym dodał, widząc moje zaskoczenie: - Chodź i zobacz. Bo nie uwierzysz, jeśli ci powiem.

Zaczął iść w stronę Grace Street.

- Henry! - krzyknęłam za nim.

- Musisz to zobaczyć. - Przystanął i zaczekał na mnie.

- Nie mam zbyt wiele czasu. - Dogoniłam go truchtem. - Muszę jechać z mamą do szpitala. Genny będzie się denerwować, jeśli nie przyjdziemy, kiedy zaczną się godziny odwiedzin.

Henry zdawkowo skinął głową i ruszyliśmy ramię w ramię, aż dotarliśmy do ogrodzenia, które otaczało złomowisko Crabtreech. Psów nigdzie nie było widać, a kiedy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że łańcuch zwisa luźno, a furka jest otwarta.

- Jasna cholera! - Stanęłam jak wryta. - Wydostały się na wolność? Henry? Czy ktoś je wypuścił?

W odpowiedzi Henry wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę furtki. Przeszliśmy na drugą stronę. Nie byłam na złomowisku Crabtreech od wielu lat. Ostatnim razem w dzieciństwie, a nawet wtedy nie spędzałam tu wiele czasu. W tym krótkim okresie, kiedy Ona zabierała mnie na spotkania bez nadzoru, przestrzegano mnie w domu, abym pod żadnym pozorem tam się nie bawiła. Genny mówiła, że to śmiertelna pułapka pełna zardzewiałych, ostrych przedmiotów, w których czai się tęzec. Lodówki i zamrażarki były dla niej jak zdradliwe trumny, nawet po tym, jak Ona wzięła młotek i poutraçała wszystkie zamki we wszystkich drzwiach, które dyndały obscenicznie na zawiasach.

W porównaniu z tym, co zapamiętałam, złomowisko wyglądało bardzo podobnie. Leżały tam rozrzucone w nieładzie przerdziewiałe karoserie samochodów oraz ich części, stare kosiarki, lodówki, kuchenki gazowe i mnóstwo innych urządzeń. Między stertami zębatek, świec zapłonowych i pogiętych blach przebiegała wąska ścieżka. Henry prowadził mnie na drugą stronę placu, na tyły budynku stacji benzynowej.

Pod ścianą ułożoną ze zdartych opon leżały obok siebie zeszywane ciała obu psów. Ich otwarte oczy połyskiwały szkliście, a na pyskach dostrzegłam ślady piany. Miały podkurczone łapy i wygięte grzbiety, przez co sprawiały wrażenie zastygłych w pół skoku. Wielka mucha o nabrzmałym, ciemnozielonym odwłoku spacerowała po głowie leżącego bliżej psa. Kiedy weszła na jedno z jego otwartych oczu, wzdrygnęłam się, chociaż oczywiście pies pozostał niewzruszony.

- Miała zamiar się ich pozbyć - powiedział prawie do siebie.

- Och nie, Henry. Czy ona zadzwoniła po swojego brata czy jego chłopaków? Czy któryś z nich tu przyjedzie?

Henry potrząsnął głową.

- Myślę, że udało mi się odwieść ją od tego zamiaru. Na razie.

- Wiem, co myślisz, ale jesteś w błędzie. - Położyłam rękę na jego ramieniu. - Bernese nie mogła tego zrobić.

- Wiem - powiedział. - Byłem pewien, że to ona. Poszedłem do ciebie, abyś mnie powstrzymała przed jej zabiciem. A potem postanowiłem i tak pójść prosto do niej i ją zabić. Ale wtedy powiedziałaś mi, że Bernese jeszcze nie widziała, co zrobili z jej oponami.

- Zaczekaj - przerwałam mu. - Myślałeś, że zabiła psy z powodu opon? Jak się dowiedziałeś o oponach?

- Rano spotkałem Lou w restauracji. Opowiadał o tym Trude. Pomyślałem, że się ukrywa, bo Bernese wpadła w szal, ale najwidoczniej nie chciał, aby dowiedziała się o tym od niego. Nie można człowieka za to winić. Po śniadaniu wróciłem do domu, a telefon już się urywał. Dzwoniła Ona i kazała mi przyjść na złomowisko. Była zdruzgotana.

Zakłęłam pod nosem. Jeśli Lou wyzalił się Trude, to wiedzieli o tym wszyscy. Wszyscy prócz Bernese. Przypuszczałam, że dowiadując się o wszystkim ostatnia, wcale nie będzie przez to spokojniejsza.

Całe miasteczko, nie wyłączając Henry'ego, musiało wyjść z założenia, że to jeden z synów Ony zniszczył samochód Bernese. Miałam już powiedzieć Henry'emu o nocnej wizycie Lori-Anne, ale on zaczął mówić pierwszy.

- Jeśli Bernese nie wie o oponach... to ich nie otruła. Mogła przyjść tu w biały dzień i je zastrzelić. - Henry wreszcie spojrzał mi w oczy. Był wyraźnie z bity z tropu. - Więc kto to zrobił?

- Nie wiem - powiedziałam.

Henry patrzył na mnie zza okularów, a jego ramiona były napięte i zeszywniałe.

- Ona płakała. To stara twarda suka, ale rozpłakała się, kiedy je znalazła. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w takim stanie. Kiedy się upije, ryczy jak osioł nad piosenkami country, ale oczy ma suche. To nic poważnego. Tym razem było inaczej. Zachowywała się cicho. Próbowowała to pohamować, ale wielkie łzy płynęły jej po twarzy. Nawet na mnie nie spojrzała.

Zdjęłam rękę z jego ramienia.

- Kochasz ją. - Mój głos zabrzmiał niewłaściwie, nie było w nim zaskoczenia, tylko oskarżycielski ton.

- Oczywiście, że ją kocham. - Henry zmarszczył brwi. - A co myślałaś?

- Jak? - zapytałam, a kiedy spojrzał niedowierzająco i gniewnie, uniosłam dłoń, by nie zdążył mi przerwać. - Nie, zapytałam poważnie. Jak? Ona chce, żebym ją kochała. Pragnęła tego strasznie, odkąd byłam dzieckiem. Ale ja bałam się jej śmiertelnie. Jej dom był mroczny i wilgotny i nie wiadomo, co czaiło się pod kanapą. Siedziała otoczona tym bałaganem i patrzyła na mnie pożądliwie. Myślałam, że chce mnie zjeść. Dlatego zapytałam cię, jak możesz ją kochać, bo ja nie potrafiłam. Wciąż nie potrafię. Ale teraz wiem dlaczego. Bo jest starą zapitą rasistką. Bo jest nieprzyjemna jak kłębowisko węży. Bo potrafi wykrzykiwać różne okropieństwa, wszystko, co tylko jej ślina na język przyniesie. Zanim się urodziłam, miała siedmiu czy ośmiu mężów, ale żaden z nich nie traktował dobrze jej dzieci. Ale ona i tak ich trzymała przy sobie, żeby mieć z nimi jeszcze więcej dzieci, dla których też była podła. Więc pytam cię, jak? Jakim cudem?

- Kochasz Bernese - odparł Henry.

- Nie dzisiaj. Nie kocham jej.

- Bernese i Ona to praktycznie ta sama osoba - powiedział Henry, jakby nie słyszał moich słów.

- Bzdura - zachnęłam się. - Frettowie i Crabtree są jak dwa zupełnie odmienne gatunki. Nie sądzę nawet, żeby należeli do tego samego rodzaju.

- Bernese to nikt inny jak całkowicie trzeźwa Ona, która ma trochę pieniędzy i wygórowane ambicje. Ma swoje wstrętne złomowisko w oświetlonym ultrafioletem terrarium i nazywa to swoim hobby, ale chaos pozostanie chaosem, Nonny. Obie najpierw strzela, zanim pomyśla, i każda dla swej rodziny zrobi wszystko, nieważne, kto stanie jej na drodze.

Patrzyłam na niego z ustami rozdziawionymi ze zdziwienia, po czym potrząsnęłam głową.

- Chyba oszalałeś. Bernese jest znana z moralnego nadużycia, ale to nie to samo, co zupełny brak moralności. Przyznaję, że bywają dni, w które nie jest łatwo ją kochać, ale nie jest taka jak Ona. Zresztą nie mam wyboru. Jest moją rodziną.

Henry przyglądał mi się dobrotliwie.

- Jak brzmi moje nazwisko? - zapytał.

- Tak, ale... - odparłam zmieszana. - Ty jesteś zupełnie inny od nich. Nie jesteś wstrętnym prostackim rasistą, który ma tyle samoświadomości co pluskwa. Czytasz książki, a nie jestem pewna, czy połowa z nich potrafiłaby rozszyfrować ulotkę reklamową. Posiadasz coś, z czego istnienia oni nie zdają sobie nawet sprawy, jak etyka czy dobre maniery. Potrafisz oczywiście być dla nich uprzejmy, ale tak naprawdę nie jesteś jednym z nich. Nigdy nie byłeś. Nawet nie wyglądasz jak oni i poważnie wątpię, czy faktycznie jesteś... - Zamilkłam gwałtownie, przerażona tym, co właśnie mówiłam. - Nie miałam zamiaru niczego sugerować.

- Owszem, miałaś. Nie ty pierwsza. - Jego oczy były teraz chłodne i nieprzeniknione. - Wciąż słyszę te bzdury od moich krewnych. Pokątne komentarze na temat mojej ciemnej skóry i obyczajów mojej matki. Cały czas. Choć nigdy przedtem od ciebie. A swoją drogą, nigdy od Ony Crabtree.

- To było nieprzemyślane.

- Kogo uważasz za swoją matkę, Nonny? - zapytał. - Hazel Crabtree czy Stację Frett?

- Wiesz, kto jest moją matką - odparłam, zniżając ton.

- Właśnie. Ponieważ Stacia wypełniła swoje zadanie. Tylko to się liczy. Wiem, jak wyglądam, i wiem, co mówią ludzie, ale Reau Crabtree też wywiązał się ze swego zadania. Był moim ojcem. A to oznacza, że Ona Crabtree jest częścią mojej rodziny.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Henry mógłby tak bardzo się starać, aby czuć się jednym z nich. Tak bardzo, jak ja starałam się od

nich zdystansować. Nigdy nie myślałam, że komuś mogłoby na tym zależeć.

- Przepraszam cię, Henry - powiedziałam. - To było nie na miejscu.

Czułam się, jakbym coś zabiła, jakbym zdeptała ten mały zielony pęd, który niezauważalnie wzrastał między nami. Musiałam wyglądać tak samo marnie, jak się czułam, bo jego mina złagodniała.

- Ach, olej to. Nie miałaś zamiaru nic powiedzieć. Obydwoje jesteśmy teraz trochę podenerwowani. Zapomnijmy o tym, dobrze? Mamy poważniejsze problemy. - Opuścił wzrok i patrząc na martwe psy, wetknął ręce w kieszenie. - Teraz nie liczy się nikt prócz Bernese.

- Wiem. - Poczułam ulgę, że wracamy na wspólny grunt. - Ale Henry, ona nigdy by tego nie zrobiła. Nie mogę sobie wyobrazić Bernese działającej ukradkiem.

- Może jej nie doceniasz.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że mógł to być wypadek. Czy Lobe albo Tucker wykładali ostatnio jakąś trutkę na szczury? A może z jakiegoś starego wraku wyciekł płyn chłodniczy?

- To byłby absolutny zbieg okoliczności, czyż nie tak? Jeśli to nie Bernese... - Zawiesił na chwilę głos, a kiedy chciałam coś wtrącić, szybko dodał: - Wiem, co myślisz, ale któż inny mógł to zrobić?

Nagle dotarło to do mnie. Zasłoniłam usta rękami, aby nic nie powiedzieć. Bernese nie mogła tego zrobić. To nie były jej metody, ale musiał być ktoś inny.

Henry spojrzał na moją twarz i już wiedział, że wszystko zrozumiałam. Przyglądał mi się uważnie, a potem odchylił się do tyłu. Miał taką minę, jakby coś zaczęło mu świtać.

- Ale ze mnie idiota. Oczywiście, że nie Bernese. To zrobił jej prawnik. - Nie zabrzmiało to jak pytanie, więc nic nie mówiłam. Henry uznał moje milczenie za potwierdzenie i dodał: - Powinienem być na to wpaść. Albo kazała mu to zrobić, albo Isaac Davids działał na własną rękę.

Wciąż trzymałam dłonie przy ustach i patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. Chciałam mu odpowiedzieć, ale to była wojna i zaczynałam rozumieć, że Henry Crabtree i ja stoimy po przeciwnych stronach. Stanowił integralną część tego wszystkiego, z czym walczyłam, a jeden przelotny pocałunek nie uczynił ze mnie jego rodziny. Nie uczynił ze mnie nic, co mogłoby do niego należeć. Miałam ochotę rzucić się w jego objęcia i płacząc, dać mu odpowiedź, aby mi pomógł. Ale nie mogłam. Opowiedział się wyraźnie, po której jest stronie, i cokolwiek bym mu powiedziała, mogłoby zostać użyte przeciwko mojej rodzinie.

Nie mogłam mu nawet powiedzieć o Lori-Anne i tych oponach, bo mógłby to powtórzyć Onie. Czyż nie byłaby tym zachwycona? Czyż nie byłaby szczęśliwa, mogąc powiedzieć Bernese: „Nie, to nie ja ani nikt ode mnie. Atakuje cię twoje własne dziecko i ktoś by je za to potępił?”.

- Musisz porozmawiać z Isaakiem - powiedział. - A ja nadal będę urabiał Onę. Postaram się, żeby zadzwoniła na policję zamiast do swoich psychopatycznych bratanków.

Przytaknęłam z wdzięcznością. Wiedziałam, że Ona musi coś zrobić. Nigdy nie puściłaby tego płazem, ale policja wydawała się drobnostką w porównaniu z jej krewniakami z Alabamy.

- Dobrze - odparłam. - Muszę już iść.
- Zaczekaj, Nonny! - krzyknął za mną.

Ale ja nie czekałam. Obróciłam się i pobiegłam, zostawiając go wśród zardzewiałych wraków i stert żelastwa. Gnałam z całych sił, jak gdyby ucieczka przed Henrym Crabtreem była konkurencją sportową, a ja trenowałabym do olimpiady.

Kiedy tylko znalazłam się po drugiej stronie furtki, pobiegłam w stronę skweru, przecięłam Philbert Street i weszłam między porośnięte kwiatami klomby. Opadłam na kolana przy wybrukowanym chodniku i zaczęłam szukać, przeczesując palcami trawę. Posuwając się na czworakach w kierunku sklepu Bernese, minęłam fontannę.

Znalazłam tylko dwie tabletki percocetu rozpuszczające się w porannej rosie.

Isaac, niemożliwe. Gdyby Bernese napuściła go na Onę, włożyłby szykowny granatowy garnitur i konserwatywny krawat, po czym zapukałby do głównych drzwi stacji benzynowej. Przyszedłby z nakazem sądowym albo w towarzystwie kontrolerów z wydziału ochrony środowiska, ale nie z trucizną. To nie był Isaac. I nie Bernese.

To była mama. I co gorsza, ja jej pomogłam. Przyniosłam dla niej od Trude dużą porcję pieczeni rzymskiej z dodatkową porcją sosu i kiedy zesłam do sklepu, mama musiała ukryć tabletki przeciwbólowe w kawałkach mięsa. Przypuszczalnie zawinęła je w serwetki i ukryła w swej przepastnej torebce.

Wracając do domu, upuściła kilka pigułek i pustą butelkę, dając mi jakieś zajęcie, abym mogła zostawić ją samą przy ogrodzeniu otaczającym złomowisko. Kiedy poszłam, wyciągnęła rękę i precyzyjnie przez oczka siatki zatrute porcje pieczeni. Psy ćwiczone dorywczo przez Lobe, który sam nie miał na tyle dyscypliny, aby wpoić ją zwierzętom, ochoczo rzuciły się na mięso. Zjadły każdy kęs.

Po części chciałam pobiec do domu i zapytać: „Dlaczego, mamo? Dlaczego wszystko pogorszyłaś? Wiedziałaś, że staram się, aby usunąć te psy, że usiłuję powstrzymać Bernese, aby jej nie poniosło i nie zrobiła czegoś nieodwracalnego. Dlaczego to zrobiłaś?”.

Wiedziałam jednak dlaczego. Nie musiałam pytać. Mama była pewna, że moje metody nie poskutkują i Ona nie zdąży oddać psów, zanim Genny wyjdzie ze szpitala. A na to nie mogła pozwolić. Nie zniosłaby, gdyby Genny po powrocie do domu przez kilka dni albo tygodni wyskubywała sobie włosy do gołej skóry i biła głową o ścianę.

Pogrążona w takim chorobliwym stanie Genny potrafiła odnaleźć w sobie nikłe pokłady typowej dla Frettów siły woli, która zalegała w uśpieniu pod osłoną jej pięknej twarzy i miękkiego serca. Ogarnięta strachem cierpiała na bezsenność i nie chciała przyjmować xanaksu ani słuchać muzyki relaksacyjnej. Leżała sztywno w łóżku przy

opuszczonych żaluzjach i odmawiała jedzenia i picia, aż ze zmęczenia i odwodnienia dostawała halucynacji.

Mama jednak nie musiała sięgać tak głęboko. Jako bądź co bądź siostra Bernese była na swój sposób niebywale pragmatyczna. Po cichu odkryła własną metodę, by uczynić świat zakłamanym i nazwać go bezpiecznym.

Rozdział 14

Kiedy jechałam z mamą w odwiedzinach do Genny, musiałam bardzo się starać, aby nie spowodować wypadku. Mama lubiła rozmawiać w samochodzie, co oznaczało, że przez pół drogi musiałam przytrzymywać kierownicę kolanem. Nie poruszyliśmy jednak tematu psów.

Zaczekałam, aż zatrzymamy się bezpiecznie pod szpitalem na parkingu dla gości i dopiero wtedy zapytałam:

Czy chcesz, abym poprosiła doktora Crowa o nową receptę na percocet?

Jestem po nim otumaniona - odpowiedziała mama, zaprzeczając gestem dłoni.

Siedziałam obok niej przez chwilę niepewna, co zrobić. Wiedziałam, co wiedziałam, ale cóż mama mogła na to powiedzieć? W najciemniejszych zakamarkach swej natury cieszyłam się, że psów już nie ma, bez względu na to, w jaki sposób do tego doszło i za jaką cenę. Kłócić się z nią czy nawet pytać ją o to nie miało sensu, ale mimo wszystko dotknęłam jej dłoni i zamigałam: *Domyślam się, że te tabletki spełniły już swoje zadanie.* Mama zamarła i trwała w całkowitym bezruchu, dopóki nie dodałam: *Dzięki nim mogłaś zasnąć tej nocy. Prawda?*

Mama rozluźniła ramiona i rozprostowała obolałe plecy, a potem udzieliła mi bardzo wymownej odpowiedzi: *Nigdy nie sądziłam, że potrafisz być taka sympatyczna, kiedy nie jesteś skora do rozmowy.*

Potem rozłożyła swoją białą laskę i wymacując nią drogę, wysiadła z samochodu. Zatrzasnęła za sobą drzwi i użyła do tego odrobinę więcej siły, niż to było konieczne.

Kiedy przyszyliśmy do pokoju Genny, zastałyśmy ją siedzącą na łóżku, gdzie marszczyła i rozprostowywała pościel. Miała zrozpaczoną minę i drżące wargi. Od razu zobaczyłam, że się skubała. Jej zdrowe ramię w miejscach, gdzie powyrywała sobie włosy wraz z cebulkami, pokrywały zaczerwienione plamki. Łóżko wyglądało jak pobojowisko usłane pogniecionymi chusteczkami, na których widniały ślady jej krwi, z czego wywnioskowałam, że Genny posunęła się już do przygryzania ciała wewnątrz ust. Połykanie krwi przyprawiało ją o nudności, więc osuszała ranki za pomocą chusteczek. Kiedy zobaczyła mnie i mamę, uśmiechnęła się, a potem wybuchła gwałtownym szlochem.

- Był tu doktor Crow i powiedział, że jutro wypiszą mnie do domu - zwróciła się do mnie i wyciągnęła zdrową rękę w stronę mamy.

Podprowadziłam mamę do stojącego obok łóżka krzesła i położyłam jej rękę na oparciu.

- Zaraz porozmawiam z doktorem - starałam się mówić płynnie i spokojnie.

Widziałam, że przekroczyła już połowę drogi, jaka dzieliła ją od zapadnięcia w kryzys, i jest przypuszczalnie zbyt daleko, aby się cofnąć. Zastanawiałam się, czemu nikt nie podał jej xanaxu albo ativanu, ale Genny tak szybko dawała się wciągnąć w wir.

- Może uda mi się ich przekonać, żeby cię wypuścili dzisiaj - powiedziałam i poszłam w stronę drzwi.

- Nie! Nie rób tego! Nie mogę wrócić do domu! - zaprotestowała, kręcąc głową.

Wstrząsnął nią kolejny atak urywanego szlochu. Mama obeszała krzesło i usiadła na nim, a potem wyciągnęła rękę w poszukiwaniu brzegu łóżka i Genny. Kiedy tylko ich ręce się spotkały, Genny zaczęła gorączkowo migać, mówiąc jednocześnie do mnie.

- Te psy są tuż obok domu. One na mnie czyhają, te okropne psy, i co to będzie? Nienawidzę tu być. Jestem taka samotna i obolała, ale te psy mnie zabiją, jeśli wrócę do domu. Wiedzą, że wracam, a wtedy...

Mama przytrzymała dłonie Genny i zaczęła ją uspokajać. Ani na milimetr nie obróciła się w moją stronę, lecz choć nic mi nie powiedziała, cała jej postawa sugerowała, że o wszystkim już wiem.

Stojąc w drzwiach, nie widziałam jej twarzy ani rąk, które zasłoniła ciałem, nie byłam więc pewna, co tłumaczyła Genny. Ta jednak po kilku chwilach pojaśniała od ulgi.

- Nonny, dowiedz się, czy nie wypiszą mnie teraz. Nie wytrzymuję tu. W tym pokoju śmierdzi burakami.

- Burakami? - zdziwiłam się.

Genny przytaknęła żywo, a potem jej twarz wykrzywił grymas cierpienia, kiedy od gwałtownego poruszenia zabołało ją okaleczone ramię.

- Nie czujesz tego? Rozgotowanymi burakami, które ktoś wyszorował środkiem bakteriobójczym. A do tego straszą mnie, że mi tu kogoś dokwaterują. To będzie ktoś, kogo w ogóle nie znam. Któż by zasnął w takich warunkach? Dostałabym wysypki. A gdyby to był jakiś mężczyzna? Mogliby tu położyć mężczyznę?

- Pozwól, że dowiem się, kiedy cię wypiszą. - Odwróciłam się, by wyjść, ale zatrzymał mnie skrzeczący odgłos, jaki wydała mama.

Podeszłam z powrotem do łóżka i stanęłam tak, aby widzieć jej ręce.

Ale nawet jeśli dzisiaj wypuszcza Genny, jutro i tak jedziesz do Athens? - zapytała mama.

Oczywiście, że tak. Nonny nie musi zostawać, jeśli ty będziesz ze mną - odpowiedziała Genny, po czym zwróciła się do mnie:

- Nie możesz z mojego powodu nie pójść na rozprawę. - Jej usta znów zadrżały. - Bo ja mogę tu zostać, jeśli choć przez sekundę pomyślisz, że mogłabyś ją przegapić ze względu na mnie. Tutaj nie jest aż tak strasznie.

Genny wyprężyła zaokrąglone ramiona i skrzywiła się z bólu.

- Nie bądź niemądra, skarbie - powiedziałam. - Wszyscy chcemy, abyś wróciła do domu. A teraz proszę, pozwól mi porozmawiać z pielęgniarkami.

Pędem wypadłam z sali i ruszyłam korytarzem tak szybko, że niemal biegłam.

Doznawałam osobliwego pocieszenia, wiedząc, że ze względu na obrażenia mamy i Genny będę musiała zrezygnować z rozprawy. Pomimo tego, jak okropne były ostatnie dni i jak bardzo pragnęłam, aby Zdzira nie wydoszła się na wolność, a nawet żeby w ogóle nie istniała, odczuwałam coś w rodzaju ulgi, mogąc zepchnąć Jonno na dalszy plan moich myśli. Nasz rozwód był ostatnią rzeczą, do jakiej miało między nami dojść, i wygodnie mi było odłożyć to wydarzenie na jakiś mglisty poranek w bliżej nieokreślonej przyszłości. Pragnęłam tego rozvodu z całego serca. Naprawdę. Tylko nie byłam pewna, czy chcę go jutro.

Wydawać by się mogło, że łatwiej by mi było uwalniać się od Jonno powoli i stopniowo, zamiast pozbyć się go jednym cięciem. Choć niektórzy ludzie, na przykład moja matka, mogliby powiedzieć, że na odzwyczajanie się od niego poświęciłam już rok. Albo też zapytać, jaki to przyniosło skutek.

Doktor Crow chciał zatrzymać Genny w szpitalu jeszcze jeden dzień, ale przypomniałam mu, że tuż obok mieszka Bernese, emerytowana pielęgniarka. Wtedy zgodził się wypisać ją od razu. W dyżurce pielęgniarek siedziały dwie kobiety, które rozpromieniły się radośnie, gdy usłyszały, że zabiorę Genny. Byłam pewna, że kiedy tylko znikłam za rogiem, jedna drugiej przybiła piątkę. Genny przechodząca kryzys zachowywała się jak półtora nieszczęścia i mogłam pójść o zakład, że kiedy tylko się budziła, niemal nie zdejmowała kciuka z guziczka alarmu przywołującego pielęgniarki.

Wróciłam do Between, wioząc Genny rozpartą wygodnie na tylnej kanapie. Już samo towarzystwo mamy sprawiało, że jej twarz nabierała kolorów. Mama dotykała jej ręką wyciągniętą do tyłu między siedzeniami. Robiła tak nie tylko dlatego, że Genny była obolała; zazwyczaj obie pozostawały w fizycznym kontakcie, nawet kiedy nie rozmawiały.

Czułam się trochę nieswojo, kiedy byłam sama z mamą, tak bardzo przywykłam do tego, że zawsze towarzyszy jej Genny. Uderzyło mnie teraz, jak bardzo obie wydały mi się drobne i wątle, gdy owinięte bandażami ostrożnie trzymały się za ręce. Patrzyłam na nie, a ich niepospolita więź oraz zwyczajna ludzka kruchość stały się dla mnie bardziej realne niż kiedykolwiek. Poczułam przyływ tęsknoty za kimś, kto mógłby dla mnie być w ten sposób bliski. Nie chciałam być taka samotna.

Miałam wrażenie, że na gruncie mej przyjaźni z Henrym wyraźnie coś się rozwija. Pojawiło się już, kiedy mnie pocałował, ale nie byłam tego do końca świadoma, dopóki wszystkiego nie zniszczyłam podczas naszej rozmowy na złomowisku. Śmiertelnie go obraziłam, a on dał mi jasno do zrozumienia, że w tej odrażającej wojnie jego miejsce jest po przeciwnej stronie. No i co mi pozostało?

Jonno? Ciagle on i on. Wydawało mi się, że istnieje od zawsze. Poczuałam oszołamiające pragnienie, aby nie stawić się na jutrzejszą rozprawę i ostentacyjnie nie starać się o kolejny termin. Jonno z zadowoleniem przyjąłby perspektywę takiego zawieszenia w próżni i zdania się na ślepy los. Dryfujący z prądem, tak powinno brzmieć jego drugie imię. Patrząc na mamę i Genny, przypominałam sobie jednak, że pomimo swoich wad Jonno zawsze rozumiał, ile znaczą dla mnie te kobiety.

Jonno tak samo jak ja zdawał sobie sprawę, że nadejdzie kiedyś dzień, gdy na świecie pozostanie tylko jedna z nich, nieważne która, i powinna niezwłocznie zamieszkać z nami. To nie podlegało dyskusji. Nie mogłam znieść myśli o Genny przerażonej życiem czy też o mamie uwięzionej we wnętrzu własnej głowy.

Kiedy przyznano mi stypendium na uczelni, którą od mojej rodziny dzieliły dwa stany i nie odesłałam potwierdzenia, pozwalając, aby okazja przeszła mi koło nosa, Jonno nie skrytykował mnie ani nie powiedział, że jestem zbyt uzależniona. Nigdy nie protestował, kiedy zostawiałam go co weekend, czasami na trzy albo cztery dni, które spędzałam z nimi. Z tego względu tęsknota za nim zniknęła równie szybko,

jak się pojawiała, pozostawiając daleko w tyle *zależki* przygnębienia. Jonno prawdopodobnie nie miał nic przeciw moim wyjazdom, gdyż dzięki temu tak łatwo mógł mnie zdradzać.

Gdyby miało nie dojść do tego jutro, musiałabym ustalić nowy termin rozprawy, na której może bym się nawet pojawiła. Rozwiódłabym się z nim i potem mogłabym sobie ułożyć życie i przypuszczalnie już do końca wieść je samotnie. Który bowiem mężczyzna zechciałby się związać z trzydziestoletnią kobietą, która ma półtorej matki, jedną głuchoniewidomą, a drugą tak neurotyczną, że bliską niemal zupełnego szaleństwa. Kiedy obydwie już by odeszły, snułabym się po domu w rozdeptanych kapciach i żywiła się owsianką, aby mieć za co wykarcić dziewięć tysięcy moich kotów, które bez wątpienia zjadłyby mnie po śmierci. Ale przynajmniej moja matka byłaby szczęśliwa, patrząc na mnie z nieba, że w końcu ruszyłam dupę i definitywnie z czymś się uporałam. Skoro nie potrafiłam z taką ochoczą niefrasobliwością zabić tamtych psów, mogłabym chociaż doprowadzić do końca swój rozwód.

Nie byłam w najlepszym nastroju, aby spędzić ten dzień, usługując obolałej i poirytowanej Genny. Mama udała się do swojego pokoju i po chwili usłyszałam dobiegający stamtąd stukot klawiatury brajlowskiej. Mama przy użyciu konsoli telefonicznej prawdopodobnie plotkowała na mój temat z jedną ze swych przyjaciółek z Alabamy.

Kiedy stukot ucichł, chciałam do niej pójść, ale Genny nie dawała mi chwili wytchnienia. Chciała, żebym ułożyła jej włosy, miała ochotę tylko na taką zupę, jakiej akurat nie mieliśmy, a pilot do telewizora w jej sypialni właśnie zaczął szwankować. Biegałam po schodach tam i z powrotem w poszukiwaniu nowych baterii i śrubokrętów, a kiedy moje zabiegi zdały się na nic, podeszłam do telewizora i pięć razy przeskakiwałam przez wszystkie kanały, aby natrafić na program *Trading Spaces*. Wtedy Genny przypomniała sobie, że ma pilota do odtwarzacza, przestroiliła go na telewizor i zaczęła przełączać kanały. Miałam ochotę ją udusić, więc wyszłam, żeby zrobić jej herbaty.

Koło południa usłyszałyśmy dobiegający z podjazdu głos Bernese.

- Lou! Lou! Przynieś mi ten cholerny telefon bezprzewodowy - wołała.

Nachyliłam się nad łóżkiem Genny, aby zerknąć przez okno. Bernese stała obok swojego samochodu i patrzyła na pokiereszowane opony. Kiedy Lou nie nadchodził, nie ruszając się z miejsca, zaczęła wrzeszczeć „Telefon! Telefon!” tak rozpaczliwie, jak gdyby była Marlonem Brando, a telefon Stellą.

- Co tam się dzieje? - zapytała Genny.

- Nic dobrego.

Pomogłam Genny usiąść i podpadam jej plecy poduszkami, tak aby mogła wyglądać przez okno. Potem przyprowadziłam mamę. Usiadła obok Genny, która zdawała jej relację z wydarzeń rozgrywających się przed domem.

Lou musiał wkraść się do domu, kiedy pojechałam po Genny, i najwyraźniej postanowił udawać, że nie zauważył opon i pozwolić, aby Bernese sama je odkryła. Teraz pojawił się właśnie, niosąc telefon, który Bernese wyrwała mu z ręki, po czym wybrała numer i wrzeszczała coś do słuchawki. Lou krążył wokół niej na podjeździe niczym spanikowany satelita.

Po kilku minutach zobaczyliśmy Isaaca Davidsa, który kroczył wytwornie od strony swej wiktoriańskiej rezydencji przy skwerze. Upłynęło jeszcze kilka chwil, kiedy na sygnale przyjechał pupilek Bernese, szeryf Thig Newell, a pięć minut później pojawili się dwaj gliniarze z Loganville.

Wszyscy mężczyźni kręcili się przed domem, podczas gdy Bernese krążyła wokół auta, przybierając tak drapieżną postawę, jakby tropiła ofiarę.

Powinnaś iść i zobaczyć, co u niej - stwierdziła mama.

Zostało mi to oszczędzone, bo akurat w tym momencie tłum się rozproszył. Lou wszedł do domu, policjanci z Loganville odjechali, a Isaac i Bernese wsiedli do samochodu Thiga, który ruszył wzdłuż Grace Street w stronę skweru.

Tego popołudnia, kiedy mama poszła się położyć, a Genny była bli-
ska płaczu z wyczerpania, Lou przyprowadził Fisher. Prosił, abym się
nią zaopiekowała, bo właśnie wybierał się z Bernese załatwić parę spraw.

- Jak zamierzasz gdzieś pojechać na tych pociętych oponach? -
zdziwiłam się.

- Och, no i Bernese kazała zapytać, czy mógłbym pożyczyć twoje
auto. - Lou zarumienił się i spuścił wzrok. Zrobiło mi się go żal i po-
dałam mu kluczyki.

Fisher była marudna i nadmiernie pobudzona zarazem. Nie potrafi-
ła usiedzieć spokojnie. Nie odstępowała mnie na krok, kiedy poszłam
do pokoju Genny, i wyprowadzała ją z równowagi, skacząc po jej łóżku.
Wreszcie zostawiłam Genny przed telewizorem, z koktajlem owocowym
w rękę, i zabrałam Fisher na dół, gdzie zaczęła bawić się kredkami, pod-
czas gdy ja zajęłam się sprzątniem. Fisher nie miała jednak zamiaru sie-
dzieć cały czas przy stole. Snuła się za mną od pokoju do pokoju, poty-
kając się o sznur od odkurzacza i wążąc mi pod nogi.

- Mogę przyjść tu na noc? - zapytała.

- Wiesz, że babcia ci na to nie pozwala, kiedy na drugi dzień idziesz
do przedszkola - odparłam, gdy jakimś cudem zdołałam się powstrzy-
mać od słów „O Boże, tylko nie to!”, które same cisnęły mi się na usta.

Fisher nic nie odpowiedziała, tylko kopała poręcz przy schodach.

- A dzisiaj zostaniesz w swoim łóżku, Robaczku - dodałam. - Do-
brze? Babcia miała dzisiaj bardzo ciężki dzień z tymi samochodami
i w ogóle, a ty nie chcesz jeszcze bardziej jej denerwować.

Dziewczynka wymierzyła kolejnego solidnego kopniaka w balu-
stradę.

- Może powinnaś mnie teraz zabrać do babci. Jest u niej pan Isa-
ac. Mógłby mi opowiedzieć o jakichś żydowskich sekretach, a ja bym
ci potem nie powtórzyła. - Wydęła wargę tak mocno, że mógłby na
niej przysiąc słusznych rozmiarów ptak.

- Fisher, twoja babcia ma ostatnio poważne kłopoty. Wiesz, jak to
jest, kiedy łatwo wpada w gniew.

Fisher przytaknęła energicznie. Wiedziała.

- Próbuję to naprawić. Spróbuję zrobić tak, żeby nie była już taka niezdolna i zachowywała się normalnie, ale potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś nie robiła rzeczy, które, sama wiesz, doprowadzają ją do szału. Nie chcę, żeby dziś w nocy przyszła do twojej sypialni i zobaczyła, że cię nie ma.

- To głupoty - stwierdziła Fisher. - Ja schodzę tylko na dół albo do domu obok.

- Czasami chodzisz aż na plac i śpisz w mieszkaniu nad sklepem.

- Do sklepu nie jest tak daleko.

- To nie jest bezpieczne. Musisz przejść obok... - przerwałam gwałtownie, aby wreszcie dokończyć - ...zjazdu na autostradę. I sama przejść przez ulicę. Babcia widzi, że twoje łóżko jest puste i wpada w panikę. Jeśli nie nastraszysz jej dziś w nocy, obiecuję ci, że pomogę babci, aby nie była ciągle taka nerwowa. A ty możesz spędzić ze mną cały weekend, jak zawsze. Jutro pożyczymy filmy i posiedzimy naprawdę do późna, dobrze?

- Babcia mówi, że jutro chyba w ogóle nie pójde do ciebie, bo musisz jechać do Athens i wrócisz bardzo późno.

Wzięłam głęboki oddech.

- Myślę, że raczej nie pojedę - odparłam.

- Możemy wziąć każdy film, jaki będę chciała? - Fisher spojrzała na mnie z ukosa.

- Każdy z dozwolonych dla ciebie.

- I jeść prażoną kukurydzę?

- Aż nam się zrobi niedobrze - powiedziałam, w myślach grając na nosie Bernese i jej dietetycznej książce. - Ale tylko jeżeli mi pomożesz i będziesz miła dla swojej babci.

- Zgoda - wydusiła z siebie w końcu.

Z góry dobiegło mnie znowu wołanie Genny. Fisher i ja poszłyśmy do niej, a popołudnie zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Lou pojawił się około piątej, bez wątplenia przysłany po to, aby zabrać Fisher,

nim zdążyłabym nakarmić ją jakimś normalnym obiadem. W domu prawdopodobnie czekał na nią apetyczny talerz otrębów rozbełtaných z sokiem marchewkowym. Mama i Genny dopiero co zasnęły.

- Czy Fisher i ty moglibyście tu zostać? - zapytałam Lou. - Chcę, żeby mama się przespała, ale ktoś musi być w pobliżu na wypadek, gdyby Genny się obudziła i czegoś potrzebowała. A ja naprawdę muszę wyjść.

- Jasna sprawa - odparł Lou.

Wrzuciłam do torebki książkę, którą właśnie czytałam, i wybiegłam z domu w obawie, że Lou może zmienić zdanie. Pomyślałam, że mogłabym pójść do restauracji i coś zjeść, przeczytać rozdział albo dwa, a może potem się przespacerować.

Zrobiło mi się nieswojo, kiedy przechodziłam koło złomowiska i za ogrodzeniem nie pojawiły się psy szarżujące w moją stronę. W dołku znów poczułam ten dobrze znany ucisk niepokoju i wciąż jeszcze spodziewałam się, że zauważę je kątem oka.

Kiedy minęłam stację benzynową i doszłam do przejścia dla pieszych, które prowadziło na skwer, zauważyłam Bernese idącą energicznie brukowanym chodnikiem obok hoteliku Merchantów. W tym samym momencie z jednego ze sklepików z antykami wyłoniła się Ona Crabtree i ruszyła w stronę restauracji. Dokładnie na wprost mnie, po przeciwnej stronie klombów i fontanny, przed księgarnią stanął Henry.

Rozejrzał się wokół i zauważył Bernese i Onę na krótką chwilę przed tym, jak dostrzegły się nawzajem. Szły w przeciwnych kierunkach, z przeciwległych stron skweru, a kiedy ich spojrzenia natrafiły na siebie, odczułam to jak wstrząs rozchodzący się z głębi ziemi, który zachybotał gruntem pod moimi stopami. Żadna z nich nie przestała iść, ale też żadna nie oderwała wzroku od drugiej.

Z boku wyglądało to, jakby dwie panie w słusznym wieku wpatrywały się w siebie złowrogo ponad soczystą zielenią trawnika i kwitnącymi klombami. Ja jednak widziałam zmierzające ku sobie dwie góry

lodowe i ukryte pod powierzchnią zamrożone ostre krawędzie, gotowe zetrzeć się nawzajem na miazgę. Bernese emanowała świeżym gniewem, jaki wywołał w niej wypadek Genny i zniszczenie opon. Spojrzenie Ony ociekało zimnym jadem, gromadzonym przez trzydzieści lat starych uraz i zaprawionym niedawną stratą.

Posuwały się naprzód, każda ze swej strony placu. Zrównały się na wysokości fontanny i w tym samym momencie obie powoli odwróciły od siebie wzrok i patrząc dalej na wprost, kontynuowały swój marsz. Dotarło do mnie, że przestałam oddychać i wciągnęłam potężny haust powietrza, który smakował dziwnie lodowato pomimo faktu, że panował prawie trzydziestostopniowy upał. Ona weszła do restauracji, a Bernese właśnie mnie zauważyła i ruszyła mi na spotkanie przez trawnik, ścinając ostatni róg skweru.

- Idziesz coś zjeść na kolację? - zapytała.

Przytaknęłam kiwnięciem głowy.

- Lou i Fisher zostali z Genny - dodałam.

- Dobrze, że udało ci się wyrwać. Jak znam Genny, to pewnie doprowadziła cię do szewskiej pasji.

Minęła mnie i weszła w Grace Street, kierując się ku domowi.

Moje oczy napotkały spojrzenie Henry'ego i pod wpływem niemego porozumienia zaczęliśmy iść ku sobie. Przecięłam ulicę, przeszłam na wprost przez trawnik i spotkałam się z nim przy fontannie.

- Masz ochotę wstąpić do mnie, żeby się upić? - spytał Henry.

- Dobry pomysł.

Rozdział 15

Weszliśmy do księgarni i Henry przekręcił klucz we frontowych drzwiach. Lampy pod sufitem były zgaszone i drogę między regałami oświetlały nam słabe promienie zachodzącego słońca, które wpadały przez okno wystawowe. Kiedy dotarliśmy do półek z literaturą piękną, nie widziałam już, gdzie idę, położyłam więc rękę na ramieniu Henry'ego i pozwoliłam mu prowadzić.

W głębi sklepu, obok wejścia do biura znajdował się kącik wypoczynkowy, gdzie klienci mogli się odprężyć, poczytać i wypić filiżankę kawy. Była tam szeroka sofa obita podniszczonym na brzegach welwetem w różowe i złote pasy. Po obu jej stronach stały dwa krzesła o sztruksowej tapicerce zwrócone przodem do siebie, które wraz z kanapą otaczały niski stolik do kawy, tworząc istic klubową atmosferę. Henry zatrzymał się, a kiedy puściłam jego ramię, sięgnął za jedno z krzeseł i włączył lampę podłogową.

- Rozgość się, Nonny Jane - powiedział.

Lampa miała zrobiony z koralików klosz w kolorze burgunda, który przyciemniał światło słabej żarówki. Kiedy górne lampy były wyłączone, panował tam bardziej intymny i przytulny nastrój niż w mieszkaniu Henry'ego.

Opadłam na sofę, a Henry na moment zniknął za drzwiami biura. Słyszałam, jak wspina się, a potem zbiega po schodach. Wrócił, niosąc opróżnioną do połowy butelkę jamesona i dwie masywne szklanki.

- Mogłem zrobić kawę po irlandzku, ale stwierdziłem, że pewnie wolałabyś pominąć subtelnosci i przejść wprost do irlandzkiej - oświadczył.

- Nie traćmy czasu na błażostki.

Henry zgodnie kiwnął głową i usiadł obok mnie. Postawił szklanki na stoliku i nalał do każdej z nich obfitą porcję.

- Na zdrowie - powiedział i obydwójce opróżniliśmy szklanki do dna.

Czułam jak alkohol wypala sobie drogę, spływając do mego pustego żołądka.

Odstawiłam szklankę, a Henry znów nalał, najpierw mnie, potem sobie. Przejechał palcem po obrzeżu swojej szklanki i zaczął mówić, podejmując wątek dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwaliśmy podczas rozmowy na złomowisku.

- Pod pewnym względem Reau Crabtree był moim jedynym rodzicem - odezwał się. - Wiesz, że mama miała pewne problemy.

- Przypominam sobie - odparłam.

- Po śmierci taty jeszcze się jej pogorszyło. Większość czasu spędzała, chodząc po domu w piżamie. Kiedy miałem trzynaście lat, właściwie sam wychowywałem Lilly, podawałem mamie lekarstwa i prowadziłem sklep. Tyle razy byłem zdecydowany, by stanąć przy drodze numer 78 i złapać stopa. Ona zawsze wiedziała, że byłem o krok od tego, żeby stąd prysnąć. Porzucić Lilly. Pozwolić, aby mama zakisiła się we własnych odchodach. I właśnie wtedy przyszła Ona. Była pijana. Albo tak skacowana, że pierwsze co zrobiła, to poszła się wyrzucić do naszej łązienki. Potem przyrządziła jajka dla mnie i dla Lilly. Spakowała jej drugie śniadanie. A mnie dała garść drobników i powiedziała, żebym zamiast do szkoły poszedł się rozerwać do salonu gier w Loganville.

Nie jestem ślepy na to, jaka jest Ona Crabtree. Ale przede wszystkim, mimo tego, co o niej powiedziałaś, jest dla mnie rodziną. Nie mogę jej nie kochać.

Sięgnęłam po szklankę, a w tym samym czasie Henry wziął swoją.

- Zdrowie - powiedziałam i waliśmy w siebie drugą kolejkę.

Tym razem weszło znacznie lepiej. Odstawiłam szklankę na stół, odchyliłam głowę do tyłu i zamknęłam oczy. Usłyszałam, jak szklanka Henry'ego stuka o blat obok mojej i obie napełniają się z chlupotem.

- Nie musisz ich przede mną tłumaczyć - odezwałam się. - Jeśli istnieje istota ludzka, która naprawdę rozumie znaczenie słów „zobowiązania rodzinne”, to właśnie masz ją przed sobą.

- Nikogo nie usprawiedliwiam. Tylko coś ci opowiadam. - Zawiesił głos, a ja otworzyłam oczy. Pocierał czoło swymi długimi palcami, jakby chciał wypchnąć w kierunku ust coś, co pojawiło się w jego mózgu. - Tucker pochlastał opony w autach Lou i Bernese. Przechwalał się tym przed Oną. Zdrowie.

Wychylił swoją kolejkę. Czułam się lekko oszołomiona, więc swoją szklankę pozostawiłam nietkniętą. Nie byłam pewna, co Henry chce mi okazać. Czy była to propozycja zawarcia pokoju? Czy też wzajemna wymiana informacji między przeciwnymi stronami? Może była to zasługa whisky, ale pomyślałam, że znów odczuwam obecność tego, co między nami się rozwijało, i moje serce zaczęło łomotać jak oszalałe. Nie zdawałam sobie sprawy, ile to dla mnie znaczyło, dopóki nie zaczęło mi się wydawać, że coś zniszczyłam.

Spojrzałam mu głęboko w oczy i pozwoliłam, aby ten maleńki zielony pęd zaczął rozkwitać.

- Tucker tego nie zrobił. Pewnie kłamał, żeby przypodobać się matce. Lori-Anne pocięła te opony. Widziałam ją. Zdrowie. - Sięgnęłam po szklankę i wlałam sobie do gardła jej zawartość. Potem odstaawiłam ją na stół i spojrzałam na niego rozszerzonymi od niepokoju oczyma. - Ale jeśli powiesz to Onie, pięknie mnie urządziysz.

- A jeśli ty powtórzysz, że Tucker się do tego przyznaje, Bernese każe go aresztować. A Ona zorientuje się, że to wyszło ode mnie.

- Więc czemu to robimy? - Zaczęły trząść mi się ręce. - Po czyjej jesteśmy stronie?

- Na pewno nie po Bernese - odparł.

- A ja nie po stronie Ony.

- Wiem. - Zakręcił butelkę i obrócił się przodem do mnie. - Po-
stanowiłem przejść na twoją.

- Ja jestem po stronie Bernese. - Byłam lekko zdezorientowana
po trzech szklankach na pusty żołądek i zacisnęłam mocno rozdygo-
tane dłonie, aby je uspokoić.

- Nie powinnaś. Bernese jest po złej stronie. Nie ona jedna, ale po
złej. Wiesz o tym.

- Więc po czyjej powinnam być?

- Mam nadzieję, że przejdziesz na moją. Naszą. Na naszą stronę.

Henry przesunął się wzdłuż sofy i siedział teraz tuż obok mnie. Po-
ruszał się rozważnie i powoli, a ja patrzyłam na niego znieruchomiła,
a moje serce uderzało tak mocno, że czułam puls w całym ciele. Wy-
ciągnął ręce i ujął mnie za głowę, chowając dłonie we włosach po obu
stronach mojej twarzy, a potem pocałował w usta. Zamknęłam oczy
i pozwoliłam mu na to.

I znów ogarnęło mnie to dziwne odczucie, jakbym się osuwała al-
bo w coś zapadała, ale tym razem mu się nie opierałam. Byłam nawet
w pełni tego świadoma, tylko po co? Przez wzgląd na Jonno? By ze
swej strony dochować przysięgi, która była już tak zwietrzała, że ni-
czym piasek przesypywała mi się między palcami? Chwyciłam Hen-
ry'ego za ramiona i zapadłam się. Poczułam, jak on zapada się wraz ze
mną, a nasz pocałunek natychmiast całkowicie się odmienia i Henry
Crabtree przenika całą moją istotę.

Jego ręce rozpaczliwie i nieporadnie szamotały się z moim ubra-
niem. Zachowywałam się tak samo, skubiąc niezdarnie guziki jego ko-
szuli. Miałam opuchnięte palce, jak gdyby napłynęło do nich zbyt wie-
le krwi, a w każdym stawie czułam silne pulsowanie. W końcu dałam
za wygraną i wyszarpnęłam mu koszulę ze spodni, aby móc wsunąć
pod nią dłonie i poczuć jego rozpaloną skórę. Potem zabrałam ręce
i przez chwilę nic nie widziałam, kiedy Henry mocował się z moim
podkoszulkiem, ściągając mi go przez głowę.

- Piegi - wyszeptałam nieco zakłopotana, kiedy zostałam tylko w dżinsach i znoszonym staniku.

- Uwielbiam piegi - odpowiedział niskim głosem, a ja w to wierzyłam.

Całował mnie po szyi i ramionach, jego palce zaś próbowały się uporać z zapięciem stanika. Rozpięłam mu już prawie wszystkie guziki i zaczęłam zмагаć się bezradnie z klamrą od paska, podczas gdy on ściągał ze mnie dżinsy.

Pomimo osobliwej siły grawitacji, która właczała nas coraz głębiej w miękką welwet sofy, czułam się dziwnie lekko. Henry nie był zbyt dobry w tym, co robił. Nie znał mnie. Nie zgłębił tak, jak zgłębia się książkę, i nie czytał teraz, spoglądając dumnie z wysoka i naginając moje ciało do swoich wypraktykowanych potrzeb. On mnie po prostu pragnął. Pragnął mnie tak zapamiętałe, że nie był w stanie dostatecznie szybko ściągnąć mi spodni, ale to wszystko, co ze mną robił, nie było piękne. Dzięki Bogu. Nie przejmował się jednak, czy jest to piękne, ani ja nie przywiązywałam do tego żadnej wagi. Wiedziałam tylko, że też go pragnę i on o tym wiedział.

Wtem jednak Henry odsunął się ode mnie.

- Musimy przestać - powiedział.

- Nie, nie musimy - odparłam z naciskiem, wyciągając ręce w jego stronę.

- Niczego nie mam.

Ale ja miałam. Złapałam torebkę, którą położyłam obok sofy, i wysypałam jej zawartość, głównie na podłogę. Drobniki rozsypały się po wełnianym dywanie, a szminka wturlała się pod stolik. Pojemnik z soczewkami kontaktowymi odbił się od podłogi i potoczył gdzieś poza zasięg mojego wzroku. Wyciągnęłam pęk kluczy i długopis, aż wreszcie dokopałam się do jednej z tych małych paczuszek, które ostatnio zawsze nosiłam przy sobie.

- Och Boże, no tak - wysapał Henry, zbyt przejętym tonem, aby w jego słowach dało się odczuć jakieś obiekcje, że zamężna kobieta trzyma w torebce takie rzeczy.

Przyciągnął mnie z powrotem do siebie. Uderzyłam zębami w jego podbródek i przyłgnęłam do niego niezgrabnie, jeszcze bardziej odchylając głowę w tył, aby go całować, aż znów poddaliśmy się bezwładnemu opadaniu.

Złączyliśmy się w jedno. Wciąż miałam na kostce zrolowane dzinisy, a on został w koszuli. Nasze zespolenie, choć powierzchownie odarte z piękna, widziane moimi oczyma, spod niego i ponad nami, było po prostu doskonałe.

Potem leżeliśmy twarzą w twarz, spleceni w uścisku na szerokiej sofie, dysząc we wspólnym rytmie i uśmiechając się do siebie głupkowato. Wcisnęłam się plecami w oparcie sofy i poczułam, że coś gniecie mnie w zębra. Sięgnęłam za siebie i znalazłam pojemnik z gazem pieprzowym, który Jonno dał mi rok temu po serii napadów w okolicy uniwersytetu. Rzuciłam go na podłogę, gdzie z brzękiem odbił się od czegoś i potoczył dalej.

A więc tak wygląda dorosłość - pomyślałam. Nic dziwnego, że Jonno tak się tym pasjonował. Wygnałam go ze swoich myśli. Nikt w tym miejscu nie chciał teraz jego obecności.

Usiadłam i zaczęłam rozprostowywać spodnie, natrafiając na majtki wciśnięte w jedną z nogawek. Henry również doprowadzał się do porządku, najlepiej jak potrafił. Nie mogłam przestać się do niego uśmiechać. Nigdy nie widziałam Henry'ego w takim stanie. Jego rozwieszona na lampie spodnie wyszły z tego prawie bez szwanku, ale koszula była niemiłosiernie pomięta. Miał bose stopy, a na podłodze spoczywały jego porzucone okulary. W pewnym momencie rozplątałam skórzaną przepaskę, którą związywał sobie włosy, i odrzuciłam ją na bok. Włosy Henry'ego, przycięte do jednej długości grube, czarne i całkowicie proste, sięgały mu do ramion.

Miał subtelne rysy twarzy, a połączenie wydatnych kości policzkowych i ust, które wyglądały jak wycięte z kryształu, dodawało jej asceetycznego, niemal kobiecego piękna. Efekt ten potęgowała jego wysmukła sylwetka, głęboko osadzone oczy i długie wytworne dłonie.

Teraz jednak, rozczochrany i uśmiechnięty, otoczony aurą spełnionej namiętności, przybrał postać zagrożenia, które nosił w sobie. Było to coś, co zawsze wyczuwałam, ale rzadko dostrzegałam. Lubiłam patrzeć na połyskliwe kosmyki, które mieniły się na czarnym tle jego włosów. Podobają mi się zmarszczki na jego skroniach, kiedy się uśmiechał.

Henry znalazł swoje okulary i pomógł mi pozbierać rupiecie, które wysypałam na podłogę. Kiedy wszystko już zapakowaliśmy, wręczył mi torebkę i stanęliśmy naprzeciw siebie zakłopotani.

- Wiesz, muszę wracać do domu - odezwałam się.

- Jesteś w stanie iść? - zapytał i zdałam sobie sprawę, że szumi mi w głowie od whisky.

- Cholera. Potrzebny mi velamint.

W domu mamy znajdował się tylko spirytus do nacierania, a Bernese trzymała w apteczce butelkę ginu, tę samą od dwudziestu lat. Przypuszczalnie sterylizowała nim igły, gdyż nigdy nie widziałam, aby ktoś go pił.

- Powinnaś coś zjeść - stwierdził Henry.

Zatoczył się w prawo, idąc do biura, i uświadomiłam sobie, że on też nie jest całkiem trzeźwy. Udałam się za nim. Henry otworzył szufladę biurka i wyjął z niej zawinięte w folię ogromne ciastko z pomarańczowym nadzieniem.

- Zjedz to po drodze - powiedział.

- Chyba lepiej, jak wyjdę tylnymi drzwiami - zaproponowałam.

Przeprowadził mnie przez biuro i na moment zatrzymaliśmy się przy wyjściu. Henry przygładził ubranie, a ja przeczeszałam palcami włosy, starając się nie wyglądać jak dziewczyna, która dopiero co uprawiała przeciętny seks na publicznie dostępnej sofie.

Nie ma czegoś takiego jak miasteczko mniejsze od Between. Gdybym zataczając się i czkając, wyszła z księgarni Henry'ego frontowymi drzwiami, ze zburzoną fryzurą, wiedzieliby o tym wszyscy, nie wyłączając mojej mamy, nim zdążyłabym wrócić do domu.

- Zobaczmy się jutro? - spytałam.

- Myślałem, że wybierasz się do Athens - odparł Henry.

Nikt nie chciał Jonno w tym miejscu, lecz on i tak był obecny. Ciężko przełknęłam ślinę i odwróciłam wzrok.

- Chyba że... - Henry zamilkł i też głośno przełknął. - Aha. Więc nie jedziesz do Athens.

- Genny wróciła dziś do domu - wyjaśniłam pospiesznie. - Zapomniałam ci powiedzieć. Ale będę próbowała zrobić tak, żeby móc pojechać. To zależy od Genny.

- Jasne.

- A widziałeś Onę i Bernese dziś na skwerze? Są jak iskra i proch, niebezpiecznie blisko siebie, i tylko ja jedna potrafię je ugasić.

- Racja.

- Przysięgam, że będę się starała pojechać. A to, co ci powiedziałam, mówiłam poważnie.

- Powiedziałaś mi, że skończyłaś z Jonno. I potem dodałaś: „Ja pierdołę, Henry. Jestem mężatką” - mówił spokojnym i jednostajnym tonem, patrząc mi w oczy ze śmiertelną powagą. - Wiem, że wyrwałem się przedwcześnie. Albo nie słucham, albo do mnie nie dociera. Powiedz mi, co? Muszę wiedzieć.

- Jedno i drugie - odparłam po długim namyśle.

Henry zaczął zgarniać włosy do tyłu. Znalazł skórzaną przepaskę, kiedy zbieraliśmy rzeczy wysypane z torebki, i teraz stał z opuszczoną głową i związywał włosy, patrząc w podłogę.

- No dobra. - Sięgnął do klamki, by otworzyć przede mną drzwi, ale stanęłam mu na drodze, niepewna co powiedzieć.

- Henry, nie powiem Bernese nic o Tuckerze ani niczego, co od ciebie usłyszałam.

- Wiem. - Jego głos brzmiał obco i czuć w nim było cień zdenerwowania.

Potem wypchnął mnie na zewnątrz i zamknął za mną drzwi.

W drodze do domu jadłam ciastko, żałując, że nie jestem na tyle giętka, żeby móc kopnąć się w głowę. Cóż ja najlepszego wyczyniałam?

Tego samego dnia, wracając do domu z Loganville, wpadłam w płaczliwy nastrój, bo pomyślałam, że Henry już się do mnie nie odezwie. Nie dalej jak pięć minut potem zastanawiałam się, czy w ogóle chcę się rozwodzić. Tak czy inaczej nie powinnam była gzić się na tej sofie z Henrym Crabtree. Być może moje małżeństwo było takie, na jakie zasługiwałam. Nie byłam lepsza od Jonno, tyle że on zrobił to pierwszy.

A dwie minuty temu żarliwie przysięgałam Henry'emu, że postaram się pojechać do Athens. Miałam taki zamiar, ale do cholery, obiecałam już Fisher, że z nią zostanę i urządzimy sobie wieczór filmowy. Za to Genny stanowczo domagała się, abym pojechała, i była gotowa rozchorować się z poczucia winy, gdybym tego nie zrobiła. Bernese tymczasem była gotowa udostępnić mi swą bogatą kolekcję broni palnej, abym mogła pominąć rozwód, czyniąc z siebie wdowę.

A potem żaróweczka świecąca w moim mózgu zgasała. Czy nie powiedziałam również Onie Crabtree, że przyjdę do niej na kolację? Owszem, powiedziałam. Wyglądało na to, że czeka mnie chyba najtrudniejszy piątek w moim życiu. I obiecałam jej przynieść czek za te psy, podpisany przez Bernese.

Oczywiście zrobiłam to, zanim jeszcze mama otruła te dwa. Nie byłam pewna, czy teraz czek byłby w stanie cokolwiek rozwiązać, gdyby nie został podpisany krwią Bernese i podany na tacy wraz z jej głową. Wiedziałam, że jeśli nie znajdę sposobu, by ugłaskać Onę, może zadzwonić do swych krewniaków z Alabamy, a na nich nie miałam żadnego wpływu. Cokolwiek straszno narodziłoby się w ich głowach, nie byłam w stanie ich powstrzymać. Nie mogłam więc pozwolić, aby do tego doszło.

Każdy czegoś ode mnie oczekiwał, a ja sama nie miałam pojęcia, czego chcę. Wiedziałam jednak, że jest ktoś, kto jest po mojej stronie, zawsze, przede wszystkim i choćby nie wiem co. Mama. Mama mogła pomóc mi się uporać z tym bałaganem w mojej głowie i zdecydować, jak powinnam postąpić.

Wieczorem, kiedy Genny już zasnęła, a Bernese i Lou zabrali Fisher, przyszedłam do sypialni mamy i narysowałam palcem serduszko na jej ramieniu. Mama leżała w łóżku, ale jeszcze nie spała. Wzdrygnęła się przestraszona, ale zaraz potem obdarzyła mnie uśmiechem.

Przepraszam. Byłam myślami daleko stąd - wyjaśniła. - Kładziesz się spać?

Za chwileczkę. - Usiadłam obok niej.

Wyciągnęła ręce, by dotknąć mojej twarzy, i wodziła po niej palcami, a potem nachyliła się i pocałowała mnie we włosy. Wtem jednak odskoczyła gwałtownie jak oparzona.

Czy Jonno tu przyjechał? - spytała. - Do Between?

Jasne, że nie.

Mama przekrzywiła głowę i jej ciało się rozluźniło, a na twarzy zaczął rozlewać się powoli szeroki uśmiech.

Masz ukochanego!

Chciałam zaprotestować, ale ona odepchnęła moje ręce i zamigała:

Nie okłamuj swojej mamy. Ja wiem. Masz kogoś. Czy to Henry?

Dotknęłam jej ręki i przytaknęłam niepewnym gestem.

Nareszcie! - odpowiedziała.

Byłam lekko zszokowana.

Wciąż jestem mężatką, mamo. Nie powinnaś udzielić mi reprimendy?

Machnęła na mnie ręką, jak gdyby odganiała najbardziej uprzykrzone z dziesięciu przykazań.

Jeśli to wymaga takiego grzechu, abys miała porządek w głowie, to niech tak będzie. Potrzebujesz mieć ukochanego.

Nie jestem pewna, czy nazwałabym Henry'ego moim ukochanym - odparłam. - Nie wiem, kim on

Mama omal się nie roześmiała.

Nie próbuj mnie nabierać! Sama miałam ukochanego. To było dawno temu, ale wciąż mam nos, a tego się nie zapomina. Henry jest twoim ukochanym.

Poczułam, jak na policzkach pojawiają mi się wypieki, i rozdziawiłam usta ze zdziwienia. Ukochany. Genny zawsze używała tego znaku migowego, mając na myśli chłopaka albo męża. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że moja matka traktuje ten sam znak jako eufemizm.

Frank? - spytałam. Pamiętałam to imię z setki razy powtarzanej opowieści o moich narodzinach. - *Frank był twoim ukochanym?*

I tym razem posłużyłam się tym określeniem w jej rozumieniu.

Mama przytaknęła.

Ale nie wtedy, jak chodziliśmy do szkoły. Później. Tak bardzo go kochałam. Myślałam, że na pewno się pobierzemy, więc robienie tych rzeczy poza kolejnością nie wydawało mi się niczym zdrożnym.

Ale kiedy musiałas dokonać wyboru, padł on na Genny.

Nigdy! - mama zaprzeczyła gwałtownym ruchem ręki. - *Nigdy nie wybrałam nikogo innego poza Frankiem. Kochałam go. W moich myślach i w sercu był dla mnie mężem.*

Ułożyłam dłoń w znak zapytania, gdyż nie było to dla mnie do końca jasne. Mama nie odpowiadała. Zaczęłam mówić o czymś innym, ale odepchnęła moje ręce. Zastanawiała się.

W końcu zdałam sobie sprawę, że on mnie nie kocha - wyjaśniła wreszcie. - Myślałam, że będziemy już zawsze razem, wszyscy troje, ale Frank powiedział, że albo on, albo Genny. Nie wybrałam Genny kosztem Franka. Ja tylko zostałam z osobą, która kochała mnie na tyle, by nie każeć mi wybierać.

Rozmyślałam o tym, a tymczasem mama opadła na poduszki. Otuliłam ją kocem, po czym dotknęłam jej dłoni i zapytałam:

A co z Genny? Czy ona miała kiedyś „ukochanego”?

Nie. Oczywiście, że nie. Nie bądź niemądra - odpowiedziała mama, a potem wezbrał w niej śmiech i tak się trzęsła, że ledwie była w stanie mi wytłumaczyć, co ją rozbawiło. - *Wiesz, że Genny boi się dużych zwierząt.*

Również się roześmiałam. Śmiałyśmy się tak bardzo, że łóżko pod nami zaczęło się kołysać. Kiedy się uspokoiłam, znów wzięłam mamę za rękę.

Wiem, że to był ciężki dzień, ale czy możemy przez chwilę porozmawiać? - spytałam.

Tak. Cieszę się, że przyszedłeś - zamigała. - Chciałam cię zapytać, jak bardzo jesteś na mnie wściekła.

Chciałam odpowiedzieć, lecz mama powstrzymała moje ręce.

Zdaję sobie sprawę, że to nie jest naprawdę to pytanie - dodała. - Chciałam zapytać, czy myślisz, że to, co zrobiłam, jest grzechem? Te psy.

Wiedziałam, o co jej chodziło.

O to będziesz musiała zapytać Boga - odparłam. - Nie umiem ci odpowiedzieć. Wiem tylko, że wolałabym, aby do tego nie doszło. Ale rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Szkoda tylko, że mi nie zaufałaś. Wiedziałaś, że próbuję to załatwić. Zdajesz sobie sprawę, że to nie w porządku, w przeciwnym razie byś mnie o to nie zapytała.

Mama zacisnęła usta w zamyśleniu, po czym zamigała:

To nie było w porządku. Ale mogłabym to zrobić jeszcze raz. - Jej zachowanie nagle się zmieniło, stała się cierpliwa i łagodna. - Ty nie masz w sobie tego czegoś, co ja. Tego, co ma Bernese. Nie wiem, jak to nazwać. Siłą woli, złością, a może to tylko zdolność doprowadzania rzeczy do końca.

Też potrafię doprowadzać rzeczy do końca! - odpowiedziałam z naciskiem, a mama poklepała mnie po ramieniu i zaprzeczyła, potrząsając dłonią. - *Potrafię* - powtórzyłam uparcie.

Nie zauważyłam tego, jak dotąd - odrzekła łagodnie. - Genny za bardzo się bała wracać do domu, a ja nie mogłam mieć pewności, że właśnie ten moment wybierzesz, aby wykazać się dojrzałością. Wiem, że to zrobisz. Ale sama wiesz, że były sprawy, o które powinnaś była zadbać, niełatwe sprawy, a ty skuliłaś się i czekałaś w nadziei, że albo nastąpi cud, albo będzie już za późno.

Wiedziałam, co miała na myśli. Chodziło jej o to, że nigdy nie skorzystałam z propozycji stypendium, chociaż poświęciłam kilka miesięcy na napisanie pracy kwalifikacyjnej i zbieranie rekomendacji. Po przestałam na wygodnej pracy tłumaczki, osiadając w mieście

oddalonym o niespełną godzinę drogi od mego rodzinnego domu. A dzisiaj przyszedłam do niej, bo nie wiedziałam, dokąd jutro się udać, i oczekiwałam, że wypchnie mnie do Athens albo zatrzyma na miejscu, że nada mi jakiś kierunek, gdyż sama nie miałam pojęcia, jak sobą pokierować.

Być może mama to wyczuła, skoro właśnie sprawiła, że nie mogłam jej o to zapytać.

A co do psów, postąpiła najlepiej, jak potrafiła. Może nie było to najlepsze z możliwych rozwiązań, ale na pewno najlepsze, na jakie stać było mamę.

Wiem, kim jesteś, mamo - odpowiedziałam z taką samą łagodnością, z jaką ona zwracała się do mnie. - *Jesteś damą, która wykrada dzieci i truje psy, i jesteś dokładnie taką matką, jaką bym sobie wybrała, mając taką możliwość.*

Nachyliłam się, aby ją pocałować, a jej ręce objęły mnie za szyję. Przywarła do mnie, zanurzając nos w moich włosach i wdychając ich zapach. Trwałam w jej uścisku i czekałam, aż jak zwykle ogarnie nas harmonia, ale to nie nastąpiło.

Kiedy się wyprostowałam, mama zamigała: *Wiem, że też potrafisz.*

Leżąc w łóżku, sprawiała wrażenie takiej drobnej i zmęczonej. Zmarszczki otaczające jej nieruchome usta opadały w dół, jak gdyby była smutna.

Wiem, że też potrafisz.

Rozdział 16

Postanowiłam położyć się spać i pozwolić, aby o wszystkim zadecydowała moja podświadomość. Liczyłam na to, że nawiedzą mnie głębokie prorocze sny o podróży pociągiem przez tunel do francuskiego miasteczka o nazwie Jonno. Może nadciągnąłby jakiś wielce symboliczny sztorm i zrównał z ziemią to miasteczko, zamieniając cegły w czerwony pył, a szkło w piasek. Huragan Henry albo huragan Nony. Ludzie przejeżdżający tamtędy w drodze do Cannes nigdy by się nie dowiedzieli, że było tam w ogóle jakieś miasto. Albo po przejściu huraganu kręciłabym się po spustoszonych ulicach niczym Julie Andrews, śpiewając piosenkę o domu. Po przebudzeniu miałabym świeży umysł oraz jasny ogląd sytuacji i wiedziałabym, czego chcę, a ponadto, co jest słuszne. A może nawet wiedziałabym, jak się z tego wyplątać.

Byłam pewna, że dokładnie tak by się stało, gdybym tylko mogła zasnąć chociaż na piętnaście minut. Niestety Genny bardzo źle spała. Pod osłoną xanaxu i vicodinu ścigały ją psy z koszmarów sennych. Za każdym razem, kiedy już zasypiałam, Genny zaczynała kwilić i miotać się w pościeli. Przestałam już liczyć, ile razy przemierzałam korytarz, aby zajrzeć do jej pokoju.

W końcu dałam za wygraną i położyłam się obok niej. Gładziłam ją delikatnie po ręce i cicho mruzczałam, dopóki nie zapadła w głęboki sen.

Moja obecność przy niej zdawała się jej pomagać, ale i tak o czwartej nad ranem obudziła się z krzykiem, a kiedy dotknęłam jej czoła,

było śliskie od zimnego potu. Włączyłam telewizor, a ona zaczęła przeskakiwać po kanałach, dopóki nie znalazła stacji, która emitowała stare filmy, nie przeplatając ich reklamami. Genny siedziała oparta na stercie poduszek i trzymała mnie za rękę. Kleiły mi się oczy i zapadłam w drzemkę, kiedy właśnie oglądała *Drapieżne maleństwo**.

Obudziłam się, gdy zegar na dole wybijał siódmą. W telewizji leciał kolejny film, jakiś stary western, którego nie znałam. Zamrugałam i przetarłam oczy. Jeśli miałam jakieś sny, niczego z nich nie zapamiętałam.

Genny wyglądała na pogrążoną w głębokim śnie, ale kiedy wstałam, natychmiast uniosła powieki.

- Ale ze mnie stara i głupia baba, prawda? - powiedziała. - Jak wy wszyscy ze mną wytrzymujecie?

Podniosła się ostrożnie i usiadła, z zawstydzoną miną i splatając nerwowo palce, jednak widziałam, że najgorsze już minęło. Miała jasne i ożywione spojrzenie, a jej krągłe ramiona były już częściowo wolne od napięcia. Mamie i mnie udało się skutecznie powstrzymać kryzys, którego początek zauważyliśmy w szpitalu. Czułam wielką ulgę, gdyż taki nieopanowany w porę kryzys potrafił nękać Genny całymi tygodniami.

- Nie martw się, skarbie - odparłam, ziewając. - Wiesz, że cię uwielbiamy.

Nachyliłam się nad Genny, by spojrzeć na drugą stronę łóżka, ale Fisher tam nie było.

- Wiem o tym - przytaknęła Genny. - Ale to głupio tak panikować, kiedy wiem, że te psy są już daleko. Nie powiem, żebym nie była wdzięczna. Dzięki temu zyskała w pewien sposób w moich oczach.

- Kto taki? - zapytałam. Wstałam z jej łóżka i przeciągnęłam się.

- Ona Crabtree - oznajmiła Genny, a ja zanotowałam w pamięci, aby dowiedzieć się, jakie uśmierzające kłamstwo mama zafundowała

* Tytuł oryginalny *Bringing Up Baby*, komedia z 1938 roku w reżyserii Howarda Hawksa, z udziałem Katharine Hepburn i Cary'ego Granta (przyp. tłum.).

swej bojaźliwej siostrze, i zyskać pewność, że reszta miasteczka zna tę sfabrykowaną dla Genny wersję.

Pomyślałam, że przypisanie zasługi Onie jest bardzo wspaniało-myślne ze strony mamy. Przepuszczalnie jednak był to tylko przejaw jej pragmatyzmu. Mogła powiedzieć Genny, że psy zostały wywiezione do innego stanu, ale już nie tak łatwo poszłoby jej z Oną. Genny mogłaby nie uwierzyć w życzliwość Ony, ale przynajmniej nie powinna wiedzieć, że jest to osoba, która knuje coś na jej szkodę.

Wracając do swojego pokoju, zjrzałam do mamy. Wciąż spała i była sama. Mój pokój też był pusty, zatem Fisher spędziła tę noc we własnym łóżku. Bernese powinna jeszcze trochę się uspokoić, nim zdołam uzmysłwić jej związek pomiędzy gniewem na Lori-Anne a obsesją na punkcie diety odchudzającej.

Tego ranka wydawało mi się, jakby cały dom wstrzymywał oddech. A może była to zasługa mamy, która wciąż schodziła mi z drogi. Słyszałam stukot klawiatury brajlowskiej, za pomocą której prowadziła konwersację przez telefon. Kiedy wyszła ze swego pokoju, sprawiała wrażenie ożywionej i zaabsorbowanej, jakby już odzyskała siły. Wiedziałam, że pali się do pracy nad swą nową rzeźbą, ale zostaje w domu i opiekuje się Genny, zwalniając mnie od tego obowiązku i zapewniając mi spokój, abym mogła spokojnie myśleć.

Rozmyślałam więc, a czas nieubłaganie posuwał się naprzód. Rozmyślałam nad obietnicami, które dałam, ale nie robiłam nic, aby spełnić którąkolwiek z nich. Gdybym nie pojechała do Athens, nie mogłabym powiedzieć, że to z obawy o bezpieczeństwo mojej rodziny. Nawet jeśli pomiędzy Frettami a Crabtreemi było gorzej niż kiedykolwiek do tej pory, w ten akurat dzień mogłam spokojnie wyjechać z miasteczka. Ona spodziewała się mnie na kolacji i jak dotychczas nie zadzwoniła jeszcze po swoich bratanków.

Czy pojechałabym do Athens, czy nie, mowy nie było, abym spełniła obietnicę daną Onie. Fisher zajmowała o wiele ważniejsze miejsce na mojej liście priorytetów. Ale Ona nie wiedziała, że nie zamierzam jej

odwiedzić. Gdybym odwołała wizytę w ostatniej chwili, nie dałabym jej czasu na zmobilizowanie sił, a dzwoniąc do niej natychmiast, umówiłabym się na inny dzień. Wtedy też mogłabym ją poprosić, aby wstrzymała się od działania, dopóki nie porozmawia ze mną twarzą w twarz. Henry też ją do tego przekonywał.

Kiedy pomyślałam o Henrym, odkryłam w swej głowie radosny zaątek, skąpany w szaleńczo różowych barwach i wypchany po brzegi wiarą, że zadzwoni do mnie tego ranka. Gdybym mogła przedyskutować z nim moje plany na ten dzień, może zdołałabym odkryć, co jest powodem mego wahania.

Ale Henry nie zadzwonił.

Może czekał, aż przyjdę do sklepu z lalkami, żeby móc porozmawiać ze mną osobiście. W taki sposób zazwyczaj się kontaktowaliśmy i nie przypominałam sobie, aby kiedykolwiek do mnie dzwonił. Oczywiście nie przypominałam sobie również, aby kiedykolwiek wcześniej uprawiał ze mną seks na sofie stanowiącej wyposażenie jego księgarni, i wydało mi się, że skoro tak łatwo do tego doprowadził, powinien też bez trudu sięgnąć po ten cholerny telefon.

Genny dojrzała, aby zejść na dół i zjeść lunch, a potem wraz z mamą udały się do salonu. Usiadły obok siebie na sofie i pogрузowały się w bezdźwięcznej rozmowie. Skuliłam się na stojącym obok fotelu i udając, że czytam, obsesyjnie spoglądałam na zegarek. Zaledwie kilka godzin dzieliło mnie od momentu, w którym uchylając się od decyzji, miałam podjąć decyzję. Za chwilę mogło być już za późno, abym zdążyła dotrzeć do Athens przed odczytaniem wokandy. Mama wciąż sprawdzała swój brajlowski zegarek, ale nie robiła tego ostentacyjnie.

Wyzaczyłam sobie nieprzekraczalny termin. Postanowiłam, że będę pewna, co robić, kiedy Lou wróci i odda mi samochód. Pożyczył go znowu, ponieważ auta Lou i Bernese czekały w warsztacie na wymianę opon. Pojechał do Loganville kupić ziemię do kwiatków, a że był już w mieście, wstąpił również po Fisher, ale minęła już pierwsza, a on

wciąż nie wracał. Zaczynałam się martwić, kiedy usłyszałam, jak otwierają się frontowe drzwi.

- To ty, Lou? - zawołałam.

- Nie, to ja. - Bernese pojawiła się w holu i weszła do salonu. - Lou pilnuje sklepu i jest z nim Fisher.

- A ty co tu robisz?

- Zostanę z Genny i twoją mamą, żebyś mogła jechać do Athens i ustrzelić tego syfilytka, za którego wyszłaś.

Spojrzałam na nią i zaniemówiłam. Był to jeden z wielu powodów, dla których wolałam nie wdawać się w szczegóły, wyjaśniając, dlaczego rozwodzę się z Jonno. Bernese ciągle wymyślała dla niego nowe określenia, a co gorsza, przy jej potwornym usposobieniu często zapomniałam, że w mgnieniu oka może radykalnie zmienić zdanie. I niech niebiosy mają w swej opiece kogoś, kto stanie na jej drodze, gdy właśnie postanowiła obrać inny kierunek.

- Lou przywiózł Fisher prosto z przedszkola i zostawił samochód na parkingu za kościołem, więc będziesz musiała tam pójść. Nie wiem, dlaczego nie zaparkował tutaj i nie przyszedł. Wie, że nie umiem obsługiwać ręcznej skrzyni biegów, ale dzięki temu będziesz mogła zaglądnąć do Fisher i powiedzieć jej, kiedy wrócisz. Już jest obrażona, ale powiedziałam jej, żeby przestała się dąsać. Wieczór filmowy możecie przełożyć na jutro. Tu masz kluczyki i lepiej się już zbieraj.

Wciąż siedziałam na fotelu, szeroko otwierając usta z wrażenia. Mama zaczęła migać, ale nie mogłam oderwać oczu od Bernese.

- Stacia kazała ci powiedzieć, żebyś nie pchała się z wielkim dupkiem w nie swoje sprawy - Genny przetłumaczyła słowa mamy.

Spojrzałam w ich stronę, by zobaczyć, jak Genny, rumieniąc się, pyta mamę: *Czy musisz się tak brzydko wyrażać?*

- Ktoś musi dziewczynie przemówić do rozsądku - odpada Bernese.

Nonny. Nie zważaj na Bernese. Ani na to, czego ja chcę. Ty decydujesz
- zwróciła się do mnie mama.

- Co ona mówi? - Bernese zapytała Genny, ta jednak zauważyła, że widziałam wyginające się z wdziękiem dłonie mamy i nie tłumaczyła.

- Ona mówiła do Nonny, nie do ciebie - oznajmiła oficjalnym tonem.

- Nie doprowadzaj mnie do szału - uniosła się Bernese. - Powtarzasz Stacji wszystkie bzdury, czy ktoś do niej mówi, czy nie, a teraz nie chcesz mi przetłumaczyć, co powiedziała Nonny?

- Nikt ci nie broni nauczyć się języka migowego.

Podczas gdy Genny i Bernese wdały się w sprzeczkę, dłonie mamy poruszały się błyskawicznie.

To już nie jest jak z tymi psami. Nie mogę tego za ciebie zrobić - mówiła do mnie. - Jeśli nie chcesz tego rozwodu, to o tym powiedz. W przeciwnym razie powinnaś być już w drodze do Athens. Dopaść Jonno i się od niego uwolnić. Ale nie zachowuj się bezradnie i nie udawaj, że nie masz wyboru. Albo to zakończ, albo zmusz go, żeby cię lepiej traktował.

- Nonny, co ona mówi? - dopytywała się Bernese.

Podbiegłam do sofy i uklękłam obok mamy, aby mogła dotknąć moich rąk.

Z Jonno już wszystko skończone, ale chyba dzisiaj nie jest ten dzień. Ty-le się tutaj dzieje. Genny wciąż jest bardzo obolała, Ona Crabtree szykuje się do wojny, a do tego jeszcze Fisher i Bernese. Mogę przełożyć termin rozprawy...

Mama odepchnęła moje ręce, potrząsając dłonią w geście zaprzeczenia.

- Chcesz się teraz wykręcić? - zapytała Bernese. - Poważnie myślisz, żeby zostać z tym chorym gnojkiem?

- Zamknij się, Bernese - odparłam i wyciągnęłam ręce do mamy, ale ona znów mnie odepchnęła.

Myślisz, że obchodzi mnie ta głupia rozprawa w sądzie? Tutaj chodzi o ciebie. „Dokładałaś starań”, żeby usunąć stąd psy, a tymczasem ich po prostu nie powinno tu być i koniec. A teraz „dokładasz starań”, żeby się

od niego uwolnić. A jutro będziesz „dokładać starań”, żeby ratować Fisher. I powiesz, że nie umiesz wpłynąć na Bernese. Ale ja wiem, że potrafisz. Może to zrobisz, może nie, ale nie mów, że nie umiesz. Proszę bardzo, możesz odrzucić swoje szczęście i zostać z Jonno, aż w końcu zestarzejesz się i umrzesz, albo on zarazi cię czymś, co cię zabije. To twoje życie. Ale jak długo ma czekać Fisher, kiedy ty „dokładasz starań” i robisz dużo zamieszania, niczego nie osiągając? Jak długo chcesz czekać, aż Bernese ją zniszczy?

Splotła ramiona na piersi, chowając pod nimi dłonie. Wyraziła swoje zdanie i nie dała mi szans na wyjaśnienie.

- Mam nadzieję, że ci powiedziała, abyś wzięła dupę w troki i już jechała - powiedziała Bernese i w tym samym momencie odezwał się dzwonek u drzwi.

To Henry - pomyślałam natychmiast i pobiegłam otworzyć.

- Nonny! - krzyknęła za mną Bernese, ale zignorowałam ją i szarpnęłam za klamkę.

To nie był Henry. W progu stała jakaś dziewczyna, której nie rozpoznawałam, chociaż wydawała mi się dziwnie znajoma. Miała wysmukłą sylwetkę, wielkie oczy i wyglądała jak onieśmielona kruszynka. Była ubrana w brzoskwińowe rybaczki i nerwowo wyginała dłonie. Kiedy otworzyłam drzwi, wlepiła we mnie wzrok, a zdenerwowanie na jej twarzy ustąpiło miejsca zwykłej furii.

- Kpisz sobie ze mnie? - zaskrzeczała. - Naprawdę tu jesteś?

Kiedy jej usta wykrzywiły się w gniewnym grymasie, rozpoznałam ją. Nie miałam pojęcia, jak mogłam zapomnieć tę nienawistną twarz po tym, jak przyglądała mi się tak zawzięcie, gdy Bernese zadzwoniła, żeby powiedzieć mi o wypadku Genny. Siedziała wtedy naprzeciwko mnie na obitej czerwonym skajem kanapie w Bibi's Real Ice Cream, delektując się moim życiem, jakby to była jakaś opera mydlana. Odświeżyłam pamięć, aby sobie przypomnieć jej imię. To była Amber DeClue, która wynajęła mnie za pośrednictwem agencji do tłumaczenia rozmowy, do której w ogóle nie doszło. Teraz stała pod drzwiami

domu mojej matki, patrząc na mnie z taką samą miną jak wtedy, gdy odjeżdżałam sprzed baru, a ona wykrzykiwała coś do telefonu.

- Jonno powiedział, że mogę cię tu zastać - rzekła, odgarniając na boki swe długie włosy. - Powiedział, że nigdy nie dasz mu rozwodu. Ale nie spodziewałam się, że faktycznie możesz być taką suką.

- Jonno? - zmrużyłam oczy.

W holu pojawiła się Bernese, a za nią szły mama i Genny. Mama przytrzymała się jedną ręką ściany, podczas gdy drugą dotykała dłoni Genny, która migąła w szaleńczym tempie.

- Kto to jest? - spytała Bernese.

- Jestem narzeczoną Jonno - odpada Amber DeClue, nim zdążyłam otworzyć usta.

- To Jonno ma narzeczoną i żonę? - Bernese uniosła brwi. - Ale to nowoczesne.

- Nie powinien mieć już żony, prawda? - Amber krzyknęła na Bernese, a potem jej spojrzenie znów prześliznęło się na mnie. - Ale ty jesteś tutaj i znów utrudniasz mu życie.

- Ja? - zdziwiłam się. - To *ja* utrudniam życie *jemu*?

- A co ja mam zrobić, jeśli tym razem nie przyjdiesz, żeby wreszcie to zakończyć? Co? W ten weekend jest nasz ślub.

Cofnęłam się o krok, próbując złapać równowagę, jakby mnie popchnęła.

- Ślub? - wykrztusiłam. - Jonno nie może się ożenić w ten weekend.

- Owszem, może - upierała się Amber. - Prawnik mojej mamy wszystko załatwił i dostaniemy zezwolenie. Nasz pastor się zgodził, o ile Jonno przyniesie dowód, że się rozwiódł.

- Przestań gadać - przerwałam jej, unosząc dłoń.

Wszystko zaczynało układać się w jedną całość. Oczywiście Jonno musiał jakoś ją omotać. Nie chodziło o żadne tłumaczenie. Przypuszczalnie Amber nawet nie pracowała w tej lodziarni. Żeby mnie wynająć, potrzebowała jedynie numeru ważnej karty kredytowej, a potem

mogła mi się przyjrzeć na neutralnym gruncie, kiedy nie byłam na to przygotowana. Mimowolnie uniosłam górną wargę, odsłaniając zęby. Wiedziałam, że coś jest nie tak. Te jej drogie buty i biżuteria, ta podejrzanie nachalna rozmowa i ciągłe wypytywanie, czemu używam pannieńskiego nazwiska.

- Podejrzewam, że takie podstępny z telefonami do agencji mogą być nawet karalne - powiedziałam.

Amber DeClue wywróciła oczami.

- Moje trzy najlepsze przyjaciółki i wredna kuzynka Jeannie wydały po cztery stowy na sukienki, w których mają wystąpić jako druhnny. A co moja matka ma zrobić z dwustoma porcjami marynowanego łososia? Nie wygląda na to, żebym miała jakiś wybór.

- Mogłabym cię pozwać. Może nawet wsadzić za kratki - ciągnęłam dalej. - To jest oszustwo.

- Dostałaś zapłatę - odpada. - A co do reszty, mam to gdzieś, tylko proszę, poczekaj i wnieś oskarżenie w poniedziałek. W ten weekend będę raczej dość zajęta. A sprawy osobiste? Nie obchodzi mnie to, choćbym nawet miała zawlec cię do Athens za włosy. Kocham go z całego serca. I musisz zaakceptować, że on kocha mnie, a nie ciebie. A masz w ogóle pojęcie, ile kosztowała moja sukienka? Jest od Very Wang, rozumiesz?

Patrzyłam na tę małą rozwścieczoną istotę, która wykrzykiwała teraz coś o bezzwrotnej zaliczce za salę bankietową, i nie wiedziałam, czy powinnam skręcać się na podłodze ze śmiechu, czy palnąć ją w łeb i rozpuścić groteskową bijatykę.

- Jeśli sądzisz, że ten rozwód ciągnie się tak długo wyłącznie z winy Nonny... - prychnęła Bernese. - Ależ ten facet namotał ci w głowie.

- Och tak, zwalcie winę na ofiarę - odpada Amber, po czym zwróciła się do mnie: - Pojedziesz tam po dobroci? W przeciwnym razie zrobi się niewesoło. Musisz wyjechać w tej chwili i gnać całą drogę, bo się spóźnisz. Mój tato nie wie nawet, że Jonno był w ogóle żonaty, a raczej jeszcze jest. Jedź tam i załatw to albo będę zmuszona cię zabić,

ponieważ do soboty wieczorem Jonno ma być rozwodnikiem albo wdowcem. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Spojrzałam na mamę i Genny, które stały obok siebie w drzwiach salonu. Genny tak wytrzeszczała oczy, że widziałam białka wokół jej tęczyówek, a jej dłonie migały z zawrotną prędkością, kiedy tłumaczyła mamie naszą rozmowę. Twarz mamy miała obojętny, nieodgadniomy wyraz.

- X. Machina - powiedziałam.

Amber DeClue popatrzyła na mnie, jakbym postradała zmysły.

- Zespół Jonno? - zapytała Bernese.

- Tak, to jego zespół - odparłam. - To jest slang, jakby gra słów. Od „deus ex machina”.

- Zmieniają tę nazwę - wtrąciła się Amber. - Mówiłam mu, że jest głupia. Teraz będą się nazywać Kicktown.

- Zamknij się - przerwałam jej.

- Czemu paplacie o zespole Jonno? - głos Bernese był ostry ze zniecierpliwienia.

Mama o nic się nie dopytywała. Kiedyś rozmawiałam z nią przez godzinę, tłumacząc jej znaczenie tej nazwy i teraz wiedziała, o co mi chodzi.

- To znaczy „bóg z maszyny” - wyjaśniła. - Takie rozwiązanie używane w greckim teatrze. Kiedy akcja stawała się zbyt skomplikowana, żeby zakończyć się samoistnie, spuszczano na scenę aktora przebranego za boga, który załatwiał wszystko za pomocą magii i kończył sztukę.

- I to ma być ona? - Bernese wskazała kciukiem na Amber. - Ona jest tym bogiem z maszyny? Bo jak dla mnie, to trochę zalatuje bluźnierstwem. Już prędzej „cudzołożna dziwka z maszyny”.

- Hola! - oburzyła się Amber.

- Nie, to nie ona. Bardziej sam fakt, że się tu znalazła. - Kierowałam słowa do Bernese, ale patrzyłam na mamę.

Mama stała całkowicie opanowana, a jej dłonie odczytywały znaki z migających błyskawicznie rąk Genny. Potem kiwnęła głową.

- Masz zamiar tam jechać? - dopytywała się Amber.

- Powiedz mamie, że nie mam zamiaru zostawić Fisher - zwróciłam się do Genny. - Powiedz jej, że proszę, aby mi zaufała i nie podejmowała żadnych drastycznych kroków.

Nie możesz zawsze polegać na bogu z maszyny - zamigała mama. - *On się pojawia albo nie.*

- A co Fisher ma z tym wspólnego? - spytała Bernese.

- Jeśli natychmiast nie wyjedziesz, wszystko przepadnie. - Amber tupnęła nogą.

- Już jadę - oświadczyłam. - Ale ty mnie zawieszysz.

- Ja? - zdziwiła się.

- Chcesz, żebym tam pojechała? - zapytałam, a ona skinęła głową. - Więc mnie zawieź. Jeszcze z tobą nie skończyłam. Nawet nie zaczęłam. No i dobrze, pojedę teraz do Athens. Może kiedy dotrzemy na miejsce, podejmę już decyzję, czy iść na tę rozprawę, ale nawet tego nie osiągniesz, jeśli mnie tam nie zawieszysz. Przez tę godzinę należysz do mnie. Nie ma nic za darmo.

Bernese już otwierała usta, by się ze mną pokłócić, ale ją uprzędziłam.

- Spróbuj to jakoś załatwić z Fisher. Nie będę miała samochodu, więc pewnie wrócę do domu, kiedy pójdzie już spać - powiedziała, a potem zwróciłam się do Genny: - Powiedz mamie, że dokonałam wyboru.

Patrzyłam, jak przekazuje moje słowa, dotykając rąk mamy. Mama wiedziała, że ją obserwuję, bo zamigała bezpośrednio do mnie: *Ty nie wybierasz. To jest przymus, a ty po prostu ulegasz.*

A potem, oswojona z rozkładem swego domu, puściła ręce Genny i wiodąc delikatnie palcami po ścianie, udała się z powrotem do salonu.

Rozdział 17

Gdybym mogła wyrwać się z własnej głowy i unieść swą świadomość na tyle wysoko, aby ujrzeć w dole Between jak na mapie, mamę i Fisher i całą moją rodzinę, rozproszone w dole maleńkie i kruche istotki, nigdy bym ich nie opuściła. Nie mogłam jednak przewidzieć przyszłości. Nie mogłam przewidzieć niczego. Przypuszczalnie wychowanie nie rozwinęło we mnie niezłomnej woli, jaka wydawała się typową cechą Frettów, jednak natura obdarzyła mnie płomiennym temperamentem Crabtreech.

Byłam wkurzona na Jonno i jego lalunię, która, skomląc, pojawiła się na moim progu. Byłam wściekła na mamę i na samą siebie. Wsiadłam więc do kanarkowo żółtego kabrioletu BMW który stał zaparkowany przed domem, i odjechałam.

Amber DeClue, przekraczając dozwoloną prędkość, wpadła na drogę numer 78. Pędziła jak oszalała w stronę Athens i oprócz gniewu poczułam obawę, że może nas obie zabić. Z pewnością nie chciałyby pójść do ślubu z moim mężem pokryta strupami albo, co gorsza, martwa. W piersi zaczął wzbierać mi gorzki śmiech i musiałam mocno przycisnąć palce do skroni, aby go powstrzymać. Byłam bliska hysterii, a narzeczona mojego męża właśnie wiozła mnie na moją rozprawę rozwodową. Wszystko to wydawało mi się tak bardzo nienormalne, że nie wiedziałam, jak się zabrać do sprawy.

Amber ścisnęła kierownicę swymi delikatnymi rączkami i pochylała się nad nią, siedząc ze sztywno wyprostowanymi plecami. Wyglądało to tak, jakby wierzyła, że dzięki właściwej pozycji sprawi, aby samochód jechał szybciej.

Dach był opuszczony. Jakżeby inaczej. Amber należała do dziewczyn, które jeżdżą z opuszczonym dachem. Ze zgrzytem zmieniła bieg i upięła sobie włosy. Moje za to nie dawały mi spokoju, smagały mnie po twarzy i wypychały się do oczu i ust. Pomyślałam, że kiedy dojedziemy do Athens, będę wyglądała jak ognista Meduza. Poza szumem wiatru w samochodzie panowała cisza i nie widziałam powodu, aby ją przerywać.

Amber wciąż zerkała na mnie z ukosa.

- Przestań się na mnie gapić - powiedziała, a kiedy dalej milczałam, dodała po chwili: - Działasz mi na nerwy. Przysięgam, że w końcu spowoduję wypadek.

Zamrugałam dwa razy i odkryłam, że trudno było przestać się jej przyglądać. Miałam ochotę na nią patrzeć, aby spróbować wyrobić sobie jakieś pojęcie, z czym albo z kim mam do czynienia. Dziewczyna, którą poznałam w lodziarni, zachowywała się sztucznie, ale ta powierzchowność małej jędry też mogła być zwodnicza. Już samo BMW świadczyło o tym, że to „córeczka tatusia”. Tak samo otaczająca jej nadgarstek gruba złota bransoleta z maleńkimi wisiorkami. Zauważyłam wśród nich baletnicę, biret i kluczyk. Miała profesjonalny maniur, a jej błyszczące brązowe włosy były poprzetykane złotymi i karmelowymi pasemkami. Już wcześniej zauważyłam, że wygląda zbyt wytwornie jak na kogoś, kto pracuje w Bibi's, ale zbyt się przejmowałam mamą, aby się nad tym zastanawiać.

Udało mi się w końcu dojrzeć jej lewą dłoń. Oczywiście wciąż nosiła pierścionek z wielkim diamentem, który okręcała wokół palca, siedząc wtedy w restauracji. Kamień musiał mieć ze dwa karaty i był oprawiony w białe złoto, a może w platynę.

- Jonno ci to dał? - wskazałam na pierścionek.

- To rodzinna pamiątka. - Wzruszyła ramionami.

- Tak, pewnie jeszcze z twojej rodziny.

- Należał do mojej babci. Ma dla mnie szczególne znaczenie, więc Jonno nie ma nic przeciwko temu, żebym go nosiła.

- Akurat - powiedziałam ironicznie.

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Dlaczego czepiasz się mojego pierścionka? Przestań się tak gapić, bo mnie od tego skręca w żołądku. - Zniosło nas lekko na pobocze, ale Amber odbiła gwałtownie z powrotem. - Kurwa! Mówiłam ci!

Spojrzałam przed siebie, specjalnie odwracając od niej wzrok. Znajdowaliśmy się na prostym odcinku autostrady, gdzie poza polami bawełny ciągnącymi się po obu stronach drogi nie było nic do oglądania.

- A więc według Jonno tylko ja grałam na zwłokę, co?

Tym razem nie odpowiedziała, ale kątem oka zauważyłam, że wciąż zaciska ręce na kierownicy, jakby ugniatała ciasto.

- Według mnie wygląda to inaczej, ale może jest w tym nieco prawdy - ciągnęłam dalej. - Mogliśmy się rozwieść już sześć miesięcy temu, gdybym przestała z nim sypiać. Może wtedy by uwierzył, że faktycznie między nami koniec.

- Nie próbuj go przede mną oczerniać - odpada zawziętym tonem, a w jej głosie dało się wyczuć głębokie przekonanie.

Włączyła odtwarzacz. W środku miała płytę jakiegoś zespołu grającego faux-punk. Kiedy podkręciła głośność, musiała krzyżeć, że-bym słyszała ją mimo szumu wiatru i hałaśliwej muzyki.

- Wymusiłaś na mnie, żebym cię tam zawiozła, i teraz chcesz mi namieszać w głowie przeciwko niemu. Już cię przejrzałam.

- Nie chcesz posłuchać o deszczu, tylko od razu wskoczyć pod rynnę? - Znów na nią spojrzałam. Nie mogłam się od tego powstrzymać.

- A jednak nie odpuszczisz? Dobrze. To tylko dowodzi, że nadal ci na nim zależy, a gdyby rzeczywiście był takim dupkiem, to czemu byś się starała go zatrzymać? Ale zaraz... on kocha mnie. To musi być dla ciebie zabójcze i żal mi ciebie, bo gdybym to ja go straciła, położyłabym się i umarła. Mogę ci nawet współczuć, ale mówię wprost, jeśli będziesz wygadywać o nim bzdury albo wmawiać mi, że mnie zdradza,

zjadę na pobocze i wepchnę ci te słowa z powrotem do gardła. A potrafię ostro walczyć. Gryzę i szarpię za włosy. Nie chciałybyś ze mną zacząć.

Jej zaciśnięte na kierownicy palce zbieleły, ale od momentu, kiedy włączyła muzykę, nie oderwała ani na chwilę wzroku od drogi. Sięgnęłam do odtwarzacza i wyłączyłam go, po czym odezwałam się, przekrzykując świst powietrza.

- Nie wyglądasz mi na dziewczynę, która kiedykolwiek się biła.

Omiotła mnie kolejnym spojrzeniem z ukosa. Zauważyłam, że rozprostowuje ramiona i powstrzymuje drżenie warg.

- Mówiłam ci, żebyś przestała się na mnie gapić. Jeśli zastanawiasz się, czy jestem od ciebie ładniejsza, czy nie, pozwól, że ci pomogę. Jestem. I to o wiele - oświadczyła.

Parsknęłam chrapliwym śmiechem. Rozpadam się w fotelu i patrzyłam przez przednią szybę na płaski bezmiar pól.

- Nieźle się dobraliście, jak by powiedziała ciotka Bernese. A tak w ogóle, to ile ty masz lat?

- Dwadzieścia. - Ledwie dosłyszałam jej odpowiedź, bo jej głos zabrzmiał tak, jakby żal jej było powietrza.

- Tak jak ja - odparłam. - Kiedy za niego wyszłam. Dziesięć lat temu.

- Na to też mnie nie nabierzesz.

- Więc poprzestańmy na tym. Mężczyzna, który zdradza swoją żonę z tobą, będzie zdradzał ciebie, kiedy zostaniesz jego żoną.

Amber zwolniła, kierując się w stronę pobocza.

- Chcesz, żebym skopała ci dupę? Poważnie?

- No już. Spróbuj - powiedziałam. - Tylko na to czekam. Ale jak się zatrzymasz, spóźnimy się na rozprawę.

- Cholera! - Z powrotem nacisnęła gaz i samochód wyrwał gwałtownie do przodu, a kiedy znów pędziłyśmy sto czterdzieści na godzinę, ustawiła automatyczną kontrolę prędkości. - Nie odzywaj się do mnie. Mówię poważnie.

- Nie będziesz decydować, co mam robić, a czego nie. Chcesz, żebym stawiła się w sądzie? To będziesz mnie słuchać i to naprawdę bardzo niska cena, zważywszy na to, że sypiasz z moim mężem.

- Nie wiedziałam, że jest żonaty - wyjaśniła.

- Doprawdy? - ton mego głosu był pełen niedowierzania.

- Nie wiedziałam! No cóż, nie od razu. Kiedy się dowiedziałam, było już za późno. Byliśmy w sobie zakochani. A nasza miłość była od tego potężniejsza.

- Potężniejsza od czego?

Amber beztrąsko machnęła ręką, która zaraz spoczęła z powrotem na kierownicy.

- Od zasad. Potężniejsza od wszystkiego, co wydarzyło się wcześniej. Potężniejsza od ciebie.

Miała w sobie taką pewność, że jej głos brzmiał niemal zdawkowo. Była taka młoda i nagle zrobiło mi się jej żal. Nie dorastała mi do pięt. Mając tę świadomość, poczułam, że część wzbierającego we mnie gniewu ustępuje.

Kierowana przecuciem nachyliłam się i sięgnęłam pod fotel. Jak mogłam się tego spodziewać, moje palce natrafiły na brzeg jednej z niezliczonych książek Jonno. Wyciągnęłam ją. To była *Pieśń żeglarzy* Kena Keseya w miękkiej okładce. Znieruchomiałam, trzymając ją w ręce. Miałam zamiar poczytać w drodze do Athens, ale obecność tej książki mnie zszokowała. Książka ta oznajmiała, bardziej niż wszystko, co mówiła Amber, bardziej niż ten jej pierścionek, że Jonno tu był.

Wsunęłam ją z powrotem pod fotel. Nie potrzebowałam talizmanu na potwierdzenie tego, co już wiedziałam. Potem uświadomiłam sobie, że ja również coś takiego mam. Zaczęłam przekopywać torebkę, dopóki nie znalazłam pustej buteleczki po tabletkach. Spojrzałam na Amber. Patrzyła na drogę, więc wsunęłam fiolkę pod fotel, tuż obok książki, zostawiając dla Jonno wiadomość, że też tu byłam.

Wyprostowałam się i spojrzałam przez okno, patrząc jak samochód pożera kilometry dzielące mnie od finału mego małżeństwa. Pola ustą-

piły miejsca dzikim lasom sosnowym, a potem po obu stronach jezdni pojawiły się pierwsze zabudowania małych miasteczek, które ciągnęły się aż do przedmieścia Athens. Podejrzewałam, że siedząca obok mnie dziewczyna mogła również wywierać naciski na Jonno. Była tak zaślepiona swoim wyobrażeniem miłości. Jeśli Jonno przedstawiał mnie jako nieustępliwą i wredną żonę, aby zabezpieczyć się przed wychudzonym wcieleniem zachłannej determinacji siedzącym obok mnie, niedługo już było mu pisane cieszyć się tym luksusem.

Zjechałyśmy z autostrady i skierowałyśmy się w stronę centrum miasta. Amber jechała prosto do sądu. Musiała być tam ostatnio, ubiegając się o zezwolenie na zawarcie małżeństwa. Na pewno nie poszło jej gładko. Skręciła w przecznicę przed budynkiem sądu, włączyła światła awaryjne i zaparkowała BMW przy chodniku.

- No to jesteś na miejscu. - Spojrzała na zegarek. - Udało się. Zostało jeszcze mnóstwo czasu.

Stanowczo odwracała ode mnie wzrok, ale patrząc na nią z profilu, zauważyłam, że jej wargi znów się trzęsą. Zaciśnęła mocno usta, próbując powstrzymać drżenie.

- Masz zamiar siedzieć w moim samochodzie, aż będzie za późno?

- Nie - odparłam. - A ty idziesz?

- Dziś wieczorem jestem umówiona na kolację z moimi druhami.

- Wzruszyła ramionami. - Muszę rozprostować sobie włosy. Muszę się przebrać i udawać, że nic się nie wydarzyło tego popołudnia.

- A jak ja mam wrócić do Between? - zapytałam.

- Nie mój problem. - W jej głosie narastała histeria. - Jesteś bardzo dziwną osobą, wiesz o tym? To kompletne wariactwo, że ja cię tu przywiozłam. To nie jest normalne. Ty jesteś nienormalna. Nie mogę wozić żony mojego narzeczonego na dzień przed moim ślubem, rozumiesz? To mnie zaczyna wkurzać.

- Kiedy będę potrzebowała wrócić do domu, nie będę już jego żoną.

- Wsiądź. Z. Mojego. Samochodu! - znajdowała się na skraju wytrzymałości nerwowej.

Nagle zrobiło mi się jej tak bardzo żal, że już nie mogło bardziej. Poczulałam ulgę.

Otworzyłam drzwi samochodu i w tym właśnie momencie zobaczyłam Jonno, który szedł chodnikiem w naszą stronę. Nasze oczy natrafiły na siebie, kiedy wysiadałam z BMW. Zatrzymał się tak gwałtownie, że omal nie stracił równowagi. Rozdziawił szeroko usta, a potem rzucił się w prawo i wymachując szaleńczo rękami, zeskończył z chodnika i przycupnął w krzakach. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem widziałam, żeby zachowywał się tak niezdarnie.

Spojrzałam na Amber. Nie zauważyła go. Poczula za to moje spojrzenie i zapytała:

- Zamkniesz wreszcie te drzwi?
- Powodzenia - powiedziałam, po czym cofnęłam się o krok i mocno trzasnęłam drzwiami.

Kręcąc głową, szłam w stronę rozkołysanych krzaków, a Amber już odjeżdżała. Rozbawiło mnie to, jak przewrotny jest ten świat. Gdy ostatnio widziałam Jonno, to ja czaiłam się w zaroślach za jego domem, żeby mnie nie zauważył.

Jonno wystawił głowę, kiedy Amber dodawała gazu, po czym znów się schował.

- Hop, hop, alarm odwołany - zawołałam w stronę krzaków, gdy BMW znikło za rogiem.

Jonno znów się wychylił.

- Cześć. - Miał na tyle klasy, aby zrobić chociaż odrobinę zawstydzoną minę.

- Nie wygląda mi to na wyczerpujące wytłumaczenie - stwierdziłam.

- Czy to była...

- Amber? Oczywiście ona - odparłam.

Jonno wyprostował się i otrząpał swe wyblakłe lewisy. Za nami wznosił się biały, pękaty budynek sądu, ozdobiony zbyt gęstym rzę-

dem kanciastych kolumn. Staliśmy przed nim ubrani w dżinsy i wy-
mięci, niepewni i zalęknieni.

- Naprawdę zamierzasz ożenić się z tym dzieciakiem? - zapyta-
łam.

- A ty naprawdę zamierzasz się ze mną rozwieść? - Jonno wzru-
szył ramionami zakłopotany.

- Chcesz tego?

Spojrzał na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Nie, głuptasie. Oczywiście, że nie.

- Ale masz jeszcze Amber.

Jonno spuścił wzrok i wpatrzył się we wzmacniane blachą czubki
swoich butów. Nosił czekoladowobrazowe sznurowane trzewiki z wy-
tartej skóry stylizowane na robocze trepy.

- Zjawiła się po tym, jak mnie wywaliłaś - oświadczył.

- Och, to świetnie. To pocieszające dowiedzieć się, że nie żenisz
się z tą, od której przyniosłaś mi syfilis.

Jego buty najwyraźniej odsłaniały przed nim niewypowiedziane ta-
jemnice wszechświata. W końcu uniósł głowę i spojrzał w stronę wy-
lotu ulicy, gdzie skręcił jej samochód.

- Jej ojciec pracuje dla Geffena*.

- Witam, witam! Widzę, że dziś nikogo nie brakuje!

Obydwoje aż podskoczyliśmy. Adwokat prowadzący naszą sprawę
rozwodową podszedł do nas niepostrzeżenie. Był to sympatyczny ma-
ły człowieczek, różowy i pulchny niczym cherubinek. Ilekroć go spo-
tykałam, był tak ogromnie wylewny, że aż wydawało mi się to niesto-
sowne. Stanął między nami i wyciągnął rękę przed siebie, wskazując
nam wejście do sądu.

- Jesteśmy odrobinę spóźnieni - powiedziała, zachęcając nas, aby-
śmy przyspieszyli kroku.

* Geffen Records, założona w 1980 r. wytwórnia płytowa należąca do Universal Music Group
(przyp. tłum.).

Przez chwilę pomyślałam, że tak naprawdę to on mógłby być moim bogiem z maszyny. Z pewnością wiedział, jak poprowadzić nas korytarzami tego ogromnego budynku. Kiedy idąc za nim, przeciskaliśmy się poprzez zatory i strumienie zmierzających w różne strony ludzi, odniosłam wrażenie, jakbyśmy trafili do wnętrza jakiejś maszyny. Zdawało mi się, że wszystko działa według schematu, jak gdyby obracały nami prądy powietrza, kierując w odpowiednią stronę.

Przeprowadził nas przez bramki wykrywaczy metali i klatki schodowe do obskurnej sali rozpraw, gdzie nasze małżeństwo miało zostać unieważnione w sposób oficjalny i metodyczny. Rozwiązanie małżeństwa zdawało się obcesową i nieodwracalną procedurą, polegającą na zajęciu miejsc w ławkach, wstawaniu na zawołanie i patrzeniu, jak znużony sędzia ostemplowuje podpisane dokumenty. Wszystko to było zupełnie odrealnione.

Spodziewałam się czegoś uroczystego, może nawet pięknego. Jak ślub, tylko na wspak. A może oczekiwałam, że rozwód przyjdzie samistnie, jako naturalna kolej rzeczy, które powoli następowały po sobie, popychając nas ku końcowi.

Ironiczne było to, że przyłapałam Jonno na zdradzie, gdy staraliśmy się o dziecko. Kiedyś myślałam, że się nam to udało i to głównie z tego względu za niego wyszłam. Spotykaliśmy się dopiero od roku i nie wydawało się możliwe, aby rezultatem tego cudownego seksu, jaki uprawialiśmy, mogła być ciąża. Był moją pierwszą miłością i seks wydawał mi się czymś, co sami wynaleźliśmy. Mając dziewiętnaście lat, teoretycznie wiedziałam, na czym polega rozmnażanie, lecz nigdy mi się nie zdarzyło przełożyć tego na praktykę. Zresztą byliśmy ostrożni. Ja byłam ostrożna aż do przesady. W końcu zostałam wychowana przez Frettów. Zatem seks z Jonno znaczył dla mnie bardzo wiele, ale nigdy nie postrzegałam go jako skutecznej metody prokreacji, aż do czasu, kiedy zaczął spóźniać mi się okres.

Powiedziałam o tym Jonno w ten sam sposób, w jaki mówiłam mu o jakichś średnio interesujących, choć nieprawdopodobnych odkryciach naukowych.

- Jonno, mrówka może przez czternaście dni żyć pod wodą, a ja od sześciu dni nie mam okresu.

- Może powinnaś zrobić test ciążowy - odparł spokojnie, wzruszając ramionami.

- Nie mogę być w ciąży.

- Pewnie, że możesz - oświadczył i zaczęło mi się to wydawać trochę bardziej realne. Poczulałam pierwsze ukłucie paniki. Jonno zobaczył, że moje oczy robią się coraz większe i uśmiechnął się do mnie. - Nie przejmuj się, Laseczko. Jeśli wyskoczy różowa kreska, to się pobierzemy. Mówię, cholera, poważnie. Kocham cię, jasne? A ty kochasz mnie. Co za problem.

Poszliśmy więc do apteki i kupiliśmy test ciążowy. Było to w czasach, kiedy Jonno wynajmował wraz ze swoim starym zespołem sędziwą rudereę, która prawdopodobnie już dawno powinna była zostać przeznaczona do rozbiórki. W salonie ciągle unosiła się woń przepoczonej skarpetki, a w podłodze jednej z sypialni ziała dziura prowadząca do kuchni. Jonno nazywał ten dom Gnojarnią. Były tam dwie łazienki i ta, z której korzystał Jonno, była mniej odpychająca od drugiej, choć nie mogłam nazwać jej czystą. Ale to właśnie tam się ukryliśmy, gdyż nie chciałam, aby w moim zatłoczonym akademiku ktokolwiek przyłapał mnie na tym, co robię.

Łazienka była długa i wąska. Jonno wszedł tam ze mną i usiadł na blacie obok umywalki, a ja odkręciłam wodę i kazałam mu zamknąć oczy. Kiedy zrobiłam swoje, położyłam test na umywalce i gapiliśmy się na niego przez trzy minuty. Widzieliśmy, jak kreska w małym okienku nabiera barw i staje się coraz wyraźniejsza, prawie czerwona. Okienko, które miało oznaczać obecność ciąży, pozostało nieskazitelnie białe.

- I po krzyku - powiedział Jonno.

- No to w porządku - westchnęłam.

I na tym by się skończyło, gdyby on nie dodał:

- Ale i tak się możemy pobrać, Laseczko. Jeśli tylko chcesz.

- No to w porządku - powtórzyłam.

Nawet wtedy nic by się nie stało, gdybym nie zadzwoniła do mojej rodziny, aby się pochwalić, że Jonno mi się oświadczył, a ja powiedziałam „tak”. Mama wciąż dopytywała się, czy jestem pewna tego, czego chcę, ale Bernese słyszała tylko jedno - „ślub”. Wszyscy jej trzech synowie byli żonaci, ale ceremonie ślubne organizowały panny młode i ich matki. Lori-Anne była jedenastoletnim cherlawym i nadąsanym dzieckiem, które zarzekało się, że nigdy nie wyjdzie za mąż, bo chłopcy są wstrętni.

Jonno i ja poddaliśmy się bezwolnie potężnej fali przygotowań zorganizowanych przez Bernese. Pastor Gregg udzielił nam ślubu u stóp fontanny na samym środku miejskiego skweru. Miałam na sobie luźną, śnieżnobiałą suknię z surowego jedwabiu o bardzo prostym kroju. Włożyłam do niej krótkie białe rękawiczki i kapelusz, w którym na zdjęciach wyszłam żenująco. Ten kapelusz był wymysłem Genny. Jonno był ubrany w niebieski letni garnitur, który kupił specjalnie na tę okazję i w którym nigdy już więcej nie chodził.

Zebrało się tam całe miasteczko. Mama zaciskała usta w wąską linię, Genny popłakiwała, ocierając łzy chusteczką. Lou poprowadził mnie między rzędami, gdzie w towarzystwie Isaaca siedziała Bernese, dostojnie niczym królowa pszczoł. Biedna Lori-Anne szła przed ślubnym orszakiem i sypała nam kwiaty pod nogi. Była ubrana w jasnozieloną koronkową potworność z bufiastymi rękawami, w której wyglądała jak chora na żółtaczkę. Lilly Crabtree specjalnie przyjechała do domu, żeby zostać moją druhną, a towarzyszył jej Boyd w roli drużby.

Przyszła nawet Ona Crabtree. Była sama i wierciła się na krześle w ostatnim rzędzie, ubrana w źle dopasowaną sukienkę ze sztucznego jedwabiu. Na przyjęciu już nie została, bo nie było alkoholu.

Pojawiła się też matka Jonno, ale jego ojciec i macocha, którzy mieszkali w Wisconsin, nie przyjechali. Przysłali mu czek na pięć tysięcy dolarów włożony w kartkę z życzeniami.

Gdyby się rozpadało, mieliśmy wejść do kościoła, który stał tuż przy placu, ale mieliśmy szczęście. Pogoda udała się znakomicie, nie było zbyt gorąco, a żółte promienie słońca oświetlały wszystko idyllicznym blaskiem. Przez kilka tygodni poprzedzających ślub Bernese jak szalona hodowała modraszki. Ivy Marchant wypuściła je na skwerze tuż przed ceremonią. Na klombach zaroiło się od motyli, które zdawały się wypełniać powietrze wokół nas, romantycznie trzepocąc skrzydełkami. Podczas gdy Jonno wypowiadał standardową baptystyczną przysięgę małżeńską, zakładając mi na palec obrączkę, którą wybrała Bernese, jeden z motyli przysiadł na jego ramieniu. Pozostał tam, dopóki Jonno nie skończył mówić, i poruszał skrzydełkami, odsłaniając swe kolory jak rozkwitający i zwijający się w pączek kwiat. Myślałam wtedy, że to dobry znak.

A teraz to szybkie i formalne unieważnienie wydawało się bezwstydne w swym pośpiechu, zwłaszcza jeśli porównać je ze wspomnieniem ślubu. Jonno chyba też to czuł. Stał, marszcząc swe piękne brwi, zasępiony i poważny. A może po prostu dobrał minę odpowiednią do nastroju chwili. Nie widział w tym żadnej świętości. A wkrótce było już po wszystkim.

Nasz prawnik wyprowadził nas na zewnątrz. Podskakiwał ochoczo i potrząsał głową jak kurczak, idąc pomiędzy nami. Podziękowaliśmy mu, po czym oddalił się w stronę parkingu. Właśnie zamykano budynek sądu. Jonno i ja staliśmy u podnóża schodów. Dzień zaczynał chylić się ku wieczorowi, słońce przestawało już prażyć, a jego światło nabierało złotawych barw.

- Nie mogę uwierzyć, że przyszedłeś - odezwałam się.
 - Wstąpiłem tylko, żeby zobaczyć, czy ty przyjdiesz - odpowiedział. - Wciąż nie może do mnie dotrzeć, że naprawdę tego chciałaś.
- Czułam się tak samo. Czułam ten niedomknięty bezkres.

- Może powinniśmy rozbić o burtę butelkę szampana albo przeciąć wstęgę - zaproponowałam.

Nie wydawało mi się możliwe, aby Jonno mógł zaplanować ślub już na następny dzień. Byłoby to w jego stylu, gdyby nawet jeszcze nie spróbował wyperswadować tego Amber. Ja też nie miałam takiego zamiaru. Od piętnastu minut nie była to już moja sprawa.

- Mam ci oddać klucze? - zapytał.

- Nie będę mieszkać w Athens - pokręciłam głową. - I musisz jutro wstąpić i zabrać Lewisa. Dzieciak sąsiadów go karmił.

- Dokąd się wyprowadzasz?

Nic nie odpowiedziałam, a kiedy minęło kilka sekund, dodał:

- Jasne. Nie moja sprawa. Zabiorę jutro Lewisa. Boyd nie cierpi kotów, więc będzie zabawnie. Hej, a może masz ochotę coś przekąsić?

- Nie.

Jonno spojrział na budynek sądu, a ja patrząc nad jego ramieniem, obserwowałam zachód słońca. Czekałam, aż się pożegna i pójdzie w swoją stronę, jednak tego nie zrobił. Ani ja.

- Ale wiesz co? - przerwałam chwilę milczenia. - Mógłbyś mnie podwieźć do domu.

- Znaczy, do mieszkania? Czy do Between?

- Do Between - odparłam.

- Dobra. To niezły pomysł. Jeśli poczuje, że odwożę cię daleko stąd, może to wszystko stanie się dla mnie bardziej realne. Bo jak na razie wciąż jesteś dla mnie moją Laseczką.

- Zabrzmiało prawie czarująco - skwitowałam cierpko.

- Nie bądź taką zołąą. Powiedziałem, że cię podrzucę. Ale muszę jeszcze spotkać się w magazynie z kumplem Boyda, żeby odebrać dla nas nowy wzmacniacz. To naprawdę nie potrwa długo. Dobrze?

Nie powinienam była się zgodzić, ale jeszcze niezupełnie miałam ochotę wracać do domu. W głębi duszy wciąż byłam zła na mamę.

- Pewnie - powiedziałam. - Tylko zadzwonię do domu, żeby ich uprzedzić.

Wyciągnęłam komórkę i wybrałam numer mamy, aby zadzwonić bezpośrednio do domu, zamiast przez biuro usług przekaźnikowych.

- Nic nie mów - zwróciłam się do Jonno, czekając na połączenie.

Skinął głową, a ja przez krótką, oszałamiającą chwilę doświadczyłam czegoś w rodzaju déjà vu. W ciągu ostatniego roku tyle razy dzwoniłam do mojej rodziny, a Jonno ukrywał się w milczeniu obok mnie.

Spodziewałam się, że odbierze Genny, ale w słuchawce usłyszałam głos Bernese.

- Już po wszystkim - oznajmiłam.

- Znakomicie! Wracasz do domu?

- Wkrótce - powiedziałam. - Powinnam załatwić parę rzeczy, skoro już tu jestem, i muszę znaleźć sobie jakiś transport z powrotem.

- Ta kurwa nie może cię odwiedzić? - pytanie Bernese zabrzmiało retorycznie. - Właśnie dzwonił Lou. Zamyka sklep i wraca z Fisher do domu. Zabrałaś ze sobą kluczyki, więc twoje auto stoi dalej zaparkowane za kościołem. Myślisz, że Genny może zostać z twoją mamą, czy powinnam tu z nimi być?

- Może zostać z mamą - odparłam. - A jak tam Fisher?

- Jest na ciebie wściekła - oświadczyła Bernese. - Ale postąpiłaś właściwie, Nonny. A jej przejdzie - szczególnie jeśli to oznacza, że teraz zostaniesz tu na dłużej.

- Właśnie. Kiedyś będę musiała się spakować i wynieść z wynajętego mieszkania. Ale mimo to nie wracam do domu na stałe, jeśli tylko dam sobie radę.

Rozłączyłam się i schowałam telefon do torebki. Potem poszłam za Jonno na parking i wsiedliśmy do jego impali. Włączyłam radio. Odbiornik był ustawiony na uniwersytecką stację, która właśnie puszczała jakiś dziwny alternatywny szajs. Brzmiało to tak, jakby w tle elektrycznej gitary słyhać było sitar i piskliwy śpiew chóru myszy. Na odwrocie kwitu parkingowego Jonno miał nagryzmołoną w kilkunastu słowach instrukcję, jak trafić do magazynu. Zaczęliśmy go szukać i nim zdążyłam się zorientować, już funkcjonowaliśmy w rytmie Jonno.

Jego czas upływał szybciej niż w normalnym świecie i nie miał ustalonych ograniczeń, poza tymi chwilami, kiedy zaczynał się uświęcony występ. Kiedy jego zespół miał koncert, Jonno przychodził punktualnie, nienagannie zadbany i pełen animuszu, na wysokich obrotach jak wielka maszyna charyzmy. Wszystko inne było jednak niestałe, elastyczne i zmieniało się wielokrotnie w ciągu jednej chwili. Dlatego też po krótkim czasie magazyn, którego szukaliśmy, stał się wręcz nierealnie odległy.

Przez następne trzy godziny Jonno rozładowywał baterię w moim telefonie, raz po raz wydzwaniając do Boyda z pytaniami o drogę i przekrzykując przy tym samochodowe radio oraz jakąś tam muzykę, której właśnie słuchał jego kumpel. O dziewiątej zatrzymaliśmy się na pustym parkingu za kolejnym, oczywiście niewłaściwym magazynem.

Czekaliśmy bezradnie na kolesia imieniem Dale czy też Paolo, którego Boyd wysłał, aby pomógł nam trafić na miejsce. Siedząc w samochodzie, wysłuchaliśmy połowy albumu Pink Floyd zremiksowanego przez kogoś, kto nazywał się DJ Peep-Peep. Tymczasem Dale czy Paolo czekał zapewne w jakimś innym magazynie oddalonym o kilkanaście kilometrów i wyklinał, na czym świat stoi.

- Nic z tego nie będzie - stwierdziłam.

Jonno przytaknął, ale nie uruchomił silnika. Wpatrywał się we mnie półprzymkniętymi oczami, a jego ociężałe powieki opadały sugestywnie.

- Och, ty mnie nabierasz - powiedziałam.

- Nie - mruknął i nachylił się nad dźwignią zmiany biegów, aby mnie pocałować.

Uniosłam dłoń, trzymając ją między nami jak znak stopu. Jonno zatrzymał się, ale nie usiadł z powrotem na swoim miejscu. Zastygł w bezruchu i czekał, aż opuszczę rękę.

- Masz zamiar poślubić tę dziewczynę? - zapytałam.

- Nie, jeśli mnie o to poprosisz. - Wzruszył ramionami.

Zanurkował i przylgnął czołem do mojej dłoni niczym duży pies dopraszający się pieszczot. Zaczął ocierać się o moją rękę, a potem odepchnął ją głową na bok i mnie pocałował.

To był pocałunek typowy dla niego. Perfekcyjny, wyćwiczony, trwający prawie w nieskończoność. I niestosowny. Okrutnie niestosowny. Obróciłam głowę, a on przysunął się jeszcze bliżej, aż poczułam żar bijący od jego ciała. Oddziaływało to na mnie pod względem fizycznym - Jonno zawsze na mnie działał - ale było niewłaściwe. Pragnęłam, aby pojawił się wreszcie ten Dale, czy też Paolo, i przerwał nam albo żeby Jonno uzmysłowił sobie niestosowność swego działania i mnie puścił. Zamiast tego położył mi na kolanie swą wielką dłoń i zaczął przesuwać ją w górę uda.

Pod moimi nogami leżała torebka zaopatrzona w nieodzwonne kondomy, a parking był ciemny i opustoszały. Pomyślałam, że nie może się wydarzyć nic, co by mnie powstrzymało, ani też nic, co powstrzymałoby jego. Tysiące takich jak Amber mogłoby dobijać się do moich drzwi, a miliony sędziów ogłaszać, że wszystko skończone, ale nie mogliby tego przerwać. Jonno również nie mógł.

Przerwałam pocałunek i odchyliłam się do tyłu, uderzając głową w szybę, na tyle mocno, aby zabolało. Jonno wciąż nachylał się nade mną, a jego ręka znajdowała się w połowie mojego uda.

Zaskoczona przełknęłam ślinę. To był tylko przerwany pocałunek. Cofnęłam tylko głowę o piętnaście centymetrów. Ale to wystarczyło, aby wszystko zakończyć.

Zaraz potem poczułam silne pragnienie, aby znaleźć się w domu. Chciałam zobaczyć się z Henrym, porozmawiać z mamą. Musiałam powiedzieć im obydwojemu, że tak, cholera, faktycznie na scenie pojawił się bóg z maszyny. Ale nie miał on nic wspólnego z Amber. To nie była ona. Ta machina działała przez cały ten czas, zanim się dowiedziałam, że Amber w ogóle istnieje. Cały czas rozlegał się stłumiony warkot, tak jednostajny, że wkrótce przestałam go zauważać, tymczasem maszyna popychała mnie w stronę rozwodu. Może pozwalałam jej na

to, a może czasem ją wyłączałam. Skonstruowałam ją w dniu, kiedy wyrzuciłam Jonno z domu, a wprawiłam w ruch, gdy razem pojechaliśmy do adwokata. Ta machina była moja. Pracowała wyłącznie w moim tempie i nie było w niej innego boga poza mną.

- Nic z tego, co? - zapytał.

- To było dobre zagranie, ale mnie już nie ma. Odwieź mnie do domu, dobrze?

Nachylił się jeszcze raz, ale znów odwróciłam twarz, dotykając skronią zimnej szyby. Jonno zatrzymał się tuż przed tym, jak jego pocałunek mógł dotrzeć do mego policzka.

- W porządku, Nonny - powiedział, a jego ręka zsunęła się na dźwignię zmiany biegów.

Ja również rozsiadłam się wygodnie w fotelu. Nie byłam nawet na niego zirytowana. Nie czułam nic poza chęcią powrotu do domu. Oraz głodem. Kiedy zaburczało mi w brzuchu, uświadomiłam sobie, że nie zadzwoniłam do Ony, aby odwołać naszą kolację. Sięgnęłam po komórkę, ale oczywiście bateria całkiem się wyczerpała. Świetnie. Było to niezwykle pomocne w moich negocjacjach pokojowych.

Jonno w milczeniu jechał w stronę Between. Włączył radio i słuchaliśmy tego, co uniwersytecki DJ uznał za dobre, dopóki nie straciliśmy zasięgu. Jonno wiedział z doświadczenia, że poza tą stacją w radiu jest już tylko muzyka religijna, country i przeboje z lat osiemdziesiątych, wśród których dominował Mr. Mister. Puścił więc muzykę z taśmy.

Znajdowaliśmy się zaledwie kilka kilometrów od zjazdu, kiedy wyprzedził nas jadący na sygnale wóz strażacki. Jonno zjechał w stronę pobocza, aby go przepuścić. Minutę później usłyszeliśmy kolejną syrenę. Tym razem był to ambulans. Za nim, błyskając światłami, pędził radiowóz policji stanowej i samochód straży pożarnej. Pojechaliśmy za nimi i nawet nie przyszło mi do głowy nic złego, dopóki nie zobaczyłam, że wszystkie skręcają w stronę mego maleńkiego miasteczka.

Rozdział 18

Spędziwszy pół życia w Between, a pół w Athens, zostałam specjalistką od odkrywania prawdy zawieszanej między co najmniej trzema wersjami wydarzeń. Stałam się biegłą w wychwytywaniu znaczących szczegółów z różnych opowieści i łączeniu ich w jedną całość. Nabrałam niebываłej wprawy w objaśnianiu słabostek i uprzedzeń mojej rodziny. W ten piątek jednak prawie nic, co miało dla mnie znaczenie, nie rozegrało się na oczach żadnego z Frettów. Jedynymi świadkami byli Crabtree, a jedynym spośród nich, któremu mogłam uwierzyć, był Henry. Musiałam przyjąć jego relację jako nierozzerwalną część, a wypełniając luki, nie mogłam się posłużyć niczym poza własną wyobraźnią.

Ten piątek Henry Crabtree spędził, dokonując inwentaryzacji i czekając na mnie. Był w tym dobry. Nie martwił się, tylko po prostu czekał. Około wpół do trzeciej zauważył Fisher, która bawiła się w ogródku przed sklepem z lalkami. Wyszedł na zewnątrz i zobaczył, że Lou zerka na nią przez okno wystawowe. Mnie nigdzie nie wypatrzył, choć w piątki po powrocie z przedszkola Fisher przebywała zwykle w moim towarzystwie. Wrócił do księgarni i podśpiewując coś pod nosem, zabrał się do uzupełniania półek w dziale podróźniczym. Skoro Fisher była z Lou, to ja musiałam pojechać do Athens, aby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu - rozwieść się i sprawić Henry'emu radość. O ile się przed nim nie ukrywałam. Zważywszy na podły nastrój, w jakim byłam przez kilka ostatnich dni, mógłby mnie o to podejrzewać. Zresztą ja sama siebie też.

Zamknął jak zwykle o szóstej i postanowił przespacerować się do końca Grace Street, żeby zobaczyć, czy jestem w domu. Przeciął skwer po przekątnej i zatrzymał się przed przejściem dla pieszych, które prowadziło na drugą stronę Philbert Street.

Rozejrzał się w obie strony niczym jakiś podstarzały skaut i wtedy właśnie ich zobaczył. Od strony drogi międzystanowej nadciągali w dwóch czerwonych półciężarówkach krewniacy Ony z Alabamy. Pierwszy jechał Teak Crabtree w starym fordzie, a tuż za nim podążał chevrolet Grifa. Kiedy znaleźli się trochę bliżej, Henry dostrzegł, że w szoferce obok Teaka siedzi Jimmy Crabtree, ale nie był już w stanie zajrzeć do drugiego samochodu.

- Kurwa - mruknął pod nosem i ruszył z powrotem przez plac w nadziei, że go nie zauważą.

Wszedł z powrotem do sklepu, zamknął za sobą drzwi i przeszedł na tyły. Przystanął na moment obok kącika wypoczynkowego i patrząc na sofę, potarł czoło swymi długimi palcami.

Poszedł na górę do swego mieszkania, gdzie przez kilka minut chodził z kąta w kąt i rozmyślał. Grif i Teak to jedyni bratankowie Ony pochodzący od jednej matki. Byli prawie identyczni, o długonosych kościstych twarzach i zmierzwionych rudych włosach. Ledwie potrafili wytrzymać ze sobą w jednym pomieszczeniu, tak wielką darzyli się nawzajem niechęcią, a żaden nie potrafił ścierpieć, jeśli drugi w czymś go przewyższał. Grif i Teak razem wzięci stanowili gwarancję, że każdy perfidny wymysł zostanie szybko udoskonalony i wcielony w życie.

Jimmy'ego, który siedział obok Teaka, łatwo dawało się rozpoznać, gdyż golił włosy do skóry, aby ukryć objawy łysienia. Sam Jimmy był w zasadzie przyzwoitym chłopem, ale wstawiony lubił zadzierać z Griffem i Teakiem. A wstawiony był prawie zawsze.

Henry zmobilizował całą energię swego umysłu, żywiąc nadzieję, że w samochodzie Grifa nie było Billy'ego. Gdyby Billy z nimi nie przyjechał, skończyłoby się na tym, że po pijanemu zryliby trawnik przed domem Bernese, a potem rozbili wystawę sklepu z lalkami i być

może zabrali kasę. Potem wróciliby do Ony i Jimmy drażniły się z Grifem i Teakiem, aż w końcu doszłoby do bitki. Rano odjechaliby z powrotem do Alabamy, o ile nikt by ich nie zaaresztował. Mieliby okrutnego jak sto diabłów kaca, ale cały jad już by z nich uszedł. Prawdopodobnie nic poważnego by się nie stało, pod warunkiem, że przyjechałoby tylko tych trzech.

A gdyby przyjechał z nimi Billy? Billy, Grif i Teak, podpici i wkurzeni, a do tego Ona domagająca się sprawiedliwości oraz Jimmy, który drażni ich i podjudza niczym obleśny, łysiejący chochlik? To skuteczny przepis na kłopoty.

Wszyscy chłopcy od Crabtreech mieli na koncie odsiadkę za posiadanie broni i narkotyków, pijaństwo i zakłócanie porządku publicznego, jazdę pod wpływem alkoholu, drobne kradzieże i rozboje. Ale Billy był inny. Podejrzewano go o podpalenia, zniszczenie mienia, gwałty i napady. Z większości tego udało mu się wyłgać, ale przesiedział siedem lat w St. Claire po tym, jak zabił człowieka w knajpianej bójce. Henry musiał mnie znaleźć, ale najpierw musiał się dowiedzieć, czy Billy jest w miasteczku.

Henry zdjął z głowy skórzaną przepaskę i jego włosy opadły swobodnie jak dwie czarne i gęste zasłony, które okalały jego twarz i podkreślały zapadnięte oczy oraz wydatne kości policzkowe. Zdjął czarne skórzane mokasyny i odłożył na półkę tuż obok identycznych, tylko w krwistoczerwonym kolorze. Wyprasowane spodnie khaki zamienił na dżinsy, również wyprasowane, i starannie złożył wykrochmaloną koszulę. Włożył ją do torby, którą dwa razy w miesiącu zawoził do pralni w Loganville, po czym wyjął z szuflady zielony podkoszulek.

Moda w wydaniu Crabtreech nie uznawała koszul, ale za to klapki i więzienne tatuaże. Henry był inny, jednak dorastał wśród nich. Był jednym z nich, chociaż do nich nie należał, lecz dzięki temu potrafił przybierać ich barwy. Miał w sobie ten szelmowski błysk, ten pierwiastek niegodziwości, który sprawiał, że kierowcy ciężarówek chętnie słuchali, kiedy polecał im książki. Teraz właśnie zmienił skórę,

wślizgując się w taką postać. Włożył sportowe buty i wyszedł z mieszkania, kierując się w stronę stacji benzynowej.

Półciężarówka Grifa stała na jednym z sześciu miejsc parkingowych naprzeciwko sklepiku, w którym na regałach stały oleje silnikowe i nieświeże przekąski. Henry zajął do szoferki. Była pusta, a na platformie zobaczył tylko skrzynkę z narzędziami, brudny koc i trzy zardzewiałe kanistry. Półciężarówki Teaka i niebieskiego samochodu Ony nigdzie nie zauważył.

Henry wsunął głowę przez drzwi. Na krzeselku przy kasie siedział chłopak z Loganville, jeden z kumpli Tuckera. Miał na imię Danny, ale ostatnio przystąpił do bandy i próbował wszystkich nakłonić, aby nazywali go Banger. Siedział oparty plecami o półkę z papierosami, a nogi trzymał na ladzie. Kiedy zadzwieczał dzwonek przy drzwiach, chłopak podskoczył gwałtownie i chwycił się regału, żeby nie spaść z krzesła. Cztery czy pięć paczek papierosów uderzyło o podłogę. Kiedy Banger zobaczył, że to Henry, wyprostował się i popatrzył spode łba.

- Ej, no daj spokój, Henry. Nie chce mi się wstawać i nalewać. Nie masz karty do automatu, chłopie? Chyba że coś potrzebujesz, gumę jakąś, czy co?

- Jest tu Grif? - zapytał go Henry.

- Nie, ino ja jestem, chłopie. Oni wzięli i pojechali - odparł Banger, a białka jego oczu połyskiwały na różowo jak u laboratoryjnego szczura.

- A był z nimi Billy? - dopytywał się Henry, ale chłopak tylko wzruszył ramionami. - Dawno temu wyjechali?

- Hmm... - Banger zerknął bezradnie na zegar. - To nie było tak całkiem niedawno.

Henry chciał jeszcze go zapytać, czy wie, dokąd się udali, ale Banger właśnie schylał się, żeby pozbierać rozsypane paczki papierosów. Nagle stracił równowagę i runął na podłogę z głuchym łoskotem.

- Oj, chłopie - stęknął.

Henry zrobił krok w tył i zamknął za sobą drzwi.

Dom Ony Crabtree znajdował się tuż przed granicą miasteczka, co oznaczało, że Henry mógł tam dojść w trzy albo cztery minuty. Ruszył wzdłuż Philbert Street, minął zjazd z siedemdziesiątkiosemki i drogę prowadzącą do Country Glen, jednej z dwóch dzielnic Between. Kiedy przeszedł obok Country Glen, znalazł się już poza terytorium miasta. Chodnik się skończył, więc szedł po zakurczonym poboczu ciągnącym się wzdłuż jezdni obsadzonej z obu stron rzędami drzew. Minął jeszcze jedną przecnicę, a potem skręcił w lewo, w Hook Lane.

Znajdowało się tam pięć czy sześć domów, a każdy z nich był prawie niewidoczny spoza drzew oplątanych przez kudzu, wybujałych krzaków i kęp chwastów. Pierwsze dwa domy stały opuszczone, w większości z powybijanymi oknami. Następny był wypaloną ruiną.

Do domu Ony prowadził czwarty z kolei podjazd.

Henry zaczął się wspinać po stromej drodze pokrytej betonem, który pokrywała siatka rozchodzących się niczym błyskawice pęknięć. W wąskich szczelinach walczyły o życie zielska i trawa. Henry zauważył czerwoną półciążarówkę Teaka, zaparkowaną koło wiaty. Nigdzie nie było widać zdezelowanego packarda Lobe'a, za to stał tam wiekowy niebieski samochód, którym jeździła Ona i jej najmłodszy syn, Tucker.

Ona Crabtree mieszkała w pospolitym ceglanyim wiejskim domu, z lat pięćdziesiątych. Przed budynkiem, jakby przygiętym do ziemi, ciągnęły się rzędem zmarniałe krzewy azalii, z których dwa rosły po obu stronach małej werandy. Tylne wyjście prowadziło wprost pod wiatę, gdzie znajdowało się tak dużo gratów, że na przestrzeni lat ktoś jedynie wyłamał w drzwiach szczelinę na tyle szeroką, że mógł wśliznąć się przez nią kot.

Henry podszedł do frontowego wejścia. Odkąd pamiętał, dzwonek przy drzwiach nie działał, więc trzy razy mocno zastukał kołatką.

- No włącz, jak już tu jesteś - dobiegł z wnętrza gderliwy głos Ony.

Z ganku wchodziło się wprost do salonu. Był on tak ciemny i zady-miony, że upłynęło kilka sekund, zanim oczy Henry'ego przyzwyczyły się do półmroku. Henry rozejrzał się i zobaczył Grifa i Jimmy'ego, którzy siedzieli rozparci niedbale na sofie, opierając brudne bosc stopy na stoliku do kawy. Oglądali *Kolo Fortuny*, a na brzuchu Jimmy'ego balansowała puszka piwa. Na lewo od nich w fotelu siedział Teak. Nie zwracał uwagi na telewizor, tylko nachylony w stronę Grifa spoglądał na niego złowrogo, z czego Henry mógł wywnioskować, że niewiele brakuje, aby ci dwaj wzięli się za łby.

- Henry! - odezwał się Jimmy. - Weź sobie piwko, chłopcze, i siadaj na dupie.

- Cześć, Henry - Grif leniwie zamachał ręką.

Czwartym z siedzących w salonie mężczyzn był Varner Coop, ostatni spośród bogatej kolekcji mężów Ony. Siedział rozwalony na krześle naprzeciwko Teaka i zaciągał się zachłannie papierosem. Ona stała w drzwiach prowadzących do kuchni i popijała jakiś bladorożowy płyn z wyszczerbionej szklanki.

Nigdzie nie było widać Billy'ego i Henry odrobinę rozluźnił napięte ramiona.

- Henry! - Ona oderwała się od drzwi, zbliżyła się do niego chwiejnym krokiem i uściśnęła jego ramię. - Mam nadzieję, że przychodzisz głodny. Zrobiłam wielki kawał pieczeni. Czekamy też na Nonny, ale dla wszystkich wystarczy, więc możesz zostać.

- Nonny ma tu przyjść? - zdziwił się Henry.

Grif opuścił stopy na podłogę i usiadł, po czym zapalił sobie marlboro z paczki Varnera. Dym zaczął gryźć Henry'ego w oczy.

- Powiedziała, że będzie - odpada Ona. - Zaprosiłam ją przed paroma dniami. Przestań nam tu wpuszczać robactwo, tylko weź sobie piwo albo coś.

Pociągnęła go za ramię, więc Henry zamknął drzwi i zrobił krok do wnętrza.

- Nonny jest w Athens - oznajmił. - Miała dzisiaj rozprawę rozwodową.

- Bzdury - powiedziała Ona. - Stawiam dychę, że ta dziewczyna nigdy się nie rozwiedzie. Ma słabość do przystojnych facetów, tak jak jej babcia.

Mówiąc to, puściła oko do Varnera, lecz ten niczego nie zauważył wpatrzony w Vannę White.

- Chcę patrzeć w telewizor, a nie na twoją mądrą głowę, Henry - odezwał się Grif.

Henry podszedł do sofy i przysiadł na brzegu, tuż obok krzesła Varnera.

- A niech mnie szczyści, to Henry! - rozległ się głos Billy'ego.

A jednak tam był. Stał obramowany futryną kuchennych drzwi w swoich prawie białych lewisach i seledynowym obcisłym podkoszulku. Miał wąskie ramiona i fałdy tłuszczu pod pachami. Skóra na jego obnażonych rękach i twarzy była jasna i tak gładka, że wyglądała jak wyprasowana. Proste, rude włosy o złotawym odcieniu połyskiwały, zwieszane nad jego szerokim czołem. Ze swoim pulchnym brzuchem wyglądałby wręcz dobrotliwie, gdyby nie oczy. Jego brązowe oczy były tak blade, że miały niemal żółty kolor i połyskiwały chłodno, puste, jakby zrobione ze szkła.

- I zająłeś moje miejsce - dodał Billy.

- Billy. - Henry zaczął podnosić się z sofy, ale Billy powstrzymał go machnięciem dłoni.

- Zostań tam. Znajdę sobie inne - powiedział.

Rzucił przez salon puszkę coorsa, a Henry automatycznie uniósł rękę, aby ją złapać. Uderzyła mocno w jego dłoń, którą zacisnął pewnym chwytem. Billy miał cholernie celny rzut.

- Co tu robisz, Billy? - zapytał Henry. - Co wy wszyscy tu robicie?

- A gównu. Przyszliśmy na kolację. Tak jak ty - odparł Billy, po czym z powrotem znikł w kuchni.

Henry nie był pewien, jaki powinien być jego kolejny ruch. Gdyby im się przeciwstawił, spuściliby mu łomot, a potem i tak zrobili to, co sobie zaplanowali. Doszedł jednak do wniosku, że nic się nie może wydarzyć, dopóki jest z nimi. Gdyby mieli zamiar wyjść, żeby zaatakować moją rodzinę, nie powstrzymałby wszystkich czterech. Ale Henry mógł udawać głupiego i nie zareagować, a potem zadzwonić po gliny.

- Nie wiedziałem, że spodziewasz się takiego towarzystwa dziś wieczorem - Henry zwrócił się do Ony, z trudem łapiąc oddech, gdyż dym papierosowy drapał go w gardle.

Ona wruszyła ramionami i wlepiła wzrok w szklanekę. Niemalże już obiecała Henry'emu, że nie zadzwoni do swego brata, dopóki przynajmniej ze mną nie porozmawia.

- Tak. Czyż to nie miła niespodzianka? - Ona nie potrafiła zbyt przekonująco kłamać.

- Jest nawet Billy - dodał Henry.

- Ta. Nawet Billy - powtórzył Teak, spoglądając na swego brata tak, jakby obecność Billy'ego była kolejną rzeczą, jaką Grif zawałił tego dnia.

- A gdzie Tucker? - dopytywał się Henry.

- Obaj chłopcy pojechali do miasta - wyjaśniła Ona. - Pograć trochę w bilard.

- Gdzieś, gdzie ludzie ich znają? - zapytał Grif wydymając nozdrza.

- Och tak. Bywają tam regularnie - odpada Ona.

Grif otworzył usta, aby powiedzieć coś jeszcze, ale spojrzał na Henry'ego i zamilkł. Odchrząknął teatralnie, po czym spytał Henry'ego:

- Masz zamiar pić to piwo czy będziesz je tak trzymać, aż się zamieni w ciepłe szczyny?

Henry odstawił piwo, a Grif uniósł puszkę i trzymając ją blisko twarzy, podważył kłapkę i szybko przyłożył usta do otworu, aby spić wzbierającą pianę.

- Chcesz, żebym zrobiła ci coś takiego, Henry? - zapytała Ona. - To jest Słony Pies. Do ginu dodaje się sól i sok z czerwonych grejpfrutów, żeby był bardziej pożywny.

- Nie, kurwa, on nie chce. Henry nie będzie pił jakiegoś różowego świństwa - odezwał się Jimmy, po czym dodał podniesionym głosem: - Billy, podaj jeszcze jedno zimne dla Henry'ego. Grif go opędzłował.

Billy znów pojawił się w kuchennych drzwiach. Henry podniósł rękę i kolejne piwo trafiło idealnie w sam środek jego dłoni.

- Byłoby dobrze, gdyby Nonny już tu dotarła - powiedziała Ona. - Bo pieczeń wyschnie i będzie do niczego.

Henry otworzył swoją puszkę, trzymał ją blisko ust i zaczął spijać pianę, naśladując Grifa.

- No, byłoby dobrze - rzucił Billy od strony kuchni. - Jest pewne jak cholera, że dziś wieczór nie ma ochoty być nigdzie indziej, tylko tutaj.

Piana zalała usta Henry'ego i dotarła do jego gardła. Próbował ją połknąć, ale było jej zbyt wiele i zaczął się krztusić.

- Uważaj - powiedział Grif i grzmotnął go w plecy.

- Kurwa, Henry, ale z ciebie pieprzona panienka - zachichotał Jimmy, po czym zwrócił się do Ony: - Lepiej nas nakarm. Nonny jakoś tu dotrze.

- No to chodź tu, Henry. I ty Billy też - powiedziała Ona. - Trzeba rozłożyć talerze.

Podczas gdy wszyscy Crabtree zneutralizowani tymczasowo przez Henry'ego jedli pieczeń Ony z ziemniakami, Fisher leżała naburmuszona w swoim pokoju. Miała zeszywniałe nogi i tak napięte kostki, że palce jej stóp sterczały wymierzone w sufit.

Ramiona splotła na piersi, dusząc w mocnym uścisku pluszową małąpkę.

- I lepiej, żebyś została w tym łóżku - powiedziała Bernese od drzwi.

Fisher wlepiła nienawistne spojrzenie w sufit, modląc się do Boga, aby zstąpił na ziemię i rozsadził ją w kawałki. Obiecałam jej filmy i prażoną kukurydzę, a tymczasem dostała sałatkę z tuńczyka z brokułami i parę klapsów za pyskowanie.

- Słyszysz, co do ciebie mówię? Lepiej, żebyś nie urządzała sobie nocnych spacerów do Nonny.

- Chciałabym, żeby przyszły pająki i mnie zjadły - odpada Fisher.
- Wtedy byłoby ci mnie żal.

- Nie bądź rozwydrzona. Nonny wróci późno, a jutro możecie bardzo miło spędzić dzień. A teraz nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś rozgniewana. Jeśli przyjdę, a ciebie nie będzie w tym łóżku, znajdę cię i spiorę na kwaśne jabłko.

Fisher nie odpowiedziała.

- Słyszysz, co mówię? - zapytała Bernese.

- Słyszę - odpada Fisher.

Bernese zrobiła krok na korytarz.

- A odmówiłaś pacierze?

- Tak jest - odpowiedziała dziewczynka. - Chcesz wiedzieć, o co się modliłam?

- Nie. - Bernese zamknęła za sobą drzwi i zeszła na dół.

Kilka godzin później, tuż przed tym, jak sama udała się na spoczynek, zajrzała do pokoju Fisher. Zobaczyła krótki, pękaty tobołek rozżalenia opatulony wełnianym kocem, ze sterczącą na końcu kępką czarnych włosów.

- Dobrej nocy - wyszeptwała.

Fisher nie poruszyła się ani nie odpowiedziała, gdyż naprawdę Bernese przemawiała do głowy lalki Teresy z zestawu do stylizacji. Prawdziwa Fisher zdążyła się już wymknąć tylnymi drzwiami.

- No dobra - mruknęła Bernese i poszła spać.

Tymczasem na skwerze Trude stała w ciemności przed swoją zamkniętą restauracją. Dopalała papierosa i właśnie miała zamiar udać się

do samochodu i wrócić do domu. Wtedy zobaczyła Fisher, która podeszła do plastikowego kamienia leżącego na klombie przed sklepem Bernese. Wyciągnęła spod niego klucz, weszła do sklepu i zamknęła za sobą drzwi. Trude odczekała chwilę, ale dziewczynka nie zapaliła światła.

Trude zakłęta pod nosem, wróciła do restauracji i sięgnęła po telefon. Zdażyła wybrać już cztery cyfry, kiedy odłożyła słuchawkę i zaczęła się zastanawiać. Bernese ostatnio nie była w najlepszym nastroju. Nawet Trude zauważyła, jak szorstko obchodzi się z Fisher. I nie zapomniała jej zachowania sprzed paru dni, kiedy to Zdzira zaatakowała Genny. Trude porzuciła wtedy swój interes i pospieszyła na pomoc, niosąc wszystkie papierowe ręczniki, jakie znalazła. Widok krwi bardzo wytrącił Trude z równowagi. A Bernese ją spoliczkowała. W dowód wdzięczności.

Rozmyślając o tym, nie miała już ochoty dzwonić do Bernese, zresztą w weekendy to ja opiekowałam się Fisher. Trude przekopała swą torebkę i wyciągnęła z niej notes. Z tyłu okładki miała nagryzmolony numer mojej komórki. Dostała go od Bernese parę tygodni temu, kiedy zostawiłam u niej książkę, którą czytałam przy obiedzie.

Zadzwoiła do mnie, ale natychmiast odezwała się poczta głosowa.

- Nonny? Tu Trude - powiedziała do słuchawki. - Wdziałam tę waszą małą, jak urządziła sobie nocny spacer. Zadekowała się nad sklepem. Nie chciałam z tego powodu budzić Bernese. No dobra. Mogłabyś tu przyjść i trochę natrzeć jej uszu, zanim Bernese się dowie. Zadzwoń do mnie i daj znać, że to odebrałaś, słyszysz?

Miała zamiar zadzwonić do mnie jeszcze raz, po powrocie do domu, ale była zmęczona i zapomniała.

Podczas kolacji w domu Ony Henry dorwał butelkę tequili i próbował wszystkich upić, aby byli nieszkodliwi. Teak i Grif wciąż popijali piwo, ale byli tylko solidnie podchmieleni. Billy wychylał każdą kolejkę, jaką podsuwał mu Henry, a ponieważ słynął z niebywale mocnej

głowy, sprawiał wrażenie prawie zupełnie trzeźwego. Za to Jimmy, Varner i Ona byli już całkowicie zalani.

- Nie sądzicie, że Nonny powinna zadzwonić? - powtarzała Ona raz za razem.

Henry siedział na sofie, a pusty plastikowy talerz balansował niebezpiecznie na jego kolanie. Obracał w rękach puszkę piwa, ubolewając nad tymi dwoma kolejkami, które wypił, żeby rozkręcić towarzystwo. Varner już zasnął na krześle i gromko pochrapywał, a Jimmy'emu niewiele brakowało, aby się do niego przyłączyć.

- To do niej niepodobne. To odpowiedzialna dziewczyna. Przeważnie - bełkotała Ona.

- A może pojechała do Athens? - powiedział Henry.

- Niby jak? Myślisz, że złapała stopa? Widziałam jej wóz. Stał na parkingu za kościołem przez cały dzień. A nikt inny nie mógł jej pożyczyć - ta ślepa nie ma samochodu, a Bernese i Lou Baxterom została tylko jedna dobra opona. - Ona wydała chrapliwy dźwięk, który przypominał śmiech, i pociągnęła kolejny łyk Słonego Psa. - Dzwoniłam na komórkę Nonny, ale wciąż się włącza ta cała poczta głosowa, bla, bla, bla, zostaw wiadomość, pip, pip, pip.

- A więc możemy iść spać, skoro Nonny się nie pokaże. - Teak zwrócił się do Grifa, a w jego głosie dało się wyczuć napastliwy ton.

- To czemu sam się nie położysz? - odpowiedział mu Grif.

Teak wyprostował się na krześle i zaczepnie pochylił tułów do przodu.

- Chciałem, a co, niby nie? Ale jak Nonny nie ma, to wszyscy możemy się położyć.

- Henry tu jest - odezwał się Jimmy bełkotliwym głosem.

Leżał rozwalony na sofie i zapadł się w nią tak głęboko, że jego głowa znajdowała się na tym samym poziomie, co nogi, które znów opierał na stoliku. Grif położył przed nim swój talerz, kiedy skończył jeść, i teraz jedna ze stóp Jimmy'ego spoczywała w resztkach ziemniaków.

Grif, Teak i Billy zamilkli i patrzyli na Henry'ego.

- Tak - odezwał się Henry. - Faktycznie tu jestem.
- On jest jednym z Crabtreech - stwierdził Billy.
- Jakoś tego nie widać - odparł Grif, a Jimmy zarechotał.
- Nie czepiaj się jego mamy, ty ówoku - zganił go Teak.

Między Grifem a Teakiem toczyła się rozmowa, przebiegająca równoległe do tej, którą prowadzili wszyscy. Henry nie był w stanie jej śledzić, ale wyczuwał jej klimat i zastanawiał się, jaki mógłby zrobić z niej użytek.

- Nazywasz moją mamę kurwą? - nachylił się w stronę Grifa.
- Ej, Henry, nie zaczynaj. Sam wiesz, że była kurwą. - Grif spojrział na niego. - A zresztą, co mi zrobisz? Tylko bym ci skopał dupę.
- To ja daję Teakowi pięćdziesiąt dolców, żeby skopał twoją - odparł Henry, udając bardziej pijanego, niż był w rzeczywistości.
- Kurwa, ja to zrobię za jednego dolara - warknął Teak.
- Nie dałbyś rady nawet za pierdolony milion. - Grif zaczął dźwigać się z sofy.
- To jak, wchodzisz w to? - zwrócił się Henry do Teaka.

Henry również zaczął się podnosić, ale wtedy na środku salonu stanął Billy i rozdzielił tamtych dwóch.

- Nonny też jest jedną z Crabtreech - oznajmił Billy.
- Jakoś tego nie widać. - Tym razem zadrwił Teak, z niezwykłą precyzją przedrzeźniając minę swego brata.

Henry roześmiał się szyderczo, aby sprowokować Grifa. Miał nadzieję, że tamten rzuci się nad stołem Teakowi do gardła i cała narastająca w nich agresja zostanie rozładowana w rodzinnej bijatyce, ale wtedy odezwał się Jimmy:

- Słodki Jezus, przecież, kurwa, należy mi się ciasteczko.

Słyszając to, Grif wbrew sobie wybuchnął śmiechem.

- Zostało jeszcze trochę tego sernika na zimno? - zwrócił się Billy do Ony, a kiedy ta wzruszyła ramionami, dodał: - Grif, idź i zobacz. Jeśli coś jest, to przynieś. Możemy zjeść na tamtych talerzach.

- Jimmy wsadził girę w mój cholerny talerz - zauważył Grif.

- No to będzie z niego jadł - odparł Billy. - To jego własna noga, więc nie powinno mu przeszkadzać.

Grif udał się do kuchni, a Teak opadł z powrotem na krzesło, odzyskując panowanie nad sobą. Billy zaczął przyglądać się Henry'emu, który poczuł, jak na policzki występują mu rumieńce.

- Nie pogrywaj ze mną w chuja - rzucił Billy. - Cwaniaczku.

- Nie pogrywam - odparł Henry.

Do salonu wrócił Grif, niosąc pięć puszek piwa, które obejmował ramionami jak naręcze drewnianych klocków.

- Ciasta nie ma - oznajmił.

- Dzięki, brachu - powiedział Billy.

Jimmy chwycił puszkę i trzymał ją obojętnie, za to wszyscy inni niemal jednocześnie wyłamali klapki i zaczęli spijać pianę.

Kolo Fortuny skończyło się jakiś czas temu i teraz na ekranie leciał jakiś film ze Schwarzeneggerem.

- Myślę, że pasowałyby wałnąć się w kojo - odezwał się Billy niespodziewanie jowialnym tonem. - Jutro trzeba jechać do domu wcześniej rano. A tu gówno do roboty, sami widzicie. Nie masz nic przeciwko temu, co, Henry?

- Nie, nie mam - zaprzeczył Henry.

- Myślałam, że Nonny chociaż zadzwoni - powtórzyła Ona z wyrzutem.

Billy uniósł swoją puszkę z piwem, otworzył usta i pociągnął spory łyk.

- Nie przejmuj się, ciociu Ono. Jutro ją złapiesz. A ja chyba też pójdę się położyć - pocieszył ją Grif, po czym zwrócił się do Henry'ego: - A ty zostaniesz jeszcze trochę w tym zdeprawowanym towarzystwie?

- Zostanę - odpowiedział mu Henry, ale jego oczy nie odrywały się od Billy'ego.

- No i dobrze - stwierdził Billy.

- Dobrze - powtórzył Grif.

- A ja też pójdę już do łóżka - odezwał się Varner.

Henry nie zauważył, że Varner się obudził i właśnie dłużył sobie grubym palcem w pępku, a potem wstał i zaczął się przeciągać. Wszyscy czterej Crabtree z Alabamy odwrócili wzrok w jego stronę.

- Też idziesz spać? - spytał Grif.

- Tak. Idzie. Jest śpiący, Grif - dobiegł z sofy głos Jimmy'ego, który jeszcze bardziej zapadł się w miękkich poduszkach, z brodą opartą na piersi. Henry nie wyobrażał sobie, jak Jimmy może patrzeć w telewizor, skoro zasłaniał go sobie stopami, a poza tym jego oczy wyglądały na zamknięte.

- Och, racja - mruknął Grif.

Varner wyszedł z salonu. Henry słyszał, jak tłucze się w korytarzu, idąc w stronę sypialni.

Grif wstał z sofy i obrócony bokiem wy dostał się zza stolika, przestępując nogi Henry'ego.

- Jesteście równie skryci, co spanikowani - odezwał się Henry. - Moglibyście mi powiedzieć, co się dzieje, bo nigdzie nie wychodzę.

- Nic się nie dzieje - odparł Grif.

- Tak, nic się nie dzieje - potwierdził Teak. - To tylko Grif jest opóźniony w rozwoju.

- A Teak to kawał pierdoły. - Grif zrobił krok w stronę Teaka.

- Ale przecież to już wiesz - Billy płynnie włączył się do rozmowy i chwycił Grifa pod ramię, nim zdążył podejść jeszcze bliżej do brata.

- Powiedz grzecznie dobranoc - pchnął Grifa w stronę drzwi, które prowadziły do sypialni. Potem zamilkł i uśmiechnął się do Henry'ego, wyszczerzając wszystkie zęby. Zaokrąglone policzki nadawały jego twarzy łagodny i życzliwy wyraz, ale Henry poczuł gęsią skórę na ramionach. - Chyba mnie wkurwiłeś - oświadczył Billy i zanim Henry zdążył cokolwiek odpowiedzieć, obrócił się i w ślad za Grifem wyszedł z salonu.

Henry pozostał na swoim miejscu, patrząc na Jimmy'ego, który zapadł w drzemkę. Teak siedział nadąsany, a Ona zajęła krzesło Varnera

i upijała się coraz mocniej. Na ekranie Schwarzenegger biegł przez jakiś poligon i strzelał z karabinu maszynowego do ludzi ubranych w polowe mundury.

- Nie mogę uwierzyć, że nie przyszła - lamentowała Ona. - Henry, myślisz, że pojechała do Athens?

- Nie mam pojęcia - odparł Henry.

- Ale nie sądzisz, żeby Nonny była u siebie w domu? - zapytał Teak.

- A jakie to ma znaczenie? Spodziewasz się, że coś złego stanie się z jej domem?

Teak zeszczytniał, ale Ona uspokoiła go kiwnięciem dłoni.

- Lepiej, żebyśmy o niczym nie wiedzieli, dziecinko - zwróciła się do Henry'ego.

- Teak, co macie zamiar zrobić? - dopytywał się Henry.

- Nie mam zamiaru niczego robić. - Teak z posępną miną wpatrywał się w telewizor.

- Zamknijcie japy i oglądajcie film. - Jimmy był wciąż przytomny.

Ale Henry w końcu wszystko pojął. Skoro Teak niczego nie robił i był z tego powodu wkurzony, działo się tak tylko dlatego, że robił to Grif. Dokładnie w tym momencie.

Henry zerwał się z sofy, zrzucając plastikowy talerz na podłogę i biegiem wpadł do korytarza, który prowadził do trzech sypialni. Drzwi do pokoju Tuckera były otwarte, więc Varner mógł być w środkowym lub tym na końcu korytarza. Drzwi do ostatniej sypialni były zamknięte, lecz zanim Henry zdążył je otworzyć, Teak stanął obok i położył rękę na klamce.

- Odejdź od drzwi - rozkazał Henry.

- Nie zajrzysz tam - odparł Teak. - Jeśli tam nie zajrzysz, to o ile ci wiadomo, wszyscy trzej są w środku.

- I takie miało być zadanie dla Nonny, tak? - Henry uderzył mocno otwartą dłońią w drzwi. - Ty i Jimmy mieliście przetrzymać ją tu do późna, żeby w tym czasie Grif i Billy mogli wymknąć się przez okno

sypialni. Nonny siedziałyby tu z wami przekonana, że tamci śpią i gdyby coś się stało jej krewnym, pomyślałyby, że to nie wy. Powiedziałyby Glinom, że była tu z wami całą noc. Chcieliście napaść na jej rodzinę, a ona miała zapewnić wam alibi? To jest chore.

- Frettowie nie są jej krewnymi. - Ona stanęła za plecami Teaka.
- My jesteśmy jej krewnymi.

- Zejdź mi z drogi, Teak - powiedział Henry.

- Zmusz mnie - odparł Teak.

Henry napadł mocno na nadgarstek Teaka i jego dłoń zsunęła się z klamki. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju, włączając światło. Delikatny wiatr poruszał zasłonami otwartego okna. Pościel na podwójnych łóżkach była w nienaruszonym stanie. Henry obrócił się, ale Teak zastąpił mu drogę. Mimo to ruszył w stronę drzwi, a wtedy Teak zamachnął się i uderzył go w oko. Henry osunął się na podłogę.

- Teak, nie! - wrzasnęła Ona.

Henry powoli stawał na nogi. Nie walczył na pięści od trzeciej klasy podstawówki, podczas gdy Teak, wysoki i długoręki, co miesiąc brał udział w jakiejś burdzie. Zaatakował Teaka solidnym ciosem w brzuch, ale tamten znów powalił go na ziemię.

- Przestańcie! Przestańcie! - krakała nad nimi Ona.

- Przemyśl to, Teak. - Henry znów podniósł się z podłogi. - Lepiej, jak pozwolisz mi ich powstrzymać. Nonny nie przyszła, a wy zachowywaliście się tak niedyskretnie, że nawet ja przejrzałem wasz plan. Glinom zajmie to jeszcze mniej czasu niż mnie. I nie będziecie mieli świadka, który potwierdziłby waszą wersję. Billy i Grif wyszli stąd bez alibi.

- I dobrze tak Grifowi - stwierdził Teak.

- Ale nie Billy'emu - odparł Henry łagodnie. - Wiesz, co oni mają zamiar zrobić?

Teak wzruszył ramionami, ale Henry wciąż wyęczał umysł. Coś nie dawało mu spokoju. Wziął głęboki oddech, próbując zebrać myśli w obolałej głowie. Jego oko i cała bok twarzy pulsowały tępym bólem.

I wtedy to do niego dotarło. Na stacji benzynowej, kiedy zajął na pakę półciężarówkę Grifa, zobaczył tam skrzynkę z narzędziami i stary koc. I trzy kanistry. Nikt nie woził ze sobą aż tylu kanistrów.

- Ty gnoju - warknął Henry. - W jednym z tych domów mieszka mała dziewczynka. W drugim głuchoniewidoma kobieta. A co będzie, gdy nie uda im się uciec? Jeśli będziesz nadal mnie tu trzymać, podczas gdy oni podkładają tam ogień, Billy może sobie narobić poważnych kłopotów.

- Ogień? - zdziwiła się Ona.

- Ja tam nic nie podpalam - odparł Teak.

Ona chwyciła go za ramię.

- Teak, oni nie mogą podpalić tych domów, kiedy w środku wszyscy śpią.

Teak nie odpowiadał.

- Lepiej, żebyśmy o niczym nie wiedzieli, dziecinko - Henry powtórzył Onie jej własne słowa.

- Teak, nie - nalegała Ona. - A jeśli tam jest moja Nonny?

Henry znów ruszył w stronę drzwi, ale Teak uniósł obie ręce, zaciśnięte pięści.

- Nie próbuj - powiedział ostrzegawczym tonem. - Myślisz, że lubię tak łać własną rodzinę?

- Nonny może spać w tamtym domu. - Ona zaczęła szarpać Teaka za łokieć. - Nonny to twoja krew.

- Co za pieprzenie. Niech no pomyślę. Lepiej spytam Jimmy'ego, co robić. Henry, wybacz, stary, ale nie wyjdiesz stąd, dopóki nie pogadam z Jimmym - oświadczył Teak, po czym zwrócił się do Ony: - Pilnuj go i wołaj mnie, gdyby chciał gdzieś iść.

Teak znikł w korytarzu, a Ona i Henry spoglądali na siebie przez krótką chwilę. Potem Ona skierowała wzrok w stronę otwartego okna i ostentacyjnie odwróciła się plecami. Henry w mgnieniu oka ześliznął się z parapetu i wyładował w krzewie azalii. Od razu zerwał się do ucieczki.

Nie wybiegł na Hook Lane, która prowadziła do Philbert Street. Gdyby Teak wyruszył w pościg, właśnie tam by go szukał. Henry skierował się do lasu i kluczył między drzewami, aż wypadł na ślepą uliczkę przecinającą Country Glen. Gnał przez podwórza, prosto do domu mamy. Dobiegł do końca dzielnicy i znów wpadł do lasu.

Powietrze rozsadzało mu płuca. Bębnił stopami o ziemię i czuł, jak tequila, piwo i ziemniaki kotłują mu się w żołądku. Kiedy wyskoczył spośród sosen na Grace Street, zwolnił. Od strony podwórka Bernese patrzył na dom mamy. Jego wzrok przesuwał się tam i z powrotem, ale wszędzie panowała cisza i spokój. Henry nie zauważył nigdzie Billy'ego, Grifa ani jego samochodu.

Ciężko dysząc, próbował myśleć kategoriami Crabtreech z Alabamy i wtedy usłyszał pierwszą z eksplozji dobiegającą od strony skweiru. Znów zaczął biec, tym razem w górę Grace Street. Trzy kanistry, trzy kanistry! Ze też od razu na to nie wpadł.

Musieli zmienić plany i skierować swój atak przeciwko sklepowi Bernese i jej muzeum. Billy wszystko sobie przemyślał i pewnie zrezygnował z podpalenia domu, gdyż obawiał się, że mogą być w środku. Bardziej jednak prawdopodobne było to, że Billy zmienił cel, ponieważ sklep z lalkami przylegał do księgarni Henry'ego, a Henry mu podpadł.

Henry biegł tak szybko, jak tylko potrafił, wsłuchując się w serię szybko następujących po sobie wybuchów. Nie miał pojęcia, co to był za hałas. Czyżby coś w muzeum? Oczywiście wyobraźni widział, jak płomienie pożerają niebieską welwetową zasłonę, która okrywała terrarium założone w domku dla lalek. Szybko zamieniała się w popiół, spadając z topniejącego plastikowego rusztowania. Widział pękające szkło, które po chwili zamienia się w rozżarzone krople. Dorosłe ćmy płonęły w locie, zamieniając się w szerniałe płatki, które nadal wirowały w rozgrzanym powietrzu. Przed oczyma stanął mu plastikowy uśmiech matki lalkowej rodziny, który złuszczoneymi płatkami odklejał się od topniejącej głowy. Wdział, jak płomienie dosięgają stóp małej

lalki o mojej twarzy. Wyobrażał sobie, że te głośne trzaski pochodzą od kokonów ciem księżycówek, które pękają pod wpływem gorąca. Widział, jak wszystkie małe gąsienice, które Fisher tak uwielbiała, zwijają się i prostują usmażone w płomieniach.

Henry przyspieszył. Czuł ból w miejscu, gdzie uderzył go Teak, a serce łomotało mu tak mocno, że czuł pulsowanie w całym ciele, i nawet w oczach.

Kiedy był już blisko placu, zobaczył bijącą w niebo pomarańczową łunę. Biegł w stronę fontanny. Sklep z lalkami stał w płomieniach, które zaczynały już pełzać po ścianie sąsiedniej księgarni. Parter sklepu Bernese był całkowicie ogarnięty pożarem, jęzory ognia omiatały ceglana fasadę budynku. Paliło się obrzeże dachu, a okna w mieszkaniu na piętrze pod wpływem żaru wygięły się do wewnątrz. Nie dało się już wejść do środka, lecz Henry wiedział, że podejmowanie takich prób nie miało sensu.

Muzeum również płonęło. Przez chwilę wydawało się, że zniszczeniu ulegnie jedynie część najbardziej zbliżona do sklepu, ale cały budynek otoczony był drewnianymi ornamentami, po których szybko rozprzestrzenił się ogień. Henry zauważył Isaaca, który zbliżał w jego stronę. Miał na sobie pluszowy szlafrok w kolorze burgunda, a przez bladą skórę jego bosych stóp prześwitywała siateczka błękitnych żył. Biegł przez trawnik, przyciskając telefon do ucha, a blask pożaru oblewał go odcieniami różu i złota.

Henry miał nadzieję, że Isaac dzwoni na 911, a nie do Bernese. Wpatrywał się w płonące muzeum, zadowolony, że przynajmniej niko- go w środku nie ma, wtem jednak zdał sobie sprawę, że w środku pa- li się nie tylko terrarium. Prawie wszystkie oryginalne wzory lalek ma- my znajdowały się w gablotach i w magazynie na piętrze.

Henry odwrócił się od Isaaca i puścił się pędem w stronę płonące- go muzeum.

Rozdział 19

Kiedy Jonno zjeżdżał z autostrady, zobaczyłam światła wozów strażackich i policyjnych samochodów połykujące na skwerze. Pochyliłam się, napierając rękami na deskę rozdzielczą, jakbym chciała popchnąć impał do przodu. Poczułam, jak żołądek podjeżdża mi do gardła, a całym ciałem wstrząsają dreszcze.

- Zjedź tutaj - powiedziałam i skręciliśmy na parking.

Blżej nie dało się podjechać. Nim koła przestały się obracać, wyskoczyłam z samochodu i popędziłam ile sił w nogach ulicą Philbert.

Kościół zasłaniał mi widok na muzeum i sklep Bernese, ale dostrzegłam pomarańczową poświatę, a czarne słupy dymu odcinały się na ciemnym tle nieba.

Gdy wybiegłam zza rogu, zobaczyłam, że muzeum i sklep Bernese stoją w ogniu. Paliła się również połowa księgarni. Strażacy zajęli się tworzeniem wodnej kurtyny pomiędzy sklepem Henry'ego a cukiernią i nawet nie próbowali opanowywać ognia, czekając, aż wszystko się wypali. Załoga drugiego wozu usiłowała gasić muzeum.

Potoczyłam wokół błędnym wzrokiem, aby wypatrzeć kogoś, kogo znałam. Jacyś ludzie w mundurach i kombinezonach strażackich biegali tam i z powrotem, zajęci i anonimowi. Potem dostrzegłam państwa Merchant, którzy stali przy krawężniku ubrani w grube szlafroki i domowe pantofle. Trzymali się za ręce, a obok stała ich córka Ivy. Przyciskała obie dłonie do ust, jakby w gardle miała rój pszczoł, których nie chciała wypuścić na wolność. Usłyszałam, jak ktoś woła moje imię stłumionym chrapliwym głosem, którego nie potrafiłam rozpoznać.

Obróciłam się w tamtą stronę i zobaczyłam Henry'ego. Siedział na podłodze ambulansu zaparkowanego przy Philbert Street, z nogami wywieszonymi nad tylnym zderzakiem. Drzwi karetki były otwarte na oścież i widziałam za jego plecami ratowników medycznych, którzy grzebali w torbach z ekwipunkiem. Henry trzymał przy ustach maskę tlenową, a jego twarz i ubranie były poczerwiałe od sadzy i popiołu.

- O Boże, lalki mamy! - Podbiegłam do niego. - Czy ona wie? Gdzie jest moja rodzina?

Henry zdjął maskę z twarzy i wychrypiął:

- Twoja mama jest gdzieś tu jest. Wie, ale... - przerwał i zaczął się krtusić.

Jego kaszel brzmiał okropnie. Przycisnęłam z powrotem maskę do jego twarzy.

- Muszę ją znaleźć - wymamrotałam jak w obłądzeniu, lecz Henry złapał mnie za rękę.

- Posłuchaj. Byłem w środku - powiedział przez maskę.

- W księgarni? Henry, ja muszę znaleźć mamę!

On jednak wciąż mnie nie puszczał. Nawet przez warstwę brudu nietrudno było zauważyć, że pod okiem Henry'ego wykwita dorodny siniak.

- Co ci się stało w oko? - zapytałam.

- To dzieło Teaka. - Machnął ręką. - Nieważne. Posłuchaj, musisz powiedzieć mamie...

Znów zaniósł się suchym kaszlem, aż sanitariuszka odwróciła głowę znad otwartej torby z ekwipunkiem.

- Trzymaj tę maskę i głęboko oddychaj - odezwała się zrzędliwie. Henry wywrócił oczami.

Spojrzałam na płonący sklep, próbując wszystko ogarnąć myślami.

- Teak Crabtree tu jest? On to zrobił?

- Lalki w kształcie zwierzątek - odezwał się Henry.

- Zaraz. Chcesz powiedzieć, że byłeś w muzeum? - przestałam wrywać się z jego uścisku.

- Zabrałem sporo tych zwierzątek. Ile tylko mogłem unieść. Siedzą teraz w rzędzie na kanapie Isaaca i doprowadzają go do pasji. Rozbiłem gablotę. - Henry zakasłał. - Isaac nie cierpi tej lalki pasikonika.

- Henry, czy mama wie, że je stamtąd zabrałeś? - spytałam.

Potrząsną głową, uśmiechając się do mnie. Widziałam, że nie może wytrzymać i musi mi to powiedzieć. Pociągnął głęboki haust tlenu i odsunął maskę od twarzy.

- Isaac wciąż gadał z glinami - powiedział. - A ja się poczułem jak na planie filmowym. Nie mogłem uwierzyć, że jestem w pomieszczeniu, które naprawdę płonie. Naciągnąłem podkoszulek na usta...

- To akurat niewiele dało - wtrąciła się ratowniczką. Była mniej więcej w moim wieku i miała lśniąco jasne loki. - Proszę trzymać tę maskę przy twarzy.

Henry posłusznie wziął kolejny haust tlenu.

- Włączyły się zraszacze... - znów zaczął mówić.

- Firma ubezpieczeniowa kazała je zainstalować. Bernese była wściekła, bo to kosztowało krocie.

- Dzięki temu zdażyłem wejść do sali z karuzelą - wychrypiął Henry. - Cały czas słyszałem jakieś wybuchy. Nie mam pojęcia, co to było. Jakby w piekle robili popcorn.

- Naboje! - wyjaśniłam. - Bernese kupiła je okazjnie i trzymała w sklepie.

- No tak. Napędziły mi strachu, kiedy tak strzelały seriami. Myślałem, że to... - Henry nagle odwrócił wzrok od mojej twarzy, popatrzył w lewo i zamilkł.

Nie złapał go kaszel, po prostu przestał mówić. Całe ożywienie zniknęło z jego osmalonej twarzy, pozbawionej teraz wyrazu jak woskowy odlew. Kiedy znów spojrzał mi w oczy, odniosłam wrażenie, jakby ktoś we wnętrzu jego głowy obrócił sklepową tabliczkę, zamieniając napis „otwarte” na „zamknięte”.

Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam Jonno, który stał za mną.

- Cześć, stary - odezwał się do Henry'ego.

Henry kiwnął głową w milczeniu i wskazał palcem na maskę tlenową.

- Ej nie, nie ma sprawy - uspokoił go Jonno. - Wdychaj sobie, jak to takie dobre.

Henry przytaknął, mrużąc oczy.

- Nonny, znalazłem twoją mamę - zwrócił się do mnie Jonno. - Bernese ją tu przyprowadziła i siedzi obok hotelu. Jest zdruzgotana.

- Muszę z nią porozmawiać - powiedziałam, patrząc na Henry'ego.

- Jasne. Idź - odparł. - Przepraszam, że cię zagadywałem.

Sanitariuszka zaczęła coś mówić, ale ja musiałam jak najszybciej znaleźć się przy mamie. Szłam kilka kroków za Jonno, wymijając po drodze dwóch policjantów. A potem ją zobaczyłam. Siedziała na kraężniku wraz z Genny. Genny obejmowała ją mocno ramionami, a mama kołysała się w tył i w przód. Miała zaciśnięte oczy, szeroko otwarte usta i wyglądała, jakby zanosiła się od płaczu, chociaż nie wydawała żadnych dźwięków.

Tuż obok stała Bernese. Jej oczy pałyły równie silnym żarem, co płonący sklep. Kiedy podeszłam bliżej, Bernese podniosła wzrok i mnie zauważyła.

- To byli Crabtree - powiedziała. - To wszystko robota tych z Alabamy. Henry powiedział glinom. Od razu pojechali do domu Ony i złapali dwóch z nich.

- Och, zamknij się, Bernese - warknęłam i przysiadłam po drugiej stronie mamy.

Narysowałam palcem serduszko na jej ramieniu, a ona ułożyła dłoń w moje imię, a potem wtuliła się we mnie. Objęłam ją ramionami i zaczęłam kołysać. *Przepadło, wszystko przepadło, przepadło* - migała mama, powtarzając raz za razem. Usiłowałam podsunąć jej moje ręce, aby powiedzieć o uratowanych zwierzątkach, ale ona nie zwracała na to uwagi i kołysząc się, powtarzała wciąż to samo, jakby mówiła do siebie.

Uświadomiłam sobie, że zapomniałam odłożyć na miejsce głowę, którą wybrałam dla Bernese do sprzedaży. Wpuściłam mamę z objęć, aby przekopać swoją torebkę. Oczywiście znalazłam pudełko z głową i dłońmi Josephine, starannie zapakowane i opatrzone etykietką. W ciągu ostatnich dni byłam tak rozkojarzona, że nosiłam na dnie torebki eksponat muzealny wart tysiące dolarów. Wsunęłam pudełko w ręce mamy, a ona chwyciła je, natychmiast rozpoznając jego kształt i fakturę.

Obracała je w dłoniach, dopóki nie natrafiła na etykietkę. Zaczęła wodzić palcami po znakach Braille'a, a jej usta ułożyły się w kształt bezdźwięcznego słowa. Genny rozluźniła uścisk i wyprostowała się, patrząc na pudełko.

Zapomniałaś ją odłożyć - zamigała mama. - Josephine.

Przytaknęłam i korzystając z chwili jej uwagi, szybko dodałam: *A Henry Crabtree uratował kilka twoich zwierzątek z karuzeli. Wiem, że to niewiele.*

Mama wzięła głęboki oddech i drżąc, ścisnęła pudełko, a łzy popłynęły strumieniami po jej twarzy. Przysunęłam się do niej blisko i siedziałam nieruchomo, Genny zaś objęła ją z drugiej strony. Mama kołysała pudełko, jak gdyby to było dziecko, mocno przytulała je do siebie ramionami.

Na Philbert Street pojawił się kolejny samochód. Zmrużyłam oczy, bo jego reflektory rzucały snopy światła w naszą stronę.

Kiedy rozmawiałam z mamą, Bernese gdzieś odeszła, ale teraz wyrzuciła się z tłumu i szła w moją stronę.

- Policjanci mówią, że po okolicy kręci się jeszcze dwóch Crabtreech. Wzięli benzynę ze stacji po drugiej stronie ulicy i puścili z dymem wszystko, co na tym świecie miało wartość dla mnie i dla twojej matki. Wszystko.

- Kiedy to się skończy? - Ukryłam twarz w dłoniach.

Jonno przysiadł na krawężniku obok mnie i położył mi rękę na ramieniu, ale zabrał ją, kiedy podniosłam głowę. Wdziałam, że Bernese zauważyła ten ruch, lecz nic nie powiedziała.

Samochodem, który nadjechał, był stary packard Trude. Dostrzegłam ją, gdy biegła w naszą stronę. Cała jej twarz wydawała się złożona z kręgów; miała rozszerzone oczy, okrągłe jak ćwierćdolarówki, a usta swym kształtem przypominały wielką literę „O”.

Bernese też ją zauważyła.

- Świetnie. Jedna moja siostra omal nie została zagryziona, druga właśnie straciła dorobek całego życia, mój sklep dogorywa, a Trude pojawia się w samą porę, żeby histeryzować - powiedziała z przekąsem.

Trude patrzyła błędnym wzrokiem na płonący sklep, potem na moją twarz i znów na sklep. Dopadła mnie i tak mocno złapała za rękę, że siła jej uścisku przejęła mnie bólem aż do kości. Zaczęła mną potrząsać, a jej twarz znalazła się parę centymetrów od mojej.

- Ivy zadzwoniła do mnie, powiedziała, że na skwerze wybuchł pożar - wysapała. - Rozłączyła się, zanim zdążyłam zapytać. Powiedz, że zabraliście stamtąd Fisher.

- Fisher śpi bezpiecznie w domu - krzyknęła Bernese.

- Skąd ją mieliśmy zabrać? - zapytałam równocześnie.

- Ze sklepu! Ze sklepu Bernese!

- Fisher tam nie ma - odpada Bernese.

- Była tam. - Trude zwróciła się do Bernese, a potem szarpnęła moim ramieniem. - Odebrałaś moją wiadomość?

- Wiadomość? - zdziwiłam się, a coś ciężkiego i mrocznego porwało mnie za serce.

- Na twojej komórce. Odebrałaś? - dopytywała się Trude gorączkowo.

- Fisher była w domu? - zwróciłam się do Bernese. - Widziałaś ją tuż przed tym, jak tu przyszedł?

Bernese potakująco skinęła głową.

- Zadzwonił Isaac i powiedział, co się dzieje. Bardzo się spieszyłam, ale zająrzałam do niej. Leżała skulona jak robaczek. Kazałam Lou zostać na wypadek, gdyby się obudziła.

- Nie - odezwała się Trude. - Ona wybrała się na nocny spacer. Widziałam ją, jak wchodzi do sklepu.

Moje serce nabrzmiało, a zaciśnięte na nim smoliste palce szarpnęły nim w głąb trzewi, pozbawiając mnie tchu.

- Dzwon do Lou - wykrztusiłam.

Bernese z niepokojem w oczach wyłuskała telefon z torebki i nacisnęła klawisz szybkiego wybierania. Upłynęło dwadzieścia długich jak wieczność sekund, zanim Lou podniósł słuchawkę.

- Cześć, to ja. Przejdź się do sypialni Fisher i zajrzyj do niej - powiedziała. Czas znów dłużył się w nieskończoność, aż wreszcie Bernese uniosła kącik ust i pokiwała głową.

- Tak jak myślałam. - Odsunęła telefon od ust i rzekła, patrząc na mnie: - Bezpieczna w swoim łóżku.

Kurczowy uścisk Trude zelżał, a wtedy uwolniłam rękę i wyrwałam komórkę Bernese.

- Lou? Podejdz i ściągnij z niej koc.

- Obudzę ją - zaprotestował Lou.

- Więc to zrób! - zaczęłam krzyczeć.

Trude przygryzła dolną wargę, a Bernese nie odrywała oczu od mojej twarzy.

- No dobra - mruknął Lou. Zanim przeszedł na drugą stronę pokoju, znowu wydawało mi się, że czekam milion lat, całą epokę lodowcową. Zapadła niezręczna cisza, a potem usłyszałam jego krzyk: - O mój Boże!

Wiedziałam już wszystko.

Nie chciałam tego do siebie dopuścić. Odrzuciłam telefon i usłyszałam, jak uderza i roztrzaskuje się o asfalt.

- Nonny? - głos Bernese zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

Brzmiał w nim zarówno przestraszony, jak i niepewny. Spojrzałam w stronę sklepu, który wyglądał jak ściana ognia, ale to nie miało znaczenia. Wszystko było proste i jasne. Fisher znajdowała się w środku i musiałam ją stamtąd zabrać. Zerwałam się do biegu, wciąż myśląc,

jakie to wszystko proste. Wejdę tam i wezmę ją na ręce. Fisher, która nienawidziła być obłąpiana i mogła złościć się i wrywać, pewnie zmusi mnie, bym ją wyniosła na barana.

A potem zbiegnę na dół i wypadnę na zewnątrz i dadzą jej maskę tlenową jak Henry'emu, a ona powie „Ale tam było gorąco” i wszystko będzie dobrze.

Nie czułam stóp, które uderzając o ziemię, niosły mnie w stronę płonącego sklepu. Wydawało mi się, że ktoś za mną krzyczy „hej” i „zatrzymaj się” i nie możesz”. Ale ja mogłam. Musiałam.

Byłam już przy fontannie i dalej pędziłam w stronę Fisher, gotowa pogrążyć się w ogniu i wyrwać ją z niego, całą i zdrową. Nagle jednak coś uderzyło mnie z boku, wrywając mi grunt spod nóg i grzmotnęłam o ziemię.

- Nonny, nie - wychrypiał Henry Crabtree.

Wijąc się w jego ramionach, okładałam go pięściami i tłukłam po twarzy, tam gdzie uderzył go Teak. Wymierzałam mu cios za ciosem, ale on mnie nie puszczał. Był mojej postury, lecz miał o wiele więcej siły. Nie mogłam pojąć, jak on może być tak silny i z taką łatwością trzymać mnie przy ziemi, skoro miałam w sobie tyle mocy. Czułam się niepokonana i było oczywiste, że przeszłabym przez szalejące płomienie i wydarła im moją dziewczynkę, gdyby tylko mnie puścił. Dlatego walczyłam, próbując wydrapać mu oczy, a on wciąż powtarzał „nie”, ale nie było żadnego „nie”. Była tylko Fisher i mogłam jedynie iść po nią.

Nagle dał się słyszeć głośny huk, jak gdyby runęły posady świata i przestałam się szamotać, aby spojrzeć na płonący sklep, w którym była Fisher. To pękł dach i zapadł się do środka. Potem rozległy się kolejne trzaski, kiedy zaczęły walić się ściany, a upadek zachwiał frontową ścianą budynku, która w końcu runęła w tył i pogrzebała Fisher pod ceglany mowiskiem. Fisher już nie było.

- Puść mnie - powiedziałam do Henry'ego.

Leżałam pod nim bezwładnie, więc rozluźnił uścisk.

W moim wnętrzu rozlegał się potworny hałas, który nie pozwalał mi myśleć. Obejrzałam się w stronę Bernese, która upadła na kolana z poszarzałą twarzą. Obok niej stała Trude i zanosila się szlochem, lecz nie potrafiłam zrozumieć dlaczego, bo w głowie słyszałam zgiełk.

Zauważyłam też mamę, która w towarzystwie Genny stała przed hotelem Merchantów. Genny była blada jak płótno, ale wiedziałam, że jest wierna swej podstawowej zasadzie. Jeśli coś się działo w obecności mamy, Genny nigdy jej nie okłamywała. Nigdy. Widziałam ruchy jej rąk. Widziałam, co mówi mamie, zwracając się do niej w języku, który znałam, i nie mogłam znieść tego widoku, jak gdyby te znaki migowe były potwierdzeniem tego, co się stało.

Mama raz za razem zdecydowanie zaprzeczała, ale Genny nie przestawała migać. A potem ten dźwięk, który nieustannie grzmiał w mojej głowie, wydostał się na wolność i już wszyscy mogli go słyszeć. Wydobywał się z ust mamy, niesamowicie przesywający, jak jednostajne wycie syreny. To było nie do zniesienia, kiedy ten sam odgłos rozpierał mnie od środka i jednocześnie atakował od zewnątrz, wydawany przez mamę. Nie mogłam wytrzymać ani chwili dłużej w pobliżu jego źródła. Odwróciłam się i pobiegłam w stronę kościoła.

Usłyszałam, jak ktoś mówi „Nie, ja pójdę”, i kątem oka dostrzegłam jakąś rozmazaną sylwetkę podążającą moim śladem. Uciekałam, pogrążając się w mroku, aż znalazłam się za kościołem i stanęłam obok swojego samochodu. Dobiegający z zewnątrz hałas był daleko i być może już ustał, ale hałas w mojej głowie wciąż rozlegał się bezlitośnie. Położyłam dłonie na drzwiach samochodu i oparłam się o niego.

Ktoś odezwał się za moimi plecami i rozpoznałam głos Jonno.

- Kochanie - powiedział, a wtedy uśpiona we mnie obca natura wyrwała się spod kontroli.

- Odpierdol się ode mnie - warknęłam. - Bo cię zabiję.

Minęła chwila, a czas nie przestawał płynąć. Czas nadal upływał, a na świecie nie było już Fisher.

- Odpierdol się - powtórzyłam.

Kiedy się obejrzałam, nie było już nikogo.

Wsiadłam do samochodu, uruchomiłam silnik i ruszyłam z miejsca, chcąc uciec jak najdalej, ale ten hałas ciągle wibrował w mojej głowie i w piersi, wstrząsając całym ciałem. Powietrze w samochodzie miało smak soli i popiołu. Skręciłam w stronę wyjazdu z parkingu, pragnąc tylko znaleźć się na tyle daleko, aby zaznać ciszy. Wiedziałam jednak, że to niemożliwe. Ten dźwięk był wciąż we mnie, przemieszczał się wraz ze mną, a ja jedynie oddalałam się od mamy, która mogła mnie potrzebować.

Z impetem nadepnęłam hamulec, a samochód szarpnął gwałtownie, zatrzymał się i zgasł. Z tylnego siedzenia dobiegł mnie głuchy odgłos, który przebił się przez jednostajny zgiełk w mojej głowie. A potem usłyszałam czysty i piskliwy, dźwięczny niczym dzwoneczek głos Fisher, która jęknęła „Ojej”.

Znieruchomiałam, a potem obróciłam się do tyłu i uklęknęłam na siedzeniu, przechylając się przez oparcie. I wtedy ją zobaczyłam.

Była zawinięta w koc, który zabrała z mieszkania nad sklepem, i leżała na poduszce. W miejscu, gdzie upadła, widziałam tylko jej okrągłą twarz i mrugające oczy. Fisher przez chwilę szamotała się z kocem, aż uwolniła spod niego bladą rączkę i potarła powieki.

- Wróciłaś?

- Tak - odparłam, po czym dodałam: - Cześć.

- Cześć - odpowiedziała.

Bałam się jej dotykać. Bałam się, że w rzeczywistości mogłaby to nie być ona, żywa i autentyczna. Patrzyłam, jak się szarpie i uwalnia z koca, a później gramoli z powrotem na tylne siedzenie.

- Co robisz w moim samochodzie? - zapytałam.

- Nie chciałam, żebyś znowu wyjechała, kiedy będę spać.

- Nie zrobiłabym tego.

- Zrobiłabyś - wyduła dolną wargę.

Pokręciłam głową.

- Czy mogłabyś tu przyjść na minutkę? - odezwałam się do niej bardzo łagodnie.

Wstała i opada się brzuszkiem o krawędź przedniego siedzenia, a potem nachyliła do mnie i wpadła prosto w moje rozpostarte ramiona.

Nie mogłam się powstrzymać. Przycisnęłam ją do siebie mocno i zanurzyłam nos w jej włosach.

- Zgniatasz mnie - zaprotestowała przyciśnięta do mojej piersi.

- Ja tylko cię trzymam - odpowiedziałam. - Jesteś moja i powinnaś ze mną zamieszkać. Zabieram cię. Chcesz tego?

- Tak - odparła i rozluźniona przyłgnęła do mnie, pozwalając, bym jeszcze raz mocno ją przytuliła.

Upłynęła chwila i wszystko było w porządku, czas mógł znów płynąć, a ja mogłam do tego dopuścić, chociaż nie bez lęku pozwoliłam światu obracać się wokół własnej osi.

Fisher wypełzła, uwalniając się z mych objęć i zajęła miejsce na siedzeniu obok mnie, mieszcząc się idealnie w swej nienaruszonej gładkiej skórze.

- Jestem głodna - oznajmiła. - Praktycznie przymieram głodem.

- Możemy coś na to zaradzić. - Nie mogłam oderwać od niej oczu, patrząc jak wszystkie jej cząsteczki dokładnie pasują do siebie.

- Nonny? Czy to prawda? - zapytała nieśmiało, opuszczając wzrok. - Z tym, że mogę z tobą zamieszkać?

- Tak - odparłam, chociaż nawet nie wiedziałam, jak do tego doprowadzić.

- Bo takie było moje sekretne życzenie. Moje prawdziwe życzenie. To, które kosztowało piętnaście dolarów.

- Więc tak będzie - powiedziałam z pewnością w głosie. Mogłam nie wiedzieć, jak to zrealizować, ale wiedziałam, jak się do tego zabrać. - Musimy iść zobaczyć się ze wszystkimi. Ludzie się martwią. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Nie możesz więc tak robić.

- Dostanę lanie? - zapytała.

- Nie. Nie tym razem - zapewniłam ją, a potem dodałam z absolutną szczerością w głosie: - Zabiję każdego, kto spróbuje cię uderzyć.

Fisher przytaknęła rezolutnie. Zostawiłam samochód w miejscu, w którym się zatrzymałam, blokując wyjazd z parkingu. Wzięłam Fisher za rękę i ruszyliśmy w stronę Philbert Street.

- Co się dzieje? - Fisher patrzyła wielkimi ze zdumienia oczami na skupisko samochodów, połyskujące światła i kłęby dymu.

- Mnóstwo rzeczy - odparłam. - Nie martw się, nikomu nic się nie stało.

Nie pamiętam, kto zauważył, że nadchodzimy. W ogóle nie zwracałam na to uwagi. Słyszałam szum radosnych rozmów i narastające ożywienie, ale patrzyłam wyłącznie na mamę, która siedziała na krajeźniku pomiędzy Genny i Bernese. Wszystkie razem były podobne do przycupniętych w rzędzie trzech małpek. Bernese i Genny płakały, kryjąc twarze w dłoniach, a mama przyciskała do siebie pudełko i nie widziała, nie słyszała oraz milczała za wszystkie trzy.

Genny podniosła zalaną łzami, roztrzęsioną twarz i krzyknęła:

- Och, Bernese! Och, Bernese!

Bernese zaczęła się rozglądać, a jej twarz wyglądała jak ulepiona z gliny i przypominała obwisłą maskę pośmiertną. Potem zobaczyła Fisher, która szła grzecznie obok mnie, i znów wybuchła szlochem, po czym obróciła się w stronę siedzącego obok Isaaca i osunęła się na niego.

Genny uniosła ramiona ku niebu, ale w żadnym języku nie było słów ani znaków, które mogłyby wyrazić to, co chciała powiedzieć. Nie widziałam innego sposobu, aby oznajmić to mamie, jak wziąć Fisher na ręce i posadzić na jej kolanach. Patrzyłam, jak przyciska ją mocno do siebie, rozpoznając dotykiem i węchem to, co zostało jej zwrócone. Pudełko z głową Josephine zakołysało się i spadło z jej kolan na bruk, ale mama nie zważała na nie, tuląc do siebie dziecko.

Przyklękałam obok i objęłam je obie ramionami. Fisher ściśnięta pomiędzy nami usiłowała protestować, lecz nie zwracałam na to uwagi.

Bernese i Genny krążyły niecierpliwie wokół nas, aż wreszcie po kilku minutach Bernese wyrwała nam Fisher i wzięła ją w objęcia, podczas gdy Genny głaskała i poklepywała każdą część ciała dziewczynki, jakiej udało się jej dosięgnąć.

- Ludzie, ale wy mnie zdręczacie - jęczała Fisher.

Podniosłam pudełko z głową Josphine i wręczyłam mamie, ale ona odsunęła je od siebie. Położyłam je obok nas, po czym podałam mamie ręce i powtórzyłam jej najpiękniejszą część historii naszej miłości. Przelatałam w jej dłonie te same słowa, których ona użyła, tyle razy opowiadając mi o tym, jak odnalazłyśmy się nawzajem.

To dziecko jest moim dzieckiem. Ja to wiem - zamigałam. - Nie wiem, jak się to robi, jak się nią opiekować. Ale ty wiesz.

Mama wyciągnęła dłonie, odnalazła moją twarz i pogładziła mnie delikatnie po policzku.

Dobra dziewczyna - odpowiedziała. - Dobra dziewczyna, dobra dziewczyna. A potem przytaknęła gestem dłoni. Zgodziła się powiedzieć mi jak.

Rozdział 20

Musiałam poczekać na sposobność, aby wcielić w życie plan mamy. Okazja musiała pojawić się sama. Nie było jednak powodów do niecierpliwości, ponieważ na razie Fisher mieszkała ze mną w domu mamy. Bernese była pochłonięta bez reszty prowadzeniem batalii przeciwko firmom ubezpieczeniowym i zaangażowana w osobną wojnę z wymiarem sprawiedliwości.

Teak i Jimmy byli już z powrotem w Alabamie. Teak siedział w więzieniu za naruszenie zasad zwolnienia warunkowego, ale Jimmy wrócił do domu w Jackson's Gap. Najwyraźniej nie znaleziono paragrafu na to, że drzemał pijany na sofie, podczas gdy jego kuzyni usiłowali puścić z dymem połowę miasteczka. Grif trafił do aresztu, a Billy przepadł bez śladu. Billy Crabtree zawsze zdawał się spadać na cztery łapy i przypuszczalnie również tym razem mu się to udało. Bernese niczym asystent prokuratora okręgowego wertowała akta, nawoływała do pościgu na ogólnokrajową skalę i upewniała się, że Grif nie próbuje wyjść za kaucją.

Korzystając z jej rozkojarzenia, przepuściłam książkę *Dziecko w formie* przez niszczarkę do dokumentów. Fisher zrzuciła kajdany i przez trzy dni opychała się aż do bólu, pakując w siebie masy niezdrowego żarcia, aż zauważyłam, że zaczyna puchnąć jak balon. Pozwalałam jej na to. Nie powiedziałam nic, kiedy pochłonęła całą paczkę doritos i zlizła lukier z połowy pączków w pudełku. Nie odezwałam się nawet wtedy, gdy wrzuciła je z powrotem do opakowania, ogołoczone i pomarszczone.

Jednak po upływie tygodnia Fisher zdążyła już odzyskać spokój i zaczęła żądać prawdziwego jedzenia. Wciąż domagała się słodzonych płatków śniadaniowych Cap'n Crunch, ale godziła się też na zwykłe Kix, musiałam z nią pertraktować o każdy kęs brokuła, za to prosiła o słodycze dwa razy częściej, niż mogła je dostawać. Innymi słowy, zachowywała się i odżywiała jak normalne małe dziecko.

Na skwerze robotnicy uprzętałi pozostałości wypalonych rumowisk, jakie zostały po sklepach Bernese i Henry'ego. Wybrałam się tam pewnego dnia, kiedy Fisher była w przedszkolu. Włączyłam się wśród szczątków muzeum, ale gdyby nawet znajdowało się tam coś nadającego się do odzyskania, jak mogłabym to rozpoznać? Przestałam grzebać i otrzepałam ręce. Nie było niczego, co mogłabym ocalić, niczego, co mogłabym odkryć.

Kiedy szłam z powrotem w stronę Philbert, jeden z robotników wydał z siebie przeciągły gwizd. Byłam ubrana w najbardziej obcisłe z moich džinsów i turkusową bluzeczkę, strój, w którym zawsze czułam się ładna. Uśmiechnęłam się, słysząc ten dźwięk. Potrzebne mi było takie potwierdzenie, gdyż właśnie wybierałam się na spotkanie z Henrym.

Henry znalazł schronienie u Ony. Nie rozmawiałam z nim od tamtej nocy, kiedy wybuchł pożar. Po części dlatego, że przez cały czas była u mnie Fisher, jak również przez to, że Henry miał urwanie głowy z firmami ubezpieczeniowymi. Kilka razy widzieliśmy się na skwerze i pomachaliśmy sobie nawzajem na powitanie, lecz ani razu nie udało nam się porozmawiać. W miasteczku tak małym jak Between to nie mógł być zbieg okoliczności.

Wspięłam się po splekanym podjeździe i podeszłam do frontowych drzwi. Zastukałam kołatką i po paru minutach otworzyła mi Ona Crabtree, wytrzeszczając oczy ze zdumienia na mój widok.

- Nonny? - jakby zastygła w bezruchu.
- Mogę wejść? - spytałam.
- Pewnie, że możesz. Pewnie - odpada i odsunęła się od drzwi.

Henry siedział na sofie, trzymając w dłoniach otwartą książkę. Miał bose stopy, a jego dżinsy nie były wyprasowane. Z rozpuszczonymi włosami wyglądał o wiele bardziej niedbale i swobodnie niż zazwyczaj i dopiero po chwili sobie uświadomiłam, że jego żelazko i jego nienagannie skrojona nowojorska garderoba, a nawet skórzana przepaska, którą zdarzyło mi się ściągnąć z jego głowy, zamieniły się w smutną hałdę sadzy i popiołu.

Ona zamknęła za mną drzwi.

- Dać ci coś zimnego do picia? Usiądź, usiądź - mówiła z ożywieniem i trochę za głośno.

Podeszłam do dużego fotela, który stał przy węższym końcu stolika, i przysiadłam ostrożnie na brzegu.

- Napijesz się coli? - zapytała. - Mamy colę.

- Bardzo chętnie - odparłam, a Ona pobiegła małymi kroczkami do kuchni.

- Jak się masz, Nonny Jane? - odezwał się Henry.

Mówił bez przekonania i bardzo powściągliwie, ale mogłam mieć tylko takie wrażenie. Może Henry był po prostu zaspany. Potarł oczy, potem oparł dłonie na udach.

- Dobrze - powiedziałam. - Jest dobrze.

Henry zamilkł, a Ona wróciła z puszką cok, otworzyła ją teatralnym gestem i postawiła przede mną na stoliku.

- Chcesz trochę ciasta? - zapytała. - Mam brzoskwińowe.

- Nie, dziękuję. - Pociągnęłam orzeźwiający łyk coli. Wydała mi się trochę zbyt słodka, więc uniosłam puszkę i przyjrzałam się jej dokładnie.

- To jest ta waniliowa - wyjaśniła Ona. - Lubię smak wanilii.

Nic nie odpowiedziałam, a Ona stała przede mną skępowana i wyginała dłonie. Znów omiatała mnie tym łapczywym spojrzeniem, które zawsze sprawiało, że czułam się niezręcznie.

Henry przyglądał się nam z opanowaniem, jak gdyby oceniał sytuację.

- Ono? Nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym została z Henrym przez chwilę sam na sam? - powiedziałam najgrzeczniej, jak umiałam.

- Nie, nie miałabym. - Potoczyła dokoła niepewnym wzrokiem, jakby zastanawiała się, dokąd pójść.

W końcu wybrała korytarz, który prowadził do położonych z tyłu domu sypialni. Znikła za drzwiami, ale nie słyszałam jej tłumionych przez dywan kroków, więc nie byłam pewna, czy weszła do pokoju, czy ukryła się za rogiem i podsłuchuje.

- Henry, opowiedz mi, co się stało w ostatni piątek - odezwałam się. - Powiedz mi wszystko, co wiesz.

Henry skinął głową i zaczął mówić, co wydarzyło się podczas rodzinnej kolacji Crabtreech, a potem na placu, uzupełniając całą historię o te elementy, których nie mogłam usłyszeć od policjantów ani od Bernese.

- A wtedy przyjechałaś ty. I Jonno. Więc resztę znasz - zakończył.

- Nie powinieneś był tam wchodzić po te lalki - powiedziałam, a kiedy machnął ręką, dodałam: - Ale jestem ci wdzięczna, że to zrobiłeś. Nie zdajesz sobie sprawy, ile to znaczy dla mojej matki.

Obydwoje zamilkliśmy i czułam się, jakbym miała gardło wypełnione żwirem. Wyprostowałam się na fotelu. Wciąż wyobrażałam sobie, że Ona zerka na nas przyczajona w korytarzu i wyciąga szyję, aby uchwycić każde nasze słowo.

- Muszę porozmawiać z tobą o czymś jeszcze - zwróciłam się do Henry'ego. - Moglibyśmy pójść do twojego pokoju?

- Nie - odparł. Musiałam zrobić bardzo zaskoczona minę, gdyż dodał: - Mówię poważnie. Nie możemy. Nie ma tam miejsca. Musiałem zagospodarować sobie kąt do pracy. Mam tam komputer, drukarkę, faks i tak dalej. Gonią mnie terminy.

- Cholera, cała twoja praca przepadła?

Pokręcił głową.

- Ze wszystkiego robiłem zapasowe kopie i trzymałem w internetowej bazie danych. Ale w mojej sypialni nie ma gdzie stanąć. Mam

tam skrawek łóżka, gdzie mogę się położyć albo usiąść przy klawiaturze. A ty chciałybyś... Może pójdziemy na spacer?

- Nie, tak jest dobrze - odrzekłam.

Wstałam z fotela i zajęłam miejsce obok niego na sofie, aby móc ściśnić głos. Henry odsunął się, zostawiając mi odrobinę za dużo miejsca.

- Bernese powierza mi opiekę nad Fisher - oznajmiłam.

Na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech i tak bardzo przypominał teraz mojego starego przyjaciela Henry'ego, że trochę się rozluźniłam.

- Naprawdę mnie to cieszy, Nonny Jane - powiedział.

- No cóż, Bernese jeszcze o tym nie wie. Ale to robi.

- Będziesz się stawiać Bernese? To nie wiem, czy powinienem kupić bilet na tę imprezę, czy lepiej stąd wyjechać. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a ja odpowiedziałam mu tym samym i siedzieliśmy tak, patrząc na siebie, dopóki nasze uśmiechy nie spełżyły nam z twarzy. - Czy to o tym przyszłaś mi powiedzieć?

- W pewnym sensie. Oczywiście nie zamierzam tu zostać. Nie ma tu dla mnie pracy. Społeczność głuchych w Between to jedna osoba, ale przecież nie będę pobierać opłat od własnej matki. I tak już mam najbardziej pogmatwaną rodzinę w całej Ameryce, a teraz jestem rozwiedziona samotną matką, pracującą na własny rachunek. Chyba zdaję sobie sprawę, że nie jestem najlepszą kandydatką na partnerkę, ale twoja księgarnia spłonęła i możesz osiedlić się gdziekolwiek. Przyszło mi na myśl, że nie ma powodu, dla którego nie mógłbyś się osiedlić tam gdzie ja. - Henry przełknął ślinę, a ja uzmysłowiłam sobie, że wykręcam się od tego, co pragnę powiedzieć. Zebrałam się w sobie i dodałam: - Chcę, żebyś wyjechał z nami.

Henry opuścił wzrok i zauważyłam, jak mięśnie jego przedramion przesuwają się pod skórą, kiedy zatarł dłonie. Gdy znów na mnie spojrzał, jego głęboko osadzone oczy były mroczne i nieodgadnione.

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale podażyłam za tobą prawie od roku.

- Zauważyłam - odrzekłam, ale on pokręcił głową.

- Byłem w tobie zakochany od jeszcze dłuższego czasu. Tłumiłem to, ponieważ byłaś mężatką i cokolwiek bym myślał o tym facecie, należało to uszanować. - Próbowałam się wtrącić, ale Henry wciąż mówił: - I wiem, że to wszystko było nie w porę. Nie powinienem był cię całować. Kiedy to zrobiłem, powiedziałaś mi głośno i wyraźnie, że wciąż jesteś mężatką. Powinienem był wtedy odpuścić. Ale nie zrobiłem tego. Nie chciałem. Aż wreszcie dałem sobie spokój w piątek, kiedy on tu z tobą przyjechał.

- Rozwiodłam się w piątek.

- Tak, słyszałem. To bardzo małe miasteczko. Ale nic się nie zmieniło, Nonny Jane. Nadal byłaś z nim. Wciąż z nim jesteś. Nie mogę już za tobą podążać, bo on zawsze będzie przede mną.

- Zerwałam z Jonno - oświadczyłam dobitnie.

- Mówiłaś mi to już przedtem. - Jego głos był bardzo delikatny. - Potem musiałaś jechać powiedzieć o tym jemu i zanim się na to zdecydowałaś, już zdążyłaś zmienić zdanie. Ale mnie to już zmęczyło. Wszystko, co miałem, albo przepadło, albo cuchnie jak wszyscy diabli. Mam za sobą gówniany tydzień, a jeśli chodzi o tamto... Mam również za sobą gówniane małżeństwo z kobietą, która była zakochana w kimś innym. I nie mam ochoty na powtórkę.

- Henry, wiem, że to, co wtedy powiedziałam, było... - zaczęłam, ale on podniósł się z sofy.

- Moja przyjaciółko, nie mam dzisiaj ochoty na tę rozmowę. Jestem zbyt zmęczony. Sam nie wiem, dokąd zmierzam, Nonny Jane, ale mam tutaj rodzinę. Tak samo jak i ty. Obydwoje będziemy tu wracać i czasem wpadniemy na siebie. - Odwrócił się i znikł w drzwiach prowadzących do korytarza.

Usłyszałam, jak oschłym tonem powiedział „przepraszam”, kiedy wpadł na Onę, a potem zatrzasnęły się drzwi jednej z sypialni. Siedziałam na sofie i próbowałam powstrzymać się od płaczu, a wtedy Ona Crabtree wystawiła głowę zza framugi.

- On jest po prostu głupi - odezwała się.

- Nie chcę o tym rozmawiać - odparłam.

Nie chciałam rozmawiać z nią o niczym.

- Każdemu może się poszczęścić - dodała.

- Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać. - Spojrzałam na nią ze złością.

- Wiem, że nie powinnam była tego wszystkiego podsłuchiwać - powiedziała.

Machnęłam na nią ręką i wstałam gwałtownie, kierując się do wyjścia, ale Ona zastąpiła mi drogę.

- Nonny, chciałam ci powiedzieć, że naprawdę jest mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło.

Poczułam, jak narasta we mnie wrodzona wściekłość Crabtreech. Takie gówniane dziedzictwo. Jeszcze tak niedawno obie mnie podjudzały, Ona i Bernese, każda pokrzywdzona, uprzedzona, żadna odwetu i niezdolna się pohamować. Miałam ochotę wygrzmocić ją w głowę, ale wyglądała zbyt żałośnie. Te jej żółte, podbiegnięte czerwienią oczy i zwiotczała skóra na wydatnych kościach policzkowych. Miałam jej rysy twarzy.

Patrzyłam na nią i nabierałam pewności, że nigdy nie byłabym w stanie jej pokochać. Wokół jej postaci kręciły się wszystkie moje przerażające wspomnienia z dzieciństwa. Zdecydowała się pójść na noże w swej prywatnej wojnie z Bernese, co wyrządziło zbyt wiele szkód całej mojej rodzinie. Tego, co straciła moja matka, nie sposób było niczym zastąpić.

Pomyślałam jednak również o tym, co powiedział mi Henry. O tym, jak spojrzała w stronę otwartego okna i odwróciła się plecami, aby on mógł pospieszyć na pomoc mojej rodzinie. Gdybym rzuciła to na szalę, niewiele by się zmieniło. Ot, jedna kropelka przyzwoitości na tle samolubnego życia. Niemniej jednak była w tym geście przyzwoitość, którą wykazała się w stosunku do mnie.

Zresztą jeszcze jedno przemawiało na jej korzyść - Henry Crabtree ją kochał. A ja, niech to jasny szlag, kochałam Henry'ego. Roznieciłam

to w sobie. Wciąż to czułam. Ale to niczego nie zmieniało. Kochałam go. A on kochał ją.

- Och, pieprzyć to - powiedziałam.

Podeszłam do niej i wzięłam ją w ramiona. Z początku czułam, jakbym obejmowała bezwładny worek, a potem schowane wewnątrz kości obudziły się do życia i oplótły mnie tak mocno, że praktycznie nie mogłam złapać tchu.

- No, już dobrze. - Poklepałam ją po plecach. Nie mogłam jej pokochać, ale nie rozumiałam, czemu nigdy nie przyszło mi na myśl, aby okazać jej zwykłą serdeczność. - Już dobrze.

W końcu uwolniłam się z jej uścisku.

- Nie wiem, jak to wszystko mogło zajść tak daleko - odezwała się, wciąż kurczowo trzymając mnie za ramię.

- W porządku. Przestańmy już o tym myśleć. Jest całe mnóstwo rzeczy, o które mogłybyśmy nawzajem się obwiniać aż po sądny dzień albo za nie przepraszać, aż posiniałyby nam usta. Ale dajmy temu spokój. Zapomnijmy o tym.

- Nie zrobię już nic więcej przeciwko Bernese, jeśli o to ci chodzi - powiedziała. - Tak długo, jak ona nie zacznie zadzierać ze mną.

- Wiem, że nie zrobisz, i jestem pewna, że ona też nie. Jednak nie o to mi chodziło. Chodziło mi o nas - odparłam, a Ona spojrzała na mnie zmieszana. - Zaczniemy w ten sposób. Dlaczego znowu nie zaprosisz mnie na kolację?

- W porządku. - Ściszyła głos i wymownie skinęła głową w stronę sypialni. - Lepiej się pospieszmy. Kiedy firma ubezpieczeniowa wystawi mu czek, wyjedzie z Between.

- Wiem. Ale nie tego miałam na myśli. Chodziło mi o ciebie. Na weekend wyjeżdżamy z miasteczka. Fisher i ja wybieramy się na poszukiwanie nowego domu. Może kiedy wrócę, poszłybyśmy na kolację albo mogłabyś tutaj przyrzadzić coś dla mnie.

- Tylko my? - zapytała.

- Tak. I twoi chłopcy oraz Varner, jeśli zechcesz.

- Pewnie bym mogła. Naprawdę tylko my? - Spoglądała na mnie podejrzliwie spod postrzępionych brwi i po raz pierwszy zauważyłam, że nie pozostało w nich już ani odrobiny rudego odcienia, który ustąpił miejsca metalicznej szarości.

- Tylko my - uśmiechnęłam się do niej.

Wciąż trzymała mnie za ramię, a ja gładziłam jej zaciśniętą dłoń, aż nieufność znikła z jej pozółkłych lisich oczu.

Rozdział 21

Planowałam wyjechać w piątek po odebraniu Fisher z przedszkola. Miałyśmy spędzić weekend, szukając dobrej szkoły w okolicach Atlanty, a może wstąpić do zoo i do muzeum Coca-Coli. Nie spieszyło mi się. Nie chciałam, żeby Fisher wyprowadzała się przed wakacjami. Nie mogłabym zresztą tego zrobić, nie ustaliliśmy wcześniej z Bernese kwestii opieki nad małą. Bernese wiedziała, że wyprowadzam się do Atlanty, ale jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że coś knuję.

Wczesnym rankiem, kiedy Fisher kończyła normalne ludzkie śniadanie, dostrzegłam, że właśnie nadarza się okazja. Lou wetknął głowę przez kuchenne drzwi i zapytał, czy nie chciałabym, aby podwiózł Fisher do przedszkola.

- Oszczędźmy jej podróży autobusem - powiedział. - Dostałem od Bernese długą listę sprawunków i wyjeżdżam już teraz. Pewnie zabawię trochę w Loganville, więc mógłbym ją również odebrać.

- Dziękuję, wujku Lou - odparłam.

Lou wszedł do kuchni i nalał sobie filiżankę kawy, tymczasem ja dałam Fisher pieniądze na lunch i sprawdziłam, czy ma dobrze związane sznurówki.

- Na razie, Nonny - uściśnęła mnie w pośpiechu.

Przytuliłam ją lekko, powstrzymując się, aby nie przycisnąć jej do siebie z całych sił i nie zabronić wsiadania do samochodu Lou. Dopało mnie czasem coś takiego, kiedy przychodziła objąć mnie na pożegnanie albo pocałować na dobranoc. Od tamtej pamiętnej nocy ogarniał mnie niepokój, ilekroć spuszczałam ją z oczu.

Fisher zbiegła po schodach i przebijając krępyimi nóżkami, szła obok Lou, a zielony plecak obijał się radośnie o jej plecy. Popędziłam do pokoju Genny, skąd miałam dobry widok na podjazd przed domem Bernese. Nie upłynęło pięć minut od wyjazdu Lou i Fisher, kiedy we frontowych drzwiach pojawiła się Bernese i szybkim krokiem ruszyła w stronę Grace Street.

Odprowadziłam ją wzrokiem, po czym udałam się do sypialni mamy. Genny właśnie skończyła robić makijaż sobie i mamie, nakładała zatyczkę na różową szminkę i zamykała puderniczkę.

Narysowałam palcem serduszko na ramieniu mamy, a ona wyciągnęła do mnie ręce.

Myślę, że się zaczyna - zamigałam.

Mama od razu zorientowała się, o co mi chodzi, i przytaknęła szybkim gestem. Potem dodała w imieniu Genny: *Dzisiaj jest dzień, w którym Genny uszyje korpus i sukienkę dla Josephine. Lou przyniósł tu maszynę Bernese.*

Ścisnęłam dłoń mamy, a ona odwzajemniła uścisk i mówiła dalej: *A ja zacznę pracować w garażu nad moją nową rzeźbą. Mówiłam ci o niej? To „Kości psów”, wiesz? Zaczynam odzyskiwać swoje dawne ja.*

Nachyliłam się, aby ją pocałować.

- Myślę, że Josephine będzie najlepszą lalką, jaką kiedykolwiek stworzyłyście - zwróciłam się do Genny, a potem powtórzyłam to samo mamie i dodałam: *I myślę, że twoja nowa rzeźba też będzie najlepszym z twoich dzieł.*

- Zgadzam się z tym - oznajmiła Genny, a mama uroczyście przytaknęła gestem ręki.

Tak się musi stać - zamigała, a ja nie wiedziałam, czy ma na myśli swoją rzeźbę, czy tę ostatnią z porcelanowych lalek. Jednak w obu przypadkach miała rację. Moja mama dawno temu nauczyła się, jak żyć, i to żyć pełnią życia, w obrębie granic tego, co jej pozostało.

Wyszłam z domu i udałam się na skwer. Kiedy tam dotarłam, zaczęłam rozglądać się za Bernese, ale nigdzie nie było jej widać. O tak

wczesnej porze plac był opustoszały, a wszystkie sklepy pozamykane. Przystanęłam, aby popatrzeć na pokruszone ściany, które kiedyś mieściły w sobie muzeum. Resztki rumowiska miały zostać wywiezione w przyszłym tygodniu. Sprzątanie działek, na których stały sklepy Bernese i Henry'ego, już zakończono i nie pozostało tam nic poza płaszczyzną osmalonego betonu.

Przecięłam Philbert Street i obeszłam wiktoriańską rezydencję Isaaca. Pod krzewem azalii znajdował się sztuczny kamień, taki sam, jak za domem Bernese. Wyjęłam z niego zapasowy klucz i otworzyłam kuchenne drzwi. Przemierzyłam kuchnię i weszłam po schodach na piętro. Tam właśnie ich zobaczyłam.

Nie zdybałam ich w jego sypialni ani też nie robili niczego, co by ich szczególnie obciążało, ale pozycja, w jakiej ich zastałam, potwierdzała wszystko, co powiedziała mi mama. Bernese przytuliła się do niego i ugiąwszy ręce w łokciach, opierała obie dłonie i twarz na jego chudej klatce piersiowej. Isaac stał przygarbiony i obejmował oburącz jej szeroką talię. Głowę miał pochyloną i przyciskał usta do jej włosów.

To on zobaczył mnie pierwszy, a nasze spojrzenia natrafiły na siebie ponad głową Bernese. Zachował się na tyle elegancko, że nie odepchnął jej od siebie ani nie odskoczył. Zaledwie się poruszył, a potem wyprostował plecy i obrócił Bernese w moją stronę, nie przestając obejmować jej ramieniem.

Na mój widok wytrzeszczyła oczy i zeszywniała.

- O kurwa - wykrztusiła, wpatrując się we mnie i potrząsając głową.

To był pierwszy raz, kiedy usłyszałam w jej ustach przekleństwo, które nie pochodziło z Biblii.

- Zaczekam na dole - oznajmiłam i poszłam w stronę schodów. - Przyjdźcie porozmawiać, kiedy będziecie gotowi.

Przygotowałam kawę w nowoczesnej kuchni Isaaca. Jego ekspres do kawy to było wielkie czarne urządzenie, które potrafiło spieniać mleko za pomocą gorącej pary i zaparzyć espresso, a przypuszczalnie

upiec również kurczaka, gdyby tylko odpowiednio je zaprogramować. Mnie udało się po piętnastu minutach wydusić z niego kubek zwyczajnej kawy.

Kiedy zajęłam miejsce przy masywnym, przypominającym rzeźnic - ki blok stole, na schodach pojawiła się Bernese. Sama.

Bez słowa nalała sobie kubek kawy, wyspała do niego cztery kopia - ste łyżeczki cukru i usiadła przy stole naprzeciwko mnie. Zdażyła już dojść do siebie, a wyraz jej twarzy był nieprzenikniony.

- Chyba teraz zaczynam to rozumieć - przerwałam milczenie. - Oczywiście twoim zdaniem samo tylko cudzołóstwo nie jest dostatecznie dobrym powodem, aby się rozwieść.

Bernese splotła dłonie i położyła je przed sobą na stole. Miała zacisnięte wargi.

- Zasłużyłam na to, a tobie udało się przez przypadek. Mam nadzieję, że masz z tego ubaw. - Siedziałyśmy naprzeciw siebie przez kolejną minutę, a potem ona pierwsza spuściła wzrok. - Kocham go, wiesz o tym. To nie jest jakaś fanaberia. Zawsze go kochałam.

- Więc czemu za niego nie wyszłaś? - pokręciłam głową. - Dlatego że jest Żydem?

- Poślubiłabym go nawet, gdyby wyznawał kult Baala - zachnęła się i zaczęła wiercić się na krześle, jak gdyby nie mogła przyjąć wygodnej pozycji. - To on nie chciał się ze mną ożenić. I to właśnie dlatego, że nie jestem Żydówką. Byłam na niego taka wściekła. Wróciłam prosto do domu i poślubiłam Lou. Lou chciał się ze mną żenić już po ukończeniu liceum i wciąż nie zmieniał zdania. Pozostawialiśmy przyjaciółmi, sama wiesz. Widywałam go, kiedy przyjeżdżałam tu na wakacje i przerwy semestralne, a on nigdy nie przestał patrzeć na mnie w ten sposób. A gdy wróciłam do domu po ukończeniu szkoły pielęgniarskiej, nie sądziłam, że kiedykolwiek jeszcze zobaczę Isaaca.

- Miałaś całkiem niezłą przykrywkę - powiedziałam. - Połowa miasteczka uważa go za geja.

- Przeważnie byłam dobrą żoną - kontynuowała Bernese, nie zwracając uwagi na moje słowa. - A Isaac i ja naprawdę niczego nie robiliśmy. Nie robiliśmy niczego takiego już od roku. Mam nadzieję, że nie zamierzasz zburzyć całego życia Lou na tym etapie gry.

Bernese rozszerzyła oczy w błagalnym wyrazie, jakiego nigdy dotąd nie widziałam na jego twarzy.

Usłyszałam dobiegający z korytarza odgłos miarowych kroków Isaca, który dołączył do nas, wysoki, elegancki i pewny siebie. Usiadł przy stole na swoim stałym miejscu, obok Bernese, a ona nachyliła się ku niemu prawie niedostrzegalnie, jak gdyby przyciągana siłą jego magnetyzmu.

Pociągnęłam łyk kawy i odstawiłam kubek. Wiedziałam z doświadczenia, że uwagi mamy nie uszłoby nic, co by jej pozwoliło wiedzieć dokładnie, kto żywi do kogo sympatię, ale nigdy nie widziałam takiej Bernese. W ogóle nie potrafiłam pojąć, jak moja pragmatyczna ciotka mogłaby znaleźć się w roli Julii. Próbowałam wyobrazić ją sobie jako studentkę, młodą, piękną i oszalałą z miłości, która kołysząc upiętymi w kucyk włosami, biegnie na spotkanie z Isaakiem Davidsem. Próbowałam sobie wyobrazić, jak cierpi, przeżywając miłosny zawód.

Trudno mi było uwierzyć, że nie mogła się powstrzymać, aby powracać do niego, nawet po upływie czterdziestu lat. Nie mieściło mi się to w głowie, dopóki nie porównałam jej zachowania z moimi niekończącymi się powrotami do Jonno. Wychodziłam z założenia, że tę niemożność definitywnego zerwania odziedziczyłam wraz z rozwiązanymi genami Crabtreech, ale najwidoczniej przejęłam ją również od Frettów.

Wtedy w samochodzie z takim trudem przyszło mi odchylić się o te kilkanaście centymetrów i odepchnąć Jonno, nawet mimo tego, że nasze małżeństwo zostało już pogrzebane. Wyobraziłam sobie, o ile byłoby to trudniejsze, gdybym nadal była w nim zakochana. Prawdopodobnie nie potrafiłabym się na to zdobyć.

- Jak do tego doszło? - zapytałam. - Wróciłeś do domu, żyłeś z Lou.
- Myślałam, że Isaac się ożenił. Rok po ukończeniu szkoły znalazłam jego ogłoszenie zaręczynowe w jednej z gazet w Atlancie. Miła żydowska dziewczyna, rodzina z tradycjami, dokładnie taka, jak chcieli jego rodzice. Isaac praktykował w firmie swego ojca, a ja chciałam, aby jakiś prawnik spojrzął na umowę, którą zaproponowano mi za lalki twojej mamy. Nie wiedziałam, czy to uczciwy układ, a nawet nie rozumiałam połowy z tego, co tam było napisane.

Isaac wziął ją za rękę i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że dłoń jego dłoni ukoił jej drżenie. Bernese spojrzała na niego, a on skinął głową, aby mówiła dalej.

- A więc pojechałam do miasta, aby się z nim zobaczyć. Mówiłam sobie, że to dlatego, że go znam i mogę mu zaufać jako prawnikowi. Pomyślałam również, że jeśli zobaczę go szczęśliwego w małżeństwie, przestanę ciągle o nim rozmyślać. Ale, Nonny, on nie poślubił tamtej dziewczyny. Wycofał się w ostatniej chwili. I też nie mógł o mnie zapomnieć. Potem ukazał się ten artykuł w magazynie „Life” i firma Cordova zaproponowała nam duży kontrakt, a Isaac mógł pozwolić sobie na odejście z firmy ojca i otwarcie własnej praktyki.

- I postanowił otworzyć ją tutaj - powiedziała.

Bernese zabębniła paznokciami o blat i zacisnęła szczęki.

- Chcę, abyś wiedziała, że nie zachowywaliśmy się ciągle w ten sposób. Wiemy, że to niewłaściwe. Powstrzymaliśmy się wiele razy. Panujemy nad tym.

Uśmiechnęłam się mimowolnie, przypominając sobie, jak mama radziła, abym przestała nad tym panować. Jak mówiła, że Frettowie się nie wahają. Ze Frettowie dokonują wyborów. Frettowie działają.

- Licząc na twoją uprzejmość, Bernese i ja chcielibyśmy się dowiedzieć, jakie planujesz kroki co do Lou - odezwał się wreszcie Isaac - Najchętniej zanim je podejmiesz.

- Przypuszczam, że to zależy od Bernese - odparłam i pociągnęłam kolejny łyk kawy.

Bernese zmrużyła oczy i wyprostowała plecy, jakby chciała się przeciągnąć. Wzięła płytki oddech, po czym wymieniła z Isaakiem spojrzenie, które mogło znaczyć bardzo wiele w tylko dla nich znanym języku. Obydwoje zdali sobie sprawę, że prowadzimy pertraktacje i była to prawdopodobnie rzecz, w której Bernese oraz Isaac przez całe życie czuli się najbardziej swojsko.

- Chcesz pokoju? - odezwała się Bernese. - Mogę wyrównać z Oną rachunki za te psy. Wiem, że w znacznej mierze przyczyniła się do pożaru, ale nie będę się upierać. Mogę nawet jej wybaczyć. - Ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby było wykonane z lodu i przyparowało ją o ból zębów. Ale wypowiedziała je.

- Proponujesz coś, czego nie możesz zapewnić - pokręciłam głową. Widziałam teraz, że Henry mówił prawdę. Ona i Bernese były do siebie bardziej podobne, niż kiedykolwiek mogłabym przypuszczać, i nigdy nie potrafiłyby tolerować się nawzajem. - Z Oną zawrę pokój na własnych warunkach. Nie wyobrażam sobie, abyście umiały przewyciężyć wzajemną odrazę. Zadowolę się udawaną obojętnością z twojej strony lub nawet przejawem grzeczności.

- Załatwione. Czego jeszcze żądasz? - Bernese znów nachyliła się nad stołem. Siedziałam w milczeniu, aż wreszcie zaczerpnęła haust powietrza. - Zabierasz Fisher.

- Tak. Zabieram Fisher - przytaknęłam.

Dłoń Isaaca przesunęła się na jej ramię i nie byłam pewna, czy położył ją tam, aby okazać jej wsparcie, czy też chciał powstrzymać Bernese, aby nie rzuciła mi się do gardła. Jej nozdrza zaczęły falować, a oddech stawał się coraz szybszy.

- Ale ja ją kocham - powiedziała, niemal dysząc.

- Wiem o tym, Bernese - odparłam, po czym dodałam tak łagodnie, jak tylko umiałam, pomimo wszystkiego, czego zaznałam w ciągu ostatnich kilku tygodni. - Jednak spójrzmy prawdzie w oczy. Nie jesteś w tym najlepsza.

Poczułam, jak wzbierają w niej ogromne pokłady energii, jaką w sobie nosiła, lecz nie odrywałam od niej wzroku. W końcu zdołałam ją pokonać. Jej ramiona zwiotczały, a potem całe ciało dało się ogarnąć rozluźnieniu. Potakująco skinęła głową, splótła ręce na piersi i opada czoło na stole. Isaac położył dłoń na jej plecach, a jego otoczone siateczką zmarszczek oczy spoglądały na nią z czułością.

- Przygotuję wszystkie dokumenty - zwrócił się do mnie, gdy zaczęłam podnosić się z krzesła, i dodał: - Choć nie dlatego, że boję się prawdy, Nonny. Zrobię tak, ponieważ jest to najlepsze rozwiązanie dla Fisher.

Poczułam ukłucie gniewu, ale on patrzył na mnie z taką rozwagą. Miał takie wyraziste spojrzenie. Jak mogłam dotychczas nie zwrócić uwagi, że tak zabawnie pochyla głowę? Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem Isaac Davids nie ma przy tym stole więcej do powiedzenia, niż się spodziewałam. Oddaliłam jednak tę myśl. Wiedziałam już zbyt wiele.

- Chcę zostać prawną opiekunką Fisher tak szybko, jak to tylko możliwe - powiedziałam, wstając od stołu. - Chcę mieć nad nią pełną kuratelę i złożyć wszystkie dokumenty potrzebne do adopcji. I nie próbujcie wspólnie mnie przechytryć. Zatrudnię prawnika, który wszystko sprawdzi. - Obeszłam stół dookoła i pochyliłam się nad Bernese, aby ją uścisnąć. - Tak bardzo cię kocham. Wiesz, że Fisher i ja będziemy w pobliżu. Będziemy tu ciągle zaglądać, a ty nadal pozostaniesz jej babcią. Bo nią właśnie jesteś i powinnaś być. Ale obie wiemy, że to dziecko potrzebuje matki. I ja nią jestem.

Bernese opada głowę na dłoni, wyraźnie rozgniewana na mnie, ale widziałam również jej ulgę. Fisher stanowiła dla niej obciążenie, którego nigdy by się nie pozbyła, i najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego wagi, dopóki nie wzięłam go na siebie.

- Ale na tym musi się skończyć - ożywiła się. - Nie piśniesz Lou ani słowa. Choćby nie wiem co. Nie możesz wciąż trzymać tego w zanadru przeciwko mnie, ilekroć zadziałam ci na nerwy.

- Przeprowadźmy formalności i nie zaczynaj od nowa z Oną Crabtree - przytaknęłam. - A przysięgam ci, że będzie tak, jakby dzisiaj nic się nie wydarzyło.

- Niby skąd mam to wiedzieć? - wzburzyła się Bernese. Widziałam, jak w błyskawicznym tempie powraca do siebie. - Skąd mam wiedzieć, że w jakimś momencie nie wykorzystasz tego przeciwko mnie?

- Ponieważ ci obiecałam, że tego nie zrobię - odparłam spokojnie, po czym pod wpływem impulsu nachyliłam się i pocałowałam ją w policzek. - I dlatego, że cię kocham, durna babo.

Bernese zaskoczona przytknęła palce do policzka.

- Licz się ze słowami.

- O nie, szanowna pani - powiedziałam. - Słyszałam dzisiaj, że przeklinasz jak szewc i tego nie zawaham się używać przeciwko tobie, póki żyję.

Obróciłam się i ruszyłam w stronę wyjścia, a ona pocierała policzek i patrzyła za mną, jak gdyby nie wierzyła w to, co widzi. Czułam na sobie jej wzrok. Czułam, jak patrzy na moje wąskie ramiona, długi tułów i rude włosy Crabtreech, ale wiedziałam, że jej oczy widzą coś innego. Była przekonana, że patrzy na jedną z Frettów.

Myliła się jednak. Henry miał rację, mówiąc, że Bernese i Ona są do siebie podobne, ale to było coś więcej. To było coś, co je łączyło. Każdy Frett i każdy Crabtree od chwili przyjścia na świat stawał się niebezpieczny, bezwzględny i nieugięty, kiedy przychodziło mu chronić jednego ze swoich. Był to ich wspólny punkt i tym punktem byłam ja.

Wróciłam do domu i zabrałam się do pakowania rzeczy, które ja i Fisher miałyśmy zabrać na weekend do Atlanty. Zamierzałam wyjechać zaraz po tym, jak Lou przywiezie ją z przedszkola. Byłam trochę oszołomiona. Zasiadłam do negocjacji z Bernese i osiągnęłam prawie wszystko, czego chciałam.

Prawie.

Zaczęłam się zastanawiać, dokąd Henry może się wyprowadzić, i oszołomienie uszło ze mnie jak powietrze z przekłutego balonika. Za jego zachowanie nie mogłam winić nikogo prócz siebie. Cholera, może również Jonno, ale przede wszystkim siebie. Ze złością potarłam załamane oczy i poszłam do garażu. Chciałam przytulić się do mamy i poprosić ją, aby upiekła dla mnie ciasto. Mama poczuła, że mam wilgotne palce i wyciągnęła ręce do moich policzków, aby otrzeć je w taki sam sposób, jak to robiła, kiedy miałam pięć lat i potłukłam się, spadając z roweru.

Nie pytała mnie, co się stało, tylko zamigała: *Mężczyźni potrafią być głupi. Ale ciasto zawsze jest dobre. Idź się pakować. Ja pójdę piec.*

Pokrzepiająca woń jej ciasta pomarańczowego wypełniła dom, kiedy zносиłam walizki do samochodu. O pierwszej Fisher wpadła pędem do domu i zasypała nas nowinkami na temat przedszkolnego żółwia i swojej najnowszej pracy plastycznej. Usiadła przy kuchennym stole i wszystkie zjadłyśmy po kawałku ciasta, ja, mama, Genny i Fisher. Był to przedsmak tego, jak miała odtąd wyglądać połowa mojego życia związana z Between. I to było wspaniałe, naprawdę wspaniałe. Mogłam jak mama nauczyć się czerpać pełnię z tego, co mam. Z Henrym albo bez Henry'ego.

Pomogłam mamie pozmywać naczynia, a potem Fisher i ja wsiadłyśmy do mustanga i wyjechałam na Grace Street.

- A w Atlancie będziemy miały podwórko? - spytała Fisher.
- Mam taką nadzieję - odparłam.
- A będziemy mogły trzymać tam psa?

Obejrzałam się przez ramię. Patrzyła na mnie z taką niewinną powagą.

- Może małego pieska - powiedziałam. - Małego, malusieńkiego kudłatego pieseczka w różowe serduszka, który będzie taki delikatny, że nie obroni się nawet przed wiewiórkami.

- A możemy opuścić dach? - zachichotała Fisher.

- Teraz już jedziemy, Robaczkule. Następnym razem przypomnij mi o tym, zanim ruszymy.

Minęłyśmy skwer. Zauważyłam samochód szeryfa stojący na rogu tuż obok domu Isaaca. Thig wysiadł i zostawił otwarte drzwi, aby wypisać mandat jakimś turystom, którzy zaparkowali na Philbert Street, zamiast wjechać na parking za kościołem.

Pomachałam do niego przez okno, a kiedy spojrzałam za siebie, zobaczyłam, że na placu jest również Henry. Stał obok fontanny i nie dbale uniósł rękę, a potem opuścił ją bezwładnie. Musiał pomyśleć, że macham do niego. Poczułam, jak na policzki występują mi rumieńce. Szybko położyłam rękę z powrotem na kierownicy i pojechałam dalej.

Przy wjeździe na autostradę skręciłam na zachód, kierując się w stronę Atlanty. Ledwie ujechałyśmy trzy kilometry, kiedy Fisher zaczęła się dopytywać, jak długo potrwa, zanim dotrzemy na miejsce. Odpowiedziałam jej, a wtedy odezwała się gderliwym głosem:

- Szkoda, że nie opuściłaś dachu.

Jakieś półtora kilometra dalej zobaczyłam w lusterku połyskujące światła samochodu policyjnego. Spojrzałam na prędkościomierz. Jak zwykle przekraczałam dozwoloną prędkość o niecałe pięć kilometrów na godzinę. Czekałam, aż gliniarz mnie wyprzedzi, ale on uparciejechał w ślad za mną. Potem włączył syrenę. Nie był to jednak krótki sygnał przypominający stłumione kasznięcie. Syrena zaczęła wyć na całego zawodzącym tonem charakterystycznym dla szybkich pościgów za groźnymi mordercami.

Zjechałam na pobocze. Kiedy tylko się zatrzymałam i dokładnie przyjrzałam naszemu prześladowcy, okazało się, że nie jest to jakiś przypadkowy patrol. To był samochód Thiga Newella. Poczułam falę rozdrażnienia, po której ogarnął mnie niepokój. Może Bernese blefowała, a teraz wysłała Thiga w pościg, aby odebrał mi Fisher.

Światła nadal błyskały, syrena nie przestawała wyć, ale z samochodu nikt nie wysiadał. Miałam zamiar tam podejść i zobaczyć, czy aby Thig nie dostał udaru, gdy otworzyły drzwi się i obok radiowozu stanął Henry Crabtree. Kiedy ruszył poboczem w naszą stronę, poczułam się, jakby serce chciało wyskoczyć mi z piersi.

- Nonny? - odezwała się Fisher.
- Sekundkę, kochanie - powiedziałam i wysiadłam z samochodu.
- Mógłbyś to wyłączyć? - wskazałam na samochód Thiga, przekrzykując syrenę.

- Nie - odrzyknął Henry w odpowiedzi. - Mówię poważnie. Naprawdę chciałbym, ale się nie da.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

- Ukradłeś samochód Thiga?

- Ukradłem samochód Thiga - oświadczył uroczystym tonem.

- I zepsułeś syrenę. - Wciąż się śmiałam.

- Na to wygląda.

- Ale dlaczego? - zapytałam, choć miałam nadzieję, że znam odpowiedź.

- Pojechałaś na zachód - odparł Henry.

- Wiem.

- Do Athens jedzie się w przeciwnym kierunku.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko.

- Uprowadziłeś radiowóz szeryfa, zepsułeś syrenę i ścigałeś mnie po to, żeby mi powiedzieć, gdzie jest Athens?

- Nie - odpowiedział. - Ścigałem cię po to, żebyś mogła mi powiedzieć, że ty Fisher wyprowadzacie się do Atlanty.

- To prawda.

- W ogóle nie wracasz już do Athens.

- To też prawda.

- Widzisz, warto usłyszeć taką dobrą wiadomość. - Henry był na wpół zirytowany, na wpół rozbawiony.

- Henry, co ty robisz? - zapytałam, ale wiedziałam, co robi, a za wodenie syreny brzmiało niczym kościelne dzwony i śpiew chóru.

- Podążam za tobą - oznajmił. - Niezupełnie w tym momencie. Muszę oczywiście oddać ten samochód, odebrać czek od firmy ubezpieczeniowej i kupić jakiś stół czy coś takiego. Wiesz, żeby było z czym się przeprowadzać. Ale potem jadę za tobą.

Zaczęłam śmiać się tak bardzo, że musiałam przytrzymać się samochodu, aby nie upaść.

- Henry, my wrócimy za dwa dni - wykrztusiłam, kiedy mogłam już złapać oddech. - Mógłbyś mi to powiedzieć w niedzielę.

- Nie. Nie mógłbym - zaprzeczył, a potem mnie pocałował.

Jego pocałunek zapadł mi dech, samochody śmigały obok nas, syrena w samochodzie Thiga hałasowała zawzięcie, a kogut na jego dachu błyskał niczym stroboskop.

Poczułam, jak mała rączka szarpie mnie za łokieć i oderwałam usta od ust Henry'ego, aby spojrzeć na Fisher. Dziewczynka opuściła szybę w oknie i wychyliła się po pas, aby mnie dosięgnąć.

- To jest naprawdę głośne! - zawołała.

Nogi ugiwały mi się w kolanach, kiedy Henry mnie obejmował.

- Wiem - odparłam.

- Ty całujesz Henry'ego Crabtree? - spytała Fisher.

- Zgadłś.

- No dobra, ale teraz nie jedziemy - powiedziała. - Czy mogłybyśmy opuścić ten dach?

- Czemu nie. Pomożesz mi, Henry?

Pocałował mnie znów, a potem z ociąganiem wypuścił z objęć. Obeszedł samochód dookoła i razem złożyliśmy dach.

- Zapnij pasy, Robaczku. Zaraz znowu ruszamy - zwróciłam się do Fisher.

- Lepiej oddam ten samochód - stwierdził Henry. - Może Thig będzie umiał to wyłączyć.

Nie potrafiłam przestać się do niego uśmiechać.

- Możesz trafić za to do aresztu.

- Gdzie tam - odparł Henry. - Znasz moją dziewczynę? Jej ciotka trzyma tutejszego szeryfa w kieszeni.

Wrócił do zawodzącego, skradzionego samochodu i odjechał. Wyście syreny stawało się coraz słabsze, aż w końcu ucichło zupełnie, kiedy zjechał z autostrady, aby zawrócić w stronę Between.

Wsiadłam do mustanga. Fisher siedziała zapięta pasami w foteliku.

- Gotowa?

- Jazda! - krzyknęła.

Natura Frettów kazała mi ostrożnie włączyć się do ruchu, ale zaraz potem odezwała się we mnie Crabtree i ruszyłam gwałtownie, wyrzucając spod kół fontanny żwiru, a Fisher zachichotała radośnie. Rozpędziłam się do dozwolonej prędkości. W lusterku wstecznym widziałam uniesione małe piastki na błękitnym tle nieba. Fisher rozprostowała palce, jakby chciała pochwycić wiatr, kiedy tak pędziłyśmy po autostradzie.

- Nonny! - zawołała. - Nonny, to jest jak latanie.

I rzeczywiście tak było.

Drzwi do samych siebie

Kiedy odwiedzałam biblioteki i kluby książki, gdzie prowadziłam rozmowy na temat mojej powieści, zawsze pojawiało się jedno pytanie. Ludzie chcieli poznać moje pisarskie rytuały, interesowały ich przyziemne szczegóły mojej pracy. Pytanie to zawsze wprawiało mnie w zakłopotanie, więc podjęłam próby znalezienia odpowiedzi. Zaczęłam prowadzić swą nieoficjalną ankietę, zadając to pytanie każdemu pisarzowi, którego spotkałam. Słuchałam ich wywodów i przytakiwałam, udając głęboką i szczerą zadumę, podczas gdy tak naprawdę czułam się odmieńcem. Wszystko to było dla mnie obce. Najlepsza rzecz, jaką mogłam zrobić na początek, to zastanowić się, co nie jest mi potrzebne.

Bardzo poważnie traktuję fakt, że nie mam muzy. Całą koncepcję muz uważam za dosyć podejrzaną i trochę straszłą. Niewidzialna panna obdarzona mocą, która potrafi mnie sparaliżować, kiedy popadnę w jej niełaskę, odmieniając jakiś rzeczownik. A gdzie one są, te muzy, kiedy człowiek idzie pod prysznic? Dziękuję, to nie dla mnie.

Nie jestem zorganizowana. Wiem, że zazwyczaj pisarze nie są zapamiętałymi pedantami, ale wielu z nich mówi, że codziennie o tej samej porze przystępuje do pracy. Ja tak nie potrafię. Jeśli spojrzeć na to z organizacyjnego punktu widzenia, uregulowane działanie jest dla mnie rzeczą tak odległą, że nawet nie potrafię go sobie wyobrazić. Nie mogę stać się zależna od pisarskiego rytuału, ponieważ fizycznie nie jestem zdolna przystosować się do zaplanowanego rozkładu zajęć.

Nie należę do tych sentymentalnych osób, które wciąż przechowują zasuszone bukietki i stare listy miłosne. W rzeczywistości nic tak

bardzo mnie nie uszczęśliwia, jak widok ciężarówek Armii Zbawienia, które odjeżdżają wyładowane moimi niepotrzebnymi gratami. Nigdy nie miałam przynoszącej szczęście pary majtek, a kiedy mój mąż Scott podarował mi pierścionek na dziesiątą rocznicę naszego ślubu, od razu zgubiłam ślubną obrączkę.

Potem to do mnie dotarło - rzeczą, której naprawdę potrzebuję, aby pisać, są drzwi oddzielające mnie od męża, dzieci, kota, telewizji, telefonu i całego tego chaosu, jaki ogarnia resztę mojego domu. A jeszcze lepiej, gdyby można było je zamknąć.

Zanim przysłała na świat nasza córeczka Maisy, mieszkaliśmy w domu, który stanowił jedną wielką otwartą przestrzeń. Jedynymi zamkniętymi pomieszczeniami były trzy sypialnie. Ja i Scott zajmowaliśmy największą z nich, a ta po przeciwnej stronie korytarza należała do naszego syna Sama. Wciągnęłam banderę na maszt, domagając się, aby ostatni pokój należał do Virginii Woolf. Uważałam swój dom za idealny, z wyjątkiem miniaturowej łazienki, z której korzystałam wraz ze Scottem. Było w niej dokładnie tyle przestrzeni, aby jedna osoba mogła stanąć przy umywalce. Po lewej stronie stała muszla, której niemalże dotykałam kolanem, kiedy szorowałam zęby. Robiąc krok w tył, ładowałam w wykonanym z imitacji porcelany naczyniu, które doskonale sprawdziłoby się jako wanna, gdyby korzystała z niego lalka Barbie. Ale mimo to nasz dom pasował do mojej rodziny jak wygodny but.

Tuż po narodzeniu Maisy byłam gotowa, aby przystąpić do pracy nad książką, która miała stać się powieścią *Gdzie diabeł mówi dobranoc*. Zanim jednak moja pracownia stała się osobnym pomieszczeniem, nie miałam gdzie pisać. W moim domu, w moim niegdyś idealnie dopasowanym domu, znalazła się przestrzeń na wszystko prócz mnie. Próbowałam urządzić sobie pracownię w kącie naszej sypialni. Gdybym mogła sobie pozwolić na to, aby zostać wyznawczynią feng shui, mogłabym stwierdzić, że feng shui w tym pomieszczeniu jest koszmarnie. Znajdowałam się w nim przez cały czas. Spałam w tym po-

koju, pracowałam, a ponieważ znajdował się w nim wielki telewizor, mój fotel, półki z książkami, konsola do gier, odtwarzacz DVD, komputer oraz mój mąż, spędzałam tam również większość czasu przeznaczonego na domowy odpoczynek. Zaczynałam się czuć jak pacjent zakładu psychiatrycznego, który codziennie od rana do wieczora ogląda te same cztery ściany i wychodzi tylko, aby coś zjeść w towarzystwie innych pensjonariuszy.

W końcu zdeponowałam u mojej mamy wielki stół z jadalni i ustawiłam trzy krzesła przy mniejszym stoliku, który stał w rogu kuchni. Jadaliśmy tam, a wysokie krzeselko Maisy stało w kącie. Moja pracownia objęła we władanie pomieszczenie, któremu nadaliśmy rozczulającą nazwę - „Kredens”. Był to sześcian o boku dwa i pół metra, w którego ścianach znajdowały się dwa szerokie przejścia. Jedno prowadziło do salonu, a drugie do kuchni, i do obu tych pomieszczeń wchodziło się przez mój „gabinet”.

To była jedna wielka kołomyja. Nastoletnia dziewczyna, która dwa razy w tygodniu pomagała mi przy dziecku, średnio co cztery minuty przechodziła do kuchni, aby wziąć coś dla Maisy. Skradała się przy tym w wystudiowany, teatralny sposób, który bardziej mnie rozpraszał niż zwyczajne kroki.

W weekendy Scott zajmował się dziećmi, więc mogłam pracować, ale kiedy tylko mała Maisy znajdowała się na podłodze, zawsze raczkowała w stronę mego biurka. Scott siedł tuż za nią, brał ją na ręce albo odwracał w innym kierunku, lecz wtedy ona wydawała wściekle piskliwe odgłosy, nieugięcie zmierzając ku bramom do krainy mamy. Sam, który emanował niepohamowaną energią małego chłopca, przetaczał się z hukiem średnio co czterdzieści pięć sekund, galopując po krętych schodach niczym po torze wyścigowym. Stałam się nadmiernie wyczulona na dźwięki i nawet miękkie stąpanie korpulentnego kota po deskach podłogi sprawiało, że moje palce nieruchomiały na klawiaturze.

Kiedy Maisy po raz setny wdarła się do mojej „pracowni” i zaczęła mamlać bezzębnyimi dziąsłami mój pantofel, podczas gdy ja

pracowałam właśnie nad kulminacyjną sceną miłosną, uświadomiłam sobie, że czas na przeprowadzkę.

Dom, w którym mieszkamy teraz, oddalony jest o jakieś trzy kilometry od poprzedniego, ale zakochałam się w nim od pierwszego wejścia. Dolna kondygnacja domu jest bardzo podobna - z kuchni przechodzi się do rodzinnej bawialni, a stamtąd do małej jadalni - jednak istnieje pewna zasadnicza różnica. Poprzedni właściciele postawili ścianę, wydzielając osobne pomieszczenie, które miało służyć jako oficjalny salon. Doprowadzili tam linię telefoniczną i uczynili z niego domowe biuro. Jednak co najlepsze, w wąskim przejściu znajdują się prawdziwe, najprawdziwsze drzwi. Moja córeczka niedługo skończy pięć lat, a szczelnie zamykające się drzwi wciąż jeszcze przyprawiają mnie o radosne bicie serca.

Moja osobista Własna Przestrzeń ma ciemnozielone ściany, a w oknach wiszą cętkowane zasłony, które uszyła dla mnie mama. Nad biurkiem wisi obraz. Jest to dzieło jednego z moich ulubionych surrealistów i przedstawia roztapiającego się kota, który pędzi nad martwym pustkowiem w statku kosmicznym o kobiecych kształtach. Wszędzie dookoła wznoszą się coraz wyższe sterty moich gratów, niczym Ogród Rozmaitości, a każda dostępna powierzchnia zavalona jest papierami, książkami, bucikami moich dzieci, zabawkami z Happy Meal i papierowymi torbami, w których Bóg wie, co się jeszcze mieści... To mój mały własny skrawek nieba.

Dlatego też okazuje się, że pisanie zaczyna się dla mnie, kiedy drzwi są zamknięte. Koniec i kropka. Może nie mam artystycznego temperamentu. Myślę, że brak rytuałów, totemów i amuletów ma swoje źródło tam, skąd pochodzi moje pisarstwo. Zaakceptowałam fakt, że jestem osobą, która działa po to, aby osiągnąć cel, a nie po to, aby do niego dążyć. Wybieram cel i strzelam. Dostrzegam, pragnę i z nadzieją idę w tamtą stronę.

Kiedy zamykam drzwi i zaczynam pisać książkę, nie wiem, o czym będzie ta historia, a gdybym wiedziała, nie dałabym rady jej napisać.

Nie sędę, abym chciała wiedzieć, jak bardzo jestem odkrywca, kiedy znajduję się w trakcie procesu odkrywania. Coś typowego dla mnie - przeczytałam na głos każde słowo *Gdzie diabeł mówi dobranoc* podczas nagrywania wersji dźwiękowej. Słuchając jej, byłam zszokowana, gdy uświadomiłam sobie, jak wiele elementów dzieciństwa mojej matki przeniknęło do tej powieści. Znalazło się w niej trochę głębokich, osobistych przemyśleń, a wyrażając własne nastawienie do kwestii zobowiązań rodzinnych, oddziaływania miłości oraz kształtowania charakteru przez naturę i wychowanie, odkryłam, że odczuwałam pewne rzeczy, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Są to rzeczy, których prawdopodobnie nigdy bym nie pojęła, gdybym nie napisała tej książki. Na pewno nie z moim pragmatycznym, nastawionym na osiągnięcie celu podejściem do życia.

Przyznaję szczerze, że piszę przede wszystkim dla własnej rozrywki, ale niejednokrotnie otrzymuję przez przypadek produkt uboczny - trochę większe pojęcie na temat osoby, jaką chciałabym być, gdybym kiedyś dorosła. Myślę, że gdybym była bardziej wrażliwa i wyrafinowana, gdybym posiadała swoją muzę i była zdolna do głębokich przemyśleń, gdybym umiała patrzeć, jak rośnie skała, i zachować ją na wieczną pamiątkę, nie musiałabym pisać tego wszystkiego. Ale pisanie jest jedynym sposobem, jaki znam, pozwalającym mi zgłębiać mój świat, a mam dziwną potrzebę opowiadania ludziom moich historii. Dajcie mi tylko zamknięte drzwi, a ułożę dla was następną.